



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Law 7130.6.11

THE SLAVIC COLLECTION



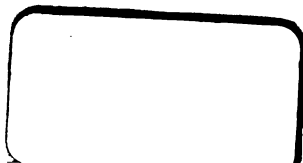
Harvard College Library

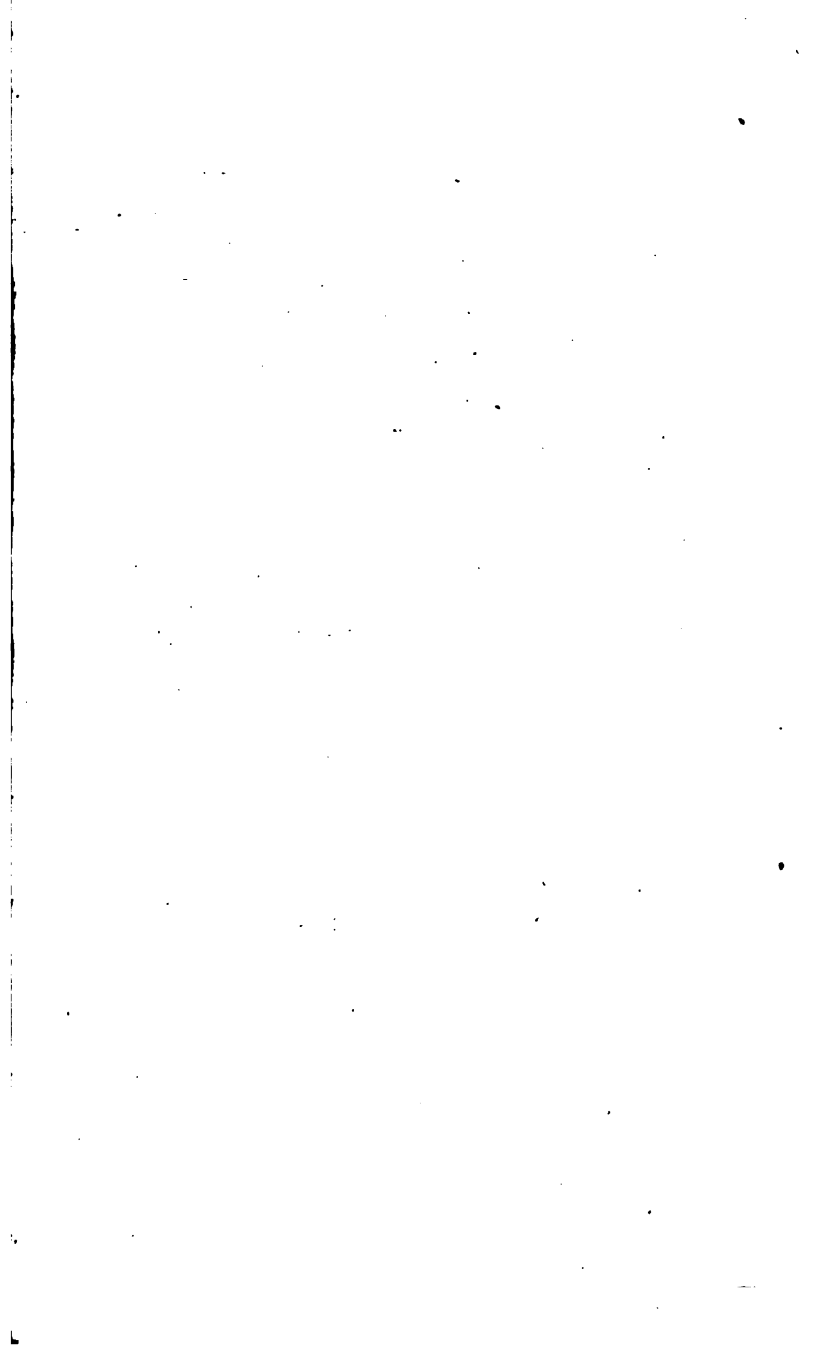
GIFT OF

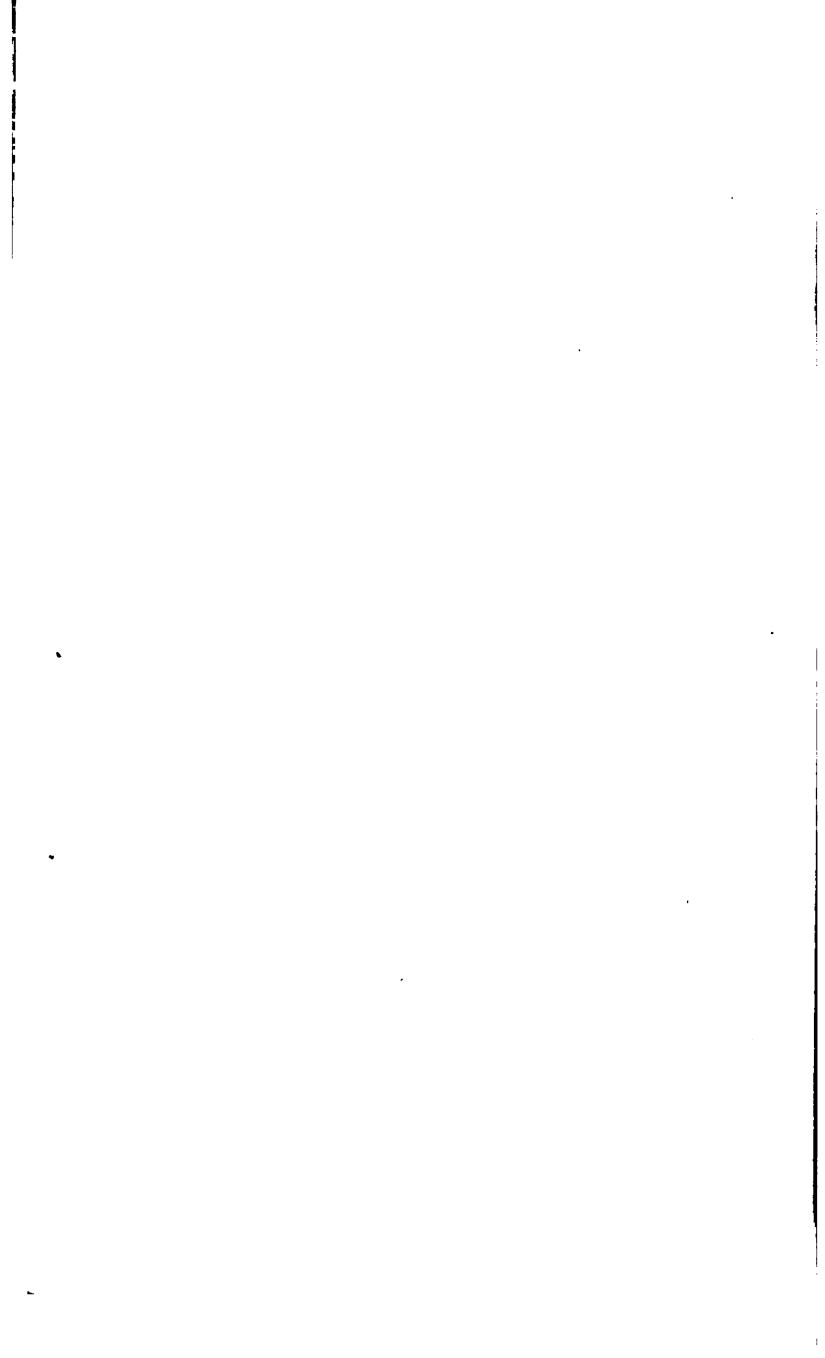
Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

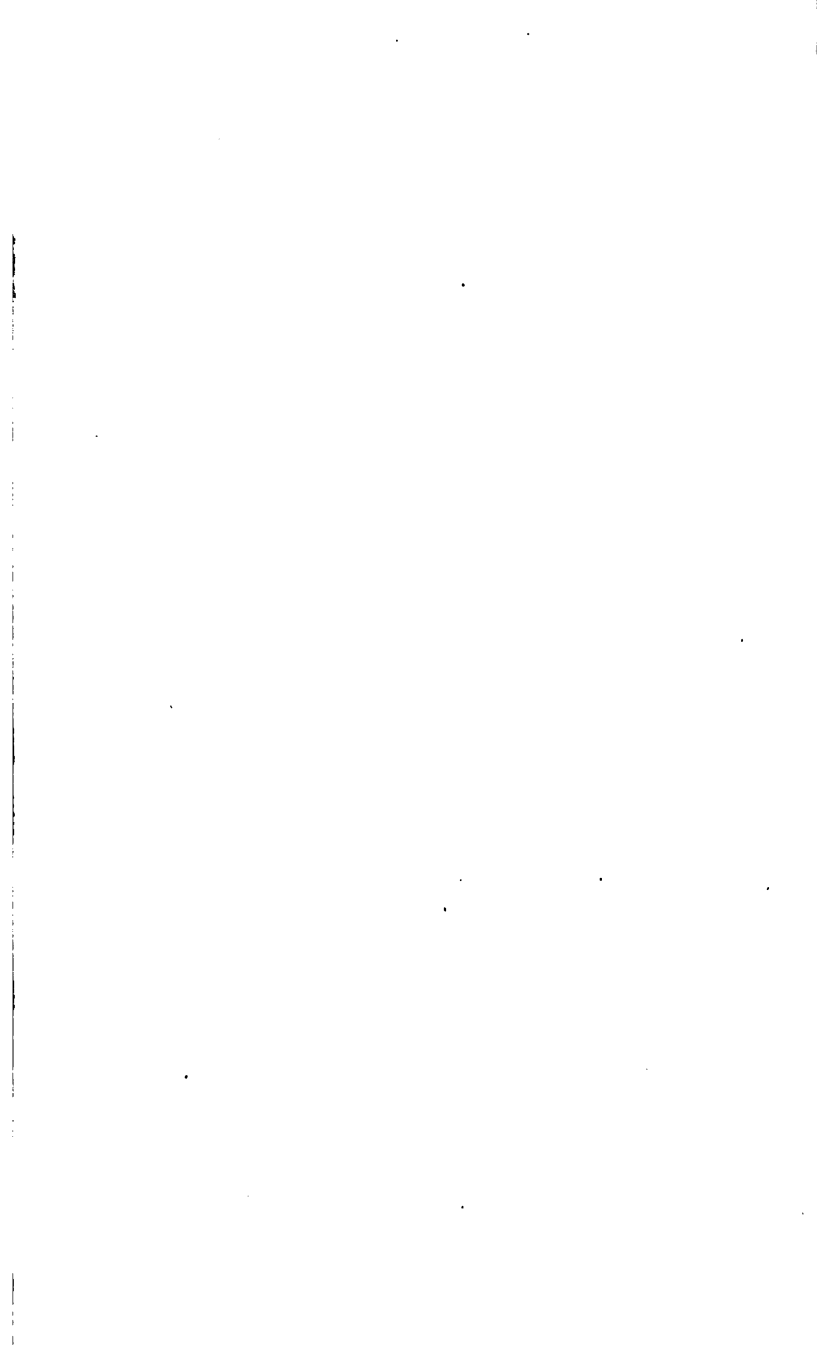
(Class of 1887.)

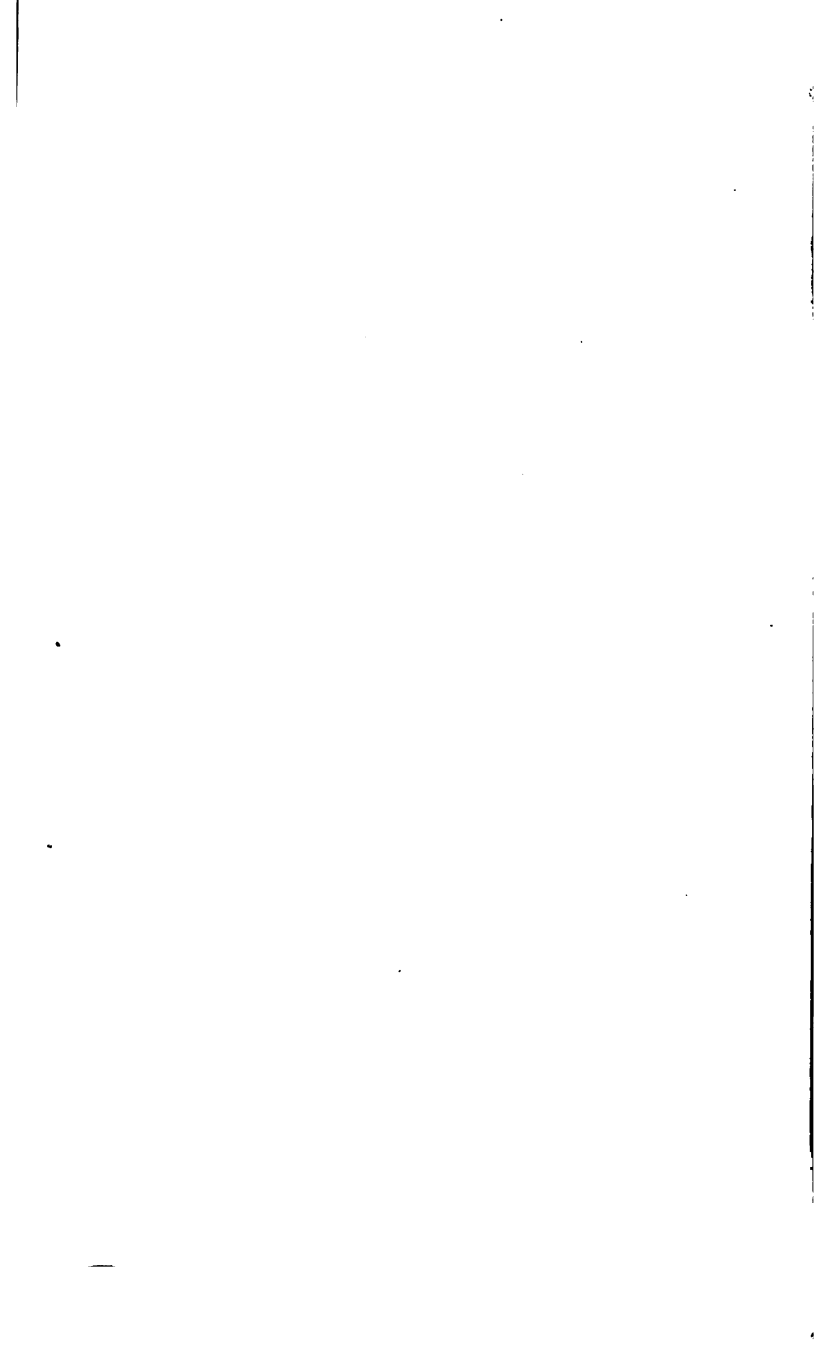
Received ^{1 July}~~2 October~~, 1895.















Starobibli

18

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM DWUDZIESTY SIÓDMY.

WIECZORY LACHA Z LACHÓW

CZYLI

OPOWIADANIA PRZY KOMINKU

STAREGO LITERATA POLSKIEGO

PRZEZ

Zienk
LEONA ZIENKOWICZA.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1864.

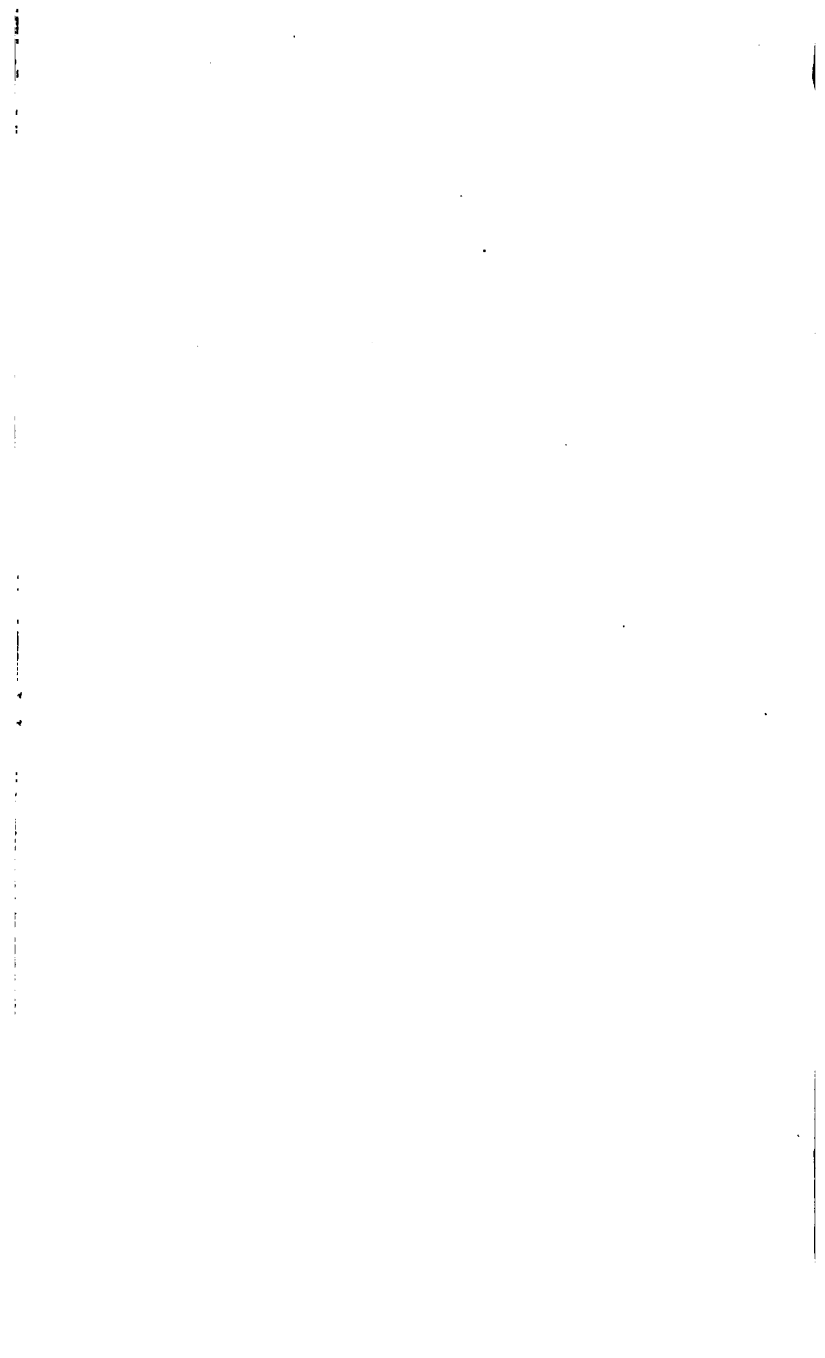


Evenings with Lach & Lachow
or stories of fine place stories of an
old Polish literatures

by Leon Lienkovich

Leposic 1864

(Polish)



Slav 7130.611

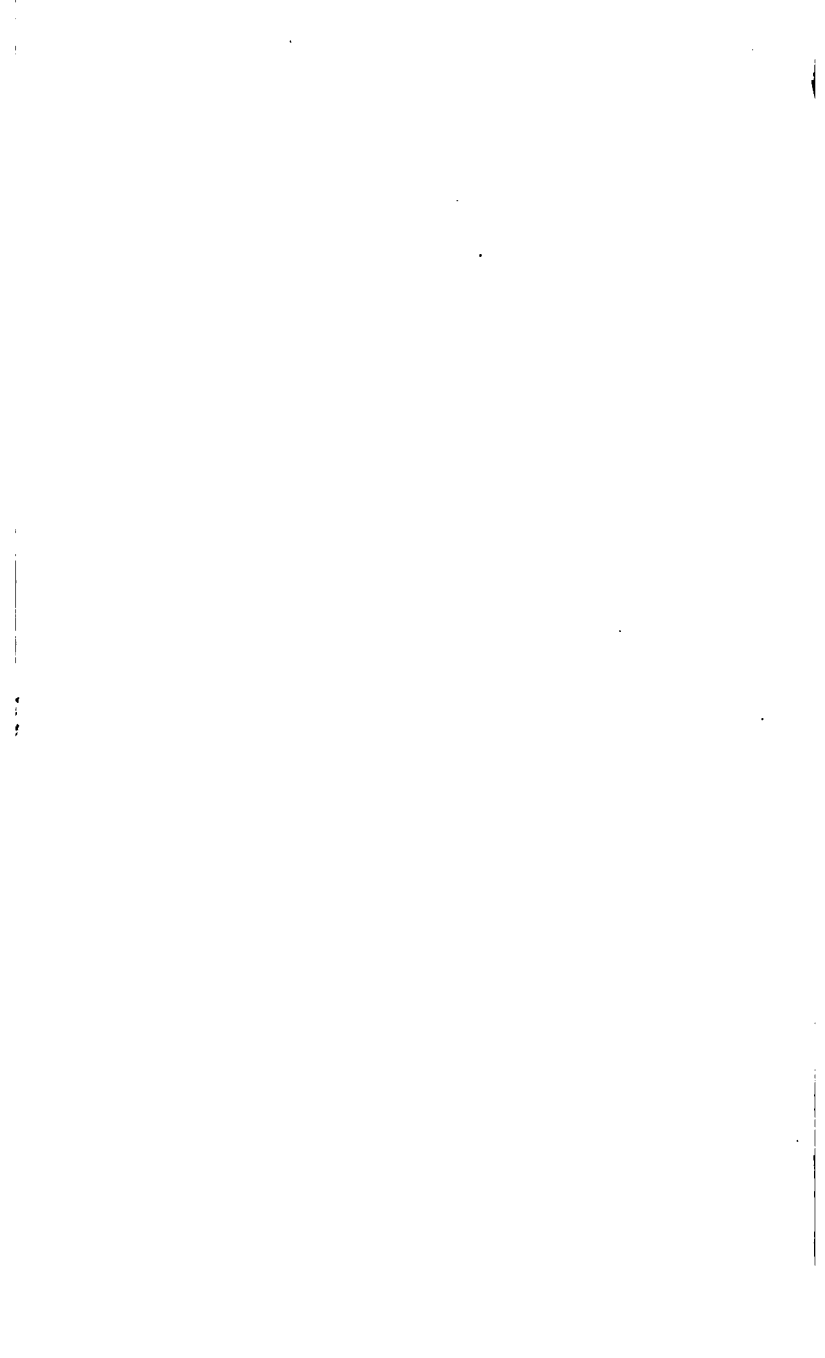
18

Evenings with Lach & Lachow
or stories of fireplace stories of an
old Polish literateur

by Leon Lienkovich

Lepais' 1864

(Polish)

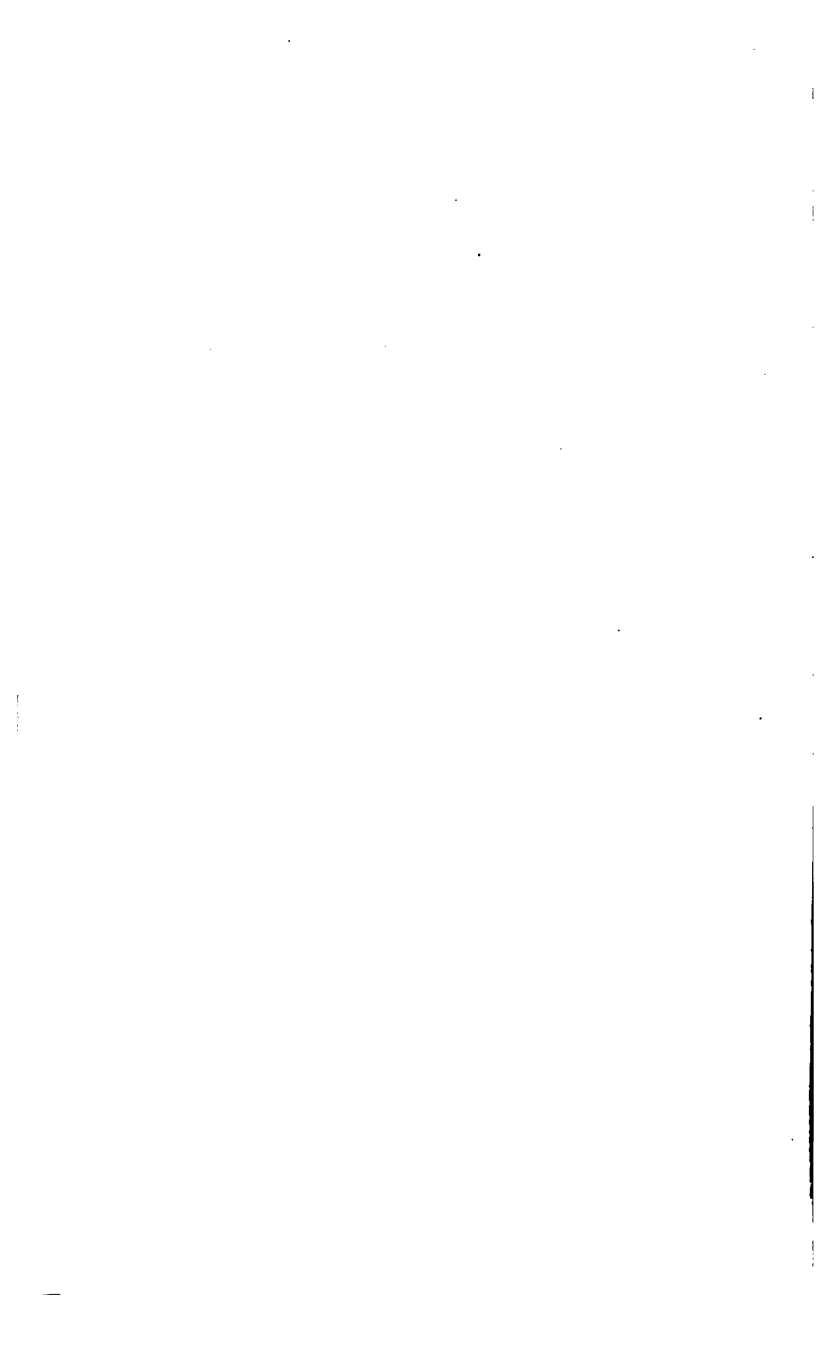


Evenings with Lach & Lachow
or stories of fine place stories of an
old Polish literateurs

by Leon Lienkovich

Leposic 1864

(Polish)



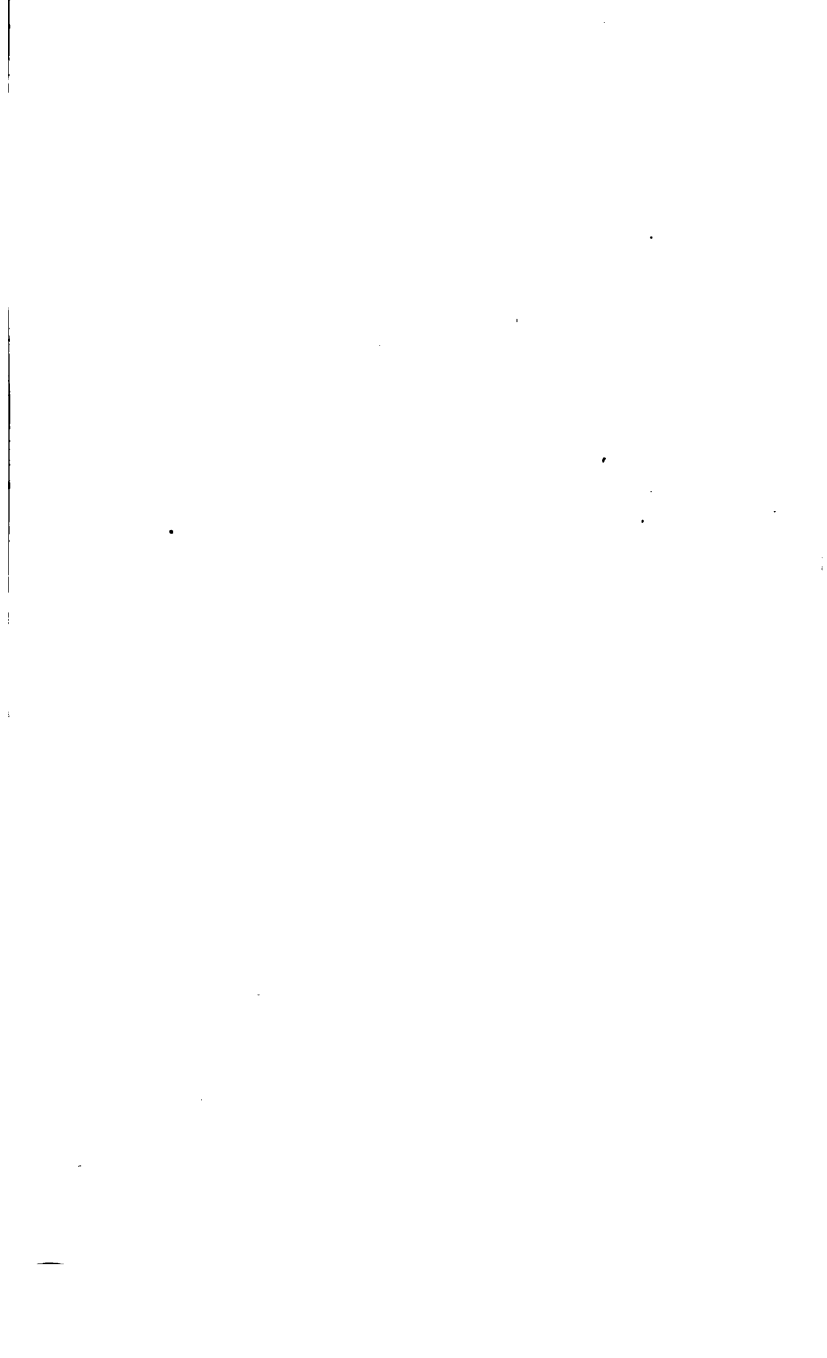
18

Evenings with Lach & Lachow
or stories of fireplace stories of an
old Polish literateur

by Leon Lienkovich

Leposic 1864

(Polish)



WIECZÓR PIERWSZY.

ZAGAJENIE — MYŚL I CEL.

«Świat nie postępuje — świat rusza się tylko, a rusza się w kółko tylko, ażeby po pewnym ciągu kołowania takiego wrócił do punktu, z którego był wyszedł.»

ALFONS LAMARTINE.

. Wazystko to być może,
Ja to jednakże między bajki włożę...

IGNACY KRASICKI.

Pan Lach z Lachów, stary ale jary literat, bawił już od pół roku pod strzechą naszą, a dzieląc z nami nasz skromny chleb powszedni, podzielał także nasze kłopoty i zabawy, trudy i wypoczynki, i żaloby i wesela. Umarł który z sąsiadów luk sąsiadek pocziwych; urodził się w okolicy syn — przyszła kraju nadzieja, albo córa — przyszła komu bogdanka; — kojarzyło się młode stadło — starych pokoleń miłość, chluba, młodość przyszłość i życie; stawiano stogi czy brogi; jechano na odpust, na gryby, ryby, polowanie, imieniny lub w odwiedziny, to pan Lach z Lachów nie wymówił się nigdy, wszędzie jechał i szedł ochoczo, z każdym rad do wszystkiego należał, do każdej rozmowy i rozprawy się wmięszal; tylko ilekroć wszczęła się pogadanka, choćby najzupełniej literaturze i historii obca, tylekroć pan Lach z Lachów zawsze ją do literatury albo historii skierował, a wszędzie i zawsze tak coś stósownego i dobrze nastrojonego miał pod ręką, że wnet na słowo jego zmykały z pola

popłoszone kury i gęsi, barany i cieleta, charty i zające, lisy, wilki, dziki, niedźwiedzie, i wnet ustawały wszelkie młockarnie, cukrownie i gorzelnie, spławy, dreny i gnoje, a nawet owe już najciekawsze i najrozkoszniejsze pogadanki o kartach, kieliškach i metresach. Wszystko milkło; — pan Lach z Lachów prawil sam tylko, lecz rzecz dziwna; że zwykle kiedy całe towarzystwo tem jego opowiadaniem znęcone, aż po uszy w literaturę lub historię zabrnęło, tedy pan Lach nagle ucinał, i już tą razą żadnemi proźby i modły do skończenia przerwanego opowiadania skłonić się nie dał, tylko sobie mruzczał pod nosem: — Po co? Na co? albo to was bawi!? Chwała Bogu, żem was jeszcze nie pościł! Oj! nie tak to bywało przy kominku u Pana Juliana Ursyna! — z takim zwykłym wymawiać przyciskiem i z towarzyszeniem tak głębokiego westchnienia, że przysła mi myśl, czy też w tych pana Lacha słowach nie ma słabej strony, i czy więc — przy kominku — pan Lach otwartym w swych opowiadaniach nie będzie.

— Kupić nie kupić, potargować można. — A że ku długim wieczorom zabierało się właśnie, więc kazałem kominek w izbie bawialnej wyporządzić, drzewa suchego przygotować, i pewnego wieczora, kiedyśmy już wszyscy, ilu nas w domu było, zasiedli przy kominku i ogień jaskrawem swoim światłem całą izbę i całe ozłocił towarzystwo, rozpromieniło się oblicze pana Lacha, wygładziło się poorane wiekiem, a bardziej jeszcze troskami i myślami wysokie czoło jego, żebyś na niem jak na stepowem ukraińskiem niebie w dzień najczystszej pogody, najmniejszej chmurki nie dostrzegł; zatarł ręce po trzykoć, po trzykoć pomuskał wąsa, a potem nagle krzesło pod sobą wykręciwszy, usiadł na niem, jakby na koniu, oparł się na poręczu oburącz, i jak strzała wpadając komuś w słowa:

— A czy wiecie Panowie, rzecze, jakie dziwne losów igrzyska? Wszakże to ten wieszcz, ten trybun, ten mąż stanu, ten najpierwszy i najwyższy urzędnik państwa, szyje buty na starość. —

— Gdzie? Kto? Jaki? Kto taki? szyje buty na starość? — zawołano ze wszech stron.

— A Lamartine — odrzecze pan Lach.

— Co! Lamartine! Lamartine buty szyje! Czy to podobna? — ozwało się kilka głosów niewieścich.

— Tak, tak, rzecze pan Lach im znowu; szyje buty Lamartine, szyje z biedy, bo kupić nie ma za co; szyje z dumy, bo hardy i chodzić boso nie chce; szyje piórem na starość, bo szyłem za młodu nie nauczył się szyć nieborak. —

To rzekłszy pan Lach, krzesło nazad pod sobą wykręcił, usiadł na niem jak zwyczaj — spuścił głowę i zamilkł.

— Tylko prosimy, nie ucinać tak nagle, ozwałem się. Prosimy, prosimy wszyscy, zaklinamy wszyscy, niechno sobie pan Lach raczy przypomnieć, jak to bywało przy kominku u pana Juliana Ursyna! —

Na to zakłęcie pan Lach bardziej jeszcze opuścił głowę, i jakby się trochę zachmurzył, bo brwi mocno spłynęły mu na oczy; potem niby się zadumał, bo w palcach jakby coś kręcił; ale wkrótce brwi na swoje miejsce wróciły, wygładziło się czoło, głowa się podniosła i pan Lach znowu wykręcając nagle krzesło przed sobą, siadł na niem jak na koniu, oparł się na poręczu oburącz, zatarł ręce po trzykroć, po trzykroć wąsa pomuskał, i tak począł nam prawić:

Tak jest! wiem co mówię.

Człowiek, którego imię przez lat przeszło trzydzieści jako wieszca, jako mówcy, jako męża stanu i najpierwszego urzędnika państwa na cały świat grzmiało, wydaje obecnie: Kurs domowej literatury.

Wieszcz, mówca, mąż stanu i najwyższy urzędnik państwa, naprzód z natchnienia, i z wrodzonych skłonności, potem z powołań i z obowiązku, przy schyłku publicznego żywota został literatem domowym z rzemiosła, z konieczności, z potrzeby, z biedy.

Ten człowiek to Lamartine.

Z wiekiem młodziana polubił on był literaturę i na jej niwach siał różnocześnie ziarna swoich uczuć i myśli; lecz polubił literaturę, jako się lubi pola, łąki, gaje, ogrody; a na jej niwach pracował jako na swych włościach pracuje wielki i możny ich dziedzic.

W zaraniu swego żywota nie okazywał on nawet wiele pojęcia ku literaturze. Są ludzie, któremi rozporządza przypa-

dek, którzy przypadkowi wszystko bywają winni, i naukę i dostojęstwa, i honory i skarby, czyli z których pomimo ich wiedzy i spodziewania, przypadek robi filozofów, generałów, ministrów, rotszyldów; Lamartine do ich rzędu należy.

Przypadek zdarzył, że w sąsiedztwie siedziby rodziców Lamartina, w ustroniu z całej okolicy najsmutniejszym, był dom ponury i odosobniony i o okiennicach wiecznie przymknionych, otoczony do koła murem i drzewami, a w tym domku odludek i samotnik, z którym młody Lamartine na przechadzce zabrał przypadkową znajomość, i przypadkiem do mieszkania jego się dostał.

— Oto jest, rzekł mu wtenczas pustelnik, tajemnica mojej pustelni i mojego w niej szczęścia. Poznałem świat, osądziłem go i uciekam od niego; lecz że człowiek z przyrodzenia jest towarzyskiem stworzeniem, w tych więc książkach, przyniesionych z moich podróży, a w nieporządku u nóg mych rozrzuconych, znajduję towarzystwo dla mego ducha.

— To towarzystwo wystarcza mi; nie żałuję i nie żądam wcale innego, nie chciałem nawet ułożyć ani uporządkować tych tomów; trochę czasu, który mi pozostaje do życia, niegodne tego trudu. Wśród nich żyję jakby wśród tłumu, przez który ktoś się przeciska bez przywiązania się do niego. Wolę powierzać się przypadkowi niż wyborowi; poruszam stos tych książek, wyciągam rękę i na jakąkolwiek z nich wpadnę, duch mój zawiązuje rozmowę z jednym z duchów; kiedy ten wszystko mi już wypowie — przechodzę do drugiego. Gdzież są żywi, którzyby mi zastąpić mogli tych umarłych w tem zmartwychwstałych, co mieli najlepszego na ziemi, w ich myśli? Jestem grzebaczem myśli ludzkich, zagrzebuję jedną dla odgrzebania drugiej, i tak znajduję więcej życia pod ziemią jak na ziemi. —

W tej treści mówił długo odludek, usiłując wykazać nieporównaną wyższość towarzystwa umarłych nad towarzystwem żywych, aż wreszcie, gdy promienie wieczornego słońca, wymykając się jeden za drugim przez kraty przymknionych okien, zostawiły ten cmentarz duchowy w najzupełniejszej ciemności: — A teraz idź moje dziecię, rzekł, i opowiedz, jeżeli pytać cię będą, całą tajemnicę, którą widziałeś. —

Przypadkowa ta scena sprawiła czarodziejskie wrażenie na

młodej wyobraźni. Od chwili tej poczuł młodzieniec, ile musi być życia w tej śmierci pozornej ksiąg okrytych kurzem, i ile być musi rozmowy w tem ich milczeniu. Wrażenie literackie dokonało się w nim na zawsze; rosło owszem i wzmagало się z laty, aż się złożyło w poezye, w ten śpiew duszy, przelewającej w tony i słowa wszystko to, co w niej jest boskiego, a co dotąd objawiało się westchnieniem, biciem serca i łzami.

Odtąd wszystko było literaturą, wszystko poematem w oczach młodziana, nawet własne jego życie, które ze wszystkimi swojemi wrażeniami, wierzeniami, radościami i boleściami przelewało się w jego rym; nawet świat cały, który tylko na tony różne śpiewał, lub jęczał pieśń jedną.

Z wiekiem zmieniała się nuta, lecz nie narzędzie. Wypadki 1814 i 1815 roku, którym towarzyszył poeta; wojna, dyplomacya, polityka, którym się był poświęcił, przedstawiły mu się, jako niegdyś się były przedstawiły namiętności młodzieńcze, ze strony literackiej. On chciał, żeby życiem publicznem łączył się wszędzie talent literacki; on chciał wszędzie, on szukał wszędzie piękności. Według niego, co na polu bojów, co w traktatach kongresów, w rozprawach stanów, w państwa urządzeniach nie było pięknie powiedzianem, albo pięknie opowiedzianem być nie mogło, to nie było godnem trudów zachodu, to wcale być nie było powinno. Według niego ludy nawet nie miały prawa istnienia, jeżeli literackimi nie były. — Czytajcie dzieje ludów, powiada, a przekonacie się z pierwszego rzutu oka, że dopóki ludy literackimi nie były, dopóty nie istniały, i że wieść o nich nawet zaczyna się dopiero z ich literaturą; ona się też z nią kończy; od chwili, w której lud jaki zaprzestaje śpiewać, pisać, mówić, lud ten istnieć przestaje. —

Trybuna polityczna, na którą wstąpił z kolei, podwoiła w nim jeszcze uczucie literatury. Po całych dniach i nocach, bez przerwy przez całe lat piętnaście, uczył się on na umarłych i żywych wzorach słowa, jak być godnym, mówić po nich lub przy nich; jak mól się zagrzebywał w arcy-twory historyków starożytności, ażeby sam także mógł opowiadać arcy-dzieła swego narodu. Według niego, lud nawet najmniej literacki, kiedy jest zgromadzony a podniesiony nad swój poziom powszedni, jak ocean wśród burzy, kiedy jedna z tych burz mor-

skich powierzchni jego wezdmie, przybiera coś nagle w swych uczuciach literackiego; lud chce wtenczas, ażeby doń mówiono, nie tym gburskim językiem karczem lub przekupek, lecz językiem najczystszy, najwznieślijszym i najwspanialszym, jaki tylko wielcy ludzie, dni wielkich, znaleźć mogą w swych ustach. — Miałem sposobność, powiada, zauważać tam często, podczas dyalogu, który przypadek zawiązał był pomiędzy mną a ludem, że im głębiej w mych przemowach byłem uczonym, tem chętniej lud mnie słuchał, że zwyczajna pospolitość języka wzbudzała w nim odrazę i pogardę, kiedy przeciwnie słowa podniesione do wysokości jego uczuć, zdobywały nad nim przewagę, tem pewniejszą, im jego mówcy wyżej naciągali nastrój swojej wymowy. Wielkość, oto literatura ludu; bądź wielkim i mów co chcesz. —

I nie jestże to zjawisko obejrzenia godne, że człowiek, który w taki sposób pojmował literaturę, który wszędzie jej szukał, chciał i pragnął jej wszędzie, którego sam Bóg zdawało się przedewszystkiem na literata stworzył, zawsze ile tylko razy nadarzała się sposobność, wnet on z pola literackiego na inne pole ciągnął. Zaiste, Pan powierzył słudze swojemu talent, sługa w ziemię go nie zagrzebał, używał go owszem cichaczko i hojnie; lecz że to był talent przedewszystkiem literacki, i ku pożytkowi literatury wyłącznie przeznaczony, ilekroć więc sługa zapominał o naturze i przeznaczeniu powierzonego mu skarbu, i on talent swój literacki, za talent inny: polityczny, dyplomatyczny, stanowy lub rządowy uważał, tylekroć, wprawdzie nie zagrzebywał go w ziemię, ale go nadużywał, ale go nieszczęśliwie używał. To też Pan odwołał zapominającego sługę, a odwołanego dotknął karą najsroższą, jaka człowieka dotknąć może na ziemi, bo karą śmierci żyjącej. Lamartine polityk, Lamartine dyplomata, Lamartine mąż stanu i mąż rządu, nie żyje; oto jak sam opisuje śmierć swoją.

— . . . Tu chciałbym pójść z wami tak daleko, jak daleko tylko pójść może słowo najszczersze. Są rzeczy, które się nie powiadają, chyba tylko raz jeden w życiu, ale które powiedzianemi być winny; inaczej wy sami dostatecznie nie rozumielibyście całej potęgi, i wszechwładztwa literackiego uczucia na życie człowieka publicznego i na serce człowieka prywatnego.

— Precz więc odemnie wszelkie słowa obawy! otwieram tu duszę moją aż do jej najgłębszych kryjówek. Przyzwoitość pisarzy bojaźliwych nie rozkrywa nigdy owych nagości duszy, ale serce nabrzmiałe goryczą zrywa z najhartowniejszej piersi te marne spowijaki, a ten bezwstyd szczerości jest skromniejszym daleko w źródle od wszystkich obłudnych wstydlivości światowego względu. Gdyby Laokoon, męczący się w kamieniu pod splotami krępującego go węża, nie był nagim, widzielibyście jego męczarnie? — Gdy serce pęka, ażaliż żył nie zrywa? —

— Mimo zwodnicze pozory, życie moje nie jest wcale z rodzaju godnych zazdrości; więcej powiem, życie moje zakończyło się; ja nie żyję, ja tylko się dotrawiam. Z tych wszystkich licznych ludzi, co żyli we mnie do pewnego stopnia, z człowieka uczuć, człowieka poezyi, człowieka trybuny, człowieka czynu, nic dziś nie zostało prócz człowieka literatury; a człowiek literatury nie jest nawet szczęśliwy. Lata nie ciąży mi jeszcze, ale się obliczają ze mną; trudniej mi dźwigać ciężar mego serca, aniżeli lat moich. Te lata, jak gdyby cienie Makbeta, wyciągają swe ręce po nad memi ramiony, ukazują mi palcem nie wieńce ale grób; i oby podobało się Bogu, żebym już w nim spoczął.

— Nie ma we mnie zasobu ani na uśmiech do przeszłości, ani łez do przyszłości; bez potomstwa grzybieję w moim domu pustym i do koła otoczonym grobami moich najmilszych; kroku jednak postawić po za progiem mego mieszkania nie mogę, bez potknięcia się stopą moją o który z tych kamieni zawodnych naszych czułości lub nadziei naszych; są to zarazem krwawe włókna, wyrwane z mego serca żywego jeszcze, a pogrzebane przedemną, kiedy serce to bije jeszcze w mej piersi, jako ów zegar, który, dom opuszczając, zapomniano zatrzymać, a który w tej pustyni bije jeszcze godziny, których już nikt nie liczy.

— Wszystko, co mi z życia zostało, zacisnęło się do serc kilku i skromnej ojcowizny. A i te serca cierpią jeszcze we mnie; a i z tej ojcowizny, nie wiem ażali nie będę wysadzony jutro, ażebym, jak powiada Dante, szedł umierać na jakiej drodze obcej.

— Podnóżek, na którym ojciec mój nogi swoje opierał, a na którym ja dziś opieram, jest jako ten sprzęt pożyczony, który

codzień odebrany, codzień sprzedany i odsprzedany być może, za najmniejszym kaprysem właściciela, na wywołanie woźnego, porówni z łóżem mej matki, i aż do psa liżącego ręce moje z litości, kiedy dostrzeże mroczące się moje powieki wlepione weń z boleścią.

— I jeszcze z tego wszystkiego winienem rachunek drugim, którzy na słowo mego honoru i na wiarę mej pracy, złożyli tam dziedzictwo swoich dzieci, owoc ich potu własnego. Jeżelibym po dniach całych nie pracował na nich; co mówię? jeżelibym sypiał po nocach, lub, jeżeliby choroba, (od której niechaj mnie Bóg chroni przed czasem,) przyszła na chwilę wytrącić pióro mi z ręki, to narzędzie niespracowane, które dla nich zużywam, ci dobrzy przyjaciele byłiby o stratę przyprawieni ze mną; oni-by w mych popiołach odszukiwać swej własności musieli; bez wątpienia znaleźliby ją tam nietkniętą, ażeby ja znaleźć pod gruzami mojemu.

— Owóż powód, dla czego znosić muszę nie raz nad siły moje ciężkie potępienie na pracę. A jednakże tę pracę nawet, tę cnotę przymusową, cnotę wreszcie z potrzeby, wyrzucają mi jak próżnią żądę trudzenia cudzych uszu rozgłosem mojego imienia. Ludzie niebaczni i nielitościwi! wyrzucacie nędzaczowi tłukącemu kamienie przy drodze, że swoją obecnością trudzi oczy przechodniów, przeto tylko, ażeby do domu odniósł płacę wieczorem, która żywi żonę, starca, dziecię?

— Dzieci Samieńczyków znieważali Homera, albowiem powiadali, Homer zawadzał im po ścieżkach wyspy, deklamując swe wiersze, a gdzież chcieliby, aby deklamował swe wiersze, on co nie miał innego dachu na to, oprócz niebios sklepienia. Otóż brak tem jest dla pisarzy dzisiejszych, czem dla Homera było sklepienie niebios.

— Nie jestem Homerem, ale krytycy moi surowszymi są od Samieńczyków; stronnice pracy mojej, którym zarzucają, że są przepełnione stosami próżności mojej, chciejcie to wiedzieć, nie są atramentem, lecz potem mym pisane. Nie o wielkość mego imienia idzie, ale o wypłacenie się tym, dla których imię moje stało się całą ich własnością i życiem. Moje imię, ach! wiem to z memi krytykami na równi, i co ono znaczy, i co za przyszłość go czeka. Radbym z całego serca, niebo mi na to świad-

kiem, ażeby nigdy wymówionem nie było; dałbym chętnie resztę dni moich, ażeby już na zawsze, razem z tym co je nosi, zagrzebanem zostało w milczeniu ziemi, tam bez hałasu, a tu bez pamięci.

Trzebaby przypuścić, przyznaję wielką miarę zdzieciniałości w człowieku, który wiek ludzki przeżył i który widział to, co ja widziałem, ażeby mniemać, iż on dbać może o to echo karle, co je zowią pamięcią ludzką. Byłem żył w pamięci Boga, żartować mogę z pamięci ludzi. Życie ludzkie niczem już dla mnie.

— Życie ludzkie w położeniu mojem i po kolejach, które przebyłem i przebywam, przypodobnićby można do widowiskowych, z których ktoś wychodzi ostatnim i zatrzyma się mimowoli jeszcze, oczekując, aż tłum się wysunie i gdy sala już się wypróżni, światła gasną, pochodnie dymią; scena z przerażającym trzaskiem obnaża się z dekoracyj swoich, a milczenie i cienie, te złowróźbne rzeczywistości, ogarniają tę scenę, przed chwilą tak jaśniejącą i pełną tylu złudzeń.

— I czegożbym miał dzisiaj żałować w tem życiu? ażaliż nie patrzałem na śmierć wszystkich moich myśli pogrzebanych przedemną? chciałżebym dośpiewywać jeszcze głosem zgasłym pieśń, któraby się skończyć musiała łkaniami? Mógłżebym chcieć jeszcze zstąpić w te szranki polityczne, które gdyby się kiedy roztworzyły nawet, nie odpoznałyby naszego głosu pogrzebowego? Mógłżebym wierzyć jeszcze w te zachcianki ludu, których on z tą samą odstępuje skwapliwością, z jaką się ich dobijał? — Jestem tak szalony, abym módł sądzić, że ja jeden podołam ulać z bronzu, lub wykrzesać z kamienia, on olbrzymi posąg ludzkości, kiedy Bóg nie dał na to największym mistrzom nic, prócz piasku i gliny, aby je marnowali? — Szczęśliwi, którzy umierają przy dziele, uderzeni dziełem, do którego wplątani byli! Śmierć jest ich karą zapewne, ale jest ich także schronieniem. A karę życia, czyż to za nic macie?

— Co do mnie, byłbym już tysiąc razy umarł śmiercią Katona, lecz wyznawcą jej nie jestem; ja wielbię Boga w jego zamiarach; wierzę, iż cierpliwa śmierć ostatniego z żebraków na słomie jest wznioślejszą od śmierci Katona na ostrzu żelaza. Śmierć taka to zbiegostwo! ja nie uciekam.

— Żyję więc, lecz widzicie, że nie żyję leżąc na różach. Zaprzeczam Katonowi samemu, ażeby więcej odemnie mógł przeżyć się życiem. Liczę jeden za drugim, czując wszystkie, ale nie zlorzcząc żadnemu, kamienie mego kamienowania się własnego. Nie oskarżam ludzi; nie, to byłaby niesprawiedliwość albo niedorzeczność. Ludzie byli dobrzy, ale los mój okrutny. Oto jest cała prawda.

— A teraz —

— A teraz wyrzekłem się na zawsze wszelkiej roli na tym padole, a wyrzekłem się bez przykrości, bo ta rola nie była ze mnie, ni we mnie; była poleconym rozkazem żołnierzowi. Pracowałem dla ludzkości, zawiodłem się w ludzkości. Niechże Bóg ją wspomaga! człowiek w tem nie może nic. —»

Owóż spowiedź człowieka, co żył wiele; przeżył wiele, użył i zużył wiele; spowiedź własnymi jego wyrazami oddana, i dla tego pewnie obejmująca więcej treści nad wszystkie razem wzięte najobszerniejsze i najwszechstronniejsze wywody i dowody obce, za i przeciw pisane. Dla mnie spowiedź ta tem jest ważniejszą, że jej przytoczenie wyręczyło mnie w powiedzeniu wielu rzeczy; którychbym powiedział od siebie nie mógł lub nie chciał. De mortuis bene aut nihil; a ja, tą razą korzystając z prawa wyboru, musiałbym przyjąć drugie. Więc powiem; ja nawet z pewnym rodzajem wstrętu zabrałem się do przejrzenia tego płodu pogrzebowego; lecz że u nieprzyjaciół samych godzi się i należy szukać dobrego, odsunąłem więc moje wstręty i nie żałuję dziś tego, bo przejrzenie tej pracy obudziło we mnie myśl, ażali pod tą formą nie byłoby można z pożytkiem coś powiedzieć po polsku.

Może to jest poniekąd poniżeniem rzetelnego o nauce pojęcia, że nauka w czasach dzisiejszych, pod formą koniecznie lekką, ulotną, rozrywkową i obrazkową przedzierać się do umysłów i oświatę zaszczepiać musi; ale taką jest natura ludzkości, że chcąc ją ku celowi, choćby najlepszemu, najpiękniejszemu i najpożyteczniejszemu skierować, trzeba się stósować do niej. Dowodem chrześcijaństwo, tak w swym celu szlachetne i wzniosłe, a które jednakże, jeżeliby od razu przymusowo i obcesowo, że tak wyrazić się muszę, błędy i ciemnotę pogańską rozproszyc chciało, pewnieby na długo, a może i na zawsze dobrodziej-

stwo nauki Chrystusowej odwiec musiało; dowodem doświadczenie praocjów naszych, którzy, gdyby względem sąsiadów swoich nie byli tem czem byli, pewnieby ani ich ująć dla siebie, ani swojej między niemi oświaty rozkrzewiać nie zdołali. Nie z takim jakie byćby powinno, ale z takim jakim jest społeczeństwo, oględny oświeciciel rozprawia, tak właśnie jak roztropny nauczyciel, nie tym językiem, greckim albo arabskim do swych uczniów przemawia, który oni kiedyś umieć i rozumieć będą, ale jaki oni dziś pojąć i rozumieć z ust jego mogą.

Otóż przyczyna, dla czego forma, którą Lamartine do swej pracy ostatniej przyjął, zdała mi się na dzisiaj i dla mych opowieści formą najwłaściwszą, może jedyną. Wszakże przyjmując formę, różnić się mogę w celu, w treści i w duchu treści; muszę nawet, bo forma nie stanowi przedmiotu ani jego własności, tylko jest jako wybrane do użytku naczynie, w którym różne rzeczy pomieścić można, stósownie do ich celu i przeznaczenia. Różnica pod tym względem tem łatwiejsza do pojęcia w człowieku, który nigdy nie był stronnikiem takiej szkoły, ani pracownikiem w winnicy takiej, ani takich nauk wyznawcą albo siewcą; różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową, a pomiedzy sobą, oprócz tej różnicy, różnimy się jeszcze duchem i uczuciem, sądem i zdaniem, skłonnościami i życzeniami. I nie potrzebuję ku poparciu takiego przeświadczenia szukać daleko dowodów; są one złożone jasno wyłożone w samym kursie literatury, któremu myśl moich opowieści winienem.

A naprzód co do celu czyli głównego założenia.

Lamartine w kursie swoim zamierzył przedstawić literaturę powszechną, literaturę świata całego, z wyłączeniem, jak przynajmniej domniemywać się pozwala, literatury polskiej i w ogólności sławiańskiej: — Mój inwentarz ducha ludzkiego, który z wami przebiez zamierzam, mówi on do czytelników swoich, obejmuje w chwili obecnej Indye, Chiny, Egipt, Persyą, Arabię, Grecyę, Rzym, Włochy dzisiejsze, Francyę, Hiszpanię, Portugalję, Niemcy, Anglię, Amerykę nawet, rodzącą się dla literatury i życia — a lubo w końcu dodaje: — Słowem wszystkieludy, które złożyły lubskładają doń swoją do tego powszechnego składu ducha ludzkości — ale ten już dodatek należy uważać tylko jako obietnicę

łaski lub niełaski pisarza, na którą liczyć wolno, lecz na której opierać się nie można.

Tak więc różnimy się w celu, i to wielce, iż powiedziećby można, że cele nasze są zupełnie inne, wręcz sobie nawet przeciwne; bo kiedy Lamartine ma na celu literaturę powszechną, świata całego, ja, li tylko literaturę polską i li tylko sławiańską, w której pierwsza ma swoje źródło i jest z nią węzłem pochodzenia i pobratymstwa związaną; on, zajęty literaturą powszechną pominąć jednak może milczeniem, którego tajemnicy powodów badać nie chce, literaturę polską i w ogólności sławiańską; ja zaś przeciwnie, literaturę powszechną o tyle tylko dotknę, o ile ta z literaturą polską i z sławiańską się łączy albo na nie wpływ swój wywarła i wywiera; Lamartine zamierzył sobie najglówniej: wyłożenie i określenie zasad literatury w szczególności i ogólności; ja najglówniej: przedstawienie i obejrzenie prac i żywotów pisarzy w narodzie naszym zasłużonych i tym sposobem utworzenie i rozwinięcie ogólnego obrazu literatury naszej, przez przywiedzenie najwydatniejszych szczegółowych jego obrazów.

Ta jest różnica celu czyli założenia, różnica ogromna i charakterystyczna; teraz zaś co do różnicy w treści a raczej ducha treści.

Człowiek jako boskie stworzenie, na jeden obraz i na jedno podobieństwo stworzony, jest jeden w swym obrazie, czyli jeden do drugiego w postaci swej podobny; a jednak mimo to podobieństwo tak jeden od drugiego różny, że dwóch tylko ludzi całkiem sobie z postaci podobnych znaleźć trudno na całej ziemi, nawet na całej ziemi dwóch takich ludzi nie ma. Jużbyś myślał że dwóch takich zchwyciłeś; podobni są jak dwie kropli wody, powiadasz, aż oto ledwoś to wyrzekł a już dostrzegłeś, że jeden ma nieco więcej niż drugi nos na lewo lub na prawo skrzywiony, albo usta trochę więcej wydęte lub wciągnięte, albo oczy jaśniejsze lub ciemniejsze, i tak w nieskończoności. Są więc wszyscy ludzie z postaci sobie podobni, i równocześnie też postacią od siebie różni; to podobieństwo i tę różnorodność, któremi Bóg nacechował zewnętrzną ludzką, odznacza ich także wewnętrznie; wszyscy ludzie myślą, ale nie wszyscy myślą jedno, i nie wszyscy myślą jednakowo; wszyscy czują, ale w jednym

człowieku to czucie więcej jest podniesione, a w drugim przytępione więcej; wszyscy Boga uznają i pojmują, ale co to za różnaitość w tem uznaniu i w tem pojęciu? i tak znów w nieskończoność pod względem tych różnic duchowych, jak to było z ciałem, z formą czyli postacią. W tej woli Stworzyciela, wlanej w Jego stworzenie, spoczywa cała tajemnica tych podobieństw i różnic, jakimi są nacechowane wszystkie twory ducha ludzkiego. — Nie jestem Homerem, nie jestem wiary Katona! — woła Lamartine, i nic nie ma w tym wołaniu dla nas dziwnego, bo Homer nie mógł być poetą według wyobrażeń naszego wieku, bo Katon był poganinem, poganinem przynajmniej według naszego rozumienia chrześcijańskiego; lecz to raczej dziwniejsza, iż tak jest różnaitość cieniowania się ducha ludzkiego, że Lamartine, człowiek czasów naszych, jak my wychowaniec i mściciel wieku dziewiętnastego, jak my chrześcijanin, jednogóż i tego samego Boga z nami wyznający, i któryby przeto, jednakowo z nami czuć Boga i rozumieć Boga powinien, a jednakże co za różnica?

— Są ludzie, przytaczam słowa jego, którzy mi wyrzucają zrozpaczenie o świecie, odwodzenie ducha ludzkiego od świętej jego dążności w postęp nieskończony i wieczny. Odpowiadam. wolno Platonistom marzyć snami Platona, ale ja, niestety! rozbudziłem się z tych snów dawno. —

Na postęp czasowy, względny i określony, zgoda! Na postęp nieograniczony i nieustający, nigdy! Nic nie ma nieograniczonego w naszym drobnem jestestwie i zaciśniętem do błyskawicy w trwałości, do atomów w przestrzeni, do szczypty prochu. Mrzonki w ideach ujdą jeszcze, ale mrzonki w rzeczywistości, w przyrodzie! Och! żywiły same z nasby się naigrawały. Historyk, któremu zdrowego rozsądku, podniesionego aż do imaginacji, nikt nie zaprzeczy zapewne, panu Thierry, podaje nam uderzający i wzniosły obraz tego pochodzenia w postęp cywilizacji społecznych. Oto jest ten obraz:

— Ty to pamiętasz może o Królu! mówił pewien wódz saskoński do swego władcy, co się zdarza czasami w dniach zimowych, kiedy ty siedzisz u stołu z twymi jenerałami i żywy ogień iskrzy się z komina w sali ciepło, ale dżdżysto, śnieżno i mroźno zewnątrz. W tem ptaszyna, chyżem skrzydłem przemknęła

sałę, wpadając jednemi drzwiami, a wypadając drugimi; chwila tego przelotu jakże dla niej pełną była słodyczy! ptaszyna ani deszczu, ani wiatru, ani zimna nie czuła; lecz to chwila przelotna, ptaszyna w okamgnieniu znikła i z zimy przeszła w zimę! Otóż takim wydaje mi się także życie ludzkie na ziemi: jego trwałość chwilowa, porównana z przestrzenią czasu, która ją poprzedziła i która idzie po niej; z zimy przechodzi w zimę. —

— Słota zewnątrz, deszcz, śnieg, wiatr, zimno, oto udział człowieka, dodaje Lamartine; sala ciepła i opatrzona, to postęp; ptaszyna, to cywilizacya społeczeństwa, która wpadnie na chwilę do tej słodkiej temperatury, ale która, niestety! nie spocznie tam długo, i która ścigana niestałością ludzką, przechodzi z zimy w zimę. Przyłożmy drzewa na ogień, i prośmy Boga, aby światło i ciepło trwały jak najdłużej, ale nie zchlebiajmy biednej ptaszynie przelotnej i nie wiermy w wieczność czegokolwiek na ziemi, nawet naszych snów. — »

Po takim przytoczeniu własnoręcznych i drukiem potwierdzonych wyrazów, już nie podobna wątpić, tylko dziwić się raczej: jak to się stało, że to co być miało odparciem zarzutu zrozpaczenia, obróciło się w najjaśniejsze i najzupelniejsze jego przyznanie. Zaisteż, jeżeli Samieńczykowie surowymi okazali się dla Homera, a zaś krytycy surowszymi od tamtych dla Lamartina, tedy on okazał się surowszym jeszcze od jednych i od drugich względem ludzkości, odzierając ją z tego co miała najdroższego, najmilszego i najlepszego: z wiary w postęp i co za tym idzie, w nadziei w lepszą przyszłość. Opatrzność w swem wszechmocnem i nieograniczonem miłosierdziu, dała człowiekowi oprócz rozumu i woli pamięć także, i jakimże sposobem się dzieje, że człowiek, zapisujący te słowa z rozpaczenia, tak prędko zatracił pamięć tego, co zaledwo o stronnic kilkadziesiąt wyżej, był swą własną ręką zapisał:

— Człowiek, uważany jako istota cielesna, pisze tam Lamartine, jest niczem na tej ziemi, która sama także jest niczem; ale człowiek uważany jako istota dwóch pierwiastków, jako ogniwo połączenia materyi i ducha, nicości i bóstwa natychmiast zmienia oblicze. Człowiek zanurzony w znikomym promyku świa-

tła, i który swoim maluctwem rozwiewał się w nicości, łączy się naraz z wielkością swoją z bóstwem. —

I również w innym miejscu: — Ktokolwiek z uwagą ogląda arcy-dzieła ludzkości, nawet najodleglejsze, ten przyznać musi, że te arcy-dzieła, te ułamki arcydzieł, które kto inny mógłby za początki uważać, są dalszym ciągiem, albo odrodzeniem pomników do nas nie doszłych; że więc jest rzeczą najmniejszej wątpliwości, że kiedy taki uczony i wymowny myśliciel, jak Job, przedstawia się nagle w biblii z księgą swego imienia, tedy ta mądrość, to przeświadczenie, ta wymowa nie pozostały bez przodków w piaskach pustyni, pod namiotem koczowniczego i nieoświeconego Araba; i że także jest prawdą najzupełniejszą, że kiedy taki poeta jak Homer pojawia się nam nagle z ową boską doskonałością języka, poezyi, gustu, mądrości, na końcach mniemanego barbarzyństwa; tedy powiadam, jest prawdą najoczywistszą, że Homer nie wstał z nicości, że nie on sam jeden odkrył całe niebo i całą ziemię, nie sam jeden on stworzył ów język poetyczny i ten cudowny śpiew dźwięczny rymów swoich, ale iż przed tym Jobem i że przed tym Homerem były mądrości i wzniosłości literatury po za wzrokiem których zbyt odległość nie dozwala nam przejrzeć ich obszarów, ani zmierzyć ich głębokości, a których owi wielcy mistrzowie byli łańcuchem i streszczeniem. Nic nie rodzi się z niczego na tym świecie, nawet geniusz; toż ilekroć spostrzeżecie wielki literacki utwór, tylekroć bądźcie pewni, że po za tym utworem jest literatura skryta w mgłę odległości, której on jest łańcuchem i streszczeniem, lecz nie początkiem. —

A więc jest ciąg, jest łańcuch, pasmo; jest wiosna, lato i jesień, nie sama zima tylko; a więc nie z zimy w zimę, ale z zimy w wiosnę, w lato i jesień kolejno idzie ludzkość, bo tak chciała Opatrzność, aby po siewach nowej wiosny, i po rośni nowego lata, plony nowej jesieni dały zasób na nową zimę, którą znowu Opatrzność zsyła dla tego tylko, aby dać czas swemu myślicielowi stworzeniu do namysłu i do rozmysłu, jakby nową wiosnę, nowe lato i nową jesień, które po zimie przyjdą, najlepiej, czyli lepiej od wszystkich, które je poprzedziły, na korzyść i pociechę ludzkości zpożytecznił.

Owóż Bóg nasz opatrzny, Bóg prawdy, światła, miłości, Bóg

nasz Chrystusów, takim raczej głosem, gdyby tego potrzeba było, przemówiłby do swojego myślącego stworzenia, człowieka: — Stworzyłem cię na obraz i podobieństwo moje, abys wiecznie i ciągle układał się na podobieństwo moje; abys wiecznie i ciągle bez przerwy i bez zatrzymania się na chwilę, dążył do tej doskonałości, którą ja jestem, a u kresu której pomilionach milionów wieków, bez końca wszakże nigdy nie staniesz, bo kres to ja: Bóg twój! a biada ci, jeżeli kiedy wzbijesz się w dumę a powiesz zapominającym się na chwilę poetom: stanąłem u kresu, nie pójdę dalej! albowiem to byłoby bluźnierstwem, jak gdybyś miał rzec: — stanąłem u kresu, Bogiem jestem! —

Precz więc odemnie wszelka mowa i wszelka myśl bluźniercza! wiara w postęp, w postęp wieczny i ciągły, nigdy nie ustający, a jednakże nieskończony nigdy, oto jest wiara moja; wiara niczem niezachwiana i niczem nieograniczona, a pod wpływem której, oglądającemu rzeczy ludzkie, zaiste wiele z nich koniecznie inaczej musi się przedstawiać, jako się przedstawiają ludziom wiary przeciwnej. Według mnie, wszelka ludzka i wiadomość i nauka dzisiejsza jest właśnie tylko dalszym ciągiem, tylko streszczeniem wiedzy i doświadczenia chwil i wieków ubiegłych. Nie z siebie wyssaliśmy wszystko co wiemy i co umiemy, największą owszem i najlepszą część tej wiedzy i tej nauki dostaliśmy w spadku po ojcach, dziadach i naddziadach naszych, a które wzbogacone naszym doświadczeniem i pracą, przekazać mamy synom, wnukom i prawnukom naszym, ku wiecznemu i ciągłemu postępowi ludzkości. To też jest postęp ludzkości, postęp wszędzie obecny i we wszystkim widoczny. Ojcowie nasi nie widzieli tego, co my widzimy, nie umieli tego co my umiemy; my nie umiemy i nie widzimy tego, co synowie nasi umieć i widzieć będą. Pismo, druk, para, gaz, elektryczność i owe tysiące codziennych liczniejszych i codziennych ważniejszych wynalazków, których my do sytości używamy dzisiaj owoców, wszakże nie były udziałem ojców naszych. Pozwolę sobie przytoczyć tu rozmowę, której pewnego razu byłem przypadkowym świadkiem.

Było to w podróży, w podróży wozem parowym, po kolei żelaznej, a po której po obu jej bokach, ciągnęło się po dziesięć

i więcej drutów telegraficznych; dołem lśknęła się rzeka, tocząc poważne warty swoje do morza, a po niej, jak błyskawica snuł się statek parowy, spiesząc spieszniej niż sama rzeka i dalej niż sama rzeka, za morze, do drugiego świata, miał bowiem u maszty banderę z napisem: Ameryka; kiedy znowu tam w górze pod obłokami i wyżej samych obłoków, szybował balon wyprzedzając obłoki same, a w którego łodzi można rozpoznać było wyraźnie żyjący ród człowieczy: mężczyznę i niewiastę. Tak było po bokach, na dole i na górze; a zaś tu wewnątrz, w przegrodzie wozu, który nas również lotem błyskawicy unosząc, powietrze wyprzedzając, ptaki i wiatry, co chwila inne widoki, okolice, kraje, wsie, miasta, innych ludzi, inne stroje, obyczaje i zwyczaje, przed oczyma naszymi rozwijał, słychać było różne języki, istnie jak to było przy wieży Babel, a jednakże inaczej jak to było przy wieży Babel, bo wszyscy rozumieli się wzajem, lubo nie wszyscy na wszystko zgadzali się wzajemnie.

W podróży jak w podróży znajomość zawiązuje się szybko, a w podróży wozem parowym ludzie jakby w domu u siebie, śpią, czuwają, milczą i gadają, jedzą i piją, piszą i czytają, śmieją się i płaczą, bawią się i ziewają, kochają się i kłócą. Owóż, w jednym kącie przegrody naszej siedział młodzieniec, przybrany po podróżnemu, lecz bardzo elegancko i o manierach wielko-światowych i wielce delikatnych, a naprzeciwko niego, w drugim przegrody tejże kącie, młodzieniec, także po podróżnemu czysto i porządnie ubrany, lecz wyraźnie bez przesady i bez wykwintu. Oba czytali i jak widać było z okładek, oba czytali jedno; aż po czasie jakimś pierwszy młodzieniec przyzymkając swą książkę i przychylając się nieco ku towarzyszowi swojemu, a nieco bokiem ku oknu: — Ma rację Lamartine. Władysławie, rzecz powoli i łagodnie, świat nie postępuje, świat rusza się tylko, a rusza się w kółko tylko, ażeby po pewnym przeciągu tylko kołowania wrócił do punktu, z którego niegdyś był wyszedł. —

— Że też ty zawsze, Orsiu, musisz stawać w obronie błędu byle pięknie powiedzianego, odparł mu żywszym i nieco ostrzejszym głosem towarzysz; — nie lubię w tobie adwokatury, bo się lękam, aby ci w nałóg nie przeszła. Oj, wie Pan Bóg co robi, ot na przykład stworzył cię bogatym; żeby cię był stworzył ubo-

gim, możebyś dla chleba musiał być adwokatem, a przy twoich skłonnościach może adwokatem spraw nie zawsze słusznych i dobrych. Świat nie postępuje! powtarzasz za panią matką pa-cierz, a zapominasz, że od czasu tylko jak ty żyjesz na świecie, świat ten tak daleko postąpił, że gdyby kto o tem, na co ty dzisiaj patrzysz, i czego ty dzisiaj używasz, mówił ojcu twojemu, toby go może jako opętanego kazał wyszczuć za dziesiątą granicę. Świat nie postępuje, a patrz co się dzieje tam w górze z owym balonem, tam na dole z tym statkiem, tu po bokach z temi drutami, tu po drodze z tym wozem i z tobą samym; toż nie są to dla ciebie cuda postępu, cuda na jawie, o których ani marzyło się we śnie filozofom wczorajszym? Świat nie postępuje! a wieszże ty, że twój ojciec w konkury parą po żelazie do twojej matki nie jeździł! listów po sznurku po pod wodą do pana Pułaskiego nie pisał, portretów słońcem malowanych nie widział, i o gazie, nawet o zapalkach bez krzesiwa nie słyszał; że twój dziadek pono kawy nie pijał, cygar jak ty nie palił, kartofli może nie jadał, że kto wie, czy to nie twój pradziadek był właśnie, co zegarek wzięwszy za żmiję, zabił; że to on był może ów szlachcic chodackowy, co kiedy bót znalazł na drodze, to aż księdza sprowadził, ażeby ten, jako z całej okolicy najoświeceniwszy i najmędrszy poznał i zawyrokował, że to nie był ani żaden zwierz dziki, ani ptak drapieżny, ani padalec zjadliwy, ale po prostu pochwa na siekiere, a którą też twój pradziadek, idąc za tak oświeconem i mądrym zdaniem, zaraz na ten użytek obrócił, i siekiere w bót włożył. Pfe! mój Orciu, rówieśnikami prawie jesteśmy; wszystko na co patrzymy, równocześnie dla nas się rodziło i równocześnie rosło i zkądże taka w naszym pojęciu i widzeniu tychże samych rzeczy różnica? —

Z toku dalszej rozmowy dowiedziałem się, że ta różnica widzeń i pojęć pochodziła ztąd tylko, że Orcio urodził się po prawej stronie Dniestru i kształcił pod okiem ojców Jezuitów; a zaś Władysław urodził się po lewej stronie Dniestru, całe wychowanie swoje winien był ojcu swemu, wojakowi Kościuszkowskiemu.

Zamilkli; ja pomyślałem sobie, że kiedy dwaj krajowcy, jedną tylko wstęgą marnej rzeki przedzieleni od siebie, tak roz-

maite o jednej i tejże samej rzeczy mają pojęcia, to i cóż zatem dziwnego, że cudzoziemcy różnić się między sobą mogą i muszą.

Niechże więc Francuz zatrzyma przy sobie swe o Bogu i o jego woli względem przeznaczeń ludzkości wyobrażenia; to mu wolno, to mu nawet w obec jego współziomków wszystko do czasu lubiących i wielbiących wyjść może na zamierzony pożytek; ale my, którzy z doświadczenia i z zawodów tego doświadczenia wiedzieć już nareszcie i doskonale winniśmy, czem są dla nas wszystkie doktryny i praktyki cudzoziemskie; Boalów, Wolterów i Laharpów, Goetych i Szylerów, Kantów i Heglów, Bajronów i Szekspirów, lepiej pono, i pewnie stokroć i tysiąc-kroć lepiej wyjdziemy, jeżeli zostaniemy przy naszych naukach własnych i na naszym własnym oprzemy się gruncie.

Owóż, niedotykając na ten raz ani owych odległych a dzielnych i dziarskich czasów naszych pierwotnych; ani owych późniejszych świetnych i potężnych i przeto wiekiem złotym zwanych; ani nawet tych późniejszych jeszcze, smutnych już wprawdzie, ale jeszcze jaskrawo dla nauki i oświaty połyaskujących, przywidzę co jeden z naszych pisarzy, acz już o samym zmierzchu dni onych, w swoim wielce szacownem, a dziś prawie nieznanem dziele, pod tytułem: — Prawo natury, czyli o Związkach naturalnych — zapisał.

— Wszystko się rusza (słowa są jego); wszystko się odmienia; świat trwa. Z dzielności wszystkich części wynika całego ogółu trwałość, porządek i dobro. A wszystko się rusza, wszystko się odmienia, wszystko działa, wszystko idzie do zamierzenia swego, według ustaw swych niewzruszonych, bez przerwy i bez zatrzymania — wiecznie.

— Jakież widok mocy i mądrości? Puść myśl w nieskończoność światów, albo spojrzaj po tej ziemi na drugą nieskończoność jestestw!

— Najwyższy Prawodawca wymierzył każdemu stworzeniu przymiot właściwy, podług którego swoje jestestwo utrzymuje, i swoje plemię ustala; wymierzył miejsce, które na tym świecie zajmować i na niem pełnić swoją powinność musi; wydzielił czynność, przez którą od powszechności ciągnie dla siebie pożytek, i przez którą wzajemnie tej powszechności udziela z siebie pożytku; — wymierzył czas, że ani prędzej zacząć, ani dłu-

zej trwać, ani wyznaczonego miejsca rychlej objąć, lub z niego później ustąpić, czyli innej odmianie podpaść nic nie może, tylko według wymierzenia swojego.

— Żadne jestestwo nie jest oddzielone od drugich, wszystko się łączy i wszystko ukazuje jedności znamię, między stworzeniem a stworzeniem nie ma przedziału; mniej w jednych, więcej przymiotów w drugich — oto cała różnica. Ta przyrodzonych przedmiotów różność stanowi ów związek, który ma jestestwo każde z innymi jestestwy, z całym światem i z Bogiem.

— Stworzenia, które mają stale wszystkie jednakie przedmioty, mają z sobą stale jednakie związki — jedno mają prawo. Stworzenia, które mają stale wszystkie różne przymioty, różne mają związki; ich prawo jest różne; wspólność potrzeb łączy z sobą ściślej wszystkie stworzenia i tak na tym świecie wszystko jest połączone, iż nic powstać ani istnieć nie może, co by nie wkładało na otaczające stworzenia koniecznego z sobą związku; wszystko się łączy, wszystko coraz ściślej się łączy; wszystko się doskonali, wszystko coraz bardziej i szybciej się doskonali, i tak wiecznie wiążąc się i doskonaląc się wiecznie, do celu swojego wiecznie zbliżać się będą, a którego wszakże nigdy nie sięgną, bo na tem prawie Stwórcy stoi właściwa wieczność i nieśmiertelność, i to prawo Stwórcy tłómaczy właśnie nieśmiertelność i wieczność, któreby inaczej ani być pojęte, ani istnieć nie mogły. —

Tak pisał jeden z Polaków już lat temu przeszło siedmziesiąt, w wielkiej ważnej epoce czasu swego, a teraz zobaczmy, co pisał drugi z Polaków w lat czterdzieści po pierwszym, w ważnej także epoce czasu swego, i w również ważnym i wielce szacownym dziele pod tytułem: — O literaturze polskiej. —

— Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swoim, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą — owóż niezaprzeczone, niezatrącone prawo w rodzie ludzkim, i najdosłojniejszy przymiot człowieka! Lecz tej własności rozwiniętej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie — zamknięty, ograniczony jako monada, z której nic ani na zewnątrz wyniść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, idee drzemają

uśpione, drzemią spokojnie w zarodku. Ciche bierne życie, najpodobniejsze wegetacyi. I w rzeczy samej, zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza proces powszechnej formacyi wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i schody pośrednie tę samą drogę od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki, toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historii. Od bezwładności do pojęcia! od punktu, na którym jesteśmy, nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy uznanie nas samych we własnem oddzielnem jestestwie. Patrzmy na dzieci nic nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze podnieta zatajonej iskry w nich nie roznieciła żadna refleksya, nie wzniosła rozumowania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakształt roślin albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty na około siebie w zamieszaniu w wątpliwem postrzegają światło. Rozliczne, coraz nowe wrażenia płaczą się, wikłają na ich duszy. — Dzieci ani dzielić, ani odosobniać nie umieją. Nie rozrywają tego, co na jedności zależy. — Ścisłym związkiem niżeli my połączone całą naturą, zostają pod ową porą, w zgodzie wszystko ogarniającej wszech rzeczy, ku czemu nikt potem nie przyjdzie, ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych, ani tęsknią! Prawdziwe współlistnienie we wszech rzeczy jestestwie i życiu wszystkich razem stworzeń. Harmonia światów Platona! Rajskie mienie bez wiedzy, bez uznania, w tonice i zgodzie powszechnej. To pierwszy okres. —

— Gdy dzieci zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolej bytu; a tej odpowiednią moglibyśmy znaleźć w dziale zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladownictwem, za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Nie długo potem dają słabe znaki wyższego pojęcia; następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna coraz mocniej wyrażać się na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec, swawolny, bujny, namiętny, tkliwy i pełen uniesień. Z całości się wyrывa; z powszechnej wydziera się zgody we wszech rzeczy jestestwie. A potem zabrzmie, zagrzmie mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonice. Jest natenczas osobą, jest szczegółem, indywidualną istotą, sa-

molubem — »ja.« — Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdzierniona, nierozszczepiona monada rozwijać się zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy, rozrasta w sercu. Młodzieniec mężniejąc, wie dzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z którymi dotąd w zgodzie i jedności zostawał, i myśl jego na zewnątrz wydziera się z boleścią, jaką się dziecięce zęby hołśnie z dziąseł wyrzynają. Przyszędłszy ku swej zupełnej sile, wyosobniony ze wszech rzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie, bo jest osobą, bo jest sobą samym. — Człowiek wiedzący siebie, myśl swoją, i wolę swoją, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczeń początek? Teraz dopiero bada, rozumuje, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo. To drugi okres — czas tworzydeł, fantazyj, wiary, uniesień, smutku, melancholii. Wysoka poezya człowieka — mrok w blasku pośpym i łagodnym w świetle księżycy. Prawdziwa romantyczność. —

Jedna linja przez wszystkie lata naszego życia się rozciąga; z początku w ciemnych nikańca punktach, jak we mgle i w mroku — dalej coraz jaśniejsza, wyraźniejsza i naostatek samą jest jasnością, promieniem, światłem — wewnątrz obróconą rzenicą, widzeniem siebie okiem ducha — uznaniem samego siebie w oddzielnem jestestwie. Otóż nie dościgła zagadka naszego bytu! — Pierwszy człowiek jak wszystko żywiące, z łona natury jeszcze nie wyłoniony spał snem twardym, we śnie szczęścia niewypowiedzianego. Powoli zaczął się budzić z tego snu na jawie i wychodzić duszą, myślą ze wszech rzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem, istotą rozumną, jednostką dumającą. Ta jest wielką jestestwa naszego tajemnicą. Cóż go dotąd zaszczycyca, po tylu wiekach błędnej kolei cóż w nim najpiękniejszego? Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu jednostki, egoizmu, samolubstwa — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą, od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielnym całej natury porządku; — w tej harmonii, w tej cudotwornej tonice całego świata. To trzeci okres: jasności południa, pojęcia samego siebie doskonała refleksya. —

— Temi oto słowy kreślą się: początek, następstwo, treść i szyk dziejów rodu ludzkiego. Toż samo bowiem słowo w słowo ziściło się w historii wszystkich ludów, co się na każdym człowieku, przez wznowienie tej samej przyrodzonej kolei, codziennie przed naszymi iści oczyma. —

— Wszelki lud rodowity, historyczny, w historią świata nachodzący, jest jako roślina w patryarchalnej osiadłości z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem Nieba, w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo, jeżeli sse pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie dzieje tego pnia rok rocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozprowadzą. Tam w pośrodku spostrzeżesz rdzeń — życie rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki, na około w coraz szerszych kręgach postrzeżesz późniejsze lata i wieki — każdy oddzielnie a jednak wszystkie razem najściślej z sobą związane, zrosłe — z których każdy jeden w drugi zachodzi, jak koła zaziębione zachodzą na siebie, i jedno drugie choćby ich było i najwięcej, porusza, obraca. Wszystko to razem zewnętrzna okrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu.

«Nie obcym ja przybysem ani w obcej ziemi,

«Łączę się z wami bracią tu mojemi.»

— Jakże się ci mylą, którzy wszystko zasadzają na tem, co jest teraz. — Życie historyczne każdego ludu jest zdaniem mojem, nie co innego, tylko ciągły, nigdy nie ustający proces uosobnienia się, od początku, od kolebki przez wszystkie pośrednie czasy. — Natura jest w ruchu, (naturans) w ciągłym ruchu. Wszystko, co zewnątrz nas postrzegamy, dzieje się, staje się, albo stało się czyli przyszło do skutku przez działanie, każde zjawisko w przyrodzeniu, każde factum, jest sumą poprzednich operacyj. — Tym tylko sposobem pojąć i zrozumieć można naturę; oglądanie jej w inny sposób tylko przyprowadzić może do obłądu i błędu, nigdy zaś do poznania i do uznania prawdy, której wszakże wszyscy pragniemy, i której we wszystkim i dla wszystkich szukać winniśmy. —

Nie dosyć na tem. We dwadzieścia pięć lat potem, trzeci Polak r. 1853. w dziele swoim, ogłoszonym w Wilnie pod tytu-

łem: — Chrześcijańska filozofia życia — w dziele najzupełniej i najniezaprzeczonej wysoce katolickiem, pisze z swojej strony w tej treści:

— Wszystko w świecie widzialnym jest w nieustającym ruchu, w dążeniu, jakby, że tak rzekę, w pielgrzymce do jakiegoś celu, do jakiegoś że tak powiem kraju lub miasta, gdzie przez Stwórcę założonego, do którego skoro wszystko to dojdzie, tam też wtedy nastanie: nowy stan rzeczy, nowy porządek, nowe prawa, nowy słowem byt i nowe życie zaczną się a nie skończą. Gdyby ta odmiana nie miała nastąpić, a tamto wieczne miało trwanie, to świat ten widzialny przedstawiałby obraz bardzo smutny i oraz byłby bez żadnego zamiaru i celu. Ciągły ruch służyłby na to tylko jedynie, aby śmierci nigdy nie ustającej i nigdy nie nasyczonej dostarczał ofiar; jakoby karmu, aby trud i silenie się ciągle były jakby naigrawaniem się i szyderstwem z bytu, który jest czemś i razem niczem; z życia, które brzemienne nasieniem śmierci, raczej śmiercią jest aniżeli życiem; — bo i cóż chwile życia znaczą, w porównaniu śmierci, końca nie mającej? aby nakoniec niepokój ciągły pastwił się i nieustającym udęczeniem nabawiał wszystkie istoty bez nadziei pokoju. Gdyby, powtarzam, wszystko to miało istnieć zawsze bez przemiany (bez przemiany na lepsze), to należałoby przypuścić, że świat cały widzialny nie ma Boga, Stwórcy swego, nie jest dziełem mądrości i dobroci, ani dziełem myślenia i woli, i oraz wiedzy tego, co się czyni; ale jest skutkiem jakiejś przyczyny ślepej, jakiejś niepojętej, heglowskiej, absolutnej idei, która z jakiejś konieczności wysnuła z siebie jak pajęczynę, owo coś, to jest świat, który jest niby czemś, wszelako jest i niczem, bo śmierć, nicość w nim panuje. — W świecie tak uważanym człowiek byłby najnędnniejszą i najnieszczęśliwszą istotą ze wszystkich innych, właśnie najbardziej z tego względu, że ma czucie, wiedzę i poznanie. Wszakże byłoby szczęśliwsze tych istot życie, które nic nie wiedzą, ani o życiu, ani o śmierci, ani o dobrem, ani o złem, które żyją w teraźniejszości, nie wiedząc nic, o przyszłości nie myślą — a najszczęśliwszym byłby kamień, marmur i granit. —

Zająłem was rozmyślnie przywiedzeniem tych rozmaitych,

obcych i swojskich rozumowań, ale zdało mi się to potrzebnem, nawet niezbędnem dla ułatwienia wam i sobie drogi w przyszłości, jeżeli ją społem mamy odbywać. — Kto słowu memn d_a ucho, albo pismo moje weźmie do ręki, niech ze mną rozumuje! — powiedział jeden pewnie z najlepszych filozofów naszych; bo też istotnie, gdybyśmy się rozumieć i zrozumieć nie mieli, na cóżby się przydało moje opowiadanie i słuchanie wasze. Sądziłem więc, powiadam, iż potrzebną i niezbędną jest rzeczą, ażebym to z góry oświadczył, iż według przekonania mego: ludzie starzeją i umierają, pokolenia starzeją i umierają, ale ludzkość nie starzeje i nie umiera nigdy; ona się owszem przeszłością odmładnia i odradza w przyszłość; ona żyje przeszłością w przeszłości, a żyje tym żywiej, tym silniej i tym dzielniej, że z każdą chwilą, która w przeszłość zapada, przybywa dla ludzkości podstawy, którą jest doświadczenie czasów ubiegłych i przybywa jej soków żywotnych, które ciągnie z nauki doświadczenia czasów ubiegłych. Nie przeczę, że ludzie pojedynczy, zawiedzeni w swoich rachubach lub nadziejach, że pokolenia całe znużone i żrażone w żal, zwątpienie, obojętność i rozpacz popadać mogą, ale to nie ma znaczyć, żeby drudzy idący za tymi ludźmi, żeby pokolenia następne to znużenie i to zrażenie podzielać miały. Słońce codzien zachodzi, ale dobroczynne skutki, któremi zasiłiło dziś ziemię, pozostają na jutro. Ludzie nikną codziennie, pokolenia w przeszłość zapadają codziennie, ale czyny już raz na niwę ludzkości rzucone, pozostają na zawsze, aż prędzej albo później dopełnić się musi co powiedziane:

— — — — — musi mi ta niwa

Do szpichlerza ludzkości wydać swoje żniwa

Już dziś zbieram powoli — — — — —

— — — — — wszystkie prawe chęci;

Każda łza miłosierdzia przedemną się święci,

Każda zemsta od krzywdy braterskiej odjęta,

Każda myśl co o szczęściu bliźniego pamięta,

Wszystko, o czem wy sami wiedzieć nie możecie,

Wszystko ciche, spokojne bez rozgłosu w świecie

Wszystko czyste i święte, czy boleść czy prace,

Wszystko zbieram, niczego u siebie nie tracę;

Chcesz wiedzieć jak to kiedyś datki tak ubogie,
 Rozdzielę na królestwa i narody mnogie? —
 Jak pokoleniom, ludom, na użytek w duchu
 Rozdam kiedyś pochleba waszego okruchu? —
 Chcesz wiedzieć? — czekaj jeszcze, nie długo się czeka,
 Kiedy miarą czekania miara dni człowieka! —

A teraz słowo ostatnie, słowo wszystko treszczące. Nic łatwiejszego jak przykładami okazać, jak dalece oczywiście i jak wielce prawdziwym jest on pochod ludzkości, o którym dotąd mówiłem. Podejmując tę pracę, zamierzam opowiadać dzieje nasze skromniejszego a jednakże z niemniej świetnego i szczytnego zakresu i przywieźć przed oczy wasze naszych bohaterów z pola słowa i pisma, oświaty i nauki, umu i rozumu narodowego. Powody, które mię do tego przedsięwzięcia skłoniły, czerpałem w następującem przeświadczeniu:

Żyją w pamięci naszej wielkie nasze narodowe imiona: Ka-
 dłubków, Ciołków, Długoszków, Miechowitów, Orzechowskich,
 Bielskich, Kromerów, Konarskich, Naruszewiczów, Krasickich,
 Karpińskich, Kopczyńskich, Staszyców, Czackich, Śniadeckich,
 Woroniczów, Niemcewiczów, Brodzińskich, Mickiewiczów, Sło-
 wackich, Moraczewskich, Tańskiej i tylu a tylu innych wiel-
 kich narodowych pisarzy, wieszczów i myślicieli; ale gdybyśmy
 sobie zadali pytanie, co wiemy o ich żywocie? tedy z małym
 podobno wyjątkiem musielibyśmy sobie odpowiedzieć: że wie-
 my bardzo mało, albo wcale nic. Żyli, pisali, znani i czytani
 byli; — i na tem prawie koniec. A jednakże byli to naczelnicy
 i przodownicy na polu narodowej literatury, najpierwsze i naj-
 większe postacie na obszarach oświaty i wykształcenia narodo-
 wego, imiona we wszystkich ustach będące. A cóż dopiero mo-
 gliibyśmy sobie powiedzieć o tych nieprzeliczonych ich współ-
 pracownikach, których prace acz cichsze i skromniejsze, były
 wszakże równie pełne zasługi, jak szlachetnych i godnych na-
 śladowania przykładów. W innych narodach życie ludzi takich
 jest w rękę wszystkich: tam, w księdze żywota ojców mają sy-
 nowie zapisane i przekazane wzory swoich powinności, u nas
 wyznać przychodzi, dotąd prawie próby na drodze tych usiłowań
 nie było.

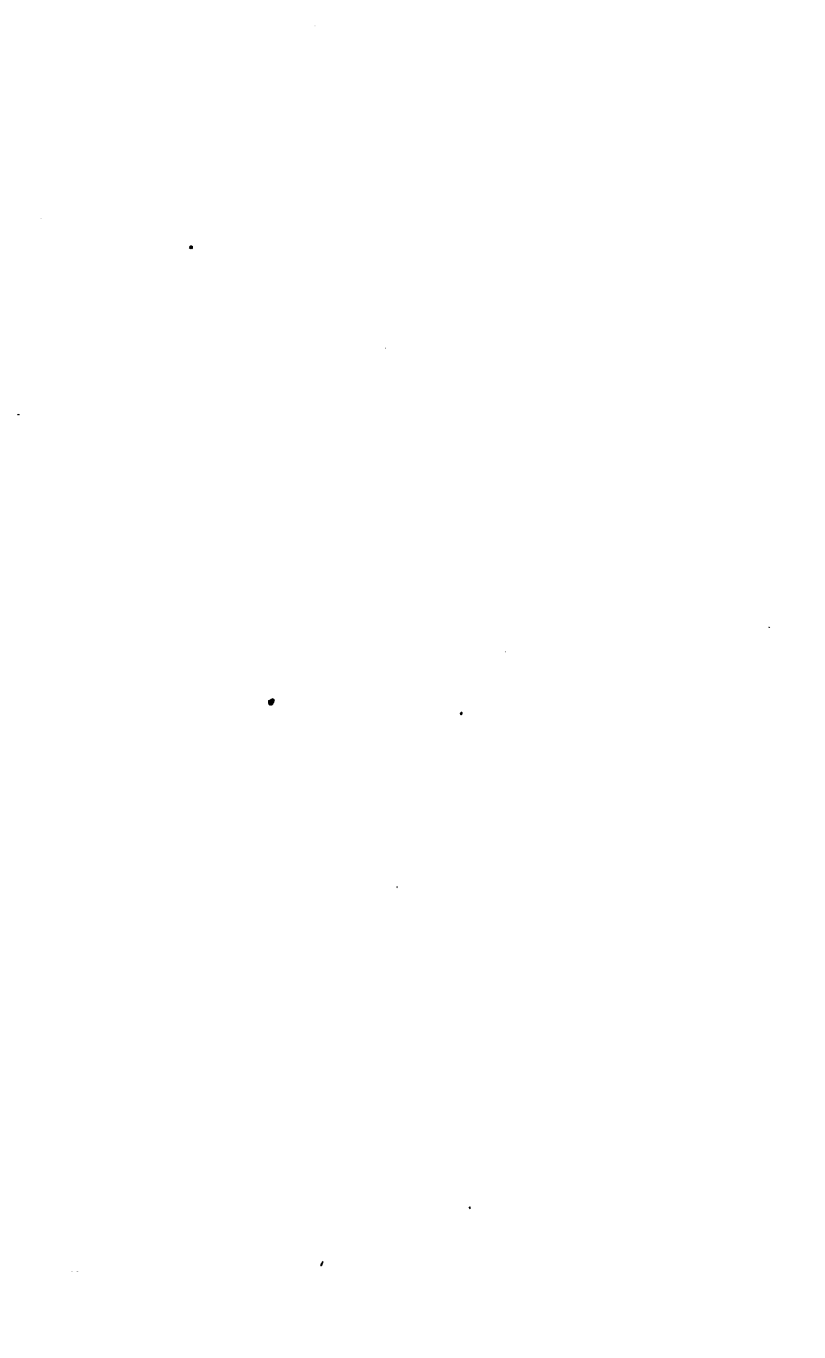
Owóż część tego obowiązku, tej pracy, tego trudu, tego cięż-

żaru chciałbym, póki pora i siły jeszcze, wziąć na barki moje; chciałbym o ile to w mocy mojej być może, wydrzeć z zapomnienia, ocalić od zagłady te nasze narodowe pomniki i świętości, których jeszcze czas ze szczętem zniszczyć nie zdołał i coraz bardziej się mroczącej przeszłości, i wyprowadzić na jaśnie te nasze wielkie narodowe żywoty. Równie to pożytecznie byłoby, a może pożyteczniejsze stokroć od wszystkich żywotów starożytnych i nowożytnych, choćby najślawniejszych i najpiękniej pisanych, lecz nie naszych, lecz obcych.

Pierwsze dzieje Polski, czasy Lechów, Piastów i Jagiellońców, później Batorych, Wazów i Sobieskich i późniejsze jeszcze Korybutów, Sasów i Leszczyńskich, aż do Poniatowskich, dostarczyłyby do tej świątyni narodowych pamiątek skarbu nieprzebranego; ale czasy one pierwotne, a nawet te późniejsze są już nad możnością moją. Kto je zna, kto im świadomy, kto może korzystać z Bibliotek zbiorów i archiwów cudem przechowujących się jeszcze, ten na miłość przeszłości, niechaj sypie ów święty kopiec przyszłości; co do mnie, póki jeszcze czas, póki w myśli pozostało coś jeszcze, chciałbym dopełnić obowiązku bliższego, podejmując rzecz świeższą, późniejszą i przetoż mi znajomszą: zasługi narodowe na polu literackim z czasów ostatniego stulecia, zaczynając od obioru Stanisława Poniatowskiego r. 1764 aż do chwili obecnej.

Przedsiębiorę więc rzecz łatwiejszą, ale właśnie przedsiębiorę ją przeto, ażeby dla innych, dla idących, za nami nie było tak trudno, jak tamta poprzednia — pierwotna i późniejsza — trudną dzisiaj jest dla nas, a może i trudniejszą jeszcze, bo czasy się zmieniają, bo wiemy co jest dzisiaj, lecz nie wiemy co będzie jutro. Dziś czas jeszcze — jutro może późno już będzie; jutro może już nie tylko tych wzorów, ale pamięci i świadomości, ale podania onych, ale tych nawet którzy je własnymi podziwiali oczyma, własnem czuli sercem i własnymi wielbili usty — jutro może już nie tylko tych czynników, tych przedmiotów podziwiania, czci i uwielbienia naszego, lecz nas samych do przedstawienia, podania i przekazania potomności czynów ich zabraknie.

W tak pojętem i zamierzonym przedstawieniu polskiej literatury ogólnej, muszę mieć przedewszystkiem na uwadze za-



WIECZOR DRUGI.

WYCHOWANIE DOMOWE.

Stanowisko pisarza w obec czytelników. — Różne zdania w tym względzie. — Wpływy urodzenia i wychowania. — Poeta brylantów oraz pierwsze rzuty jego talentu. — Poeta natchnienia, wieszcz, prorok, mistrz i improwizacye jego. — Przypomnienie jak u nas w domu uczono: Książki żywe i drukowane; panowie Ciężkowski i Letkiewicz. — Księga natury i przykładów: Kościół, Goście, Sąsiedzi. — Żywoć Franciszka Karpińskiego.

«U nas młodzież zwą szaloną,
«A to, mówiąc prawdę szczerze,
«Dusza tylko skrzydła bierze.»

STANISŁAW JACHOWICZ.

«Otóż mój dom ubogi, te lepione ściany,
«I okna różnoszybne, piec niepolewany,
«I niska strzecha moja, wszystko tak jak było,
«Tylko się ku starości nieco pochyliło.»

FRANCISZEK KARPINŃSKI.

Różne są zdania pod względem stanowiska, jakie pisarz zajmować powinien w obec czytelników swoich.

Jedni chcieliby, ażeby pisarz jedynie swym przedmiotem zajęty, całkiem o sobie i o swoich czytelnikach zapomniiał, i tak jakoś to robił, jako malarz naprzykład, który kiedy jaką okolicę maluje, tedy niekoniecznie wstawić ma w nią siebie, albo nas przechadzających się po niej. Niechże więc i pisarze podobnie piszą co chcą i jak chcą o przedmiocie swoim, lecz nie o

nas i nie o sobie; czyli, niechaj jakoś tak piszą, jak gdyby to nie było dla nas i przez nich. — Nie! powiadają drudzy. Pisarz równie wiedzieć powinien co pisze, tylko czytelnik nie potrzebuje wiedzieć, kto pisze, i dla czego co pisze. — Jeżeli jest, prawią ci drudzy mędrcomie, jakie wielkie nieprzeparte prawidło dla kreacyi na tle przeszłości osnutej, a przeszłością jest każda chwila miniona, tedy niezawodnie to, że Twórca powinien w niej jak najmniej występować ze swojemi osobistemi uwagami i zdaniem; że powinien starannie zatrzeć wszelkie rysy subiektywnego widzenia i czucia; że powinien jej pozostawić tę bezosobistą obiektywność, tę własność tłómaczenia się przez siebie samą, która tak zawsze i wszędzie cechuje wszystkie objawy sztuki. Nie chcemy, żeby autor w swem opowiadaniu wciskał się wszędzie ze swoją osobą, ze swoim widzeniem, myślą, rozmysłem, i zamiast rzecz nago przedstawiać, podpowiadał nam swe wrażenia.

— Właśnie Twórca, wołają inni, powinien być w swoim tworze obecny. Dowodem i przykładem Bóg, Twórca doskonały i wszechmocny! Ci nie rozumieją pisarza, ci nie mają za pisarza nikogo, który z tej trójni przedmiotu, czytelnika i siebie, nie umie stworzyć jedni. — Oświadczamy, odpowiadają inni jeszcze, iż jesteśmy wyraźnie i stanowczo przeciwni najzupełniej onemu zdaniu; Nie pytaj kto pisze, lecz co pisze! My nie tylko chcemy wiedzieć co pisze, lecz kto pisze. Jesteśmy w tym względzie po stronie księdza Grzegorza Piramowicza, który woła: *Młodzi Polsko!* Będiesz w ciągu życia twego znajdować się w okolicznościach częstych bywania na zjazdach szczególnych i powszechnych narodu. Nośże zawsze w umyśle i sercu twem to prawidło do rozeznania zdań i zmysłów mówców, radzących, czy ten, który mówi, zachował w przeszłości swojej obowiązki swoje, czy obyczaje jego poważne, czy nie chciwy z bogacenia i wyniesienia siebie, czy stateczny w zdaniach, w radach swoich, czy nie chwiały za ładą powiewem łaski, za groźbą przeciwności, za nadzieją zysków, za gniewem lub rozkoszą. Niechaj cię nawet nie uwodzi czasowa rady jego w jednej okoliczności okazałość, z którą się potem chełpliwie popi-

¹ O Wymowie i Poezyi, Kraków, 1792 roku.

sywać nie przestaje. Są przypadki, które wzbudzić mogą jedno-
dzienną gorliwość, są powody, które nawet utaić nie trudno,
albo zysku, albo próżnej chwały. Lecz jeżeli nieprzerwany ciąg
postępków jego, jeżeli owoce uczynków nie usprawiedliwiają
przywłaszczonego podobno szacunku i sławy; jeżeli wątpliwe
są zamierzenia jego, niechaj się umysły i serca wasze mają na
ostrożności. —

— Nie dosyć na tem. Od czasu, jako to prawdą się stało,
dodają jeszcze inni, już społeczeństwo ma prawo sądzić członka
swego, a jest nim wszelki pisarz w obec czytelników swoich,
uważamy za rzecz konieczną dla sumiennosci sądu, wszech-
stronne i gruntowe obejrzenie i poznanie pisarza. Zmieniły się
czasy i obyczaje. Dawniej, można bywało chwycić za pióro dla
dogodzenia widzimi się swemu, pisać dla swej albo czyjej za-
bawki i swawoli; ale dzisiaj wszelki pisarz publiczny, a jest nim
każdy, który pisma swoje drukiem ogłasza i w świat puszcza,
podlega publicznemu społeczeństwu sądowi, i tak przed nim
jest odpowiedzialny, jak za wszelki czyn swój publiczny. Już
dziś owo sławne Szymonowicza: *Sobie śpiewam nie komu,*
żadnemu z drukujących za wymówkę nie służy. I nic nie ma nad
to prostszego. Pisarz, jak wszelki inny członek społeczeństwa,
winien mu pożytek, nie szkodę. Pisarzowi więc, jak wszelkiemu
innemu członkowi społeczeństwa, nie wolno być ani rozbójni-
kiem serca i rozumu społeczeńskiego, ani mienia jego grabieżcą,
ani sprawy jego oszustem albo zdrajcą. Pisarza zatem, jak wszel-
kiego innego członka swego, ma prawo sądzić społeczeństwo.
Raz z druku wyszłe i w świat puszczone dzieło, jako czyn spo-
łeczeństwa dotykający, społeczeńskiemu ulegać musi sądowi.
I nic znowu nad sąd taki nie ma sprawiedliwszego. Pojedynczy
sędziowie uprzedzać się albo uwodzić się mogą. Społeczeństwo
jako zbiorowość, jest połączeniem i wypowiedzeniem wszyst-
kich zdań i przekonań; *Vox populi — Vox Dei*.

Żeby myśl tę raz na zawsze jasno i stanowczo wyłożyć, mu-
szę obszerniej nieco rozwinąć ją tutaj.

Komuż niewiadomo już dzisiaj, iż przez zbyt długie czasy
krytyka polska mieściła się w niezmiernie zacieśnionych szran-
kach. Dosyć jest przywieść do pamięci czasy Jezuitów, i pó-
źniejsze nawet aż do Osińskiego i Dmóchowskich ojca i syna,

żeby sobie utworzyć obraz najgodniejszy politowania. Błąd pochodził z mylnego założenia, że każdemu biorącemu krytyczne pióro do ręki, wolno sądzić i wyrokować według jego osobistej woli i upodobania, i to nie o treści, nie o duchu, czyli wewnętrznej myśli u tworu, lecz o jego powłoce, okładce czyli formie zewnętrznej. A. Mickiewicz w swej rozprawie: O Krytykach i Recenzentach Warszawskich, do petersburskiego wydania dzieł jego 1828 roku dołączonej, dotknął tego przedmiotu, ale jako stojący w osobistej obronie dotknął go lekko tylko. Pierwszy dopiero autor, w początkach 1830 roku w dziele swem: o Literaturze Polskiej, w Warszawie drukowanem, podniósł wprost przeciwne dawnym zasady, w to usilność całą swą kładąc: jakby z duchem czytelników zgodzić ducha literatury czyli ducha pisarzy. W późniejszych czasach, naprzód: w Powszechnym Pamiętniku, wydawanym przez L. Zienkowicza a następnie przez L. Łukaszewicza w Krakowie, oraz: w Roku, wydawanym przez K. Liebelta i J. Moraczewskiego, tudzież w pismach jeszcze późniejszych, powołanie pisarstwa i stanowisko krytyki lepiej wyjaśniły się jeszcze.

— Gdziekolwiek jest życie publiczne, mówi S. Goszczyński w jednym z tych pism późniejszych, tam, aby literatura dopełniała sumiennie swojego powołania, musi żyć w sferze publicznej. Ta cecha publiczności objawia się coraz wyraźniej we społecznej literaturze naszej. Dzisiejszym u nas tak pisarzom jak czytelnikom idzie już nie o samą sztukę, nie o świat oderwany, nie o rozrywki czysto umysłowe, ale o zasadę, ale o życie. Tak pisarze jak czytelnicy są dzisiaj przedewszystkiem ludźmi publicznymi. Ten stan literatury wytyka drogę krytyce, i wykazuje zarazem konieczność jej kapłaństwa. Bo czyż sposób, ażeby ten ogół czytających, równie jak pojedynczy pisarze, jakkolwiek zaprzątynieni jedną wspólną myślą, nie wybiegli czasem, bądź jedni, bądź drudzy z kolei zakreślonej, szli zawsze obok siebie w zupełnem rozumieniu się wzajem, ze wszelkiem wyrzeczeniem się osobistej korzyści, wyłącznych uprzedzeń, wkorzenionych nałogów. Niekiedy ogół może być za nie-sworny a pisarz za dumny. Inną razą ogół popchnięty za mocno ku nowości, pomknie się dalej, niżby należało, tak jak pisarz rozmiłowany w starych cackach więcej niż one warte, zechciałby

dla nich cały ogół z drogi zawrócić. Czasem znowu wyprzedzi zuchwale swój ogół, gdy ten przeciwnie w płonem przewidzeniu jakiejś zawady, stanie w miejscu i ruszyć z miejsca nie chce. Może nawet wystąpić pojedynczy umysł z krótkiem co do istoty ogólnej rzeczy widzeniem, ale z dostatecznym zapasem zdolności, ażeby pochwycić ogół chwili roztargnienia, i z bitej drogi sprowadzić go na swoją, Bóg wie, gdzie prowadzącą ścieżkę. Wszystko to może się przydarzyć, wszystko być. Potrzeba więc siły pośredniej między pisarzami a czytelnikami, któraby zaradzała niedogodnościom, jakie z ich nieporozumień wynikać mogą, a za taką siłą właśnie krytykę uważać należy. Krytyka nie jest wyłącznie ani wyrazem czytających, ani stronnikiem pisarzy. Jest stanowisko całkiem bezstronne, niepodległe, wyższe niejako. Tem stanowiskiem jest duchowy pierwiastek ogółu czytających, główny pomysł rozwijający jego życie, stósownie do rozmaitych położeń w czasie i w pośród okoliczności. — Z tego stanowiska duch krytyki powinien obejmować całą drogę, od jej poczęcia się przeszłości aż do ostatnich kończyn w przyszłości. Jej oko powinno się rozpatrywać we wszystkich szczegółach obecności i wpływów. Jej nakoniec głos powinien prostować pojęcia tak pisarzy jak czytelników — czytelnikom odkrywać istotę pisarza, jego widoki i dążenia — pisarzom przedstawiać potrzeby czytelników; — obie strony utrzymywać we wzajemnej sobie znajomości, zbliżać je ku sobie, kojarzyć je z sobą; krótko mówiąc: głos krytyki powinien być tem dla literatury, czem jest sumienie dla człowieka.

Owóż, powołaniu takiemu ażeby odpowiedziała krytyka, musi nie tylko gruntownie poznać myśl pisarza, ale wiedzieć również gruntownie, czy to, co on pisze, płynie z jego przekonania, sumienia, przyrody, charakteru, z jego uczucia, ducha i umu, czyli krótko mówiąc znowu: krytyka wiedzieć powinna czy myśl w pismach pisarza rozlana, jest myślą jego myśli, wiedzą jego wiedzy, czuciem jego uczucia, a do czego trzeba jej znajomości wszystkich powodów, wszystkich napływów i wpływów, które myśl tę tworzyły i stworzyły.

Jakoż czytałem niedawno w jednym z pism warszawskich, iż pewien mędrzec indyjski zapytany: co to jest myśl człowieka? — Myśl człowieka, rzekł, jest to ziemia, na której się człowiek

urodził i na której on mieszka, okolica, która go otacza, niebo, które nad nim się wznosi, słońce, które mu świeci, powietrze, którym oddycha, ludzie, zwierzęta i rośliny, wśród których i z którymi żyje, pokarm, który pożywa, napój, którym pragnienie gasi, praca, którą się trudni, przybytek, czyli naczynie wreszcie, w którym myśl przemieszkuje. —

Tak mówił mędrzec indyjski, a wkrótce potem jeden z moich przyjaciół w ten sposób się wyrażał o jednym z naszych tegoczesnych pisarzy: — Lubię jego obrazy, pełne są ruchu i życia, lubię jego rozwój i przedstawienie rzeczy i nigdy może ani więcej dramatyczności, ani zręczniejszej pomyślanej, zawiązanej i utrzymanej intrygi nie znajduję; ale nie mogę pogodzić się z dekoracjami jego, z tym jego stylem purpurowym i klejnotowym, wiecznie złotym i srebrnym, szmaragdowym, rubinowym i brylantowym. — A jednakże, rzekłem, nic nadto prostszego i naturalniejszego pod słońcem. Przyczyna to tylko różnicy urodzenia i wychowania. Jeden się urodził bogatym, drugi ubogim. Jednemu rodzice dali wychowanie, jakie chcieli, drugiemu jakie mogli. Tamten podróż swego życia odbywał po puchach i po różach, wśród złota, srebra, purpur, pereł, rubinów, szmaragdów i brylantów; ten po cierniach i głogach; wśród słót, wiatrów, nawałnic, o głodzie i o chłodzie. Znałem go dzieckiem, znałem go i młodzieńcem. Okolice, w której się urodził, była jedną z najpiękniejszych i najrozkoszniejszych na ziemi. Zamek, w którym on się wychował, liczył się do najwspanialszych w Polsce. Służba ojca jego, cała osrebrzona i ozłocona, należała do najliczniejszych, cugi i pojazdy do najpyszniejszych, stół i piwnica do najwytworniejszych, psy i strzelcy do najdzielniejszych, a bramy zamku wiecznie zastawione stolami, uginającymi się pod ciężarem sreber i porcelan, jadła i napojów, stoły wiecznie dla wszystkich gości i niegości otworem. Tam to się on urodził i rósł, wśród wyprzedzających się pieśczęt matki, ojca i babki, pod pobłażliwą i zezwalającą na wszystko opieką rozmaitej nazwy i narodowości ochmistrzów i ochmistrzyń, guwernerów i guwernantek, wśród pochlebstwa i bezprzestannego kłaniania się i czólgania się liczniejszej i rozmaitszej jeszcze tłuszczy dworzan, sług i służebnic. Dzieckiem biegał po ogrodach, gajach i łąkach, latał z motylami po kwia-

tach, śpiewał z słowikami nad brzegami strumieni. Młodzieńcem gonił za dzikim zwierzem, za sarnami i zającami. Ale wczesnie myśl jego gdzieindziej rwać się począła. Uciekł od motylów i od słowików; nie bawiły go konie, strzelby, charty, ogary; dom go nudził, pieszcoty go drażniły, sładzy dogodzić mu nie mogli. Świata trzeba mu było. I wkrótce w listach do jednego z swoich przyjaciół, obacz ile naraz jeden rozsypał złota, srebra, pereł, klejnotów, a był to utwór jego przed trzydziestą laty pisany, i pewnie utwór pióra jego najpierwszy.

— Przed oczyma mojemu rozwijał się widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego.

— Obszerne jezioro błyszczało przy promieniach zachodzącego słońca, jak masa nieprzeliczonych dyamentów.

— Wzruszone fale snuły się jedne za drugą nakształt splotów ognistego węża, a część jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego lapis-lazu, w którego łonie osadzono świetniejące barwami tęczy kamienie.

— Ten ogromny obszar wody, lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawił zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy.

— Światło igrając w zwierciadłach jeziora, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na pomarszczone przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra.

— Kiedy wiatr unoszący się nad wodą zwalniał, natenczas odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok.

— Każda nadbrzeżna chata zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach.

— Każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, aby się odświeżać w zwierciadlanej toni.

— Zieloność murawy, białość śniegu góry wieńczącego, mieszała się z niebieskawą jeziora barwą.

— Wsie rozsypane po bokach, pełne były ogrodów i drzew okrytych szatą owoców.

— Tu sosna samotna, przypominająca Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; tu lipa żółklemi szeleściła liśćmi za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwiały białe żagle statków je-

ziora; tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skały wierzchołki a po bokach bluszcz i różnobarwne wijące się rośliny, czarodziejskie tworzyły sklepienia.

— Dalej znowu dziksza poczyną się okolica; naga skała śmiało czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym pogardzający kwiatami i murawą: strumień huczący spada z jej urwisk i z pianą wpada w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszem płynie już korytem; świerki rosną tu i owdzie nad chatą, której białe ściany z daleka jeszcze wzrok przeciągają, wązka ścieżka kręci się od jej drzwi aż do stóp skały; czasem człowiek po niej dąży, czasem krowy dzwonekami u szyi zawiązanemi brzęczące, przesuwały się powoli wśród dołów i przepaści i ze schyloną głową na wzniesionych gór piętrach, żują ostatek jesiennej trawy.

— Ale na wszystkie te obrazy, uroczywszy i poważniejszy dalej panuje widok.

— Pasma gór wiecznym lodem skrzepłych ciągnie się po drugiej stronie jeziora; mgła i śród najczystszej pogody zaciemnia ich ściany; chmury w fantastycznych kształtach snują się po ich szczytach — to jak czołgające się wieże, to znów jak skrzydlate smoki; śniegi od wieków na ich barkach złożone, błyszczące przy słońca promieniach jak sztaby ze srebra przykute do pięt skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy zniżona zapowiada zachód czerwoną barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka, i patrzeć tylko i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia.

— Niczem są rubinu blaski przy jasnościach rozlewających się po górach, które otaczają jezioro Lemanu, kiedy je barwa zachodu okrywa.

— Chmury zdają się z płynnego złota ulane, a wierzchołki gór purpurą i djamentami strojne, dają wyobrażenie o ile to może istnieć na ziemi Tronu Przedwiecznego.

— Obłoki podobne do tęczyowych skrzydeł Serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu gromadząc się razem, rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami.

— Za stopniowem zniżenien się słońca słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różanej barwy.

— Wtenczas oko znęcone mile odpoczywa po tyłu świetnościach, i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie, kratowane śnieżnymi pasami i uwieńczone różami.

— Zmrok zapadający miesiąca z sobą odrębne wprzód kształty, i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, dziwnie przy wodach Lemanu odbijającą.

— Księżyc wchodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiej odrzucone.

— Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą, milszy czulemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękność mroku.

— Góry i skały jak gdyby przez sen widziane dają się z upodobaniem przezierać w wodach jeziora, którego zwierciadła leżą spokojnie, i dopóty za sobą zdziwione oko przyciągają, dopóki w mglistej nie znikną oddali.

— Urocze Helwecyi wdzięki, opuszczając nieco z swojej wzniosłości i powagi, zstępują do rzędu widoków, między którymi już nie drży, nie uwielbia, ale rozplywa się serce.

— Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczać gór szczyty niepewną jasnością.

— Chmury zwolna się przesuwają, i mięszając się do śniegu, zdają się między niemi roztopiać.

— Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdaje się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują chmury, podobne do statków żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obrazów.

— Dleczegóż ztąd ucieka serce w okolice

— Dalekie, i niestety jeszcze dalsze czasy!

— Na otchłaniach niezmiernego oceanu dumał osłabiony cierpieniem.

— Wszystkie sny i rozkosze młodości przybywały na skrzydłach wspomnienia, i trapiąc umysł znękaną dawną świetnością, podwajały ciemność obecną.

— Okiem rozpaczy, okiem, w którym już nadzieja żadnego nie miała ołtarza, spozierał na fale coraz bardziej z wichrem bój toczące, i czuł jakąś radość, bo spodziewał się, że już nadcho-

dzi zguba, i że przynajmniej w trumnie z morskich bałwanów odzyska spokojność i ciszę postradaną na ziemi.

— Lekkim statkiem wściekle miotały wody, i żagiel podarty wiatrem żalobne spuszczał zasłony nad sterem na wpół rozpadłym od piorunu.

— A jednakże twoga daleką była od jego serca i twarzy; niebezpieczeństwo owszem przywołało całą dumę na zorane smutkami czoło, i ogień zgasły znów ożył w oczach na odgłos grzmotów, i na znak gniewu niebios.

— Z uśmiechem urągającym się burzy, patrzył na pobrażone ginące w oddali, bez żalu, bez tęsknoty, zimny na wszystkie gromy, spokojny, poblizki pożądanej chwili, został sam z przyrodzeniem zawieszony na wierzchołkach fal między niebem i morzem bez nadziei ratunku, bez chęci ocalenia się, i jedynym wspomnieniem zajęty, jedynym, które przekwitłe serce jeszcze do żywszego bicia zmuszało.

— A tymczasem srożyły się wichry w około; bałwany rozpryskujące się w pianę, to jak ogromne góry, to jak śniegowe zamiecie słabemu statkowi groziły; wszystko zdawało się konać co chwila, i co chwila ostatnią wysilać się mocą.

— Świsty wiatru krążyły po zamglonem powietrzu, jak tyśiące syczących żmij; huk piorunu rozległ się po przestrzeni, jak gdyby z nim razem całe sklepienie niebios zdruzgotane w przepaść leciało.

— Chmury to rozprute to znów w jedno zbite, przelatywały górne obszary jak potoki ze skał się walące.

— Zewsząd niechybny cios, zewsząd nieunikniony koniec się zbliżał.

— Z przodu, z tyłu, po bokach wzdęte fale śmierć zwiastowały rykiem podobnym do jęku konającego świata.

— A jednak nie mógł zginąć, pomimo własnej woli i mimo napadu burzy.

— Jak ziarnko piasku niesione po niezgłębionem przestworzu, z jednej fali do drugiej przerzucany, z jednego bałwanu wyrwany i wnet w drugi popchnięty, daremnie oddawał się całej wściekłości oceanu, puszczanego bez wędzidla; nie mógł, nie mógł umrzeć.

— I znowu rozpacz zaczęła silniej miotać jego duszą — i po-

wstał z mokrego siedzenia i wyciągnął ręce do burzy, i błagał potęgę nieba i piekła, by zakończyły życie, nieżnośnie porównaniem uszłego krótkiego szczęścia z długim i obecnem nie-szczęściem.

— Lecz poznał, że próżne były modły, że czas jeszcze nie nadszedł, i że gwiazda przeznaczenia nie wylała jeszcze z łona wszystkich promieni.

— Zarzucił więc płaszcz szeroki w koło siebie, i opierając czoło nabrzmiałe krwi potokiem o drżące ręce, zaczął dumać wśród spustoszenia i nawałnicy.

— W tem lekkie z początku, lecz coraz wzrastające osłabienie, wkradając się pomiędzy członki, do każdej żyły się dostało; powieki obciążone przerwały dumne oczy, i niesiony na wzburzonej wód kolebce, zasnął snem wspomnień, i cały zawód i całą młodość ujrzał na nowo, i dni przeszłe suuły się przed oczyma jego wyobraźni, jak fale unoszące statek, na którym drzemał.

— Dom rodzinny z szerokimi komnaty, z obrazami przodków, z rozległemi ogrodami na chwilę mu się przypomniał, i w żywych barwach stanął przed nim.

— I słyszał dźwięk dzwonów ojczystej kaplicy i zdało mu się, że klęcząc przy grobie pod ciemnem sklepieniem łzami niewinności skrapiał nieczuły kamień i gorące modlitwy wznosił do niebios, o których jeszcze nie nauczył się wątpić.

— Igraszki dziecinne, pierwszej młodości zabawy, otoczone urokiem szczęścia i przywiązania do miejsc pierwotnego pobytu, wracały na skrzydłach pamięci.

— Łowy, dzikie lasy, przestronne błonia, spienione gonitwą rumaki, mieszały się razem, a były częścią każdego obrazu, i on ścigał trwożliwe zwierzęta, i on trąbką zwoływał ogary, i on pod wieczór wracał z radością w sercu do domu, nad którego dachem igrające promienie zachodu już młodą wtenczas nęciły duszę, by z niemi do niebios uleciała.

Drzewa dawno nie widziane, wzgórek tyle razy deptany, staw lekkim uwieńczony mostem, gaje odwiedzane przy blasku

księżycą z pierwszą serca niedoświadczonego ponętą, z pierwszą istotą, która rzuciła w to serce przyszłe cierpienie zarody, okrążyły go mglistem pasmem, i zdając się płynąć przed wzrokiem, gubiły się w oddali, by nowym przedmiotom miejsca ustąpić.

— Zmieniły się okolice, z niemi dusza młodzieńca.

— Dalekie strony od ojczystych inszem oświecone słońcem, inną jej nadawały barwę.

— Ciemne mury go otaczały, miasto posępne w łonie go swoim zamknęło; lecz wzrokiem orła przelatywał bramy i warownie, by bujać po górach uroczej krainy.

— A jednak choć w około przyroda nosiła piętno wielkości, dusza jego malała i odrętwienie zajmowało miejsce zapału.

— Nie dawno jeszcze róża świeżo rozwita, śpiew słowika, szelest purpurowych skrzydeł motyla, wysysającego słodczyce kwiatów, nęciły jego uwagę; strumień przemawiał do niego głosem niezrozumianym dla innych, i skale niemej od stworzenia używał mowy i z gruzów przeszłości umiał wywoływać zmarłe kształty, lub sięgać w nieskończoność lat mających przejść nad jego życiem i nad jego prochami.

— A teraz żegnał się stopniowo żywą wyobraźnią, ciemną barwą powlekał się błękit niebios; droga dotąd jasna światłem słońca, ginęła w ponurym cieniu, i sam nie mógł wytlómaczyć przyczyny ciężącego na nim smutku i napróżno starał się go oddalić, napróżno wychylał puhary ziemskiego wesela, i szukał radości, opuściwszy górne przestwory.

— Drżące od rozkoszy usta nie zdołały zadosyć uczynić jego tajemnemu żądaniu; błąkał się pośród niepewności, zaczynał wątpić i podejrzenia lały się zatrutym strumieniem w czarę niedawnego szczęścia.

— Osłabły, stęskniony, tracił codzien na sile; wola dzielna i niezwalczona zaczęła małym zawodom ustępować, i nie wiedział czego pragnie, wiedział tylko, że pragnie czegoś, i że umysłowa zaguba będzie skutkiem nieosiągnięcia tajemnego celu, ciemnych i powikłanych życzeń, i zapomniał o tem, co było wprzód — i dom rodzinny znikł mu z pamięci.

— Właśnie w tej chwili nowa następowała zmiana.

— I czuł wszystkie potoki życia, po wszystkich żyłach płynące.

— Piękna, boska okolica rozciągała swoje wdzięki w około; niebo uśmiechało się do ziemi, i kwiecica, i łąki i gaje uśmiechem za uśmiech odpłacały.

— Zewsząd lśniły się lazury, to wód spokojnych, to błękitów powietrznych, w pośród których niewzruszony tron słońca górował nad stworzeniem.

— Góry i skały dopiero z śnieżnych uwolnione pętów, zdawały się radować każdym listkiem, każdą trawką po nich rosnącą.

— I on był wśród tych wszystkich piękności, lecz już nie sam; na jego ramieniu opierała się dziewica, i oboje wchodzili na górę, i za każdym krokiem w nową krzepił się nieznaną dotąd siłę, i im bliżej dochodził do wierzchołka, tem bliżej mniemał się nieba, bo ona szła z nim razem, bo w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia, bo czuł, że serce bijące w bliskich piersiach, na wieki z nim się połączy łańcuchem, którego każde ogniwo niebieską będzie myślą, i wzniosłą nadzieją.

— I wstąpili na szczyt góry, i sen jego wtenczas przybrał najwyższe barwy, do jakich zdolna wyobraźnia, karmiona długim żalem.

— Wszystkie barwy mgliste zamieniły się na tęczy promienie, wszystkie uczucia chwili przeszłej oddawna, zgromadziły się w sennych piersiach, jak zbiegłe wygnańce wracające na oczyszczoną ziemię, i ujrzał obraz, który rozżarzył zgasłe płomienie, i wszystkie struny jego marzącej duszy do drgania przymusił.

— Opuszczona chatka góralska i sześć drzew zieleniejących tchnieniem wiosny przed nią; gdzie niegdzie błyszczące niestopniałego dotąd śniegu wysepki, na obszarach fijołki rozkwitające z uroczą wonią, a w około widok nieograniczony na wieś i miasta, na łąki i strumienie przecinające srebrnymi wstęgami ciemne błonia; — a z drugiej strony skały różane przy zachodzie słońca, i góra wyższa nad wszystkie towarzyszki; wszystko to stanęło przed nim boską jasnością oblane.

— Żywy jego umysł przenikał tajemnice wieczności, i na

szczybie opoki połączył jego duszę z duszą, której poświęcał pierwsze, najważniejsze i najsilniejsze uczucia.

— Po chwili już tego obrazu nie było.

— Dziwne, pomieszane i tłumne kształty przesuwają się przed jego wzrokiem, to z powolnością pogrzebowego orszaku, to z szybkością hufców nacierających na nieprzyjazne szyki.

— Wśród miast i pustyń, wśród wesołych zabaw, smętnych okolic, wszędzie z sobą własne nosił nieszczęście, wszędzie ściagała go myśl jedyna, okropna, targająca wszystkie związki z ziemią, i dusza jego nie znachodziła dość siły, ani w wewnętrznych uczuciach, ani w zewnętrznych obrazkach, by oprzeć się boleści ponurej i ciężkiej, która podobna do wyrzutów sumienia, na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy.

— Pożary otaczały go syczącymi płomieniami; klęski ludzkości, bitwy i rzezie w około nieprzestannie się snuły; miasta w perzynie; przyjaciele ginący bez mocy wyrzeknienia ostatniej woli albo pożegnania; nawałnice przeciwnego losu, nic już na przekwitłem sercu nie mogły.

— Zimnem patrzył okiem na zgon cudzych nadziei, bo już sam przyzwyczał się żadnej nie mieć na ziemi.

— Wdzierał się na skałę, przebywał spiekle pustynie, zmiom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły, i krew z ran ciekącą wypuszczały w powietrzu, nim spadała w piaski; przebiegał skrzepłe wiecznem zimnem krainy, gdzie światło igra po zwierciadłach lodu, jako po skałach z dżamentu, gdzie głos zastyga w piersiach, i myśl sama zdaje się marznąć w oziębionym mózgu — a wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz; w domu siadała przy rodzinnem ognisku, w nocy krępując się u łoża, zarzucała na sny jego nierozzerwane łańcuchy; — i jedną myślą zajęty, ze wszystkimi innymi rozbrat uczynił, jeżeli działał, to działał bez chęci, bez rozumu, bez namiętności.

— Ciężar wspomnień duszę wiecznie przygniatał, i przysły pod nim wszystkie związki łączące go ze światem, i został sam na sam z boleścią i smutkiem, i myśl jedyna, myśl nieunikniona

stała się trumną wszystkich władz jego, i długie lata w tym sposobie przeszły nad jego czołem.

— Żadnej już zmiany nie było, wszystko wprawdzie co chwila inną postać przybrało w około, lecz wewnątrz tożsamość została.

— I umarł dla świata, bo jednej tylko trzymał się myśli, a ta myśl nie była z tego świata.. —

Jaką była ta myśl jedna, a nie z tego świata, to następne twory okazać miały.

Inną razą, inna okoliczność przyniosła mi świadectwo podobnie, i rzecz dziwna, również z powodu okolicy rodzinnej.

Było to daleko, było to w mieście wielkiem.

Ulice brzmiały wrzawą szalu zapustnego. Wysokie kamienice trzęsły się od turkotu kół, rozwożących młodzież i niemłodzież płci obojej, na zabawy, bale, koncerty, teatru, igrzyska i swawole, kiedy w jednej z kamienic przy ulicy ustronnej, w izbie obszernej, lecz za wszystkie sprzęty kilkanaście krzesel po bokach, stół obszerny przy kominie, w głębi którego kilka główni pełniło powinność ciepła i światła, siedziało kilkunastu mężów, a wszyscy byli zadumani i wszyscy zadumani głęboko a rzewnie.

Na raz, jakby długą znużonych ciszą, poruszyło się kilka stołków.

— Mielśmy obietnicę! — zaczął pierwszy Juliusz.

— Obietnicę obrazu! — rzekł Bohdan.

— Obrazu okolicy rodzinnej! — dorzucił z westchnieniem pan Antoni.

— Jeszcze nie czas! — ozwał się ponuro Seweryn. Północ jego godzina.

I znowu nastąpiła cisza grobowa, a jednak zdało mi się, że cała izba pełną była głosu tajemniczo brzmiącego:

— Bracia! Duch jego uszedł i błądzi daleko,

Jeszcze nie wrócił — może przyszłość w gwiazdach czyta,

Może się tam z duchami znajomymi wita,

I one mu powiedzą czego z gwiazd docieką.

Jak dziwne oczy! błyszczą ogień pod powieką,

A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;

Duszy teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska
 Zostawione od wojska, które w nocy cieniu
 Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu;
 Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska. —

Słuchałem i dumalem; gdy wtem zegar z wieży przyległej
 zaczął wybijać północ, a gdy ostatni dźwięk dwónasty zrodził,
 tedy mąż, w którego obliczu wszystkie utkwieły oczy, poruszył
 się w swoim miejscu, przetarł lekko oczy oburącz, oburącz
 włosy długie po za czoło zarzucił, a potem wzrok zatopiwszy
 gdzieś w niebie, tak zaczął mówić powoli, uroczyście, poważnie:

Panno święta! co jasnej bronisz Częstochowy,
 I w ostrej świecisz bramie! Ty co gród zamkowy
 Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
 Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
 Gdy od płaczącej matki pod Twoją opieką
 Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
 I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
 Iść za wrócone życie podziękować Bogu;
 Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono.
 Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rozłożonych;
 Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
 Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
 Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
 Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała,
 A wszystko przepasane jakby wstęgą miedzą
 Zieloną, na niej rzadko ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju
 Na pagórku niewielkim, w brzozowym gaju,
 Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;
 Świeciły się z daleka pobielane ściany,
 Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
 Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
 Dom mieszkalny nie wielki, lecz zewsząd chędogi,
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi

Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może;
 Widać, że okolica obfita we zboże,
 I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszecz smugów
 Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
 Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru
 Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
 Uprawne dobrze, nakształt ogrodowych grządek,
 Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
 Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
 Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Był sad —

Drzewa owocowe, zasadzone w rzędy,
 Oceniały szerokie pole; spodem grzędy.
 Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,
 Siedzi, i zda się marzyć o losach jarzyny;
 Tam, płacząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
 Wysmukły bób obraca na się tysiąc oczu;
 Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
 Gdzie niegdzie otylego widać brzuch barbuza,
 Który od swej łodygi aż w daleką stronę
 Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą, na każdym przykopie
 Stoją jakby na straży, w szeregach konopie,
 Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone;
 Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
 Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
 A ich woń gąsienice i owad zabija.

Dalej maków białawe górują badyle,
 Na nich myślisz iż rojem usiadły motyle,
 Trzepiocząc skrzydełkami, na których się mieni
 Z różnaitością tęczy blask drogich kamieni,
 Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę mami.
 W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
 Kragły słońceznik, licem wielkim gorejącem,
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wązkie, długie, wypukłe pagórki,
 Bez drzew, krzewów i kwiatów — ogród na ogórki;
 Pięknie wyrosły: liściem wielkim, rozłożystym,
 Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
 Po środku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
 W majowej zieloności tonąc po kolana;
 Z grząd zniżając się w brózdy zdała się nie stąpać,
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
 I kilka pukłów światłych, rozkwitłych warkoczy;
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,
 Prawą ręką podniosła niby do chwytania;
 Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania
 Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila
 Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
 Który stopą natrąci, lub dostrzeże okiem.
 Był gaj —

Z rzadka zarosły, wysłany murawą,
 Po jej kobiercach, na wskroś białych pniów brzoźowych.
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
 Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
 Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy
 Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
 Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnym;
 Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
 Ten z gołą głową; inni jak gdyby pod obłokiem
 Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony
 Ciągające się za głowę jak komet ogony,
 Każdy w innej postawie; ten przyrósł do ziemi,
 Tylko oczyma kręci na dół spuszczeniemi;
 Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
 Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy;
 Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
 Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
 Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,
 Ani mówią do siebie, ani się witają,

Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni,
 Jstnież, widzisz w nich obraz Elizejskich cieni,
 Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
 Błąkają się spokojnie, ciche lecz posępne.
 Grzybów było w bród; chłopcy biorą krasnolicę
 Tyle w pieśniach litewskich sławione liście,
 Co są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada,
 I dziwna, żaden owad na nich nie usiada,
 Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
 Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
 Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy,
 I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
 Czy zimą. Starzy przeciwko muchom biorą muchomory.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
 Dla szkodliwości, albo niedobrego smaku,
 Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą,
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą;
 Na zielonym obrusie tak jako szeregi
 Naczyn stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
 Surojadki srebrzysze, żółte i czerwone,
 Niby czareczki różnym winem napełnione.
 Kozłak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
 Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe.
 Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
 I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
 Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
 Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku.
 Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój zobaczy,
 Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Rówienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
 Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa,

Których cień spadał kiedyś na koronne głowy
 Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
 I Giedymina, kiedy na ponarskiej górze
 Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
 Leżał, słuchając pieśni mądrego Lezdejki;
 A Wilij widokiem i szumem Wilejki
 Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,
 I zbudzony za Bogów rozkazem wyraźnym,
 Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi
 Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
 Ostatni król, co nosił kołpak witoldowy,
 Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
 I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
 Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
 Bym wrócił was oglądać przyjaciele starzy,
 Czyli was znajdę jeszcze, czy dotąd żyjecie,
 Wy! koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
 Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
 Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie
 Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
 Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
 I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
 Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
 Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
 Sto młodzieńców, sto panien, szło w taniec parami.

Pomniki nasze! ileż po rok was pożera
 Niebaczna, lub łakoma kupiecka siekiera!
 Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
 Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
 Wszak lipa Czarnoleska, na głos Jana czuła,
 Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła
 Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
 Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy,

Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostepie
 Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
 A koło mnie srebrzył się, tu mech siwobrody,
 Zlany granatem czarnej zgniecionej jagody,
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
 Strojne w brósznice, jakby w kolarów paciórki.
 W około była ciemność; gałęzie u góry
 Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury;
 Wicher kiedyś nad sklepem szalał nieruchomym,
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
 Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało,
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast; tu wywrót dębu
 Wysterka z ziemi, na kształt ogromnego zrębu,
 Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
 Tam gałęziste kłody, tu w pół zgniłe bramy,
 Ogrodzone parkanem traw; środek tarasu
 Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
 Dzikie, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
 Na pół zgryzione, jakichś nieostrożnych gości.
 Czasem wymkną się w górę przez trawy, zielenie,
 Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
 I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
 Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole; dzięcioł na jedlinie
 Stuka zlekka, i dalej odlatuje, ginie,
 Schował się, ale dzióbem nie przestaje pukać,
 Jak dziecko, gdy schowane woła, by go szukać.
 Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
 Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
 Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera,
 Chociaż tak osłonią, do koła spoziera,
 Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznicą,
 Z drzew na drzewa miga się, jako błyskawica;

Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
 Jak wracające w drzewo rodzime Driada.
 Znowu cicho.

Wtem gałąź wstrząsła się trącona,
 I pomiędzy jarzębiu rozsuniona grona,
 Krańsze od jarzębiu zajaśniały lica:
 To jagód lub orzechów zbieraczka dziewica;
 W krobeczce z prostej kory, podaje zebrane
 Brusznice świeże, jako jej usta rumiane;
 Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
 Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna,
 Wtem usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
 Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
 I pomiędzy gałęzi gęstwą, pełne trwoży
 Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

Któż z nas tych lat nie pomni, gdy młode pachole,
 Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
 Gdzie żaden wał, płód żaden nogi nie utrudza,
 Gdzie przestępując miedzę, nie poznasz, że cudza!
 Bo na Litwie myśliwy jak okręt na morzu,
 Gdzie chcesz, jaką drogą chcesz, buja po przestworzu!
 Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
 Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
 Czyli jak czarownik gada z ziemią, która głucha
 Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
 Bo on szybuje w trawie jako szczupak w Niemnie;
 Tam ożał się na głowę ranny wiosny dzwonek,
 Również głęboko w niebo schowany skowronek,
 Owdzie orzeł szerokim skrzydłem ponad graby
 Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa baby;
 Zaś jastrząb pod jasnemi wiszący błękitny,
 Trzepie skrzydłami jak motyl na szpilce przybity,
 Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zajęcia,
 Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
 Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
 Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
 Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
 Zna je ledwo po wierzchu, ich postać, ich lice,
 Lecz obce mu ich wnętrze serca tajemnice.
 Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje,
 Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
 Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
 Obronny trzęsawicą tysiącem strumieni.
 I siecią zielsk zarosłych i kopami mrowisk,
 Gniazdami oss, szerszeniów, kłębami węzowisk;
 Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
 Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem;
 Dalej co krok czychają, niby wilcze doły,
 Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,
 Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
 (Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą.)
 Woda tych studni śklni się, płamista rdzą krwawą,
 A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
 Od której drzewa w koło tracą liść i korę,
 Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
 Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
 I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
 Siedzą w koło wody jak czarownic kupa
 Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
 Za temi jeziorami już nie tylko krokiem,
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
 A za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
 Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
 W niej są złożone wszystkie drzew i ziół nasiona,
 Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
 W niej jak w arce Noego, wszelkich zwierząt rodu,
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu;

W samym środku, jak słyhać, mają swoje dwory,
 Dawny tur, zóbr i niedźwiedź, puszczy imperatory,
 Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry,
 I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;
 Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,
 Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale,
 Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
 Żyjący z pańskich stołów dworscy zauszniczy,
 Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
 A sami we stolicy używają wczasu;
 Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
 Mają też i swój cmentarz, kędy bliżcy śmierci,
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
 Niedźwiedź gdy zjadł trzy zęby, strawy nie przeżuwa,
 Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
 Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
 Kruk, gdy już posiwieje, sokół gdy osłepnie,
 Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
 Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
 Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz raniony
 Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony,
 Ztąd to w miejscach dostępnych kiedy człowiek gości,
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
 Słyhać, że tam w stolicy między zwierzętami
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
 Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
 Nie znają praw własności, która świat nasz klóci,
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki,
 Jako ojciec żył w raj, tak dziś żyją wnuki,
 Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
 Nigdy jeden drugiego nie kęsa, ni bodzie.
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż nie zbrojny,
 Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
 Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
 Jakim, w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia,

Ojce ich pierwsze, co się w ogroju gnieździły,
 Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
 Szcześnie, człowiek nie zbłądzi do tego odstepu,
 Bo trud, trwoga i śmierć bronią mu przystępu.
 Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,
 Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
 Wewnętrznej jej okropności rażone widokiem,
 Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
 I długo potem ręką pana już głaskane,
 Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane,
 Te puszcz stołeczne ludziom nieznane tajniki,
 W języku swoim strzelcy zowią: **Mateczniki**.

Tu wieszcz przestał i zamilkł. A całe towarzystwo mężów, dotąd nieruchomych jak skały, i jak gdyby do miejsc swoich przykutych, jak mąż jeden zagrzmiało oklaskami, i jak mąż jeden ruszyło ku wieszczowi i otoczyło go kołem, i wszyscy cisną się ku niemu, i dłonie jego ściskają, w znak spólcucia, dziękczynienia, uwielbienia i dumy narodowej.

Gdzież jest zaiste wieszcz po za ziemią naszą, czy on się zowie: Wirgili, Homer, Tasso, Delil, Byron czy Szyller, któryby jak on wieszcz ziemi naszej, ziemię swoją poczuł i pojął, z takim wdziękiem i dźwiękiem, sercem ją ziomków swoich podał i oddał?

Pomnę, ach! pomnę! Taką była okolica moja rodzinna, taki dom, gaj, sad, grzybobranie, polowanie i taki też matecznik.

Zrodzonemu i schowanemu na łonie takiej przyrody, nie daleką była podróz za nauką do szkoły, i nie wiele potrzeba było do nauki książek, bo przyroda za każdym krokiem była szkołą najlepszą i przyroda książką podręczną.

Toż mój ojciec, kiedy chciał mię uczyć geografii, tedy szedł ze mną na najwyższe wzgórze, i ztamtąd kazał mi wzrok natężyć na prost, na boki, i do koła, a wskazując ręką w oddali po zielonych łąkach, jak wąż wijącą się niebieską wstęgę: To nasza Narew, powiadał, która po to spieszy do Buga, aby z nim i z Muchawcem pospołu wlała wody swoje do Wisły, i tak już z jej wodami, które sama niesie od Cieszyna ze Szląska, i z temi, które do niej przyniosły, z prawej strony: Sala z Wę-

gier, Raba, Dunajec, Wisłoka i San z ziemi Halickiej i ze szczytów Karpackich, Wieprz od Brodów, Zamościa i Lublina — i z wodami które do niej spławiły z lewej strony: Przemsza, Prądnik, Nida i Pilica od Krakowa i Częstochowy, szły już razem ku Warszawie i przez Warszawę, na przyjęcie Bzury, Brdy i Czarnej z lewej, a Wkry i Drwęcy z prawej strony, aby tak wszystkie już społem, warcząc, szumiąc, pieniać i gwarząc, płynęły szeroko, poważnie, uroczyście odbijać w toniach swoich mury Gostynia, Płocka, Torunia, Chełma, Grudziądz, Maryenburga, Elbląga, Gdańska, i wszystkie razem nareszcie, trzema odnogami wwały się do wspólnego oceanu wieczności, co go zwą Morzem Bałtyckiem.

Tak było z nauką geografii dnia pierwszego, z rzekami, miastami, ziemiami, morzami tam tam na prost, ku północy. A zaś dnia drugiego, kazał mi ojciec wyteńczyć wzrok na lewo ku zachodowi, i dopatrywać się nurtów Warty, Noteci, Odry i Elby. A dnia trzeciego obrócił mię ku wschodowi, na prawo, i kazał znowu płynąć z wicinami i dubasami po nurtach Niemna, Wilii i Dźwiny. A dnia czwartego obrócił mię w stronę południa, kędy płyną Prypeć, Jasiołda, Styr, Zbrucz, Boh, Dniester i Dniepr i dopóty znowu kazał patrzeć i słuchać, ażem się dosłyszał huku porohów dnierzańskich i dopatrzył brzegów Morza Czarnego. I takem się już uczył geografii dzień za dniem, ażem się jej dobrze poduczył.

A kiedy szło ojcu memu o gramatykę i naukę języków, tedy dla wymowy i deklamacyi kazał mi co rano i co wieczór, głośno, wyraźnie i dobitnie odmawiać Ojczy nasz, oraz Dziesięcioro Bożego przykazania. A dla melodyi uczyć się tonów wiejskich pieni pracujących po polu rolników. A dla harmonii słuchać szczebiotania ptastwa leśnego, szmeru wody, szelestu liści, szumu drzew, świstu wiatrów, grzmotu piorunów, rżenie koni, ryku stad, wycie wilków, jęku puszczyków i szukania po nocach zabłąkanych podróźnych.

Podobnie było z innymi naukami: z historią i z całą ekonomią polityczną.

Z okien domu moich rodziców widać było miasteczko powiatowe, z wysmukłymi wieżami kościoła katolickiego, i z krągłymi kopułami cerkwi unickiej, z zamkiem w ruinach leżącym,

i z białymi wysokimi murami nowo zbudowanego ostroga; — a zaś dookoła miasteczka tego, jak oko sięgnąć mogło, mnóstwo dworów i dworków zamożnych i wcale niezamożnych; wsi i wiosek porządných i wcale nieporządných; ogromne łany gruntów, doskonale uprawnych i przeróżnem zbożem okrytych, i podobnie obszary całkiem zaniedbanych i odłogiem wiecznym leżących; prześliczne zielone smugi i łąki, i bezdenne błota i bagna; rozległe niebotyczne lasy i wytrzebione ze szczętem i w bezużyteczne karczowiska znienione; liczne stada i trzody piękne, kragłe, wesołe, skaczące, i tuż obok świecące skórą a kośćmi, i zaledwo nogi za sobą powłóczące. Słowem: istny obraz wszystkiego dobrego i złego, ładu i nieładu, zamożności i nędzy, twórczości i zniszczenia, szczęścia i nieszczęścia, a których widok codzienny dostarczał ojcu memu zasobów do codzienných i nigdy niewyczerpanych zdań, spostrzeżeń, uwag i nauk.

Nawet podróżować dla zwiedzenia i poznania obcych narodów i krajów nie potrzebowałem, bo wszystkie, ile ich było na świecie, właśnie przychodziły same się nam przedstawiać, i jakby naumyślnie dla obejrzenia i poznania ich gruntownego, przedstawiały się w dwóch przeciwných obrazach — raz: butne, dumne, hulaszce, śpiewające, skaczące, wesołe, tryumfujące, wszystkie masą gdzieś naprzód — drugi raz: pokorne, poniżone, wystraszone, ponure, nagie, głodne, przemarzłe, rozpierchnione, uciekające, wszystkie pola i drogi zasiewając swemi trupami.

— O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny.

— Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem,
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem.

— Kiedy pierwszy raz bydło wygnane na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umiała grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

— I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
 Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiej.
 Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
 Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo,
 Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie,
 I poglądną z trwogą ku zachodniej stronie,
 Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
 I uważają z trwogą wracające ptaki.
 Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny,
 I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
 A za nim krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
 Gromadziły się po nad wodami jaskółki,
 I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki,
 W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
 I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
 I znużone na popas spadają z hałasem;
 A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie,
 Słyszac to, nocni stróże pytają w obawie,
 Zkąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
 Jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania?
 Aż oto nowe stada, iakby gilów, siewek,
 I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
 Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
 Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
 Płyną drogami kute żelazem szeregi;
 Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
 Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

— Wszyscy na północ: rzekłbyś, że w onczas z wyraju
 Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
 Pędzony niepodjętą i nieznaną mocą.

— Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
 Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
 Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny,
 Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi
 Gdzieby jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnymi

Puszciami, chłop którego dzisiaj i rodzice
 Pomarli, nie wyrzawszy za lasu granice,
 Który innych na niebie nie rozumiał krzyków,
 Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
 Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
 Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
 W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa,
 Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
 Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
 Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
 Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera,
 I potrzęsając brodą zdziwiony spoziera
 Na błyskające nagle między łosem zgliszcze:
 Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszczce,
 Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
 Zląkł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu. — »

Trzeba było zdarzenia, ażeby urodzony na jednym z krańców puszczy Białowiezkiej, dzieckiem jeszcze w sam głąb jej przerzucony. Jak się tam chowałem, a raczej jakie pojęcia, uczucia i myśli wchodziły z tem wychowaniem do serca i do głowy, ażeby już tam przechowały się na zawsze, tego nawet pojąć nie zdoła ani wychowaniec miast, kamienic, pałaców i zamków, ani mieszkaniac wielkopolskich płaszczyzn, ani mazowieckich piasków, ani żmudzkich pomorszczyzn ani pińskich bagien, ani szczytów karpackich, ani nawet kurp' ostrołęcki, strzelec kępinowski, niepołomski lub świętokrzyszki; na to koniecznie trzeba urodzić i wychować się w puszczy Białowiezkiej.

Silne, wieczne pierwszych obrazów wrażenia.

Owóż, wyobraźmy sobie człowieka, dla którego najpierwszym ziemskim obrazem, na który roztwierający się wzrok jego padał, była puszcza — puszcza bez początku i końca, puszcza do koła, puszcza pierworodna, ciemna, czarna, przepastna, której przedwieczne rosochate dęby, wysmukłe niebotyczne sosny, białe brzozy, czarne jodły, posępne świerki, kolczaste jałowce, zastępowały wieńce z róż, lilii i mirtów; wśród której zrodzonemu i schowanemu, najpierwszym po macierzyńskiej piersi pokarmem były grzyby, jagody, dziczyzna i miód leśny,

a zaś najpierwszymi współtowarzyszami jego młodości były żubry, wilki, niedźwiedzie, głuszce i puhacze; który jeśli kiedy zasłyszał jaką muzykę i piosenkę, to chyba tylko świst wichrów, szum, drzew, wycie wilków, lub ryk śmiertelny dławionego zwierzęcia. Kiedy znowu ród ludzki, który go otaczał, z powołania myśliwy, a z przyrodzenia pewnie z całej polski, Litwy i Rusi najzabobonniejszy, ale także najpoetyczniejszy, przez wszystkie steki i ścieżki, po których mógł schodzić i sływać do wychowanka swojego, dostarczał mu duchownego pokarmu sownic i obficie, to prawda, ale którym nic nie mogło być i też nic nie było innego, nad wieści i powieści o upiorach i wilkołakach, o strzygach i rusalkach, o tumanach i o szatanach, o zaczarowanych kniejach, zaklętych strzelcach, palących się skarbach, i o tym podobnych, nigdy nieprzebranych i nieprzegadanych dziwolągach na ziemi i niebie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytrzeszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży, pragniesz go odegnać,
Aż orłem skrzydłem wilk macha;
Dość: zgiń! przepadnij, wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc: cha! cha! cha!

Ledwieś odetchnął:

Aż straszna martwica

Wypływa z blizkich wód toni;
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną;
Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuehną.

A teraz:

A teraz, malcze, chodź tu pod kantorek,
Nachyl się i przyłóż uszko,
To biedna dusza prosi o troje paciorek.

Aha! słyszysz jak kołata!
 Tak tek, tatek, tetak, tatek!
 Jak zegarek pod poduszką,
 Mały robaczek, kołatek!
 A niegdyś, był to człowiek!!!

Jeszczeż gdzie indziej cuda te i dziwy w bajkach tylko istniały, a w które przetoż można było wierzyć albo nie wierzyć, bo ich sprawdzić nie można było. U nas w puszczy Białowieskiej, na wszystko to leżał żywy dowód pod ręką.

Zahukał puszczyk z wieczora, to już pewnie rozlubowany szatan wabił na weselne gody swą kochanicę.

Zachichotała sowa, to już pewnie uradowany szatan naigrawał się ze swojej uwiedzionej ofiary.

Zakwilił nocny kulik, to dusza pokutująca, bo bez spowiedzi pogrzebana, dopraszała się nabożeństwa, lub też dziecię nowonarodzone, a bez chrztu wzięgie złożone, błagało poświęcenia.

Błysnął płomyk na bagnach, to skarb się palił niechybnie, a za którym gdy się jaki zapuścił łakomic, i w błocie ugrzązł po uszy, to też była oczywiście sprawa szatańska.

Wracał pijak z jarmarku, zabawy lub wesela, i mgliło mu się w oczach tak, że gdy mniemał, że po suchym i bitym stąpa gościńcu, a on zleciał w rów z grobli na głowę, albo w wodę z mostu, więc to była także sprawka szatańska.

Pękła os u wozu, nadłamana od roku, rozsypało się koło, któremu się to należało od trzech lat przynajmniej, wyprzęgła się kobyła zaprzężona niedbale, albo na most, który się od zgnilizny i starości rozwalił nareszcie, choć smagana bez miłosierdzia wejść nie chce — oho! to już pewnie djabeł pod koło nogę podstawił, albo siedzi pod mostem.

Zerwał się wściekły wicher i sosnę w poprzek drogi powalił, to djabeł położył się pod kołem.

Zaświecił w ciemnościach nocy wilk iskrzącemi oczyma, wyczekujący na swą nieostrożną albo zabłąkaną ofiarę, to był w wilczej skórze człek pokutnik — wilkołak.

Nawet spłoszony cietrzew nie przleciał z drzewa na drzewo, żeby to nie była na łopacie lub miotle przelatująca czarownica

lub strzyga, która gdzieś tam biednej położnicy dziecię wykradłszy, wlecze je z sobą na puszcze.

Co było za domem, w drodze, na polu i w lesie, to było i w domu, w łożnicy, w oborze, w stajni i na każdym miejscu.

Zasnął twardo podpity lub spracowany parobek, albo czerstwa a krwista dziewczka, i krew lub gorzałka które z nich dusi, to była zmora, która nawet konia po całodziennym znoju nie zostawi spokojnie, lecz dosiadłszy go w nocy, aż do ostatnich go potów domęczy; — i napróżno pełen i godzin wiary sąsiad zaręcza, iż na własne oczy widuje, jako na tym koniu gospodarski parobek lata co noc o potężną milę w zaloty; — sąsiad wyszedł na kłamcę, koń zdechł z męki conocnej, a zmora prawdą została.

Bałamucił ktoś komuś żonkę, i mąż ścieżkę mąką wysypał, a bałamut nie w ciemię bity, skradając się na palcach, postawił ślady stopy bez pięty, toć już oczywiście nie mógł być człowiek, tylko djabeł na kurzej łapce, i mąż musiał dać pokój, choć go już potem i słyszał i widział, bo cóż człowiek djabłu poradzi.

Chciało się dziewczkom mleka i po nocach krowy doily, więc gdy o poranku krowy mleka nie miały i nie dały, znaleźli się zaraz usłużni parobcy, co świadczyli, jako nieraz widzieli nietoperze z wymion krowich mleko wysysające, a na co już nie było innego sposobu jak postawić kwartę gorzałki, którą oczywiście za zdrowie czarta — latawca dziewczki z parobkami wypily.

Przyciągnęła do wsi banda cygańska, i cyganka stara, chuda i sprośna, wygrzebała dołek w pośród wsi, nakładła weń jaj gęsich, siadła na nich jak kura, i nuż wrzeszczeć, stękać i kwokać, a pytana, co z tego będzie? — Będzie, odpowiedziała, taki grad jak te jaja! a dano jej wszystko, co chciała.

I tak dalej i dalej w nieskończoność coraz nową i nowszą.

Wychowanemu w pośród takich dziwów i osobliwości, zaprawdę dziwne i osobliwe musiały się roić myśli po głowie, osobliwe i dziwne musiały się krzewić uczucia w sercu i duszy — i tu jest złożona tajemnica owych dziwnych i osobliwych różnic, które jednych od drugich odznaczają ludzi i tak różnie wpływają na ich sprawy i twory.

Powiedziałem, jak ojcowie nasi uczyli nas z księgi przyrody, i jak znowu przyroda uczyła nas z księgi wrażeń i marzeń; te-

raz powiem, jak nas w domu uczono z książek drukowanych, oraz z księgi przykładów.

Było to z dawien dawna w obyczaju polskim, że po dworach obywatelskich przebywało wielu tak zwanych rezydentów, a istotnie wysłużonych wojskowych, którzy w zamian za poddasz i za ognisko, wysługiwali się chlebobdawcom swoim czem mogli i jak mogli. Jedni więc chodzili około roli i dozorowali gospodarstwa, drudzy trudnili się myśliwstwem, rybołóstwem i grzybobraniem, dostarczając do kuchni zwierzyny, ryb i grzybów. Inni zajmowali się ogrodnictwem, sadzili drzewka i kwiaty, zbierali i suszyli owoce, przygotowywali nasiona, pilnowali pasieki, albo też służyli, w dzień, za posyłków do miasta, za cukrem, kawą, pieprzem, szafranem i tym podobnymi i nigdy nieskończonymi sprawunkami, a wieczorem towarzyszyli gospodarstwu i gościom do kwindecza, ówika, marjasza, družbarta, lub zabawiali kobiety kładzeniem pasyansów i kabał, opowiadaniem anekdotek i dykteryjek, czytaniem na głos dzienników i powiastek o Genowefie, Magiellonie i Turczynie wojażującym, rysowaniem deseników na spódniczki i kołnierzyki, przepisywaniem nut muzycznych i t. d. i t. d. Byli tacy nakoniec, którzy przedewszystkiem, nawet wyłącznie, podejmowali się obowiązku dyrektorów, czyli nauczycieli domowych, ucząc dzieci wszystkiego co umieli i czego nie umieli, a jak było właśnie z dwoma rezydentami, bawiącymi w domu rodziców moich, z panem Ciężkowskim, który niegdyś służył w ciężkiej piechocie i z panem Letkiewiczem, który z lekkiej jazdy wychodził.

Na świecie jak na świecie — wszystko dobrze się składa, kiedy dobrze się nada. Więc pan Ciężkowski, żeby nie być zapewne w sprzeczce z swem nazwiskiem i powołaniem, był ciężki, wysoki, gruby, otyły, małomówny, ponury; jednym słowem: piechur skończony — kiedy pan Lekiewicz był lekki, skoczny, mały, szczupły, czupurny, wesoły, gadatliwy, jednym słowem: ułan — kawalerzysta.

Nie dosyć na tem; pan Letkiewicz oprócz języka ojczystego posiadał obce języki a mianowicie francuzki, rysował trochę, grywał na gitarze i klawikorcie, śpiewał nie źle, tańczył niezamordowanie, lubił jazdę konną, polowanie i towarzystwo, bywał po świecie i daleko, za piątą i dziesiątą granicą — kiedy

pan Ciężkowski, oprócz polskiego i trochę łacińskiego języka w żadne inne nie wierzył, muzyki i śpiewów lubił słuchać tylko w kościele, do skoków i wszelkich sztuk łamanych miał niczem niezmożoną i niezwyciężoną odrazę, a za granicę, możeby nawet dla zbawienia duszy nie wyciągnął, bo dusza powiadał, dopóty tylko ożywia ciało, dopóki w niem mieszka, ale niechno raz za granicę ciała wyciągnie, to już pewnie po ciełe.

Przy tak różnych zdolnościach i skłonnościach panów Letkiewicza i Ciężkowskiego, musiały być nauczycielskie obowiązki ich różne. Więc pan Letkiewicz uczył nauk lekkich: francuzczyzny, muzyki, tańców, śpiewów, rysunków, konnej jazdy i dobrych manierów — a pan Ciężkowski uczył nauk ciężkich, czytać, pisać, rachować, gramatyki, łaciny i pacierz; że zaś pan Letkiewicz nie przepuścił nigdy nikogo bez powiedzenia mu bon jour! a pan Ciężkowski bez Laudetur Jezus Chrystus, więc też wszyscy nazywaliśmy jednego Laudetorem, a drugiego Bon żurem.

Lekkie było życie z panem Letkiewiczem; ale za to ciężkie z panem Ciężkowskim.

Z panem Letkiewiczem nie była to nauka, a tem mniej przy-nuka. Uczyło się po francuzku, rysowało, brzdąkało, a uczyło się biegając, skacząc, chichocząc, igrając i próżnując.

Całkiem inaczej było z panem Ciężkowskim.

Zaraz od rana, czyli: rano wstawszy — zmów pacierz! po pacierzu, umyciu się i ubraniu, zasadzał p. Ciężkowski do elementarza czyli do abecadlnika polskiego, który się zaczynał od słów wyżej położonych: rano wstawszy — zmów pacierz! a kończył się słowami: Różczką Duch święty dziateczki bićradzi — Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi; — Różczka choć bije, nie połamie kości — Uczy rozumu, a broni od złości; — Różczka gdy matka będzie dziecię siekła — Wybawi pewnie duszę jego z piekła. A od przepisu których to świętych słów elementarza, żadnego dnia i pod żadnym pozorem pan Ciężkowski odstępować nie miał zwyczaju.

Po czytaniu polskiem następowało polskie pisanie, naprzód po znakach bladym atramentem kreślonych: Najświętsza Panno formuj moją rękę; a potem odpisywaniem z pa-

mięci tego, co się wprzódy czytało; a więc: Rano wtawwszy zmów pacierz! i też także: Różeczką duch święty dziateczki bić radzi.

Po polszczyźnie przychodziła łacina. Więc przez godzinę jedną czytało się na głos, ile w piersiach tchu i siły było: *Parentes carissimos habere debemus!* a potem przez drugą godzinę pisało się toż samo z pamięci, z dołączeniem: *Veni sancte Spiritus!!!* a który to duch święty jeśli z czasem z nadejściem się ociągał, tedy wnet przychodziło znowu polskie: Różeczką Duch święty dziateczki bić radzi! a przychodziło na raz *active i passive*, czyli czynnie i biernie, rozumie się: czynnie ze strony nauczyciela, a biernie po stronie ucznia.

Po łacinie przychodziły rachunki, a rachunki znowu co się zowie prawdziwe, bo poczynały się od rachowania na palcach, a kończyły rachowaniem po łapie, a czasem gorzej jeszcze.

Zaprawdę, ilekroć dziś rozważam, z kąd to pochodzić mogło, że rodzice onego czasu, którzy w innych okolicznościach dawali wiele dowodów nieograniczonego a nawet przesadzonego przywiązania do swoich dzieci, mogli na tę ich wieczną chłostaninę nie tylko obojętnie spoglądać, ale na nią się godzić, ale nawet do niej podwodzić, tylekroć starożytnym oddaję sprawiedliwość, iż znać dobrze musieli miłość, kiedy ją malowali ślepą.

Ślepa, ślepa tylko, więc ciemna miłość, prowadzić mogła rodziców do onej przesady w surowości względem swych dzieci, tak jako ślepa tylko, więc ciemna miłość, prowadzić może rodziców w pobłażaniu i pozwalaniu na wszystko, co się dzieciom podoba lub zamarzy.

Bito dzieci z miłości — bito złe, żeby się poprawiły, dobre żeby się nie popsuly.

Straszliweż były te czasy, tem straszliwsze, że długie i dziedziczne, że z rodziców przechodziły na dzieci, które jak gdyby poczuwające się do obowiązku zwrócenia tego co wzięły, wyplącały się dzieciom swoim z zaciągniętego długu, i niestety, wyplącały się z niego z procentem. Zasłepienie do tego dochodziło stopnia, że surowość tę przesadzoną zaszczepiano i wychwalano publicznie, z katedr szkolnych i z kazalnicy kościel-

nych; że środki i owoce tej surowości przez same jej ofiary wspominane były z wdzięcznością i błogostawieństwem, z pewnym nawet rodzajem upodobania, chełpliwości i uwielbienia.

Gdzie indziej będę miał sposobność opowiedzenia, jak rzadkie były przykłady wydzielenia się od tego ogólnego przesądu, i jak wielkiej na to trzeba było reformy i jakiego reformatora wielkiego, żeby tę prawdziwą plagę powstrzymać, przeciwko niej wystąpić, a cóż dopiero pokolenia od niej wyzwolić. Teraz powiem, jak nas po za domem, po kościołach i po sąsiedztwach, z księgi przykładów uczono.

Jużto w każdą niedzielę i wszystkie wielkie święta, chyba że mróz, ślota albo zawieja w żaden sposób z domu nie wypuściły, wszystko co z rodzaju ludzkiego do domu się liczyło, szło lub jechało do kościoła parafialnego na mszę świętą i nabożeństwo. Stary tylko Mikita jednej, a stary Bartosz drugiej niedzieli w kolej, zostawali w domu dla stróżowania gospodarstwa od ognia i złodzieja, a stara Pałaszka, albo stara Kachna, także kolejną, dla piastowania niemowlątek, kurczątek i kociątek.

Wszystko czy szło, czy też jechało, śpiewało chórem godzinki, lub też inne pieśni pobożne do uroczystości zastosowane, i to równie udając się do kościoła, jak z kościoła wracając.

W kościele trzeba było zachować się cicho, skromnie, przystojnie i pobożnie. A gdy się nabożeństwo skończyło, i wszystko się na cmentarz czyli przed kościół wysypało, wtedy to dopiero starzy i młodzi, a już to najbardziej dziatwa płci obojej, chłopaszki i dziewczątka, nuże popisywać się z powitaniem, to kłaniając się i dygając, to całując po rączkach i ramionach, a wszystko z elegancją i respektem, jakie się należały komu według starszeństwa, pokrewieństwa i dostojenstwa, a których rozpoznanie, ocenienie i roztropne a zręczne wykonanie, wyrokoowało o wartości i stopniu ułożenia i wykształcenia.

Potem następowały zaprosiny wzajemne do siebie, w sąsiedztwa, wprost z kościoła na objad, lub też po obiedzie na podwieczorek, wieczerzę, a często i na nocleg.

Właśnie około tego czasu ożywiła się była puszcza Białowiezka, osiedleniem się w niej poety Franciszka Karpińskiego, a który miał zwyczaj do tegoż co i moi rodzice kościoła na nabożeństwo zjeżdżać, i potem na spędzenie reszt święta albo nie-

dzieli, przyjmował zaproszenie do którego z sąsiadów, lub ich do siebie zapraszał. Rodzice onych czasów mieli zwyczaj zabierać z sobą dzieci w gościnę, nie zważając, że to gospodarstwu przysporzy kłopotu, bo ten kłopot bywał wynagradzany wzajemnem przyjmowaniem innych dzieci u siebie, a sądzono podonczas, że daleko lepiej mieć swoje dzieci pod bokiem, jak je w domu samopas na wolą Bożą, lub na łaskę służebnych pozostawiać. Tym sposobem dzieci wczesnie oznajmiały się ze światem, nabywały śmiałości, ułożenia i obyczajów, popisowały się z czem umiały; z wymową, śpiewem, grą, tańcem — dziewczątka nadto z robótkami rozmaitego rodzaju, wiekowi swemu i płci swej właściwemi, a często bywały światkami rozpraw, uwag i nauk, którychby napróżno po książkach drukowanych szukały, a jak to właśnie szczególnie w domu Karpińskiego bywało.

Franciszek Karpiński urodził się 1741 roku, 8 października, w Hołoskowie, na Pokuciu, w powiecie Kołomyjskim, dawnej ziemi Halickiej, dziś Galicyą zwanej. Początkowe nauki pobierał w przyległych szkołach w Stanisławowie, wyższe we Lwowie, gdzie otrzymał stopień Doktora Filozofii oraz Bakałarza Teologii świętej. Tkliwy z przyrody, w szkołach już się rozkochał i owa ta miłość najpierwsza natchnęła jego sielanek: Tęskność na wiosnę i kilka jeszcze innych, imieniem Justyny oznaczonych. W 26 roku życia, dla dalszego uczenia się udał się do Wiednia, ale miejskie powietrze a zwłaszcza brak towarzystwa odpowiedniego i tęsknota za rodziną i krajem sprawiły: że napisawszy tam wiersz pod tytułem: Tęskność do kraju, wrócił do Galicyi, a następnie udał się do Warszawy, jako jeden z sekretarzy przy księciu Adamie Czartoryskim, Jenerale Ziem Podolskich. Wkrótce jednak podjął się obowiązków nauczycielskich przy małoletnim a osieroconym synie jednego z książąt Sanguszków; ale po trzech latach rzekł się, jak ją potem nazywał, tej egipskiej i babilońskiej niewoli, i odetchnąwszy czas jakiś w Galicyi na łonie swojej rodziny, gdzie napisał: Powrót z Warszawy na wieś, wrócił znów do Warszawy, i niestety! znów do niewoli, bo nekany potrzebami życia, zmuszony był przyjąć znów obowiązek mentorski przy młodym Dominiku Radziwile, później Ordynacie Nieświeżkim — aż nar eszcze

za staraniem i pośrednictwem przyjaciela swego, Marcina Bade-
niego, otrzymał przywilej na osadę, czyli dzierżawę kawałka
ziemi pustej w puszczy Białowieskiej, Kranikiem, a potem od
nazwiska jego Karpinem nazwanej.

— Tak więc, pisze on w swoich Pamiętnikach pośmiertnych,
przez J. Moraczewskiego w Poznaniu, w roku 1844 drukiem
ogłoszonych — zostałem na raz panem, a raczej na lat 50 dzier-
żawcą, dwudziestu włók ziemi pustej z lasu wytrzebionego, lecz
niewykarczowanego pozostałej. Pobudowawszy się na tem pust-
kowi ubogo ale wygodnie, szczerze zająłem się gospodar-
stwem, by przynajmniej na starość mając własną zagrodę, po
cudzych nie poniewierać się kątach — i acz przeszło 50 lat już
liczący, kilka morgów sam z pniów korzeni i krzaków wytrze-
biłem własną ręką. Najemnicy moi z tem większą ochotą pra-
cowali, im szczerzej mnie przy sobie pracującego widzieli. Sku-
tek ztąd był najlepszy, bo zawsze jadłem, spałem w czasie tych
robót moich smaczniej. Żadna praca nie powinna wstydić ni-
kogo, a cóż dopiero praca około roli, która jest przyrodzonym
człowieka powołaniem. Toż kiedy raz pewien JW. sąsiad prze-
jeżdżał w sześciokonnej karecie, a ja w moim chałacie tuż przy
gościńcu krzaki wycinałem, najemnicy mnie przestrzegali, bym
roboty zaprzestał, bo pan jakiś nadjeżdża; a ja im na to: że
tym bardziej pracować będę, bo to mi nie wstyd, ale chwałę
robi. Poznał mię JW. sąsiad i wysiadłszy z karety dziwił się, że
z chłopami pracuję; na co ja zaraz jemu, zwłaszcza że wiedzia-
łem z kim mówię: — Pięknie z chłopami pracować, odpowie-
działem, jak z żydami szachrować! —

— Z każdym dniem przywykałem do mej dzikiej osady,
i tem chętniej siedziałem w lesie, że porobiwszy około domu
mego silne zagrody od wilków i niedźwiedzi, byłem od nich za-
bezpieczony, a w mieście jaki sposób odgrodzić się od złego
człowieka, żeby cię nie nadszedł. Przydać należy, że skoro tego
co mi było najmilszem, znaleźć już na świecie nie mogę, cóż
mię tam rozrywać i zabawiać może. Ta myśl ze mną do stołu
siada, z nią się spać kładę. Mam domek dość wygodny, i nikomu
pałaców nie zazdrosczę. Dwie potrawy przy smacznym chle-
bie na objad i dwie na wieszczę, oto już uczta moja. Ani u są-
siadów moich bywając, niczego więcej prócz kaszy a pirogów

nie żądam. W początkach chciało mi się koniecznie przyja-
ciela. Co też to ja za nim nabiegałem się napróżno. Miałem
go już niby, kiedy był nieszczęśliwy, bawiłem go w smutku, ra-
towałem pieniędzmi; trochę potem zapomóżony, zrobił się py-
sznym, i znowu nieszczęśliwy, do mojej uciekał się przyjaźni;
ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się
więcej ku niemu nawrócić nie chciało. Inny sąsiad najwięk-
sze dla mnie miał względy, dopóki w mojej osadzie było cokol-
wiek lasu, którego mu nie żałowałem; ale jak lasu zabrakło,
przez półczwarta roku u mnie nie powstał, on, co dawniej bywał
co tydzień. Pewien magnat, niby z przyjaźni ofiarował mi 3000
dukatów, bylebym moją dziką osadę opuścił, a do śmierci z nim
mieszkał. Podziękowałem za dar tak szczodry, którego przy-
jąć nie mogłem. Ale ponieważ, wnosząc z tego, że Jegomość
mnie lubisz, rzekłem — chętnie zatem odwiedzę go parę razy do
roku, i po parę tygodni bawić u niego będę. Tymczasem po
dniach kilku posprzeczaaliśmy się o coś z sobą — A to pan wi-
dzą lubisz się sprzeczać? rzekł magnat. — Lubić nie lubię, od-
powiedziałem, ale mam prawo, bom pieniędzy nie wziął od Je-
gomości, a które gdybym przyjął, to wdzięczność wbrew prze-
konaniu, możeby mi kazała przywtarzać. Inni moi przyjaciele,
przyszedłszy do urzędu i znaczenia w powiecie, zaraz tonem
dumnym rozmawiać ze mną chcieli, a po upłynionem urzędo-
waniu, kiedy się nowe wybory zbliżały, znowu do mnie z grze-
cznością; ale już mnie więcej na tę swą wędkę nie złapali. Oni
głupi myśleli, że urząd człowieka podnosi, zapominając o tem,
że pokorną cnotą najwyżej się podnosimy. Insi widząc, że mam
jakąś między ludźmi powagę, nazywali mnie przed drugimi
przyjacielem swoim, co mnie jeszcze gniewało i wstydziło, bo
byli niecnotliwymi. Inni nakoniec ubiegali się z grzecznosciami
za mną, w nadziei, że co na ich pochwałę napiszę, a drukiem
ich uwiecznię; ale po wierszach moich pod tytułem: żale Sar-
maty żadnych innych nie pisałem.

— Nie szło mi lepiej w przyjaźniach mych z płcią piękną. Pe-
wna magnatka naprzykład, zawsze mię w oczy chwaliła i najgrze-
czniejsze do mnie pisywała listy, a pieniędzy moich, od lat kil-
kunastu mi należnych, odebrać od niej nie mogłem, i jeszcze
mię na procesie krzywdziła. Inna, równie bogata, ale dumna

nad miarę, zwała mię także przyjacielem swoim, a za ten tytuł łaskawy wymagała tylko, żebym jej się uniżał i nadskakiwał wszędzie, jak gdyby przyjaźń rzetelna kłamstwem i pochlebstwem żyć mogła. Inna za lat młodszych sama mi się oświadczała z miłością, a nawet gotową była zawrzeć ze mną śluby małżeńskie, ale pod warunkiem, że przy swoim nazwisku pozostanie; więc też jej poradziłem, żeby się z tą propozycją do którego ze swoich hajduków udała, a może jej pójdzie i snadniej i składniej. Inna nakoniec, grząc na swoich służących zastawiała się mną obecnym. Nieprawdaż, mówiła, że samo pismo święte panów zowie ziemskimi bogami, i jak bogów poważać ich każe? Prawda, odpowiedziałem, ale to było wtenczas, gdy na ziemi czczono bałwany.

— W tęsknicy domowej osobności najwięcej rozrywało mię czytanie. Od czasu do czasu pisałem prozą, jednakże i na tej to mojej leśnej osadzie przełożyłem z francuzkiego: O wierze, prawach, i obyczajach Indyanów, i ułożyłem najulubieńszą książkę moją: Rozmowy Platona z uczniami swemi. Miałem na myśli kilka innych przedmiotów, ale czarna melancholja, która im dalej zachodziłem w lata, tym ona mnie srożej dręczyła, wytrącała mi pióro z ręki. —

Szkoda wielka zapewne, że Karpiński zmuszony trudnić się przez lat wiele niewdzięcznem nauczycielstwem, a potem mizolnem i ciężkiem gospodarstwem nie mógł całego czasu swego poświęcić piśmiennictwie, ale jeżeli o jego sławę i zasługę idzie, to gdyby nie zostało po nim tylko same sielanki, tylko same pienia nabożne, tylko jedno: Otóż mój dom ubogi! nie byłby przeto mniej sławnym i zasłużonym w narodzie. Nie ma podobno, mówi J. Moraczewski, drugiego między pisarzami naszymi, o którego dziełach lub życiu mielibyśmy tyle pism, tyle artykułów, co o dziełach lub życiu Karpińskiego. To ostatnie szczególniej dostarczyło było przedmiotu do tyłu zajmujących opisów, wiadomości, nawet powieści rozrzuconych po naszych pismach czasowych, dawniejszych i terazniejszych, że już to samo jest najwyższą jego pochwałą, najpiękniejszym i najszczytniejszym pomnikiem. I w rzeczy samej, nowsi zwłaszcza nasi pisarze nie mogli nie zajmować się człowiekiem, który pełen staropolskiej prostoty i szczeroty, pełen ujmującej rzewności,

odśpiewał najprzód w sielankach swój żywot cały, żywot niebłyszczący nadzwyczajnymi zdarzeniami, a przecież tak rozmaity i przez swój tok tak odpowiadający młodzieńczym marzeniom, że młodzież musiała w nim odpoznać i ukochać poetę serca. — Skołatany wiekiem, pisze o nim uczeń swojego mistrza — Kazimierz Brodziński, tem się orzeźwiał i cieszył, że młodzież dawne jego pieśni śpiewała; w pociechach religijnych tę niepospolitą czuł słodycz, że tkliwie jego pienia lud prosty w kościołach i przy pracy powtarzał. Nie odmówili zasługi należnej Karpińskiemu poprzednio o nim mówiący: Potocki, Bentkowski i Euzebiusz Słowacki. — Szczególniej, mówi z tych ostatni, każda Karpińskiego sielanka ma tę czarującą przyjemność, która ją zawsze nową czynić umie; już ją umiemy na pamięć, a przecież z rozkoszą słuchamy jej powtórzenia. Wszystkie jego poezye mają ten wdzięk słodki, ten powab ukryty, który wiąże w czytaniu, i którym zachwyceni przebaczymy wady lub ich nie dostrzegamy i nie przestajemy na jednym odczytaniu, a w każdym powtarzaniu odkrywamy nowe powaby. On jeden dotąd umiał dla nas wznowić pamięć ojca rymotworstwa polskiego, on jeden ze wszystkich współczesnych sobie poetów, zamiast popisywać się z wyobraźnią, wolał, zstąpić do głębi serca ludzkiego, aby je tkliwie wzruszyć i rozrzewnić. Ztąd on słusznie nazwany jest poetą serca. Książd Jędrzej Kornilowicz, któremu należy się zasługa, że pierwszy o życiu Karpińskiego (Wilno 1827 r.) obszerniejsze podał szczegóły i miał przytem zaszczyt uczcić je mową pogrzebną — Dzieła Karpińskiego, powiada, już osądziła publiczność; prawdziwie lepszego sądu nikt sobie życzyć nie może, bo jego pisma są w rękę wszystkich, jego pienia w ustach wszystkich, i sam czas wszystko niszczący nie zdoła zniszczyć tego, co w sercach zapisanem zostało; kto był szczęśliwszym nad niego w naturalnem wylaniu swoich uczuć? Wszakże to co napisał podoba się każdemu. Inni starali się o dobór wyrazów, on chciał być pełnym uczucia, on jedynie ku temu wszelkie swoje usiłowania zwracał, ażeby serce poruszył. Ztąd, gdy pisał, tak dalece bywał wzruszony, że łzy mu pióro skrapiały; ztąd to pisma jego tkliwie z piersi dobywają westchnienia, i ztąd to, czytając je, doznajemy jakiejś niepojętej rozkoszy, która mile zajmując serce, raz do niego się wkradłszy,

już w niem lubi przebywać na zawsze. — Jak wszyscy dawniejsi oceniacze pism Karpińskiego, tak podobnież wszyscy prawie późniejsi tajemnice ich popularności odgadują w ich serdeczności. — On jeden, ze swojego wieku, powiada J. I. Kraszewski, w *Obrazach życia i podróży*, Wilno 1836 r., przemawia do serc, bo cała plejada jego współczesnych, którzy pieli pieśni konwencyonalne, pieśni odlane w formie zużytej, wytartej i starej, złożonej z ogryzków myśli i ułamków, nie ma w sobie elementu serdecznego, nic, z czemby można sympatyzować. Jak na zimno tworzyli i szlifowali swe dzieła, tak się na zimno je czyta. Jako artyści mają oni swoje zalety, lecz artysta, tylko artysta czem być może dla tłumu, jak może być popularnym, gdy jedynie ma formę artystyczną na celu? Naruszewicz więc, Trembecki, w części Krasicki nie są popularni, a Karpiński nim jest, niezbite są tego dowody, bo on czerpał z serca, bo uczuty sercem być może, kiedy tamci tylko rozumem. Czemże się przejmie czytelnik dzisiejszy w Naruszewiczu, Trembeckim i t. d. — Czy odami do Króla? Do Jaśnie Oświeconych i Jaśnie Wielmożnych Panów? Do piesków J. O. i J. W.? Odami na pokoje, imieniny, portrety, medale, urodziny, zaślubiny??? Okoliczności, do których przyklejone były te poezye? z którymi one poszły w przepaść, i z tej tylko to ciekawe napisy nagrobowe, jako materyał historyczny wyglądają. Całkiem przeciwne w Karpińskim: *Justyna*, *Tęsknota za nią*, *Ubolewanie nad losem*, *Żale rozstania*, *Żale po latach ubiegłej młodości* i t. p. w czyjemże nie odbijają się sercu? Kto nie kochał? kto lat nie oplakał nadziei? kto nie westchnął nad biegiem czasu za którego mgłą tak się wszystko czarownem wydaje? — Powiem więcej, dodaje J. I. Kraszewski, w tym wieku, w którym pisał Karpiński, gdyby on był czemś więcej niż był, gdyby był narodowym (czem wówczas nikt nie był całkowicie, bo wszyscy żyli myślą w kraju konwencyonalnym na parniasie kosmopolitycznym), gdyby nim był, można ręczyć, żeby go nikt nie uczył, nie zrozumiał, nie chwalił, bo wiek on nie był jeszcze przysposobiony do poznania poezyi wyrosłej z ziemi własnej, bez pomocy obcego słońca i cudzych wzorów i wpływów. Karpiński jest dla Kraszewskiego poetą niepospolitem w tem, że umiał

w wieku zimnym, formalistycznym, w wieku frazesów i dowcipnych facecyi poetycznych pisać z żywego serca.

Bywałem z rodzicami mojemu w Kraśniku, czyli w Karpinie, w którym jak za świętych czasów patryarchalnych był Karpiński ojcem, rządcą, prawodawcą owej jedynej w swym rodzaju osady. Miłość, ludzkość, braterstwo, sprawiedliwość, nęciły do niej ze wsi okolicznych rolników, którym nasz rolnik-poeta wydzielał, czyli odstępował część roli swojej, dopomagał im w pobudynkach, oświecał w gospodarstwie, przepisywał ustawy dotyczące porządku, pracy i obyczajności, i z każdym dniem przekonywał się dowodniej, i to głosił publicznie, że braterskie obchodzenie się z ludem ani go psuje, ani gospodarzowi dobru i rządnemu uszczerbku nie przynosi.

Najwymowniejsze osobiste doświadczenie i przeświadczenie. Nie było w domu naszego osadnika Białowiezkiego zbyt wiele, przesady i wykwińców, ale był dostatek, ale była swoboda i wygodność:

Z swej obory miał mięso, z ogrodu jarzynę,

Z domu napój i wierną przy boku drużynę!

Właśnie w tych czasach domowa okoliczność nastęrczyła naszemu poecie serca, sposobność ukazania na jawie, co było ukryte w sercu, a co inny poeta oddał tak dobitnie w tych kilku wyrazach serca:

Miej serce i patrzaj w serce!!!

Właśnie w tych czasach, powiadam, wydał nasz poeta za mąż wnukę swą po kądzieli, bo po mieczu, jako sam nie żonaty, i po bracie, który był księdzem katolickim, pokolenia mieć nie mógł; i on, co unikał tak skrzętnie towarzystwa, co przed niem krył się w gęstym ostępie puszczy Białowiezkiej, teraz na wszystkie strony porozsyłał listy pocztą i umyślnemi, zapraszając do siebie sąsiedztwo i niesąsiedztwo, bliższych i dalszych przyjaciół i półprzyjaciół; — bo co nieprzyjaciół, w ścisłem tego słowa znaczeniu, to mieć wcale nie mógł, bo to już za owych czasów było w zwyczaju, że i najgorszy przeciw cnocie jawnie występować nie śmiał, owszem, szarpiąc ją i spotwarzając pokątnie, słał się i kłaniał przed nią publicznie.

Owóż tedy, zebrało się na wesele wnuki Karpińskiego tyle obywatelstwa, że kiedy to wszystko od wszystkich stron świata, od wschodu i zachodu, od północy i południa, z bliska i z daleka

z pól i z puszczy, ciągnąc do Kraśnika poczęło, nie jeden myślał a pytał, gdzie się tam to wszystko pomieści? Pomieściło się wszakże, i pomieściło tak dobrze, iż prawie rzeczy można, że musiał być na weselu onem poeta, który mógł to napisać:

Wielkie domy za granicą,
 A w nich ciasno choć nie ludno;
 U nas mury się nie świecą,
 A o kącik nie tak trudno.
 Ledwie człekby czasem wierzył:
 Dom nie wielki — wtem gość wchodzi,
 Ot i domek się rozszerzył
 I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

Przybył drugi i dziesiąty,
 I nie ciasno jest nikomu;
 Wyprzątnięto wszystkie kąty,
 Coraz szerzej w małym domu.
 Zda się że pan domu sobie,
 Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
 A on tylko w domu tobie,
 Drzwi i serce swe otworzył.

Gdy już wszystko do ślubu przygotowanem było, i panna młoda schylała się do nóg dziadowskich, prosząc o błogosławieństwo na drogę do nowego żywota, dziadek podał jej ułożone przez siebie i własną ręką spisane przestrogi, a które potem całą okolicę obiegając, i przez wszystkie ręce przepisywane były treści następującej:

— Najpierwej o tem pamiętaj zawsze, wnuko moja kochana, że Bóg widzi wszystko co robisz, a tak robić będziesz to tylko, co Bóg lubi.

— Szanuj matkę męża twojego jak swoją. Ty nie masz już swojej. A wiedz o tem, że łyzy płaczące na dziecię swojej matki, ciężko ją obarczają przed Bogiem. Bądź dla niej najprzychylniejszą w każdym zdarzeniu służebnicą. Szanuj i rodzinę męża twojego, ona już jest twoją, a my daleko od siebie odsunięci będziemy.

— Jeżeliby mąż twój był kiedy gniewny na ciebie, a miał przyczynę gniewu, pamiętaj, że upokorzenie się miękczy gniewy największe. A jeżeliby przyczyny nie miał, nie odpowiadaj mu zaraz, iżes niewinna, ale aż z gniewu ochłonie; a tak on cię potem przeproszać będzie. Małżonkowie niecierpliwi są jak dwie główne rozpalone, które im bliżej siebie, tym bardziej wzajem się niszczą.

— Strzeż się gniewu nawet przeciwko obcym. Kobieta zagniewana przestaje być kobietą, a zacięcie się kobiety w gniewie jest tylko dowodem, że poznała złe swoje, lecz się przyznać do niego nie chce.

— Chroni się wdawać w poufałość z młodzieżą, a jeszcze nieobyczajną, bo choćby była niewinną, popadniesz w podejrzenie, a podejrzenie poda cię światu w pogardę.

— Jeżeli ci Bóg da dzieci, chowaj je w zasadach naszej wiary świętej. Niechaj najpierwszem ich oświeceniem będzie: mówić i pełnić prawdę, a tak Bóg je ulubi i pobłogosławi jak swoje dzieci, bo On jest ojcem prawdy.

— Szukaj towarzystwa z uczciwymi tylko kobietami, a będziesz miana za uczciwą.

— W sprzeczkach ustępuj upartym, a będziesz miana za grzeczną.

— Zaletą płci niewinnej jest skromność; niech tę widać będzie i w słowach i w ułożeniu, i w ubraniu się twojem; wstydliva żona i męża swojego się wstydzi.

— Dbaj w każdym zdarzeniu o cześć męża twojego, bo to czią twoją także jest. A najlepiej się obronicie od obmawiania ludzkiego niewinnością życia waszego.

— Nie próżnuj ile możności nigdy, zawsze się czem użytecznem zatrudniając, bo próżnowanie jest drogą do wielu występków.

— Wejście do małżeństwa jest usłane kwiatami, ale wstąpiwszy za próg, czasem i ciernie i głogi się znajdują. Jeżelibyś na nie kiedy napadła, ty masz je statkiem i cnotą pokruszyć. Nie masz ty posagów wielkich, ale najlepiej wyposażona każda, która w dom męża wnosi statek i skromne cnoty.

— Nie na samej z mężem przedstawajcie miłości; przyjaźń i szacunek wam potrzebniejsze do śmierci, i te niech zawsze idą przed miłością.

— Pamiętaj o wspieraniu jak będziesz mogła ubogich i nie-
szczęśliwych, ich to modlitwy najprędzej stają przed Bogiem,
i wyjednają ci z mężem życie szczęśliwe i długie.

— Nie zapominaj o mnie, który ci te przestrogi pod błogo-
sławieństwem daję, ażeby ci wraz z mężem twoim, przy dłu-
giem życiu i pomyślnościach, nie zbywało w domu na wygo-
dach, między ludźmi na przyjaciółach, a przed Bogiem na za-
słudze, za którą idzie nagroda. — »

Powiedziałem, że na wesele zjechała się cała okolica; teraz
powiem, jak się ta cała okolica pomieściła w małej osadzie Kra-
śnika.

Było to w pierwszych dnia czerwca, a więc właśnie w tej
porze roku, w której wszędzie u nas pomieścić się można —
w dzień, w ogrodzie pod cieniem drzew, na murawie łąk kwie-
ciem i zielonością strojnych; w nocy w szopie, w stodole
i wszędzie.

Nie przestała jednakże tą razą na tych dogodnościach serdecz-
na gościnność gospodarza.

W Kraśniku maleńki był domek. Dwa daszki z gankami,
dwoje drzwi, żadnego okna od dziedzińca — oto powierzchow-
na jego postać; za nim gęsty las jodeł, w koło wytrzebione
pola ocienione lasami; las i las na wszystkie strony. Zaprawdę,
za sielanki zapłacono sielanką, kawałkiem prostej ziemi, za ka-
wałek prostej i prostodusznej poezyi. Inne były nagrody innych
owoczesnych poetów, ale jakże też poezye ich inne? Ile tam
ód, ile kadzidła w jednym tylko tomie?

W domku takim maleńkim trzeba jednak było wszystkich
gości pomieścić. Więc na lewo i na prawo maleńkiego domku,
stanęły dwa obszerne pawilony zielone; zielone powiadam, bo
o ścianach i dachach z jedliny mchów i wrzosów. Tam mieścili
się goście, a zaś szopy oraz stodoły, w tym czasie próżne jeszcze,
przeznaczone były na stajnie, wozownie i noclegi dla służby.
Oględny gospodarz nie zapomniał o potrzebie ostrzeżenia swych
gości, żeby się, czego im dać nie mógł, nie spodziewali, więc
z nad bramy wjazdowej uderzył napis w oczy:

— Prostack jestem z urodzenia,
Po prostu myślę i czuję,

Prosty sposób mój myślenia,
Po prostu was też przyjmuję. —

Było też istotnie wszystko po prostu. Serce proste ale otwarte. Myśli proste ale uczciwe. Mowa prosta ale przystojna. Sprzęty proste lecz czyste i jądło proste lecz zdrowe. Przyjęcie proste ale szczerze, [uprzejme i serdeczne. Kto zaś wie, że u nas spać na ziemi, a jeszcze pokotem, to uciecha jedyna z najmilszych, i że każdy pościel z sobą przywozi, albo rad przestaje na każdej jaką mu dadzą, ten snadno pojmie, że na weselu w Kraśniku było wszystkim wygodnie, a było tej wygody cały tydzień i więcej.

Lubo Karpiński szczerze się był przywiązał do dzikiej osady swojej i lat 50, na które mu przyznana była, mogły już być dla jego życia wystarczające, że jednakże życzeniem jego było, pozostawić swoją rodzinę przy stałym majątku, nabył więc w powiecie Wołkowyskim pod Łyskowem, wieś Chorowszczyznę, do której w 1819 roku z całą swoją rodziną się przeniósł.

Chorowszczyzna w pięknej i żyznej leżała okolicy. Grunta dobre, łąk i lasu dostatek, strumień tuż po za dworem płynący, dodawał świeżości powietrzu i wiecznym a lekkim szmerem swoim ożywiał i umiłał spokojność ciszy wiejskiej; dwór obszerny, zabudowania gospodarskie porządne, lud zresztą uczciwy, pracowity i wdzięczny. Jednej tylko brakło Karpińskiemu przyjemności w Chorowszczyźnie, kościoła, do którego radby uczęszczał, a z powodu coraz wzrastającego osłabienia, do parafialnego w Łyskowie, acz tylko ćwierć mili położonego, udawać się nie mógł. Zapobiegał tej niedogodności wszakże, dbały o uprzyjemnienie ostatnich chwil dziadka swojego, wnuk jego po rodzonej siostrze, na spadkobiercę przeznaczony, sprowadzając do Chorowszczyzny, do pokoju dziadka, przed samo łóżko jego, kościół Łyskowski, a to w sposób następujący:

Właśnie zbliżał się 4ty października, dzień imienin Franciszka Karpińskiego, zwykle z wielką uroczystością w rodzinie jego obchodzony, na które to imieniny zjeżdżali się także przyjaciele i życzliwi sąsiedzi, a o których, że tą razą liczniej się jeszcze zgromadzają, nie było wątpliwości.

. Otóż, okna pokoju Karpińskiego i łożo, którego prawie już

nie opuszczał, obrócone były jak raz ku stronie, kędy leżał kościół Łyskowski, ale którego widok zakrywał las okoliczny, a do Chorowszczyzny należący. Tkliwy wnuk kazał w prostej linii trybę przez cały las wyciąć, i tylko na samym brzegu kilka drzew podciętych zostawić, które paść miały za danym znakiem w dzień imienin dziadka — i kościół mu Łyskowski odsłonić. Kiedy więc wnuki i wnuczki, prawnuki i prawnuczki, oraz cała rodzina i zgromadzeni goście z wieńcami, bukietami, robótkami i różnego rodzaju podarkami, zebrali się w pokoju solenizanta, i złożyły mu swe życzenia, a on im za nie z rozrzewnieniem dziękował, — Pozwól dziaduniu, ozwał się wnuk natenczas, że cię teraz z tem łóżem przeniesiemy ku oknu, i prosić będziem abyś patrzył tam w stronę, kędy kościół Łyskowski; a co gdy według życzenia wnuka się stało, a na znak umówiony opadły ostatnie drzewa podcięte, i w ich roztworzu ukazał się kościół Łyskowski, ucieszenie Karpińskiego było tak wielkie, że cały zalał się łzami, a potem tkliwym głosem: Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, zawołał, błogosławił to wnuczę moje, albowiem oto zgotowało mi pociechę, nad którą być nie mogło miłszej dla mnie pociechy.

Odtąd codzień już co rano i co wieczór z gitarą w ręku, do kościoła odwrócony, starzec wzrok swój stygnący weń wlepiając, śpiewał głosem niktającym pieśni swego układu, zawsze błagając Boga, ażeby błogosławił wnuka, który mu tę pociechę zgotował.

Mimo dotkliwych cierpień ciała, których przy schyłku dni swoich doznawał Karpiński, okazywał jednakże nadzwyczajną na nie wytrwałność, niekiedy nawet do zadziwienia był wesołym i żartobliwym. Z całej bo też postaci jego było szczególniejsze ujęcie: chwili potrzeba było, żeby serca wszystkich pociągnął ku sobie. Wzrostu był miernego, tuszy szczuplej, czoło miał wyniosłe, oczy jasne niebieskie, twarz pociągłą, głowę o włosach jak śnieg białych a jednakże nie łysą. Wszakże nade wszystko zdobiły go piękne przymioty duszy i serca, które połączone z głębokiem wykształceniem umysłu, czyniły towarzystwo jego nad wszelkie wypowiedzenie ujmującym i miłym. Czułość na nędzę bliźnich górowała w nim może nad inne jeszcze cnoty. Sam szczuplego majątku niósł chętnie nieszczęśliwym ulgę,

dzieląc się z niemi ciężko zapracowanym dobytkiem. Posłuszny zalecenia ojca, szedł zawsze prawdą na świecie, chociaż ta droga wiodła go nieraz do nieprzyjemności i zmartwień, i aż do śmierci pamiętał na wiersz swój, z tej okoliczności napisany, i lubił go sobie powtarzać:

— Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie
Idź, mówił, synu na świat; w której będziesz stronie,
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci,
Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci.
Słuchałem cię ojciec mój, goszcząc między pany,
Takem pisał i mówił jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel, ludzkie głosić winy,
A jeśli kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu,
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto święta cnota, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nie dajesz mi chleba.
Choćby mi jeszcze szczęście wolniej miało pociec,
Bo i z prawdą jest pięknie i tak kazał ojciec. —

Na kilka dni przed zgonem opanował Karpińskiego sen nadzwyczajny, którym zasnął nareszcie dnia 16 Września 1821 r. w 84tym roku swego życia. Testament wcześniej wygotował, w którym zbawienne dawszy poradne upominki wnukom i prawnukom swoim, ten jeszcze zostawił wiekopomny czyn swojej ludzkości, że uwolnił swych wieśniaków poddanych, od płacenia jakichkolwiek rządowi podatków, wkładając ten obowiązek na wnuka, swojego spadkobiercę, i na jego potomność.

Zwłoki Karpińskiego stósownie do życzenia jego, pochowane zostały na cmentarzu kościelnym w Łyskowie, na ścieżce do zakrystyi prowadzącej, by każdy z przechodzących myśląc o nim, przesłał za nim do tronu litości, litościwe westchnienie. A zaś na grobie też spełniając jego życzenie, położono prosty kamień z wyrytym na nim napisem: Otóż mój dom ubogi! Wszakże J. I. Kraszewski sądzi: iż stósowniejsze miejsce dla grobu Karpińskiego było w Kraśniku. — Tam, w kątku prostym, kamiennym płotem opasanym, tam było jego miejsce, po-

wiada, na ziemi, którą oblał swym potem, rękami uprawił, pieśniami wstawił. Tam, gdzie dotąd dwa wiersze nad bramką nie zupełnie jeszcze zatarte, przypominają poetę uczuć smutnych, spokojnych, łzawych, serdecznych:

Trzeba było odpocząć utrudzonym w biegu,
I my tu nie zawsze, tylko na noclegu.

— Pokój prostej duszy jego! Boć on był z onej liczby ludzi, którym świat z ucisku swego zostawił kolce w piersiach i marszczki na czole! —

WIECZOR TRZECI.

WYCHOWANIE PUBLICZNE.



WIECZÓR TRZECI.

WYCHOWANIE PUBLICZNE.

Co lepsze: wychowanie domowe czy publiczne? — Różnice wychowania a oświecenia. — Pogląd na wychowanie i na oświecenie w ogólności i w szczególności. — Szkoły polskie najpierwsze. — Chrześcijaństwo. — Akademia Krakowska i Jesuici. — Akademije w Wilnie i w Zamościu. — Szkoły Pijarskie. — Reforma i Konarski. — Klasztor św. Kazimierza i Qui pro quo z Żywota Franciszka Karpińskiego. — Żywot księdza Pijara Stanisława Konarskiego.

»Disce puer, faciam te: Mościpanie.«
STEFAN BATORY, Rex Poloniae,
m. p.

»Wychowanie domowe dać dobrego człowieka, wychowanie publiczne winno społeczeństwu dać dobrego obywatela.«
STANISŁAW STASZYC.

»Nie ten, co wielkość całą gruntując w dowcipie,
Rad tylko że swe imię szeroko rozsypie,
I że barki księgarzom swemi pismy zgarbi,
Nie taki ziomek serca na wieczność zaskarbi,
Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodak żyje między braćmi.«
ADAM MICKIEWICZ do JOACHIMA LELEWELA.

Co głowa, to rozum — mówi stare przysłowie. Nic dziwnego, że jak na wiele prawd jasnych jak słońce, tak też i na to nie ma dotąd jeszcze zgody zupełnej, co lepsze: wychowanie domowe, czy publiczne?

Żeby odpowiedź była jasną, trzeba przedewszystkiem samo

zapytanie wyjaśnić, czyli z góry powiedzieć: co rozumieć mamy przez wychowanie?

Otóż, wychowanie, w zwyczajnem tego słowa pojęciu, znaczy: piastowanie, pielęgnowanie, uprawianie i hodowanie, czyli staranie około rodu, wzrostu, rozwinięcia i udoskonalenia zdolności przyrodzonych stworzenia, i to równie w odniesieniu do ludzi, jak do wszelkich zwierząt i roślin, czy wszelkiego żyjącego jestestwa; — bo człowiek pod tym względem jest na podobieństwo zwierzęcia i rośliny.

Jak zwierzę i roślina, tak podobnież i człowiek rodzi się, rośnie, rozwija, doskonali, żyje i umiera.

Ale zwierzęta i rośliny, jako istoty nie obdarzone pojęciem, czyli wiadomością dobrego i złego, nie mogą dojść do stanu rozwinięcia i doskonałości, do których może dojść człowiek, jako jedno i jedyne stworzenie na obraz i podobieństwo Boga, czyli jedynej i najwyższej doskonałości, rozwijać się i doskonalić mogące.

Wszystko wprawdzie co żyje, rozwija się i doskonali, więc roślina, zwierzę i człowiek.

Ale roślina wychowaniem może się tylko uprawić.

Zwierzę uprawić i czegoś się wyczyć, czyli ułożyć.

Sam jeden człowiek może się przytem oświecić.

Ztąd mówimy:

Wychowanie czyli Uprawa roślin.

Wychowanie czyli Hodowanie i Układanie zwierząt.

Wychowanie czyli Oświecanie Człowieka.

W człowieku zatem są dwie rzeczy do rozwinięcia i udoskonalenia: ciało i duch.

Zachody, czyli starania około ciała stanowią wychowanie — *educatio*.

Zachody czyli wychowanie około ducha, stanowią oświecenie — *instructio*.

Do pierwszego należy wypiastować i wzmocnić ciało, rozwiniąć jego członki, ustalić i zapewnić mu zdrowie i siły; do drugiego wykształcić serce, oświecić rozum, zgodzić serce z rozumem, czyli rozwiniąć, wydoskonalić i zespolić przyrodzone zdolności ducha i ciała.

Nie są to wszakże dwa rodzaje rozwoju, lecz raczej dwa spo-

soby, dwa środki, które z sobą łączyć należy. Samo wychowanie cielesne, fizyczne czyli materyjalne, same skutki zwierzęce sprowadziłyby. Samo oświecenie duchowe, moralne czyli intelektualne sprowadziłyby zaniedbanie i osłabienie cielesne, i następnie upadek ciała i ducha; — duch bowiem w zdrowem tylko ciele doskonalić się może. *Mens sana in corpore sano*, mawiali starożytni.

Wiele mówić można przeciw przyrodzie, ale tego wszakże nikt zaprzeczyć nie zdoła, iż przyroda nie jest macochą, ale matką litośną, przezorną i opatrzną, i że człowiek zajej głosem idący pewnie się w drodze nie zbłąka i w środkach nie omyli, bo matka przyroda równie dba o ciało jak o ducha swego niemowlęcia, które człowiekiem się zowie. Na nieszczęście, człowiek w ciągłej jest walce z przyrodą. Powietrze, którem oddycha, izby, w których dnie i noce przepędza, pokarmy, któremi się zasila, utrzymuje i żyje — ruch, zabawy, rozrywki, ubiór, obuwie, na jakże małą zdają się zasługiwać uwagę? A tymczasem złe powietrze, złe pożywienie, zaniedbane ochędóstwo, brak ruchu i rozrywek, obuwie niedogodne, jedna nieszczęśliwa sznurówka, iluż nie bywały i nie są do dziś jeszcze powodem i przyczyną kalectw, chorób i dolegliwości na całe życie?

Z zaniedbaniem około ciała, szło zawsze w porze zaniedbanie około ducha. Nic, coby przemawiało do serca, a tem mniej do rozumu, wszędzie czcza igraszka wyrazów. Nie dla moralności, nie dla prawdy; bo wychowanie czyli oświecenie duchowe zamiast podnosić myśl i obudzać szlachetne czucia, zamiast być nauką rozwijającą w człowieku największą mądrość Boga, zeszło było na rozprawy, zdolne tylko głuszyć sumienie, krzywić sąd przyrodzony i schlebiać zachciankom namiejętności. Życie do siebie odniesione, wydzielenie się z społeczeństwa i nienawiść świata, które koniecznie prowadzić musiały do samolubstwa i pogardy obowiązków publicznych; a przytem czyż podobna zataić? to oświecenie tak już w sobie obmierzłe i odpychające, odbywało się wśród kar ciągłych i tak ohydnych, jak gdyby chciano znikczemnić i zezwierzęcić człowieka niepowrotnie.

Zaiste, ze sposobu oświecenia tak sprzecznego z przyrodą, nie mogła się rozwinąć ani świadomość społeczeństwa, oraz cnót społeczęńskich, ani nawet społeczeńska moralność. Zdało

się, że zadaniem nauki było przedłużenie stanu dzikości, zapobieganie rodzeniu się i tworzeniu myśli rodzących i krzewiących, któremi przyroda ze wszech stron chciała natchnąć człowieka, i które następnie miały mu objawić prawdziwe warunki bytu społecznego, dla którego on był stworzony. I tu leży przyczyna tego wiecznie rzucanego a nigdy nierozstrzygniętego pytania, co lepsze: wychowanie domowe czy publiczne? chociaż spółzawodnictwo czyli emulacya uczniów, dostateczność i dobór nauczycieli, podręczność środków, bibliotek i gabinetów, oderwanie się od nieuniknionych przeszkód domowych — trzeba przyznać, nie dopuszczały żadnego w zasadzie wahania się w tym względzie. A jednak się wahano, a jednak pomieszanie zdań i języków do tego doszło stopnia, że ludzie, którzy najlepiej i najgłębiej z tym przedmiotem obeznani być winni, puszczali się na bezdroża, z których potem, ani siebie, ani społeczeństwa wyprowadzić nie mogli. Rousseau, przerażony wychowaniem publicznem, w swej szlachetnej troskliwości o zachowanie familii, radby przy niej jak najdłużej swego wychowawca zatrzymać. Voltaire, przedewszystkiem chcący w człowieku widzieć bywalca i światowca, chciałby z kolebką zanieść go do szkoły publicznej, byle tylko świeckiej nie księżej, kiedy znów Chateaubriand, dręczony obawami o religię, zgodziłby się na oddanie w ręce księży raz na zawsze wszystkiego, wszystkiej męskiej młodzieży.

A wszakże sam rozkład i znaczenie wyrazów zdawały się rozkładać i oznaczać rzecz samą. Któż od matki lepiej dziecię wychować może? kto dziecku matkę zastąpi? Dopóki zatem idzie o samo wychowanie, dopóki jeszcze dziecię przyjąć oświecenia czyli oświeconem być nie może, dopóty, chociażby matka dać żadnego oświecenia swemu dziecku nie mogła, gdzie być może dla niego stósowniejsze, gdzie miłsze i z prawami przyrody zgodniejsze miejsce, jeżeli nie na macierzyńskim łonie, i przy macierzyńskiej piersi? Istotnie, dziecię niemowlę, dziecię niepoznuwające się i jeszcze niepojmujące się, wyrwać z rąk matki, z jej czuwania, z jej pieczy, z jej opieki i wpływu, jestto gwałt zadawać przyrodzie, jestto gwałtem przeciw się rozporządzeniom i postanowieniom Opatrzności. Od chwili tego rozdziału zrywa się łańcuch rodzinny, którego już nikt potem za-

wiązać nie zdoła, jako nikt raz oderwanego od macicy swej pączka już do niej nie przyklei i owocu nie doczeka się z niego.

Według życzenia przyrody, wychowanie wszelkiego stworzenia rozpoczyna się pod szczególną opieką matki, a rozum zgodnie z przyrodą chce, ażeby matka-kobieta zachowała tę swoją łączność i ten wpływ swój zbawienny nawet wtenczas, kiedy dziecię już pod inną przejdzie opiekę. Kto zrywa ten łańcuch, kto niszczy ten wpływ, ten zrywa i niszczy najdzielniejszy środek ku przygotowaniu człowieka do rozwinięcia w sobie tej doskonałości, na obraz i podobieństwo której stworzonym został; ten odwodzi człowieka od celów przez samego Boga mu zakreślonych, ten jednym słowem idzie naprzeciw woli Boga. Bo i komuż zaiste, jeżeli nie wpływowi kobiet, z niemi naszemu towarzystwu, dozorowi, ich czasu i ich uszu nad nami, winniśmy ową obyczajność, oglądzenie i przyzwoitość w ułożeniu i słowach, oną słodycz w pożyciu, oną delikatność w postępowaniu, ten wdzięk znalezienia się w pośród towarzystwa, a nadewszystko szlachetność i wzniosłość uczuć serca, które są znamieniem domowego wychowania macierzyńskiego.

A jednak ta proskrypcya, ten ostracyzm, to wykluczenie kobiety, nie było nigdy w swoich skutkach tak szkodliwe jak dzisiaj. Dawniej bywało, wykształcenie obyczajności, które stanowiło charakter owoczesny, lubo wykluczone ze szkół, odszukiwało się potem po dworach, gdzie młodzież wyrwawszy się wcześniej z pod alwara i bata, zapoznawała się ze światem, ze zwyczajami i obyczajami światowemi, wprawiała się do życia i pożycia na świecie. Któż w onych czasach nie odbył swej akademii na dworze? Kto się nie kształcił na dworzaninie Łukasza Górnickiego? Ale dziś, kiedy cała przeszłość w posiadach poruszoną została, gdy znikły dawne środki oświaty, jest zaiste słuszną obawa, ażeby ogląda obyczajów, czyli w życiu towarzyskiem przyzwoitość, nie ustąpiła miejsca grubijaństwu i owemu rodzajowi *sans-façon*, nawet w obec kobiet, który sprawia, że zachowanie się młodzieży w towarzystwie już czasem nie zakrawa na gburstwo, ale jest samem gburstwem.

Święteż i błogosławione pierwiastki wychowania macierzyńskiego; miłe sercu w swym czasie i pełne w przyszłości pięknych dla rozumu owoców. Ale oto chromy jako jelenj poskoczył i roz-

wiązał się język niemego, bo oto człowiek-niemowlę wyszedł z stanu biernego, poczyną myśleć, dumać, marzyć i ważyć nawet. Dotąd życie jego było życia przedświtem, bezwiednem współistnieniem we wzecch rzeczy istnieniu, harmoniją światów Platona, życiem bez myśli i bez władzy, bez wiedzy i bez sądu, bez pojęcia i bez uznania, zaczątkiem, kielkiem na życie. Teraz nowonarodzenie wszedł w okres życia innego, uznał się w swem jestestwie, poczuł się w samym sobie. To czas jego tworzydeł, pierwsza poezya człowieka. Wiek wiary i uniesień, uczuć i natchnień. Mrok o blasku posępnem i łagodnem świetle księżyca. Sen zwierciadlany, rajskie widzenie, wiosna żywota, prawdziwa romantyczność. Wiek ideałów, za którym tęskniąc, Bohdan Zaleski woła:

Święć się! święć się wieku młody!
 Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!
 Ideale wiary, cnoty!
 I miłości! I swobody!

Ale teraz młodziana już trudno z jego sercem zatrzymać w domu, przy sercu. On już poczuł, że dla świata na świat rzucony, że mu trzeba współmłodzianów, spółtowarzyszów, 'spółludzi, towarzystwa, społeczeństwa, jednym słowem: życia w ludzkości.

Owóż, samo rozwijanie się człowieka wytyka mu drogę, po której iść winien w swą przyszłość, i rzeczy, pomimo' jego wiedzy, istnieje jako on Anioł opiekuńczy wiedzie go za rękę i szeptem do jego uszu rady najzdrowsze, najlepsze i najzbawienniejsze. Szczęśliwy, kto pójdzie za tym głosem.

Na pozór zdaćby się mogło, że więc teraz, kiedy matka dopełniła swej powinności, przyszła kolej na ojca. Zapewne, ale nie ta, żeby syna w domu zatrzymać, ale go za dom wywieść. Nie ma ojca, jestem najzupełniejszego w tym względzie przeświadczenia, któryby, pomimo wszelkiego uzdolnienia i poświęcenia, mógł dobrze przy swem dziecku nauczycielskiego obowiązku dopełnić. Gdzież jest ojciec, człowiek, tak doskonały, któryby wszystkie z gruntu posiadał rozumy, wszystkie nauki, umiejętności, sztuki, na tyle dziś rozmaitych dzielące się gałęzi,

i w każdej tak posunięte daleko; a wszystkie razem i każdą z nich z osobna nauczyciel z gruntu znaćby powinien; bo gdzież znowu jest dziecię-człowiek, o którymby z góry zawyrokować można, że tylko do tego lub owego stworzony, że więc tylko w tym lub owym przedmiocie rozwijać go i doskonalić należy. A więc, jako żaden z ojców nie może objąć, czyli umieć wszystkiego, tak żaden z nich nie może dać wszystkiego, czego dziecię potrzebować może, a co właśnie w szkole publicznej dopełnieniem być może, gdzie obfitość nauczycieli sprawia, że każdy z nich powinien mieć sobie wydzielony i powierzony do wykładu przedmiot, w którym jest mistrzem skończonym, a gdzie połączenie takich pojedynczych a gruntownych i istotnych zdolności, tworzy ogólną, gruntowną i istotnie uzdolnioną zbiorowość nauczycielską, w której znowu uczniowie, według każdego z nich osobistej zdolności, czerpać mogą dowolnie a z pożytkiem rozmałą naukę.

Owóż, jako wychowanie domowe, w właściwym dla niego czasie, żadnem wychowaniem pozadomowem zastąpione z korzyścią być nie może, tak podobnież i oświecenie publiczne, kiedy na nie czas przyjdzie, nie tylko jest lepszem od domowego, ale jest koniecznem, nieodzownem; — tylko trzeba aby to oświecenie było w zgodzie z przyrodą człowieka i ludzkości, czyli z ich potrzebami i przeznaczeniem.

Na nieszczęście, inaczej świadczą dzieje. Samolubstwo, sektarstwo i przywilej sprawiły, iż oświecenie publiczne przez długie bardzo wieki, było narzędziem widoków osobistych i pastwą rachub prywatnych: że ażeby mózż z niego czerpać, trzeba było urodzić się z rodziców bogactwom lub wysokim urzędem znakomitych. Oświata do takiego zaciśnioną zakresu, była udziałem szczupłej tylko cząstki, a wyjątki jakie za opieką i wpływem możnych zdarzać się mogły, wychodziły także z samego obowiązku wdzięczności, na ich korzyść wyłączną. Nawet w owych sławnych Rzeczpospolitych grzeckich i rzymskich, a które pewnie mniej byłyby sławione, gdyby duch ich urzędzeń lepiej był znany, było dostojenstwo przywilejem do nabycia oświaty, która znowu z swej strony, uświęcając te dostojenstwa, samym tylko uprzywilejowanym otwierała drogę do zaszczytów i urzędów publicznych. Lud szedł wprawdzie głosować na zgro-

madzeniach, ale szedł ciemny, bez żadnego pojęcia rzeczy, o której miał stanowić, bez żadnego uzdolnienia do jej zrozumienia i ocenienia. To udawanie równości i praw wszechwładztwa ludowego, było raczej niegodnem i szydrczem naigrawaniem się z przyrody i praw przyrodzonych człowieka, które przede wszystkim chcą: aby człowiek wiedział co robić, i był w stanie to co robi rozumieć i ocenić. Opatrzność wszystkie dzieła swego stworzenia tak z sobą połączyła i powiązała, że rozdzielone, tracą swą moc i wartość. Równość i wolność bez oświaty; wszechwładztwo albo raczej głosowanie powszechne bez oświaty, jest jako prawo widzenia w człowieku, któremu wydłubano oczy; a zaś oświata bez równości i wolności, jest tylko wolnością poniżenia swego poczucia i idących ztąd cierpień.

Ten stan dziwny społeczeństw, aż do czasów ostatnich, przechował się jednak wszędzie. Wszędzie możni bogactwem, urzędem lub znaczeniem: bogacz, urzędnik i ksiądz, sami tylko mieli prawo oświaty; lud wszędzie był najzupełniej ciemny. Przykuty do ziemi był po prostu narzędziem do jej uprawy na korzyść oświeconych czyli uprzywilejowanych.

Wszakże, co do szlachty, która stanowiła siłę materialną, czyli władzę świecką, i co do duchowieństwa, które stanowiło siłę moralną, czyli było władzą duchowną, trzeba odróżnić te czasy z przed wypraw krzyżowych, od ich czasów po tych wyprawach. Przed tym wielkim wypadkiem, który tak głęboko poruszył i namiętności, ciemnota, mimo prawa oświaty panowała powszechnie. Szlachta oprócz turniejów, o niczem nie myślała i nie wiedziała więcej. Kiedy więc te odległe wyprawy szlachtę wyciągnęły z ich zamków, kiedy poznanie innych ludów dotąd mianych przez nią za dzikie, okazując wyższość ich oświaty, zmusiło ją do wstydu swojej niższości i ciemnoty, natenczas ożywiła się chęć postępu, na którą już tamy nie było. Szkoły, akademie, książki, druki, jednym słowem, wszystkie środki oświaty na wszystkie strony rozprzestrzeniać się zaczęły. Duch współzawodnictwa w naukach i umiejętnościach opanował wszystkich; — i od tej to pory rozpoczyna się ów łańcuch nie przerwany poetów, historyków, mówców, ludzi uczonych, którzy z wieku do wieku potem przenosili postęp oświaty. Światło, po tylowiekowem zaniedbaniu szerzyło się powoli,

pracowicie i ciężko, ale jednakże ciemności rozpraszało. Wyłączność przywileju zaczęła przechodzić na własność i pożytek ogólny; ród ludzki zaczął pojmować, że jest jednym i jednolitym rodem ludzkości, że wszyscy ludzie są ludźmi. Wprawdzie duchowieństwo, które dotąd spokojnie używało owoców swej wyłącznej umysłowej wyższości, nie bez zawiści patrzyło na usiłowania innych ludzi, chcących przyjść z niem do podziału tak korzystnego dziedzictwa, a czując nadewszystko, że stanowisko, które sobie wśród ciemności zdobyło, tracić będzie musiało w miarę szerzącego się światła; duchowieństwo powiadam, okazało się nieprzychylnem postępowi oświaty, i od czasu do czasu dopuszczało się okrutnych prześladowań przeciwko ludziom czynnym a śmiałym, którzy myśl i rozum wyzwolić chcieli; ale ludzkość raz na tę drogę wszedłszy, toczyła się ku swym celom powoli. Tak dawni kapłanowie Egiptu, Grecyi, Rzymu, Galii, przywłaszczyli sobie prawo oświaty, podobnie jak prawo radzenia się Bogów i ogłaszania ich wyroczni, i nie dopuszczali do swoich tajemnic nikogo, oprócz wybrańców, i nikogo nie uczyli niczego, oprócz tego, co go mogło ociemnić, by tem łatwiej i pewniej panować mogli. Ależ to postępowanie kapłanów starożytnego pogaństwa zgodne było z ich wiarą i nauką. Słudzy kłamstwa i błędu, musieli się lękać prawdy i rozumu. Lecz że wyznawcy prawdziwego Boga, musieli przyjąć to haniebne po kapłanach pogańskich dziedzictwo, którem pogardzić i którego wstydzić się należało, to być może tylko dowodem straszliwego ociemnienia, tam nawet gdzie jedynie światło mogło się rozprzestrzeniać.

Tak tedy światło, które według ducha miłościwego Ewangelii chrześcijańskiej, miało być udziałem wszystkich braci, jako dzieci jednego Ojca-Boga, przeszło na dziedzictwo pewnej tylko bardzo szczupłej z nich cząstki, stało się z małym wyjątkiem owocem zakazanym ludzkości. Ale któż odgadnie myśl Boga? Kto zbada tajemnice wyroków boskich, zaczynając od owego owocu zakazanego pierwszym naszym rodzicom w raju? Kto dziś nie wie, że ciż sami zakonnicy pędząc dzisiaj życie samotne, tak skrętnie kryli światło pod korzec dla swego wyłącznego użytku, właśnie tem gromadzeniem, pism starożytnych

przechowywaniem, przyczynili się najwięcej do rozpowszechnienia oświaty dzisiejszej.

Za Grekami i Rzymianami, Gallowie i Germanie czerpali oświatę z tegoż samego źródła, co potem Czechowie, Polacy i Rusini. Ale tamci, jako się wyraża Lukaszewicz Józef w swojej *Historji szkół w Koronie i w Litwie*, a którego słowami posłużyć się niech mi wolno będzie, mieli oświatę pod ręką u sąsiada, kiedy ludy słowiańskie musiały się przedzierać za nią w gminoruchach obcych sobie plemion, przez mnóstwo puszczy i dziczy, albo być żołądnikami cesarzów państwa wschodniego, by zasięgnąć nieco ogłady, i przynieść ją w okolice rodzinne. Temi drogami, tym sposobem przewoziły się do ojców naszych przed szóstym wiekiem, pośrednio albo bezpośrednio, wyobrażenia religijne i społeczne, a z niemi pierwsze zarody uprawy i oświaty. Była więc w Polsce na wiele czasów przed zaprowadzeniem Chrześcijaństwa, oświata odpowiadająca może oświeceniu narodów sąsiednich, ale była tylko dorywczą, częstkową, przemijającą, na podobieństwo tych przenośnych ogników, które w jednym miejscu gasnąc, w innym się okazują i palą, bo nie rozkrzewiała się jeszcze przez szkoły, które u nas są dziełem i zasługą wprowadzonego Chrześcijaństwa.»

Rzecz jasna, że Chrześcijaństwo dostało się do nas w tym samym kształcie, w jakim było na zachodzie w dziesiątym wieku; to jest ze swemi szkołami zakonnymi, które się na trivium i quadrivium dzieliły, a obejmowały siedm nauk wolnych. Trivium trzy: gramatykę, retorykę i dyalektykę. Quadrivium cztery: arytymetykę, geometryę, astrologiję i muzykę. Językiem wykładowym była łacina; wszakże autorów łacińskich tłómaczono na polskie, a w czternastym wieku uczono już po niektórych szkołach języka polskiego i niemieckiego osobno. Obok tego podziału naukowego, dzieliły się jeszcze szkoły ówczesne ze względu na przebywanie młodzieży na wewnętrzne, i interiores, i zewnętrzne, exteriores. Pierwsze były wyłącznie przeznaczone dla młodzieży zakonnej, i przeto wewnątrz zakonu, drugie dla młodzieży świeckiej, w domu jak zwykle przyległym czyli zewnątrz zakonu, ale zawsze pod nauką i dozorem zakonnym.

Czy kobiety odbierały u nas jakie wychowanie przed trzyna-

stym wiekiem, nie wiadoma; że jednakże w tym wieku istniały już w Polsce liczne zakony niewieście: Cysterki, Dominikanki, Franciszkanek, Norbertanki i inne, wnosić więc można, że się u nich córki niektórej szlachty i mieszczan czytały, pisać i rachować uczyły; lubo to pewna, że za Zygmunta I. rzadko która z najznakomitszych pań polskich czytać albo pisać umiała.

Od wieku dwónastego podróże dla nauki do obcych krajów, bardzo się w Polsce upowszechniać zaczęły. Święty Stanisław Szczepański, zakończywszy nauki w Gnieźnie, udał się na dalsze do Paryża. Święty Jacek Odrowąż był na akademii w Bononii i tam został doktorem prawa. Święty Czesław odbywał także nauki w Bononii i w Paryżu. Podobnież Kadłubek Wincenty i jego następca na Biskupstwie Krakowskiem Iwo. Mateusz herbu Cholewa w Rzymie, Mikołaj, Archidijakon Krakowski w Padwie, Marcin Polonus i Witelijan po różnych akademijach włoskich, Bogumił, herbu Poraita w Bambergu i w Paryżu. Skotnicki Jarosław w Bononii i t. d. Paryż był wyłącznie dla zakonników wyznaczony, a których w trzynastym i czternastym wieku tak było wiele w Paryżu, że osobny naród w akademii tamecznej stanowili.

Wiadomo, że akademii w owym czasie nie wolno było założyć bez bulli, czyli pozwolenia Papieża. Pierwsze w tym celu starania rozpoczął był Kazimierz Wielki i uzyskał pozwolenie 1364 roku na założenie akademii czyli tak zwanego studium generale we wsi Bawole pod Krakowem, którą potem za bullą Urbana Vgo, Kazimierzem nazwano. Drugą z kolei akademiją w Polsce, była akademie w Chełmnie założona przez Konrada Zelnera, Wgo Mistrza Krzyżackiego 1387 r., ale obie te akademie długo jakoś rozwinąć się nie mogły. Dopiero za natchnieniem Jadwigi, Władysław Jagiełło uzyskał bullę papieżką 1397 r., na założenie akademii w samym Krakowie przy ulicy św. Anny, której otwarcie jednak nastąpiło dopiero 1400 r., a którą to uroczystość, najpierwszą w swoim rodzaju w Polsce, w ten sposób Putanowicz opisuje:

— W roku więc 1400, w rok prawie po śmierci królowej Jadwigi, w dzień św. Maryi Magdaleny, senatorowie i panowie gromadnie do króla zjechali się. Tegoż dnia rano, między ósmą

i dziewiątą, za danym znakiem, w Kollegium Kazimierowskiem zeszedli się wszystkich dziekanowie wydziałów, profesorowie i rektor ówczesny książę Stanisław ze Skarbimierza, w długą szkarłatną odziany togę, który też zaraz od bedelów poprzedzony, z licznym poczem doktorów, magistrów i młodzieży, udał się na królewski zamek, gdzie go u bramy urzędnicy koronni z uczciwością przyjąwszy, poprowadzili do zamkowego kościoła. Akademicy zastali tu już króla Władysława Jagiełłę otoczonego świetnym dworem, oraz duchownymi dostojnikami, świeckimi i wojskowymi. Po zakończonem solennem nabożeństwie udał się król z całym dworem, urzędnikami i akademikami na zamek, gdzie się zaraz rozpoczęło uroczyste otwarcie Akademii Jagiellońskiej Krakowskiej, pod powagą i przewodnictwem samego króla. Stojący w pośrodku rektor z akademikami dziękował królowi w imieniu całego Narodu Polskiego, za okazaną nad Jego oświeceniem troskliwość i o królewskie opiekuńcze względy na przyszłość nad Akademię upraszał. Zaraz więc Mikołaj z Kurowa Biskup, Włocławski, i przytem Kanclerz Koronny, imieniem Jmci Króla, w cudnie pięknej przemowie rozwodził się, jak bardzo Król w duszy swojej wielką ma dla Akademii i oświaty narodowej przychylność, że pragnie tę Akademię we wszystko co tylko dla niej powodzenia i świetności potrzebnem być może zaopatrzyć i uposażyć, lecz na czele tej stolicy, oraz oświecenia narodowego postawić, i że dla tego wołą jest Króla Jmci: aby Rektor i profesorowie do domu Stefana Panczerza niegdys, a dziś do Korony należącego, natychmiast na mieszkanie przenieśli się, i sam wszystko kosztem Jmci Króla tak urządzili, jak to według siebie za najlepsze osądzą. Rektor złożywszy Królowi dzięki, że miłą niegdys Kazimierzowi Wielkiemu perłę w mieście swoim stólecznem osadzić i utrzymać pragnie, oświadczył nadzieję, iż dali Bóg, tedy Akademia stanie się ozdobą nie tylko stolicy i całego polskiego świata, lecz nawet Chrześcijaństwa. Wziąwszy więc pozwolenie królewskie, zaraz rektor i profesorowie, w posiadanie nowego Kollegium wprowadzeni zostali; przy czem gmach ten w kwiaty, wieńce i drzewne zieleności przyozdobiono, jako przyszły muz Apolina przybytek.

Teraz więc całe staranie na to obrócono, aby jak najprędzej i najdogodniej wewnątrz gmachu urządzić, i drugiego dnia po

św. Jakóbie Akademią otworzyć, zapraszając na tę uroczystość Króla wraz z Senatem i dostojnikami Koronnymi i Litewskimi. Dniem wprzód, ubrani w togi rektor i profesorowie wdzięcznie Króla na otwarcie Akademii zapraszali, nadto oznajmivszy o tej uroczystości po wszystkich kościołach i po wszystkich rogach ulic stolicy. Nazajutrz więc Król z pysznym i długo ciągnącym się orszakiem udał się uroczyście z zamku na ulicę św. Anny, do gmachu akademicznego. Najprzód postępował dwór królewski konno i w świetnych szatach, potem konno i pieszo, wojsko rozmaitej zbroi. Potem szedł rektor w todze purpurowej aksamitnej z takimże mucetem i dalmatyką, a obok niego prawie podobnie przybrany ów sławny Heronim z Pragi, dla urządzenia akademii krakowskiej umyślnie z kilku innymi tamecznymi profesorami zaproszony i sprowadzony. Dalej, dziekanowie i profesorowie również w togach szkarłatnych i galonowych, gęstym poczem halabarników otoczeni. Za nimi senat, biskupi, wojewodowie, kasztelani, w złocistych deljach i kołpakach poprzędzani przez Marszałka Koronnego, za którym ciągnął się długi szereg pełnomocników i posłów od rozmaitych dworów zagranicznych, dalej radców i urzędników stołecznych, i znowu liczne oddziały zbrojne, konno i pieszo, pancerników, halabardników, kopijników, strzałków, łuczników polskich i litewskich, nawet zagranicznych. Po wszystkich oknach, gankach, dachach, placach i ulicach, tłumy ludu zgromadzonego z radośnemi okrzyki i oklaski witały tę przenoszącą się do miasta akademię polską, z Królem polskim na czele, bo nie tylko ci mędrzy i panowie, w szatach szkarłatnych i złocistych stąpający przed Królem, ale i lud biedny z natchnienia i przecucia wiedział, iż to wprowadzają do miasta wieczystą pochodnię, z której jak z żywego źródła rzeczywiste światło po całej Polsce i Litwie rozchodzić się będzie wraz z wiarą chrześcijańską, ludzi cnotliwszymi, więc szczęśliwszymi czyniąc; że ta szkoła kształcąc młodzież w naukach i cnocie dostarczy narodowi mężów do rady i oręża, do oświaty i do kościoła zdolnych, i tym sposobem świetność jego i powodzenie ustali i zapewni.—

Tymczasem orszaku tego nie tylko nowe kolegium przy ulicy św. Anny, ale i cała ulica św. Anny ani nawet i cały ogromny rynek Krakowski ogarnąć nie mógł. Tylko więc Króla

i Senat profesorowie do kolegium wprowadzili, poczem Piotr Wysz, Biskup Krakowski, *Veni Creator* intonował, i zaraz król Jagiełło zasiadł też na przygotowanym tronie, a poważni senatorowie na ławach. A był to wieniec najznakomitszych w polskim narodzie mężów: gdyż oprócz Piotra Wysza, Biskupa Krakowskiego, byli tam: Mikołaj Kurowski, Kujawski — i Wojciech Jastrzembski Poznański Biskupi; Jan z Tenczyna Krakowski, i Jan Tarnowski Sandomierski Kasztelani; Jakób z Koniecpola Sieradzki, Jan Ligęza Łęczycki, Sędziwoj, Kaliski, Maciej, Gniewkowski i Krzesław, Brzeski Wojewodowie; Piotr Kmita Lubelski, Krystyan z Koziegłowy Sandecki, Imramus Zawichostski, Kasztelanowie; i Klemens z Moskorzowa Podkanclerzy koronny. Zaraz więc Mikołaj z Kurowa jako Kanclerz Koronny zaczął czytać przywilej królewski na założenie akademii, piękną łaciną przez Mikołaja z Sandomierza napisany, a który podpisem i pieczęcią Króla opatrzony, wręczył Rektorowi Akademi. Poczem wstąpiwszy na katedrę Piotr Wysz, profesor akademii Kazimierzowskiej, od r. 1392 Biskup Krakowski a teraz na mocy bulli papieżkiej, Kanclerz Akademii Krakowskiej, otworzył nauki tejsze, pierwszą lekcją Kanonicznego Prawa. —

Akademia Krakowska zwyczajem wieku, w którym założoną była, miała całkiem duchowne urządzenie. Na wzór swoich matek, a mianowicie akademii paryskiej i pragskiej, dzieliła się początkowo na akademią wyższą i niższą, a potem na cztery fakultety: teologiczny, prawny, filozoficzny i medyczny; z których głównym i najlepiej uposażonym był teologiczny. — Zaprzeczyć nie można, powiada Łukaszewicz, że akademie Krakowska w piętnastym wieku wychowanie publiczne silnie w kraju podniosła, i oświatę na wschodzie i północy dzielnie krzewić zaczęła. Uczniowie jej brani byli na mistrzów i bakałarzy do wszystkich niemal szkół katedralnych, miejskich i parochijalnych pod nazwiskami zakładów akademickich po różnych miejscach: Pułtusk, Lwowie, Płocku, Warszawie i t. d. pozostających. Powierzano im także wychowanie prywatne synów królewskich i magnackich. Tysiące młodzieży koronnej i litewskiej czyli krajowej, oraz szląskiej, morawskiej, węgier-

skiej. a nawet szwedzkiej, duńskiej i niemieckiej cisnęło się do niej, jako do jedyne go ogniska oświaty na wschodzie i północy. Ale z drugiej strony Akademia pod kanclerstwem księdza Biskupa, pod sterem księdza Rektora, pod nauczycielstwem księży profesorów, stała się instytutem wyłącznie prawie księżym, mającym bardziej na celu interes hierarchii, królestwo niebieskie, niżeli dobro kraju. Teologia, dysputy scholastyczne i brednie astrologiczne, zajmowały ją nadewszystko.

Zdarzało się: że umysł ucznia nieskażony i nieskrzywiony jeszcze ze szczętem, oburzał się na te brednie nauczycielskie. — Przeciw wróżbie gwiazdarskiej, wołał uczeń Szczęsny Zebrowski, odpierając nauki swego nauczyciela, księdza Jana Latosza, profesora akademii, mamy wywód z rozumu przyrodzonego. Wedle rozumu samego stać to nie może, aby niebiosa i gwiazdy niebieskie które z natury usługują pospolitemu dobru, a wszystkie rzeczy niższe utrzymują i udoskonalają, miały człowieka, między wszystkimi stworzeniami, do złego nachylać, a do jakich szkaradnych grzechów i występków pobudzać. Gdyby niebiosa miały wysyłać moc, albo siłowstęp swój jaki na wołę ludzką, tedyby już ludzie musieli być albo równo wszyscy złymi, albo równie wszyscy dobrymi. Jeżeli tedy z nieba na wołę ludzką siła jaka zcieka, to nie może inaczej jeno powszechnie zciekać, gdyż wszelka godność niebieska, lub to jest światło lub ciepło, albo co skrytego, nie jest na to dostateczne, aby się miały z sobą dzielić i ku jednemu środkowi przywiewać, ale raczej podział i przystósowanie ma od blizkich przyczyn. Tak sądził uczeń, ale nie nauczyciel, i tyle tylko zyskał, że szkołę opuścić musiał, a nauczyciel pozostał.

W ogólności też młodzież opuszczając Akademię Krakowską, nie uważała nauk swych za skończone, ale na dalsze doskonalenie się ciągnęła za granicę. Jakoż, co tylko mamy z owych czasów znamienitszego w naukach i umiejętnościach, to wszystko douczało się na uniwersytetach zagranicznych. Grzegorz z Sanoka, Długosz, Kopernik, zasłynęli dopiero za powrotem z zagranicy. Inaczej już być nie mogło, bo słusznie Wiszniewski Michał powiada: — Szkoła, w której nie uczono zastanawiać się, śledzić, porównywać, lecz tylko rozwodzić się i rozpierać się, nie mogła znakomitych ludzi wydawać; geniusz

nawet w to żelazne wtrącony koło, przełamać go i zmódcz nie zdołał. Kopernik wyszedł z tej kolei, ale ileż przeto ucierpiał i wycierpiał? A jednak jako matematykowi, snadniejsza to rzecz była. Prawnik pod żadnym pozorem nie mógł wybiedz myślą na chwilę za kanony i leges imperiales. Teolog po za libros sententiarum i summę św. Tomasza z Akwinu. Nawet lekarz najwięcej doświadczeń i spostrzeżeń potrzebujący, trzymał się jak pijany płotu poły Gallena, a filozof Arystotelesa, i to jeszcze jakiego Arystotelesa, poprzekręcane go, poobcinane go i niezrozumiane go. Za najuczciwszego właśnie uchodził ten, który sam siebie nie rozumiał. A to mądry, wołano, ani go podobna zrozumieć! —

Nie był pomyślniejszy wiek szesnasty od piętnastego. W ciągu panowania Zygmunta starego, i syna jego Zygmunta Augusta, miała wprawdzie Akademia Krakowska Grzegorza i Mateusza Szamotulczyków, Piotra Roiziusza Szymona Maryckiego, Stanisława Grzebskiego, Wojciecha Nowokampana, ale były to krople w morzu, i tyleż co one tylko na to morze oschłości i zamętu wpływu wywierać mogące. — Padłem na taki czas, pisze Jakób Górski w dziele swoim: de periodis, 1558 r. drukowanem, w którym owa najwyuzdańsza pasya ociemniania najsprośniej panowała, w których ćwiczenia jakieś, od ludzi i czasu i dowcipu na złe używających ułożone, z wielką, i młodzieży do lepszej daleko nauk sposobnej, i całej Rzeczypospolitej szkoda po szkołach brzmiały. I chociaż niektórzy krzyczeń nie przestają, że za wygnaniem owych nauk kwiatby Akademii zwiędnął, czyli jednak słuszne są ich narzekania, każdy to, przywoławszy trochę rozumu i sumienia, łatwiuteńko osądzić może. Na takie tedy z memi spółrówiennikami natrafwszy nauki, kłócąc się jak to mówią o kozią wełnę, najlepszy wiek i do nabycia nauki, i do jej zastósowania najzdaciejszy, zmarnowaliśmy. Daleko później niż byłoby potrzeba, częścią doświadczeniem pouczeni, a częścią od starszych, którym się udało prędzej z tego kału wydobyć, przestrzeżeni, porzuciliśmy wreszcie owe nauki, które nas uczyły nie nie umieć, a udaliśmy się do tych, które są godne człowieka. Jakkolwiek jednak chciwie rzuciliśmy do nich, przecież umysł młodociany, brzydkiem owem

grubijaństwem nasiękły, ani łatwo z niego się otrząsnąć, ani tamtemi się napoić bez ciężkiej pracy nie zdołał. — Niestety! że to było najczystsza prawda, dowodem tenże sam Jakób Górski, który zostawszy potem rektorem Akademii Krakowskiej, a postrzegłszy, że naród chciałby się z jarzma ociemnienia otrząsnąć, wołał zamiast błędy usunąć i zło w źródle zniszczyć, zwalić ich przyczynę na kogo innego, na domowe wychowanie i na rodziców. — Pomieściliście wszystko, woła na obywateli domagających się lepszego kierunku nauk publicznych; — młodzież wasza, dzieci wasze, nie u nas uczą się złego, ale wyssawszy je od was z mlekiem, do nas przynoszą. Skorupa, którą mamy pomalować, zachowuje zapach, którym się w domu napoiła od rodziców, krewnych, przyjaciół, domowników, ani się dozwala oczyścić okadzeniem nauk i praw naszych, a nie widząc w ojcach swoich skłonności ku nim, pogardza nimi, poczytując je za nieużyteczne i pośmiewisko godne. Chcecie nowych nauk, nowych rzeczy, burzycie się przeciw prawom pokory, skromności, spokojności, uległości, bogobojności; więc też synowie wasi wszystko odrzucają co stare i nogami je deptają. —

Zapomniał w swojej żarliwości o utrzymanie starych praktyk obrońca, iż źleby było i na nicby się nie przydały szkoły, gdyby miały młodzież wypuszczać taką, jaką z domu przyjęły. Że ojciec, opiekun albo krewny burda, zawadyak, opój lub nieuk, nie możeż już szkoła zrobić z syna jego rozsądnego, wyrozumiałego, wstrzemięźliwego i oświeconego człowieka? Inaczej, zaprawdę, na cóżby się szkoły przydały? Przez szkoły właśnie pokolenia winny się stawać coraz lepszemi, coraz świątlejszemi. — No! to gdyby nareszcie zgodzić się na to wypadało, dodaje poprawiając się niby Górski, to gdzież zachęta dla nauczycieli, żeby się obowiązkowi swemu oddawali z należytą gorliwością? Po innych akademiach powiadacie inaczej. Ale dla czegoż ludzie owi są uczonymi? Czemu w nauczaniu tak się współubiegają? Dla czego naukę wskroś nurtują, przenikając jej najskrytsze tajniki? — Oto, odpowiada zaraz ksiądz rektor Górski, znamenite nagrody, gotowe zaszczyty!!! Poszanowanie jest żywiołem nauki, sławą zapalamy się do zamiłowania nauk. Gdzie są Mecenaszi? Nie zbywa na Maronach! Wyznaczcie nagrody godne nauki! Wynosicie pod niebiosa naukę in-

nych narodów, chcecie równać ich uczoność z naszą! Zrównajcież takie nagrody; będzie równa nauka i usilność! —

— Mylisz się, ojcze Górski! odpowiada czasów dzisiejszych oświeciciel. Akademia Krakowska twoich czasów lepiej była uposażoną od wielu z swoich siostr zagranicznych. Miała bogate prebendy, krocie sypała na kanonizacyą świętych, na budowę i zakłady bez celu i pożytku. Każdy z akademików znajdował i posiadał wysokie i korzystne posady w gronie kapituł różnych katedr w Litwie i w Koronie. Sam księże Górski był kanonikiem Płockim, Benedykt Herbest Płockim, Skarga Lwowskim i tak dalej i dalej. Zygmunt Iszy nadał wszystkim profesorom akademii szlachectwo, rzecz w onych czasach nie lada! Poprzednicy i następcy jego nie mniej byli życzliwi. Paweł z Chotkowa, profesor akademii był Biskupem Płockim, Grzegorz z Sanoka Arcybiskupem Lwowskim, Tomasz z Strzempinia Biskupem Krakowskim, Mikołaj z Gorzkowa Biskupem Wileńskim, Jan z Rzeszowa Arcybiskupem Lwowskim, i tak dalej i dalej. Jeszczeż mało? nie brak zatem zachęty, ale inne przyczyny w ciągłej niedołężności ognisko narodowej oświaty utrzymywały. Jakoż, skruszony pewnego razu tenże sam Jakób Górski, tak się sam spowiada: — Prawda! Nie ma co mówić! Jest pomiędzy nami wiele wad; słusznie nam zarzucają nie jedno; są, co nie pomni na uczciwość tak życie pędzą, tak wykładu nauk zaniadbają, że mi się zdaje, iż się sprzysięgli na obalenie powagi, na osłabienie szacunku tej szkoły. A nasamprzód wszyscy jesteśmy rączy i natężeni do pobierania dochodów i odnoszenia zysku z cudzych prac, a opieszali do nauk, i wielu z nas tak mają rozwolnione obyczaje, iż jeżeli nas surowsze obyczaje do obowiązków nie przywidzą, obawiać się należy, aby cała ta akademia w prawach i wolnościach swoich nie upoiła i nie była do nicości doprowadzoną. —

Ile w owym okresie dziejów było szkół w k raju publicznych wyższych i niższych, trudno dziś wiedzieć z pewnością. Najwięcej jednakże było ich w Wielkopolsce, tudzież w Prusach Królewskich, mniej w W. Księstwie Litewskim, a najmniej ua Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Powszechnie więcej szkół było w okolicach, gdzie obrządek zachodni panował, mniej, gdzie obrządku trzymano się wschodniego.

Prócz szkół i szkółek publicznych, były także i szkoły prywatne, czyli kosztem obywateli prywatnych zakładane i podejmowane, a na które synod Gamrata 1542 r. nakazuje mieć szczególniejsze baczenie. Bogatsza szlachta, a nawet możni mieszczaństwo trzymali do dzieci nauczycieli domowych, na których tenże synod Gamrata zaleca również duchowieństwu baczenie.

Seminarya duchowne dopiero po śmierci Zygmunta Augusta pojawiły się w Polsce. Wprzód kształcono się na księży po zwyczajnych szkołach publicznych krajowych albo zagranicznych; w ogóle jednak duchowieństwo zakonne było wielce pod względem oświaty zaniedbanem.

Jakkolwiek oświecenie publiczne, a nawet i prywatne było w ręku duchownych, znaleźli się jednak pomiędzy niemi i tacy, którzy w kierunku Akademii Krakowskiej za nadto świecczyzny dostrzegli. Reformacya po śmierci Zygmunta starego szerząca się po kraju, nastroczyła im sposobność do przeprowadzenia dawno knowanych myśli. Właśnie Stanisław Hozyusz Kardynał i Biskup Warniński, znajdując się na soborze Trydenckim, miał przyjemność zapoznania się tam z kilku członkami świeżo wówczas założonego zakonu Jezuitów, trudniącego się, między wielu innymi rzeczami, wychowaniem także młodzieży, i wnet dostrzegł, że zakon ten właśnie jest takim, jakiego nieprzychylni Akademii Krakowskiej duchowieństwo polskie życzyłyby sobie mogło. Sprowadził przeto Jezuitów z Rzymu i Niemiec do Brunsberga w Warmii, oddał im po Franciszkanach opuszczony klasztor, i w potrzebne zaopatrzył fundusze. Było to w 1564 r. — ale Jezuici, jako nie łowiący nigdy rybek przed siecią, dopiero 1569 r. otworzyli swe szkoły.

Dla zjednania nowej tej szkole wziętości w narodzie, słowa są Łukaszewicza, rozpiął Hozyusz listy do magnatów i biskupów polskich, zachęcając pierwszych, aby synów swoich sławnemu na całe Chrześcijaństwo zakonowi posyłali na naukę, napominając drugich, aby za jego przykładem poszli i kollegia Jezuitów zakładali; ten bowiem tylko, mówił, jest sposób do położenia końca szerzącemu się po kraju niedowiarstwu. Co większa, dla okazania naocznie, jak święta i zbawienna myśl jego znajduje skwapliwe przyjęcie i uznanie w polskim narodzie, utrzy-

mywał Hozyusz własnym kosztem znaczną część ubogiej młodzieży z rozmaitych stron Polski, którą rzeczywiście na Jezuitów kształcił. Udały się zabiegi Hozyusza. Niedarmo mówi przysłowie: boskie prawdy prędzej czy później wschodzą, lecz podszepty szatańskie zaraz.

Pierwszym z polskich Biskupów, który w te ślady Hozyusza poszedł, był Andrzej Noskowski, Biskup Płocki, a który nie tylko kolegium Jezuickie w rok niespełna po sprowadzeniu pierwszych Jezuitów, bo w 1665 r. w Pułtusk, ieście swojejm dyecezyi założył, ale tak umiał Akademię Krakowską podejść, że przy niej bursę pod swoim imieniem zaprowadził i uposażył. Za nim poszedł Walery Protaszewicz, Biskup Wieleński, 1569 r., palej Walenty Herbut, Biskup Przemyski 1571 r., przybrawszy sobie ku pomocy Zofię Kostkową i jej córkę Annę Ostrogską. Potem, a raczej tego roku także Adam Konarski, Biskup Poznański. A tak przed zgonem ostatniego z Jagiełłów, mieli już Jezuiti pięć kolegiów i szkół po rozmaitych prowincyach polskich.

Akademia Krakowska bądź to nie przewidując jak niebezpiecznego przeciwnika i spółzawodnika w Jezuitach mieć będzie, bądź też z nałogowej swej gnuśności i niedołężności, nie tylko dozwalała im rozsadowiać się bez przeszkody, ale nawet odstępowala im najlepsze swoje głowy, a jakimi między innymi celowali: Stanisław Warszewicki i Piotr Skarga, Benedykt Herbst, Szymon Wysocki; Stanisław Grodzicki i t. d. Tym sposobem Jezuiti po kolegiach polskich dotychczas cudzoziemcy: Włosi, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Anglicy, pozyskawszy zakonowi swemu tylu znakomitych Polaków, zaczęli pod panowaniem Stefana Batorego kolegia swoje niezmiernie w kraju mnożyć. Sam wielki ten monarcha, ujęty wymową i zręcznością Jezuitów Jana Possewina, założył im kolegium w Płocku 1580, i w Rydze 1552 r.; w Lublinie Bernard Maciejowski natenczas Biskup Łucki, także tegoż roku; w Nieświerz Mikołaj Krzysztof Radziwiłł sierotką zwany, tegoż roku, w Dorpacie Heronim Rozrażewski 1583 r. i w Gdańsku tenże 1584 r., w Kaliszu Stanisław Karukowski tegoż roku, a we Lwowie Jan Dymitr Sulikowski 1581 roku.

Nie dosyć na tem, Stefan Batory na wniosek Biskupa

Protaszewicza i koadjutora jego Jerzego Radziwiłła, podniósł kolegium jezuickie w Wilnie do rządu Akademii Krakowskiej 1578 r., a co zaraz Papież Grzegorz trzynasty bullą swoją 1579 r. potwierdził.

Rozzuchwaleni tylu powodzeniami Jezuitów, zapragnęli teraz Krakowa, i na wstawienie się Piotra Myszkowskiego Biskupa Krakowskiego, wyzyskali od Batorego pozwolenie 1579 r. założenia kolegium swego w samym Krakowie przy kościele św. Barbary.

— Po śmierci Batorego, gdy Zygmunt trzeci uczeń i wychowaniec Jezuitów tron Polski zasiadł, zakon ten już nie tylko rozpostarł się po wszystkich częściach Polski, rosnąc bez miary w majątek i znaczenie, ale doszedł do niesłychanego w rządzie krajowym wpływu. Przestraszona tą nienasyconą a wszystko pochłaniającą żarłocznością szarańczy jezuickiej, a ocalona jeszcze z jej pastwy część obywatelstwa polskiego, poczęła prze-myśliwać, jakby koniec złemu położyć. —

— Trzeba nam oddziaływać! wołał w szlachetnem poczuciu się Jan Zamojski, Hetman W. Koronny. Trzeba nam naszą akademię założyć! I założył istotnie w Zamościu 1591 r. i uzyskał na nią bullę papieżką Klemensa ósmego. Lecz, że zamiast wprowadzenia do akademii swojej ludzi jędrnych i zdrowych, przeniósł do niej niedojrzałości i uległości z zużytej i z niedołę-żniałej Akademii Krakowskiej, więc też same półśrodki, które mąż ten szlachetny ku celowi swemu obrał, wydać go musiały na łup przebiegłego zakonu. Nic nie pomogły Zamojskiego polskie mowy do króla. Szwed głosu nie rozumiał ludzkiego. Napróżno akademicy Zamojscy wołali z całej piersi:

O vos! qui cum Jesu itis,
Non ite cum Jesuitis!

Naród już nie mógł w nich odpoznać swojego głosu. Ociemnianie i ogłuszanie przez lat trzydzieści systematycznie prowadzone, już wtenczas dochodziło do tego stopnia, że nic nie widziano i nie słyszano dobrze, co nie było ociemnieniem i ogłuszeniem czyli nie szło od Jezuitów. A jednak, zdałoby się, iż na widok sam Jezuitów, nad jedno słowo z ust jego, nic nie powinno być odpychającego bardziej.

Bo i wyobraźmy sobie człowieka o pięciu zdrowych zmysłach,

który dobrowolnie wyrzeka się swojej ojczyzny, swej rodziny, swoich przyjaciół, słowem wszystkiego, z czem go dotąd związku krwi i skłonności łączyły.

Który wypiera się na zawsze swoich myśli i uczuć, swego zdania i sądu, swojej woli, pamięci i rozumu, którym go obdarzyła Opatrzność.

Który w każdej chwili gotów jest odstąpić ojca, matki, braci, ojczyzny, i pójść tam, gdzie mu każą, chociażby ztąd żadnego pożytku dla nich nie było, i gdyby to nawet ze szkodą ich być miało.

Który zobowiązuje się być ślepo wszystkiemu co mu nakazanem będzie posłusznym, i wykonać to co do joty, chociażby to najzupełniej jego przekonaniu i sumieniu było przeciwne.

Który poprzysięga nie używać swoich zdolności i swojego rozumu, swoich oczu, głosu, słuchu, jeno na użytek który nakazany mu będzie, a którego on powodów i celów nigdy rozbiierać i oceniać nie będzie.

Który poprzysięga uważać czarne za białe i oraz białe za czarne, prawdę za błąd i błąd za prawdę, krzywdę za sprawiedliwość, nienawiść za miłość, zbrodnię za cnotę, śmierć za życie, ile tylko to razy, gdziekolwiek, kiedykolwiek i względem kogokolwiek nakazanem zostanie.

Który poprzysięga nie brać żadnego udziału w nieszczęściu i klęskach społeczeństwa, wśród którego się zrodził, i nie czuć nic bijącego w swej lewej piersi, i wypędzić z serca swego wszelkie uczucie ludzkie: *quid quid humani*.

Który poprzysięga przez całe życie swoje być narzędziem tylko w rękę swego zakonu i który schyla swą głowę pod to jarzmo ohydne, aż do swojej ostatniej godziny: *requiem usque aeternam!!!* —

— Ależ to jest jestestwo bez myśli, bez woli, bez rozumu, bez serca, ojczyzny, ludzkości i bez Boga, nikczemniejsze od najgorszego i najnikczemniejszego bydlęcia!

— Być może, odpowiada pokornie Jezuita, ale takim nakazuje mu konstytucya zakonu: *primum ac generale examen*, i zaraz ci dowodzi, że pokora obłoki przebija, a pokora jest posłuszeństwem bez granic. Wszystkie zakony niem stoją.

— Ależ posłuszeństwo posłuszeństwu nie równe. Rozumiem

posłuszeństwo na dobre. Posłuszeństwem pozornem nie trzeba się uwodzić. U Franciszkanów, Kartuzów, Bazylianów, posłuszeństwo jest surowe, ale tylko się ściąga do reguł zakonnych i wewnętrznych duchownych urzędzeń. Całkiem inaczej ma się rzecz u Jezuitów, których cała działalność zwrócona jest na zewnątrz; którzy z celu swojej instytucji zostają zawsze w ciągłych stosunkach ze światem, i mieszają się do spraw świeckich. Dodać należy, iż to posłuszeństwo, przepisane dla jezuickich zakonników duchownych, rozciąga się również i do świeckich członków zakonu; bo Jezuita nie są tylko duchowni, są i świeccy Jezuita także; — i to w rzeczach tak duchownych jak w świeckich. Toż na próżno to rozciągnięcie posłuszeństwa chciano wytłumaczyć przykładem bractw innych, bo członkowie żadnego z bractw, innych zakonnych tego rodzaju zobowiązań nie mają ani stanowią z zakonem jednej społeczności, jedną zasadniczą regułą i jednymi celami i ślubami związanej; gdy przeciwnie u Jezuitów, świeccy ich członkowie tworzą część nieodłączną ogólnej jego społeczności, do której są przyjmowani właśnie dla tego tylko, aby wpływ zakonu między świeckimi ludźmi sobie zapewnić i ustalić.

Napróżno także zastawiali się Jezuita praktykami Dominikanów, Misyjonarzy i innych tym podobnych zakonów, którzy choć zakonnicy często po za zakonem proboszczów pełnią obowiązki, bo reguła ich nie zabrania im przyjmować wyższych nawet godności duchownych; bo przyjmujący je nie są zobowiązani do żadnych względem przełożonego zakonu powinności, ani mu zdawać raportów, ani się rządzić jego rozumem i wolą, ani do domu zakonnego na ćwiczenia duchowne zjeżdżać, gdy przeciwnie Jezuita, choćby z pozwoleniem przełożonego został Biskupem, nie przestaje być członkiem jezuickiego zakonu, nie wyjąmuje się z pod uległości i posłuszeństwa przełożonemu winnego, i owszem, jest obowiązany zdawać mu ciągle sprawy, siebie i swojej owczarni dotyczące, ani nic nie przedsięwziąć bez jego wiedzy i woli, i raz co rok przynajmniej stawić się z obowiązku w zakonie na ćwiczenie zakonne. Czemże jest bowiem Biskup według konstytucji jezuickich? Kapłanem, jako inni, z natychmiast Duchu św. — Czemże Papież? Następcą Piotra śg o. — Ale przełożony zakonu Jezuitów, ale generał Jezuitów,

jest Namiestnikiem Chrystusa. Konstytucje jezuitkie w języku nawet swoim znajdują i zachowują to stopniowanie. Według nich społeczność jezuitcka względem papieża posłuszeństwo uznaje, biskupów szanuje, ale względem przełożonego zakonu, czyli generała Jezuitów posłuszeństwo nakazuje. I też nie jeden jest przykład w dziejach, że Jezuitci opierali się wszystkimi środkami i siłami postanowieniom Papieża, skoro te z ich pożytkiem nie były.

O Jezuitach duchownych jak wyglądają zbyteczną byłoby rzeczą tu się rozwodzić. Zna ich świat cały. Jezuitci świeccy, inaczej frackowemi zwani, są to Jezuitci cywilni, którzy żyjąc wśród świata, czyli zewnątrz zakonu, są przez zakon wspierani, utrzymywani, żołdowani nawet, a którzy przyjęli zobowiązanie wpływ swój w społeczeństwie obracać na korzyść Jezuitów. Znajdziesz ich we wszystkich stanach, a mianowicie urządach i godnościach wysokich, bo tam właśnie oddać mogą największe Jezuitom posługi. Suknia nie tworzy Jezuitę. Ci owszem są najpotrzebniejsi, którzy zewnątrz żadnego nie obudzają podejrzania, aby Jezuitami być mogli. Bez znaku zewnętrznego nie znani od własnych towarzyszy, wdzierają się do urzędów, gabinetów, kongresów, piszą i drukują dzienniki, stają na czele stowarzyszeń uczonych, rolniczych, przemysłowych, wszędzie służąc swojemu zakonowi. W największej też części on to winien im te względy, bez których nigdzieby istnieć nie mógł. I to jest, czem się tylko tłómaczyć daje wiele dziwnych tego zakonu tajemnic, równie starożytnych jak nowożytnych, i ten upadek Akademii Krakowskiej i Zamojskiej, o którym mówiłem wyżej.

Tymczasem Jezuitci szli dalej i zapragnęli kolegium swoje w Poznaniu podnieść do tytułu i godności akademii, na co im Zygmunt trzeci r. 1612 dał swoje zezwolenie królewskie. Akademia Krakowska mająca swoją kolonię w Poznaniu, krzyknęła na nieprawność i zanosła skargę do Rzymu. Papież Paweł piąty stanął po jej stronie i skasował akademię jezuitcką w Poznaniu. Nie zrażeni tą klęską Jezuitci, postanowili zemścić się na Akademii Krakowskiej pod samym jej bokiem, i zastawiając się dawnym Zygmunta trzeciego przywilejem, który im młodzież uczyć w Krakowie pozwalał, otworzyli kolegium swoje w roku

1622 w Krakowie przy kościele św. Piotra. Otwarcie było publiczne, uroczyste; na które także publicznie i uroczyście, bo z woźnymi i pedelami przybywszy profesorowie Akademii Krakowskiej, założyli protestacyę zawzywając wszystkich obecnych, a pomiędzy którymi znajdował się Sufragan Krakowski z wielą kanonikami i Starosta krakowski z licznym poczem szlachty i mieszczan Jezuitom przychylnych, aby się pod karą ekskomuniki natychmiast rozeszli. Wszakże jak wszędzie i zawsze, tak i tu niezrażeni Jezuita zapowiedzieli przez plakaty nowe kollegium swego otwarcie, a które to obwieszczenia Akademia i jej stronicy zdzierali, nogami tłukli i publicznie palili.

Odtąd zaczęła się pomiędzy Akademią a Jezuitami krakowskiemi prawdziwa wojna na pięście i kije — wywołana niesłychanem i niepraktykowanym dotąd w dziejach narodu polskiego, zuchwałstwem duchowieństwa, obchodzącego i podchodzącego intrygą wszystkie prawa krajowe, a które — niech mi wolno będzie zrobić tutaj uwagę — jako zaszczerpione i chodowane przez tych, którzy narodową oświatę w rękę swoim dzierżyli, było początkiem i upoważnieniem onych wszystkich późniejszych najazdów i zajazdów szlacheckich, i samego liberum veto, przeciwko którym Jezuita i doktrynery nie przestają do dziś dnia piorunować i wrzeszczyć, oni, co ich byli sami najpierwszemi sprawcami.

Przykro wspomnieć i wyznać, ale prawda każe, iż ta zwada gorsząca i wszystkie uczucia przyzwoitości, ze szkołą wychowania i oświecenia narodowego, obrażająca, rok za rokiem, nie tylko w swej zapamiętałej zaciekłości nie słabła, ale się w niej wzmagała. Grzmiały pięście, trzeszczały kije, rosły guzy, płynęła krew nawet pod ciosami akademików Krakowskich, rozśmielonych bullą Stolicy apostolskiej; aż oto Jezuita intrygami swemi tyle dokazali, iż taż sama Stolica apostolska w r. 1627 zezwoliła na utrzymanie wszelkich szkół jezuitckich w Krakowie, i nakazała Akademii Krakowskiej wieczne milczenie w tej sprawie. A wszakże, jak doczesną jest wszelka wieczność ludzkiego postanowienia, okazało się wkrótce. Nadszedł dla Polski rok 1632. Umarł Zygmunt trzeci, opiekun Jezuitów, i wstąpił na tron polski syn jego, ale nie lubiący Jezuitów: Władysław czwarty, i zaraz, na przedstawienie posła jego, Jerzego Ossoliń-

skiego, Urban ósmy wydał bullę papieżką, aby Jezuitki wszystkie swoje szkoły na wieczne czasy w Krakowie zamknęli.

Pobici na krakowskim gruncie Jezuitki, przycupnęli w Krakowie, ale nie w Wilnie, ale nie w Poznaniu i Lwowie: tam owszem, korzystając z nastrojonych oddawna zamieszek wewnętrznych przez siebie, i zachcianek zewnętrznych, rozpoczęli bój swój sierdzisty przeciwko żywiołom narodowym.

Sądził Władysław czwarty, że sprowadzenie do Polski zgromadzenia, pod nazwą szkół pobożnych Scholarum Piarum, na zachodzie Europy świeżo pojawionego — zgromadzenia skromnego i z duchem czasu zgodnego, położyć może tamę gorszącym i szkodliwym sporom Akademików krakowskich z Jezuitami. Ale w Rzymie starania te szły jakoś ku środkowi opornie, i spełzyłyby może na niczem, gdyby nie trzydziestoletnia wojna w Niemczech, w czasie której Szwedzi opanowawszy Ołomuniec wypędzili w r. 1642 z niego Pijarów, a którzy szukając w Polsce schronienia, i przyjęci łaskawie od Władysława czwartego, osiedli kosztem jego w Warszawie, i zaraz w niej szkoły swe otworzyli. Wkrótce idąc za przykładem królewskim, założył im szkoły w Podoleńcu na Spiżu 1643 r. Stanisław Lubomirski, Starosta Spiski a Wojewoda Krakowski. Nie upłynęło lat kilka, a czy to z powodu, że nowość wszelka powabna, czy z powszechnego oburzenia przeciwko zatargom akademicko jezuitckim, pojawiły się szkoły Pijarów w Rzeszowie, Chełmie, Łowiczu, Piotrkowie, Górze, Wieluniu, Łukowie, Międzyrzeczu, Radziejowie, Złoczowie, Sandeczu, Lwowie, Rawie, Warężu, Łomży, Wilnie, Gieranonach, Dąbrowicy, Błotnie, Dolsku, Szczuczynie, Poniewieżu, Wilkomierzu, Rosieniach, Waleranowie, Witebsku, Zelwie i t. d.

Pojąc łatwo, jaką zawiść i nienawiść jaką obudziło w Jezuitach to nagle powodzenie Pijarów w Polsce. Poczuli, że grunt zaczyna chwiać się pod niemi, więc postanowili go wzmocnić, a wzmocnić zwykłemi sposobami swemi, to jest jak wprzód Akademii Krakowską, tak teraz szkalując pokątnie Pijarów, a publicznie swe szkoły otwierając tam, gdzie je Pijarzy mieli, i ściągając do nich młodzież bezpłatnie, nawet podejmując ją własnym kosztem. Ztąd nowe oczywiście zgorzienia, nowe pieśniactwa i klótnie zakładów, których powołaniem było oświecać

naród i kształcić młodzież na rozsądnych ludzi i uczciwych obywateli. Wszystkie sądy krajowe zarzucone były sprawami Jezuitów z Pijarami i Akademikami, i był zarzucony niemi i Rzym także, a to w czasie. kiedy naród potrzebował najwięcej zgody i jedności. Więc niechże mi wolno będzie zwrócić uwagę, że Jezuiti, którzy do dnia dzisiejszego nie przestają piorunować przeciw ojców naszych pieniactwu, sami właśnie byli jego najpierwszymi sprawcami.

Żebyż przynajmniej Jezuiti pienając się na zewnątrz, szczerze się zajmowali oświeceniem i wychowaniem młodzieży wewnątrz; ale na nieszczęście i zagubę narodu, właśnie całkiem było przeciwnie. — Czasu, który jako się wyraża Łukaszewicz, w ekonomii życia ludzkiego skarbem jest najdroższem, nigdzie bardziej niemarnowano jak w szkołach jezuickich. — Niedziele, święta kościelne, święta zakonu, święta narodowe, święta rektorskie i profesorskie, święta opiekunów i opiekunek, dobrodziejów i dobrodziejek, rekreacye, wakacye i t. d. sprowadzały rok szkolny prawie do czwartej części, a i podczas tej jeszcze, uczniowie przepędzali za ledwo cztery godziny w klasach, a często dwie godziny tylko, a w tych dwóch i czterech godzinach czegoż to uczono? mój Boże! Dowodem i przykładem wszelkiego onego czasu: *Sodalis marianus*, co polskimi wyrazami oddając, znaczyło: burdę, próżniaka, pijaka, matacza i pieniacza.

Lecz gorszą jeszcze od nauki jezuickiej była dążność jezuicka. Jezuiti nie kształcili młodzieży na obywateli narodowi użytecznych, ale na szermierzy swemu tylko zakonowi przydatnych. Dla tego najgłówniejszem, czyli jedynem zadaniem ich nauki było ogłupić ucznia, a jednakże ciężkością erudycyi wzbij go w zarozumiałość o swojej nauce i mądrości. — Ogół polskiej młodzieży, powiada S. Goszczyński, przeszedłszy przez takie ręce, zbutwiawszy w takich szkołach, jak księga skazana na śniedź wilgotnego składu, wychodził na świat jak ta księga, której mądrości ducha czas wydarł, wychodził, nie mając innej zalety nad lata w szkole spędzone, i dopełniał plemiona nieuków. Nie dziw, że w takim narodzie Jezuiti upierać się mogli przy wpływie raz zdobytej potęgi. Potęga ta była martwej natury; ciężyla też tem bardziej, trupieszyla; zniszczyła ona w duszach

myśl nawet samodzielności, któraby jakkolwiek poruszyła narodowe życie; rozlała uspienie, obojętność, ciemnotę, w pełnym tych wyrazów znaczeniu. Cały naród bez spomnienia przeszłości, bez myśli w przyszłość, bez uznania się w sobie, bez zwrotu na zewnątrz, był w prawdziwym letargu. —

Zdawało się, że w szkołach tego rodzaju karność musiała być surową. Ćwiczone biedne cielsko różgami, kijami, batogami i dyscyplinami, ilekroć duch nie okazywał dosyć pokory, podległości i posłuszeństwa dla praw i postanowień zakonu jezuickiego; ależ za to na zewnątrz, względem wszystkiego co nie należało do zakonu jezuickiego, dozwolone były wszystkie bezprawia. Ta swawola uczniów jezuickich doszła do najwyższego stopnia za panowania domu Sasów. — Do takiej przyszli zuchwałości, pisze w swoich pamiętnikach ksiądz Andrzej Kitowicz, że nie odpowiadali przed innym sądem za psoty komukolwiek wyrządzone, że sami swoich krzywd rzetelnych, a najczęściej urojonych dochodząc, napadali domy i wyciągali z nich osoby, do których coś mieli i upatrzyli, a zawleczone raczej niż zaprowadzone do kolegów swoich, czyniąc sobie sprawiedliwość, okładali bez miłosierdzia batogami, nadto jeszcze do najpokorniejszych przeprosin, przez upadnięcie do nóg swym oprawcom i siepaczom przymuszając. Niechaj tam był kto chciał, jakiegokolwiek godności urzędnik, szlachcic, oficer, który studenta chcący lub niechcący zaczepił, jeżeli się zawczasu z miasta nie wyniósł, lub się w ciasny kąt nie skrył, już on się od studenckiej egzekucyi nie wybiegał; bo chociaż chciałby się bronić, to jakże było na tę gawiedź szkólną, przeciw drobnym dzieciom używać broni, gdy tymczasem to samradztwo kijami, kamieniami, błotem, szturmując do winowajcy, a oraz z tyłu i z przodu, właśnie jak pszczoły rozdrażnione, garnąc się jak naciskiem do głowy, do rąk, do nóg, zgoła do ciała całego i odzienia, zmordowanego i razami zmęczonego pochwytywali i co tchu do szkół wlekli. Bywały także przypadki, że panów nawet z ich kołas wyciągali, i gdy komu taką krzywdę zrobili, nie było przeciw takiemu ulicznemu i publicznemu napadowi innego ocalenia, tylko poddać się z jezuicką powolnością owej szarańczy jezuickiej, ująć sobie co prędzej jak najsowitszemi obietnicami pryncypałów, albo zyskać zastęp spieszny i mocny samych ojców Jezui-

tów, którzy, jeżeli kogo pochwyconego z przyjaciół swoich, albo osób znaczenia uratować chcieli od hańby i nieżartobliwego bólu, wybiegali hurmem z kollegium, otaczali brańca, odsuwając od niego ów tłok swojej gawiedzi, a tymczasem, dla zwolnienia swojej zapalczywości, rzecz o którą szło, brali na uwagę, i gdy już widzieli umysły ochłonięte cokolwiek, albo studentom pod karą do domów rozejść się nakazywali, a napadniętego dla wszelkiego bezpieczeństwa jego osoby, z sobą do kollegium brali, albo też, jeśli się to nie udało od razu, tedy sposobem łagodnym i jakoby sądowym, zatargę oną do zgody prowadzili.

Zgoda zwykle następowała za daniem studentom in gratiam winowajcy, rekreacyi na cały dzień, albo co było lepiej, na dwa dni i za ucztą natychmiast studentom od tegoż w jakim domu sprawioną, z miodu, sucharków, jabłek, gruszek i tym podobnych dziecinnych łakotek, po którym traktamencie odbytym, przy oświadczeniu jak najwyższego szacunku dla studenckiej godności, bywał winowajca uwolniony, ale się dobrze napił, nim z tej pracy wyszedł. Żydów zaś na ulicy opadać, szarpać, bić, w tak powszechnym miano zwyczaju, że żydzi na wielkiej mieć się musieli ostrożności pod te godziny, w które studenci szli do szkół, albo z nich powracali do domów. Jeżeli zaś żydek jaki przypadkiem dostrzeżony był tam, gdzie studenci rekreacyę odprawiali, to już pewnie miał się tak jak zając, gdy wpadnie pomiędzy charty i ogary; wszystkie zabawy swoje studenci porzucali wtenczas, a żyda obracać spieszyli, i dobrze go poszamotali. — »

Gdybyż te bezprawia od samych studentów pochodziły, można by zmówić część ich na młodzieńczą i płochą niedorostków swawolę; lecz niestety, pominąwszy, że Jezuiti w szkole tylko swoją młodzież w karności utrzymywali, nie wglądając w to wcale, co się poza szkołami działo; sam interes zakonu kazał mu patrzeć przez szpary na największe bezprawia i zdrożności uczniów; owszem zachęcać ich do nadużyć, w których nieraz krew płynęła. — Chodziło Jezuitom o dokuczenie któremu z różnowierców, lub też całej ich gminie, tedy wnet poduszczali swoich studentów, którzy śmiało, otwarcie, publicznie bez obawy najmniejszej kary, targali się na chudoby zdrowie albo i nawet życie niemiłych, albo nieprzyjaznych Jezuitom osób. Same na-

wet magistraty, trybunały, palestry, cechy po miastach i miasteczkach, gdzie się szkoły jezuickie znajdowały, wystawione bywały na swawolę ich uczniów. Skoro bowiem ksiądz rektor albo ksiądz prefekt szepnął im do ucha, że burmistrz przeszkadza zakonowi w nabyciu placu lub domostwa jakiego, a przeszkadzać z obowiązku musiał, bo to uszczuplało dochody publiczne, skoro szewc lub inny rzemieślnik jaki odważył się, obyczajem szlacheckim nosić pas na kontuszu, natychmiast młodzież jezuicka z wściekłością rzucała się na niego. Ztąd zabijactyki, rozruchy, procesa długoletnie. Akta wszystkich grodów w Koronie i Litwie napełnione są skargami i protestacyami tego rodzaju. Jeżeli do tego, obok szkół jezuickich, były szkoły akademickie, pijarskie, lub też protestanckie, natenczas swawola uczniów jezuickich nie miała już końca i miary. Siekli oni szablami, kaleczyli, a nie raz i zabijali, jako liczniejsi swoich przeciwników młodych, których całą winą było to, że ich rodzice posyłali do innej nie zaś do jezuickiej szkoły. Na takie gonitwy krwawe patrzył nieraz Poznań, Lwów, Piotrków, Toruń, Słuck, Kraków i wiele miast innych. Uczeń jezuicki nawykłszy w szkołach do bezpraw wszelkiego rodzaju, powtarzał je później na sejmikach, sejmach, trybunałach, zjazdach, odpustach, jarmarkach w życiu publicznem i dowowem. Ale oprócz tego, innym jeszcze sposobem demoralizowały szkoły jezuickie naród w uczniach swoich. Uczono w nich niby darmo. Niby darmo! powiadam, naoczny bowiem świadek tej mniemanej bezinteresowności jezuickiej, Brościsz, tak ją opisuje w swym: *Gratysie Plebańskim*. — Pamiętam ja te czasy, gdy pierwsi Jezuici do Polski przyszli; byłem wtenczas w Poznaniu na tumie. Pokora w nich była wielka, układność i nabożeństwo wielkie także; chodzili w szarych rewerendach, i tem wiele ludzi ku sobie pociągali. Szkoły zaraz poczęły otwierać, rozgłaszając, że uczą w nich darmo. I zdało się nie jednemu, nie głęboko w rzeczy wglądającemu, że darmo, bo sześciu groszy od chłopca za kwartał nie wezmą, jaj i kaszy nie wybierają jak to po małych miasteczkach za mych czasów bywało, ale wejrzawszy w postęпки, których używają w zakładaniu swoich szkół, to każdy rozważny przyznać musi, że nie darmo, ale bardzo drogo uczą. Naprzód gdy szkoły swe zakładają, to dla siebie

warują, że dopóty je nie otworzą, aż im tyle zapewnią dochodów, aby się wszyscy, którzy tam mieszkać będą, dobrze wychowali, obejmując w tem wychowaniu: szaty, żywność i wszelkie dostatki do dobrego mienia należące. Te już mając, dopiero szkoły swe otwierają, jakoby darmo. Więc rodzice, słysząc taką nowinę pocieszoną, już nie on talar, albo czerwony złoty kwartału zmównego, co mieli dać prostemu bakałarzowi, ale wnet, z workiem co znacznego, wnet kielich, wnet na sutannę, na antipedium, na dzwon, więc wołów kilka albo ryb beczkę; jeżeli z Podola, więc miodu przasnego, więc zboża łaszczik jaki. A w mieście kupiecki człek, to łagę oliwy, to kamieniem korzenia, rozynków, cukrów, a nie to koców, białych materyi, płócien albo sukna dla ojców, o co się jedno przymówią, rodzice żadną się miarą nie wymówią, bo to wszystko dla dobra publicznego, dla nauki darmo; a ojcowie też ze swojej strony dobrodzieja swego, kędy mogą, w łaski szrubują, zalecają, jego nabożeństwo i wspaniałość myślności zachwalają, i tak jakoś i rodzicom i ojcom dobrze.

Łapani na tę wędkę biedni rodzice, najawwszy u jakiego rzemieślnika izdebkę dla swych dzieci, podsyłali im żywność co tydzień lub co miesiąc. Żywność ta nie wystarczała zwykle. Jednak jeść trzeba było. Cóż więc młodzież dla zaspokojenia głodu robiła? Oto przywłaszcza sobie cudzą własność, grasując w lesie, po ogrodach i sadach; w zimie zakradając się do jatek rzeźniczych i piekarskich. Jaki zaś wpływ to nieszanowanie cudzej własności, w szkołach zakorzenione, na losy narodu wywierało, pojmie łatwo każdy rozsądny; a mnie niech wolno będzie zwrócić tu uwagę raz jeszcze, iż niesłusznie robią ci, którzy smutne skutki owego wychowania darmo, na sam naród zwalają, oni, którzy tego złego właśnie sami byli najpierwszymi i najgłośniejszymi sprawcami.

Zdawałoby się, że przeciwko zakonowi takimi bezprawiami, swawolami i zdrożnościami odznaczonemu, oddziaływanie powinno być łatwe. Toż zapewne tak sądził Władysław IV, kiedy ten obowiązek Pijarom powierzał. Ale na nieszczęście, pojęcia ówczesne, co do wychowania i oświecenia publicznego tak były jednostronne, że jak dawniej akademicy, tak teraz Pijarowie nie wiele się w tem od Jezuitów różnili. Wprawdzie u Pijarów nauka istotnie była bezpłatną, karność nad uczniami nie tylko

w szkole ale i pozaszkolą gorliwie była przestrzegana, rozwiązłość, pijaństwo, kosterstwo, swawola i burdy surowo karczone, nawet strona obywatelskiej powinności nie była tak jako u Jezuitów pogardzona i zaniedbana; ale cóż, kiedy te wszystkie piękne zamierzenia kończyły się na przesadzonem i cały czas prawie zabierającym nabożeństwie, na plagach byle za przewinienie a często bez przewinienia, bez litości wydzielanych, a często odzierających nieszczęśliwą młodzież ze wszelkiego poczucia i uszanowania osobistej godności, kiedy znowu obudzaniem błędnie rozumianej emulacyi, czyli współzawodnictwa, sposobiono młodzież innemi jak u Jezuitów środkami, to prawda, ale także do pieniactwa, swarów, sporów, zaciekłości, zazdrości, nienawiści i wszystkich grzechów śmiertelnych.

Dwa tylko w onym czasie znano sposoby zachęcenia młodzieży do nauki: chłostę i punkt honoru, czyli obudzenie emulacyi. Pierwszego środka hojnie używano po wszystkich szkołach akademickich, jezuickich i pijarskich; drugim nie pogardzali także równie akademicy jak i Jezuci, zarządzając publiczne uczniów rozprawy, czyli tak zwane dyalogi i koncertacye, a które Pijarowie do najwyższego posunęli stopnia, dzieląc klasy swoje na dwie strony: grecką i rzymską, pars graeca et romana; a które się codziennie wyzywały i rozprawiały. Która strona wygrała, nazywała się pars romana, a przegrana pars graeca. Każda klasa nadto dzieliła się na emulusów, po polsku: zapaśników lub zazdrośników, czyli na pary, jednego przeciw jednemu. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem otrzymał górę, temu wolno było karać przeciwnika swojego nawet własnej ręki plagami, co nie raz na całe życie stawało się powodem nienawiści i zemsty. Nie będę mówił o podziale każdej klasy na stopnie: imperatorów, dyktatorów, audytorów, cenzorów i t. d. o ławkach i koronach oślich, o pręgierzach, notalingwach i tym podobnych śmiesznościach, boby to opowiadanie moje niesłychanie się przeciągnęło; przywiodę tylko jak ten dziecinny i źle zastósowany rodzaj zapaśnictwa opisuje jeden z samych Pijarów, ksiądz Gracyan Piotrowski, mówiąc o tych wyzywach, zwanych owocześnie, de plais:

— To to, przedtem dowcipnie, żywie, pracowicie
 Szły szkoły, pewnie nie tak, jak teraz widzicie.
 Gdy verbum cum nomine, cały zapust wojnę
 Toczyło — ba i czwartki postne, niespokojne.
 Per tempora per casus praliśmy się w pyski,
 Kto nie mógł na łacińskie wystarczyć przygryzki.
 Lokucye w szaleństwo wystawiały partem
 Teraz z rozdziałów kilka książek właśnie żartem
 Przetłómaczy, i zbędzie całą pracę w szkole,
 Oj! nie w takim człek bywał przed laty rosole!
 Za jedną lokucyę od kółka do kółka
 Kolej wszystkich obeszła; nie brano już stołka
 Ex medio; stał rumak do sekundy — hory;
 Szalały nieboraki same dyrektory.
 Kiedy plac się otwierał na nasze gonitwy
 Sobotnie, dowcipki tam były jako brzytwy.
 Każdy z nas jako na śmierć gotował się na to:
 Sexterny opravione bywały bogato,
 A po sto lokucyi w kaźden pakowano,
 A każda jaka? złoto w niej było, nie siano! —
 Pomnę ja jeszcze jedną: Wróbel, dziw, dziw, dziwi,
 Tak! tak! — kwaczą kaczory, będziemy nieszczęśliwi!
 Trzy pstre sroki zbiegły się — per discolor: bieda!
 Kwik! ryk! — kap, kap — od oka, i grosza ci nie da.
 Quae est differentia inter derideri?
 Kiedy będzie dzisiejsza in plurali heri? —
 Cała wtenczas przegrała Ateńczyków strona,
 A druga za trzy sobót nie była skończona.
 Zkąd weź, to weź, hucz szumnie! choć, chociaż biada!
 Choćbyś mur głową przebił, fortel ci nie nada,
 A z łacińskiego znowu: cervo ne porta si?
 Coelum, caucer, hoc coquius quia tu? hałas
 Poczyniwszy zostawił w trzech złotych u żyda,
 Choć połowa polskiego i to się nie przyda,
 To to grunt! to to było wyborne ćwiczenie!
 Uczyliśmy się wtenczas wszyscy tak szalenie!
 Drżała skóra na człeku, skoro kto na środek
 Wyzywał, nie chciał nigdy żaden być wyrodek,

Teraz tej emulacyi nie znać jako błogo
 De videor, nie widać dwóchset u nikogo
 Propozycyi, albo czterdziestu arkuszy
 Samej dependencyi, jak to moje uszy
 Nasłuchały się przedtem, napatrzały oczy, i t. d. —

Na wzór szkół wyższych, układały się szkoły niższe, elementarne czyli parochialne, w których uczono trochę czytać i pisać, trochę rachunków, a najwięcej katechizmu, pieśni nabożnych, gorzkich żalów, godziniek, litanii i ministrantury, a na czele których to szkólek w zastępstwie księdza proboszcza, gospodarstwem lub innemi zajętego sprawami, stał zwykle organista, a w tego znów zastępstwie, dzwonnik z batem, a często sam bat tylko.

Ile było szkół wyższych i niższych w Polsce, w tych rozmaitych okresach dziejów narodowych, trudno z pewnością wiedzieć; według jednak przybliżonego obliczenia statystów narodowych, było ich za panowania Zygmunta trzeciego i Władysława czwartego, około 70, to jest: 3 Akademie katolickie w Krakowie, w Wilnie i Zamościu, 1 akademia dyzunicka w Kijowie, 36 szkół jezuickich, 17 katolickich, 10 protestanckich i kilka dyzunickich, do których uczęszczało dwadzieścia tysięcy młodzieży; — a zaś szkólek elementarnych najmniej 1500, w których uczyć się mogło około 30,000 chłopów. Z otwarciem szkół pijarskich liczba szkół tak się podniosła, tak że dodając do nich szkoły innych zakonów, oraz jezuickie coraz się pomnażające, mogło być w Polsce za panowania Augusta III Sasa, szkół wyższych około 120, a elementarnych około 1600, do których mogło uczęszczać ogółem około 60000 uczniów.

Owóż stanęliśmy nareszcie w obec okresu w dziejach wychowania i oświecenia narodowego nadzwyczaj ważnego, w obec roku 1740, czyli reformy naukowej w Polsce. Ziemią polską rządili królowie Sasi, umysłem polskim, a nie zapartą przewagą, księża Jezuici. W ich rękach było wychowanie i oświecenie całego narodu, cała jego zmysłowość i umysłowość. Podstawą wychowania, był jak wiadomo, pendentyzm ciężki, jak ówczasowe dzieła in folio; duch oświaty odbijał się całkiem ówczasowym potwornym języku. Stan okropny, powagą dłu-

rich wieków ustalony i w naród wkorzeniony. I cóż go zerwało? Trudno byłoby dać wiarę temu co powiem: gdybym nie miał za sobą świadectwa dziejów. — Oto jedno zdarzenie, powiada S. Goszczyński, zdarzenie bez żadnego na pozór związku z naukami, a nawet szkodliwe pod względem politycznym polskiemu narodowi, oto wojna z Karólem dwónastym. Wejdźmy w tę rzecz głębiej, rozważmy ją w dalszych skutkach, a przyznamy, że właściwie Karól dwónasty, mimo swej wiedzy, przez czarnoksiężkie niby zaklęcie, pełne burz, zniszczenia i szatańskich widziadeł, wywołał umysłowe odrodzenie Polski. Stronnictwo Stanisława Leszczyńskiego wystąpiło jako organ ruchu i postępu; ale zarody ich były za nadto w duszy ich przytłumione, aby się rozwinąć mogły. Leszczyński więc upadł i przeniósł się do Francyi, a z nim przeniosło się tam całe dzieło. W Polsce znowu kilkanaście lat martwych; któż w niej nakoniec przemówił głosem życia i rozumu? Ci właśnie, którzy wrócili z dworu Leszczyńskiego. Rzechy można, że wyobrażenia nowe potrzebowały tego czasu, tego schronienia, aby dojrzeć i z meżką siłą na łono kraju powrócić. —

Wprawdzie niektóre znakomite umysły, dręczone okropnym stanem narodu, powstawały przeciw złemu, ale czy to biorąc skutek za przyczynę, czy z obawy prześladowania, źródła złego nie umieli odkryć, czy go może wskazać nie chcieli.

— Zanadto oddajemy się zbyt kom, wołał jeden, trzeba nam się w zbyt kach powściągnąć!

— Trzeba nam się wyrzec pijaństwa, kosterstwa, bałamuctwa, rozpusty! wołał drugi.

— Pieniactwo nas zabija, sejmikowanie nas gubi! Zgody i jedności nam trzeba! wołał trzeci.

— Wojsko pomnożyć trzeba! Skarb zasilić trzeba! Handlu i fabryk nam trzeba! wołali inni.

Byli nawet i tacy, jak Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, którzy upadek kraju przypisywali zemście Boga, który patrzeć na to nie mogąc, aby wojska kwarciane na zimowe leże po duchownych dobrach się zakładały, sprawił: — że nie tylko ci żołnierze, ale i drudzy są niewinnie od kozaków i chłopów tak sromotnie gnieceni, z niecną niesławą zacnego tego królestwa. —

A Łukasz Opaliński, myśląc, że za mało jeszcze bito, i za

krótko trzymano młodzież po szkołach, pisał, przymawiając rodziców pobłażaniu:

— Dopierożci zaledwie po różnych przymówkach
I krewnych, i przyjaciół, poszle go do szkoły,
Przykazawszy surowie i pedagogowi,
I tym którzy są przy nim, aby długo sypiał,
Aby różga na ciałku jego nie powstała.
Rośnie Jaś jak cielątko, będzie wołek z niego.
Piszą wszyscy, że Jaś się uczy arcydobrze,
Skacze z szkoły do szkoły, bo ci co go uczą,
Chcą się rodzicom całe w tem akkomodować:
Już przebiegł retorykę i dyalektykę i t. d.

Widziano więc złe. Że jest złe, na to była zgoda powszechna. Więcej powiem: rozumiano złe. Co jest złe, na to także była zgoda powszechna; lecz odkrycie przyczyny złego, ale uderzenie w samo źródło złego, należy się na zaszczyt duchowieństwa polskiego, młodemu kapłanowi polskiemu z grona Pijarów, księdzu Stanisławowi Konarskiemu.

Za powrotem z czteroletniej podróży za granicę, gdzie ucząc się i ocierając o ludzi świątłych i rozumnych, poznał przez naukę i porównanie nicość i niedorzeczność wychowania i oświecenia publicznego w Polsce. — Tu jest źródło wszystkiego złego! rzekł w sobie w poczuciu się ducha swego! a duch jego szlachetny odrzekł: W to źródło masz uderzyć, i złe w samem źródle jego wypłenić! Zadanie wielkie, olbrzymie, ale czegoż nie zdoła wola wielka, olbrzymia, wsparta namaszczeniem sumienia, rozumu i nauki. Środki, jakie ku celowi swojemu obrał na początek Konarski, były następujące:

1. Oświecić i przekonać obywatelstwo polskie, że dotychczasowe wychowanie i oświecenie publiczne jest przyczyną wszystkiego złego w narodzie, bo sposobi młodzież na ciemnych mnichów, kiedy mu przedewszystkiem trzeba świątłych obywateli — i w tym celu wystąpić szczerze, otwarcie, bez logródki i oględności, nie zważając na złośliwe potwarze i obalamucone języki, mową, pismem, czynem, przeciwko istnjącemu sposobowi wychowania i oświecenia publicznego.

2. Wykształcić w jak najkrótszym czasie jak największą liczbę tą myślą ożywionych nauczycieli i w tym celu skierować na tę drogę i urządzić istniejące seminaria pijarskie, aby następnie przez tak nauczycieli wykształconych, zreformować wszystkie szkoły pijarskie, i pociągnąć w też ślady wszystkie szkoły krajowe.

3. Zachęcić 'ojców narodu do przyjęcia reformy szkolnej, i w tym celu zarządzić szkołę obszerną w stolicy, czyli model ogólnej szkół narodowych reformy, przez które mogłoby się odbyć następnie powszechne przekształcenie synów narodu, w sposób potrzebnom jego, duchowi czasu i zasadom nauki chrześcijańskiej odpowiedni.

4. Obudzić zapal do nauk i wskrzesić oświatę w Polsce — i w tym celu uderzyć na ciężki, napuszony i ociemniający pedantyzm doktryn starożytnych, przedstawiając w to miejsce: rzeźwość, świeżość i naturalność wystowienia i pojęć nowożytnych.

5. Zapoznać i oswoić młodzież ze światem, dla którego jest przeznaczoną i stworzoną — i w tym celu, w miejscu dawnego zazdrośnictwa i zapaśnictwa ław szkolnych, emulacyi i koncertacyi, dyalogów, trylogów i tym podobnych dziwolągów, postawić praktyczną szkołę świata, i tym sposobem urządzić widowiska, na którychby przedstawiane obrazy jako żywe przykłady, rozbudziły żywe w młodzieży piękne, wzniosłe, szlachetne, narodowe i ludzkościowe uczucia i popędy.

6. Na to wszystko pozyskać przyznanie i uznanie krajowe i powszechne — i w tym celu wyjednać zezwolenie królewskie i papieżkie.

Zaisteż, młodemu Pijarowi, odważającemu się na tak olbrzymie dzieło, trzeba przyznać zasób olbrzymi odwagi. To też sam król Stanisław August nie inaczej śnać sądził, skoro na cześć jego kazał wybić medal z napisem: Sapere auso! czyli Temu, który się odważył być mądrem! Wprawdzie wiele okoliczności sprzyjało Konarskiemu. Świetność rodu, związki krwi z pierwszemi w kraju domami, staranne wychowanie, głęboka nauka, łatwość wymowy, biegłość pióra, znajomość świata, zamożność osobista i idąca ztąd wolność od osobistego interesu podejrzenia; ale miał on też przeciw swoim zamiarom tysiące przesądów

i uprzedzeń do koła, upor i zarozumiałość do koła, one nieodstępne zawsze i wszędzie towarzyski nieuctwa i ciemnoty; obojętność, nawet nienawiść u góry, do wszystkiego co nie było sasko-niemieckiem; trudność zgromadzenia byle jakich, a cóż dopiero znakomitych funduszów, ku tak wielkim zamysłom potrzebnych i niezbędnych, a co największa, przełożenie niesłychanego wpływu i intryg Jezuitów, którzy będąc jak wszędzie, na dworze, w rządzie, w sejmie, w wojsku, w kaplicy, w szkole, w mieście, na wsi, słowem, na niebie, ziemi i na każdym miejscu, wszędzie mogli stawiać przeszkody i istotnie stawili je wszędzie. Dosyć powiedzieć, że oprócz akademii, było naówczas w Polsce samych wyższych szkół jezuitckich 67, kiedy pijarskich było tylko 27, a i te jeszcze trzeba było skłonić ku sobie; przekonać i przekształcić.

Jak te wszystkie zawady i przeszkody, zawiści i nienawiście, opory i upory, ognie i lody pogasił i potopił Konarski, jak zwłaszcza jezuickie wpływy i intrygi usunął i pokonał, jak samych Jezuitów do urządzania szkół swoich na swój sposób przymusił, tego przedstawienie i wykazanie nie mogłoby być bez zajęcia i korzyści, ale gdzie szczegóły, gdzie opisy, gdzie rozwój żywota! Tego zagadnienia rozwiązać nie umiałem. Pod ręką nie było materyałów potrzebnych; przyjaciele, znajomi i sąsiedzi nie mieli ich więcej odemnie; a biblioteka jedyna, biblioteka publiczna, w której znaleźć coś mogłem; właśnie z powodu odświeżania się zewnątrz, czyli trzydniowego pobiału zewnątrz, zamknęła się była na trzy tygodnie wewnątrz. Byłem więc na podobieństwo pewnego dziennikarza prowincyi pewnej, który, gdy wszystkie dzienniki prowincyi jego na raz ustały, a on sam z dziennikiem swoim został: — Wielka się krzywda im stała, rzekł, ale mnie największa, bo dotąd mogłem z nich czerpać, a teraz sam będę musiał tworzyć wszystko za wszystkich i dla wszystkich.

Byłem więc, jak powiadam, w kłopotach onego dziennikarza, i nie wiedząc co począć, że u szewca jednak chociaż skóry zabraknie, o kopyto nie trudno, wziąłem z pod ręki pierwszą lepszą książkę i bezmyślnie ją roztworzywszy, począłem bezmyślnie czytać takie co do słowa wyrazy:

— Ciemno zewsząd w duszy mojej i około oczu moich. —
Głos mnie zawołał po imieniu!

— I poszedłem, i idę sam nie wiem gdzie; ale za tym głosem
pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata.

— Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele, wstępuję ciemnymi
schodami, głos przedemną leci i woła po imieniu!

— I nagle grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki,
jakoby kwiaty z kamienia, a pośród ich liści i kielichów światło
miesięczne się wkłada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów,
tem wyszuklejsze, przejrzystsze, i światła też coraz więcej
przybywa. Głos wciąż woła mię po imieniu!

— Okrążyły mnie poręcze granitowe; przepaść bezdenna
podemną. Nademną dzwonnica pleciona przezroczyście, róże
gotyckie kładzione na różach, arkady podesłane arkadom,
świat ostrołuków pnący się ku niebu, a przez każdego z nich
gwiazdę jasną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki,
tam daleko, tam nad górami.

— Głos wstąpił w dzwonnice, a jak słowik ukryty w gaju,
woła na mnie wciąż po imieniu!

— Okolica jak świat szeroka, roztoczyła się przedemną. Zdało
mi się, że widzę pomieszane wsie, miasta, wzgórza, doliny i bory
uśpione. Księżyc nad niemi płynie. Wszystko się zdało bładem
złotem i ciszą.

— I ujrzałem jakoby tłumy narodów po tej jasności i ciszy.

— I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi ubranych w szaty
żałobne, ostatnie wielkiego pokolenie plemienia, w nieskończoność
idące!

— A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: Idź ze
mną!

— I szedłem za nim wśród dużej ciemności, w tęsknocie du-
cha mojego, i nie wiedziałem, kędy idę. Aż głos znowu zaszumiał:
Teraz jesteś!!! —

Wtem naraz książka mi wypadła z ręki, a przez głowę prze-
leciała myśl: Ej! pójdę do Ojców! I poszedłem do klasztoru
św. Kazimierza.

Klasztor ten, jak największa część jemu podobnych, sta-
nęła istotnie cudem łaski boskiej. Zkąd wzięły się pieniądze?
Zkąd wola i ochota ku podjęciu około niego trudów? Zkąd

siły do nich zniesienia? Były to rzeczy równie godne podziwienia jak uwielbienia. Dość, że Bóg pobłogosławił uczciwej myśli, i że dzisiaj pod opieką kilku uczciwych sióstr Miłosierdzia, wychowuje się w nim sześćdziesiąt biednych dziewczątek, i utrzymuje się w nim trzynastu starców, którzy stargawszy siły, oczekują aż Bóg ich zasługi wiecznym odpoczynkiem nagrodzi.

Właśnie była godzina poobiednia i zastałem właśnie trzynastu starców w izbie jadalnej rozsiadłych przy sprzątniętym już stole i obliczających swe lata.

— Więc nie ma nam jeszcze lat tysiąc? pytał jeden wiekiem pomiędzy niemi starszy, a przytem najnieszczęśliwszy, bo oślepy od lat dziesięciu.

— Nie ma, ojcze Stefanie, odpowiedział ojciec Stanisław — biskup, a który sam na siebie brał całą część dziesiątą tysiąca, bo liczył, czyli kończył sto lat swego żywota.

— A kto ich liczył? I czy dobrze obliczył? Pytał znowu ojciec Stefan.

— Liczył ojciec Dominik, i pewnie obliczył dobrze, bo chociaż jak pień głuchy, ale widzi jakby ostrowidz; istnieć jak ty ojcze Stefanie, ślepyś jak kret biedaku, a słyszysz jak wiewiórka.

— A ile do tysiąca brakuje? pytał Stanisław Kostka.

— Jest naszych lat razem 987, więc brakuje lat jeszcze 13.

— No! to jeżeli Bóg zechce, rzekł ojciec Dyonizy, że jak tutaj jest nas trzynastu, każdy z nas rok przeżyje jeszcze, tedy w roku przyszłym da Bóg doczekać, będzie nam okrągłe lat tysiąc.

— A mnie się zdaje, ozwie się ojciec Trankili, że musi być w tym rachunku omyłka, bo pamiętam miesiąc, jakieśmy się liczyli, to już było prawie lat tysiąc, a jeszcze między nami ojca Jana Aleksego nie było, co nam przecie na swoim karbie przyniósł także latek 70 i ma podobno ich więcej.

— Ale zapominasz ojcze Trankili, rzecze ojciec Reces Antoni, że był wtedy pomiędzy nami Przybysz, co jak niepotrzebnie tu przybył, tak niepotrzebnie się wybył.

— Ma rację! Brawo! brawo! dobrze powiedział zawołali spodem ojcowie: Jozafat, Szymon, Izidor, Feliks, Jan, Marcin i z nimi wszyscy inni.

— Ale my tu stare nasze lata liczymy, a nie bawimy gości! rzeczy znowu ojciec oślepy.

— Taby właśnie była gościa powinność, bawić was ojcowie. odrzekłem; ale dzisiaj co prawda, to nie na zabawę, ale po naukę przyszedłem do was.

— A kogo dziś czego nauczyć mogą starzy? powie ojciec stuletni. Dzisiaj nowe nauki, nowe wynalazki, nowe idee. Co wam po rzeczach starych?

— Dobre rzeczy nie starzeją się nigdy, rzekłem, a mnie właśnie idzie o rzeczy stare. Ot, czy nie wie który z ojców szczegółów z życia Konarskiego?

— Wiem, wiem — Znam jego życie całe doskonale! zawoła ojciec stuletni. A to mi była dusza co się zowie uczciwa! A jaki był wesoły, jaki dowcipny! Raz pamiętam było to na obiedzie czwartkowym u króla Stanisława Augusta, ksiądz biskup Naruszewicz, co też lubił dowcipki: Przodek Waćpana, rzecz, musiał być sławnym rybakiem, tak przynajmniej wnosić trzeba z nazwiska. — Być może, odrzeknie zagadnięty, ale przodek Jmci księdza biskupa, musiał coś nie swego naruszyć, kiedy go Naruszewiczem przewzano.

— Nie dosłyszał twego pytania, szepnie mi ojciec ślepy, ty pytasz o Konarskiego, a on ci o Karpińskim prawi.

— Nic nie szkodzi, odszepnąłem, zda się wszystko co dobre! Niech prawi.

— A drugi raz, ciągnął znowu ojciec stuletni, także dobrą przypiął temuż Naruszewiczowi łatkę, ujmując się za Lachockim pocziwym kaznodzieją nadwornym:

— Lachowski prawdę mówi, jest tylko plebanem, Naruszewicz że schlebia, biskupem i panem. —

A raz także na obiedzie u króla, kiedy jeden kłamca a ulubieniec królewski bredził niestworzone rzeczy, rozprowadając naprzykład, że w Anglii wynaleziono taką perspektywę, przez którą w noc najciemniejszą brzegi amerykańskie widzieć można, i król zaraz kazał sekretarzowi swemu taką perspektywę sobie zapisać — Już teraz nie dziwię się rzekł, że W. K. Moś wierzy bajkom biskupa Krasickiego, kiedy onej bajce uwierzył.—

Albo i to, czy nie było dowcipne? Kiedy król darowawszy mu jakąś tam w puszczy Białowieskiej pustkę, a myśląc, że na wielką wspaniałomyślność się zdobył: — A nazwijże ją od kochanki twojej Justyną, rzekł. — Nie mogę Mości Królu, odrzekł, bo w Justynie było wszystko co człowieka uszczęśliwić mogło, a to taka dziwa ladaco, że chociaż człowiek na niej po całych dniach i nocach jak osioł pracuje, jeszcze może z głodu zdechnąć mu przyjdzie. —

A i tego może nie wiecie, jak się mądrze przypomniał Dominikowi Radziwiłłowi o dług sobie należny za swe przy nim nauczycielstwo. Oto taki napisał memoryalik do niego: — Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor w leciech podeszły prowadził go za rękę, ażeby ani po górach chodząc upadłszy nie szwankował, ani po dołach w błocie się nie zwał, albo nie ugrzązł. Przyszedł czas, że Polidor zestarawszy się, spokojnie już w chacie swojej siedział, przyszedł do niego Altamor i rzecze: — Tyś mię prowadził w mojem dzieciństwie, ja przyszedłem Cię w starości ratować; kładę przy tobie chleb, byś wygodniej starość twoją przepędzał. Bóg wtedy spojrział z nieba na ten piękny wdzięczności dowód, a ponieważ Altamor nie miał już ojca ni matki, a więc do niebian swych rzecze: Ja temu cnotliwemu młodzieńcowi stanę za ojca i matkę. Wasza Księżęca Mość jesteś Altamorem, a ja Polidorem, który sprawę moją względem Jego polecam. — Podobał się ten dowcip młodemu Radziwiłłowi, i należność zaraz wypłacił kazał.

I to też było nie złe, że gdy zakończywszy uniwersyteckie nauki i zostawszy doktorem filozofii, przyjechał ojca swego odwiedzić, a ten na wiadomość taką wymierzył mu policzek; on do nóg ojca upadłszy począł go za obrazę przeproszać, aczkolwiek wcale nie poczuwał się do niej; — a ojciec jemu na to: — Teraz, to już wierzę, żeś filozofem, bo ja, prostak, nie umiałbym się zdobyć na pokorę taką — a potem sam ojciec padł na kolana przed synem i błagał Boga o błogosławieństwo nad nim.

A i to sławne także, jak pamiętam, w czasie rejterady francuskiej, wpadli do osady jego Kozacy i rabować zaczęli, a jeden Kozak chciał mu z rąk wydrzeć srebrną tabakierkę, na której był wizerunek Cesarza Aleksandra, bo miał ją w darze

za Rozmowy Platona. — Tego mi nie wydrzesz, zawołał — bo to jest portret cesarski, a ja przysięgłem bronić aż do śmierci Cesarza. Cofnął się Kozak i już więcej nie naglił, a ten czyn Kozaka uwielbiał nasz pocziwiec do śmierci.

Ciekawa to rzecz była oglądać w domu jego napisy, których było wszędzie dostatkim. Lubił on nadzwyczaj obrazy, i miał ich, nawet pięknych, wiele. Tak naprzykład pod Herkulesem przedzającym stał napis:

— Herkulesowi Omfila prąść dała,

On świat, a jego baba pokonała. —

A pod Wenerą naprzykład:

— Innym o ubiór mozoła,

A jam piękniejsza, żem goła! —

A naprzykład w pokoju swoim sypialnym miał dwie szafy, z których jedna pełna była książek, a na niej napis: dla duszy; druga z zapasami do jadła i napoju, z napisem: dla ciała; co tak się podobało jednemu z generałów francuskich w pochodzie do Moskwy, że za powrotem miał urządzić takie szafy u siebie — ale biedak już nie wrócił.

Podobnie zręcznych i dowcipnych napisów widziałem u niego wszędzie: na drzwiach wchodowych do dworu; nad kuchnią, stajnią, oborą, stodołą, w sypialni, jadalni; — niektóre z nich pamiętam:

— W zagrodzie i blisko niej, niech się nic nie pali,
Ogień wielu pogubił, co mu dowierzali.

— Miej dozór, twój robotnik żeby nie próżnował,
Miej litość i nad siłę żeby nie pracował.

— Nie polegaj ze wszystkim na innych posłudze,
Ile można sam dojrzyj — ślepe oczy cudze.

— Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

— Dziś napraw co potrzeba koniecznie naprawić,
Jutro może też praca dwukrotnie zabawić.

— Gospodarz długo śpiący zrobi zbioru mało,
Spał dosyć, gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

— Przysłowie niesie, jaki pan i służy tacy,
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

Nie brakło więc mu dowcipu. Ale raz to chłop także do-
wciwnie z nim się znalazł. Pewnej nocy, już po północy wracał
on był kobyłką w małe saneczki zaprzęzoną od sąsiada do domu.
Wtem, ni ztąd ni z owąd, kobyłka się wyprzęgła. A to sęk! Nie
umiał sobie poradzić filozof. Płakać na co się zdało? Śmiać się
jakoś mu się nie chciało? Może hukać? A nuż wilk posłyszysz,
to i po kobyłce i po filozofie. Więc się biedzi, a myśli, a stęka
i wzdycha. Wtem nadciągnął chłopiek z sosenką, którą, korzy-
stając z nocnej ciemności był sobie w przyległym lasku uciu-
pał.

— Niech będzie pochwalony, zacznij pierwszy filozof, i nuż
w prośby do chłopka, by mu zaprzął kobyłkę. — A kto Wasze?
zapyta chłopiek. — A Karpiński! odpowie filozof. — Ale nie
z Kraśnika!? — A z Kraśnika! tłumaczy się dalej Karpiński.
— O! toć chyba nie prawda! — A to czemu? — Boć to wszy-
scy ludzie wiedzą: że pan Karpiński z Kraśnika, to najmędrszy
człowiek na całe mil sto w około; a Wasze nawet zaprzadz ko-
byłki nie umiesz! — Zamilkł filozof na to chłopskie dictum acer-
bum, ale się poczciwy chłopiek zlitował i zaprzął mu kobyłkę.

— A to widzę ojciec stuletni prawisz nam o Karpińskim,
rzekł natenczas ojciec, nie wiem już sam który, a Jegomość
chciał wiedzieć o Konarskim.

— O jakim Konarskim, co za Konarskim, zagadnie z podzi-
wieniem ojciec stuletni.

— A, o Stanisławie Konarskim, o księdzu Konarskim, o re-
formatorze szkół i nauk w Polsce!

— A bodajem was nie znał! A czemużeście nie przestrzegli
mię wcześniej. Byłbym sobie gęby nie studził, i jegomościa nie
nudził. Znałem, znałem księdza Konarskiego, księdza Stani-
sława Konarskiego. A któż nie znał za moich młodych czasów
księdza Stasia Pijara? co był synem dwojga imion Wojciecha
Jerzego Konarskiego, Kasztelana Zawichostskiego, a miał dwóch

braci, Andrzeja i Ignacego, także jak on Pijarów, i Michała z nich najstarszego Kasztelana Sandomierskiego, a przecież byłem w jego konwiktie w Warszawie, który był założony dnia 23 maja 1743 r. Ja wszedłem do konwinktu dopiero 1770 r., mając wtedy lat 12 skończonych, bo był przepis, pewnie nie z wiatru wzięty, że nie przyjmowano dzieci starszych nad lat trzynaście, a młodszych nad lat osiem. Poczciwy ksiądz Konarski miał wtenczas lat 70, i żył jeszcze trzy lata za mnie, bo umarł 1773 r. Oj! byłoż to płaczu młodzieży! bo jakże to on nas kochał! jak nas pielęgnował! jak pieścił? I byłoż to płaczu po całej Polsce! bo to każdy wtenczas już wiedział, że gdyby Opatrzność zesłała nam Konarskiego pięćdziesiąt lat przód, nie poszlibyśmy w poniewierkę. Dawniej bywało, kto pan w domu, pan w szkole; a tu wszyscy konwiktorowie jednakowe pobierali wychowanie i oświecenie, kształcące serce, rozwijające rozum, układające i wzmacniające ciało. Wygody jednakowe także były dla wszystkich i jednakowe w słabości opatrzenia. A jaki porządek, jakie ochędóstwo, jaka świeżość powietrza, jakie zdrowe pokarmy, i jak przy tem gruntowna a uprzyjemniona nauka? — Między największemi oświecenia się swego pożytkami, niech Ichmość konwiktorowie, zwykł był nam mawiać wiekopomnej pamięci Konarski, założą sobie dobrych chęci i nałogu do czytania dobrych książek; dobrych powiadam — to jest moralnych, historycznych, politycznych, do literatury i wszelkich umiejętności należących, a nie zaś ladajackich, rozumowi, cnocie i religii przeciwnych. Gdybyśmy albowiem tyle tylko umieli, ile się w szkołach nauczyć można, mądrość nasza byłaby błaha, ladajaka, nikczemna. Szkoły uspasabiają tylko do rozumienia książek; jedno zaś czytanie książek czyni nas uczonymi i wielkimi w ludzkości. Ten już prawie nie potrzebuje nauczyciela, kto sobie książki za nauczyciela bierze. Czytaniem książek całe życie doskonali się człowiek, więc zaraz z młodu do czytania przyzwyczaić się trzeba. Kto w szkołach ochoty do nich nie nabierze, czy można się spodziewać, aby wyszły na świat, wśród tysiącznych roztargnień, miał się chcieć książką bawić? Kto zaś z młodu do tej zabawy chęć weźmie, ten od niej pewnie przez całe nie odwyknie życie. Dla tego tu otwarta jest dla uczniów biblioteka i godziny wyzna-

czone do czytania i zdawania sprawy z rzeczy czytanych. Niech Ichmość starają się korzystać z obojga, aby wyszli na prawdziwie sobie i ojczyźnie użytecznych obywateli. —

Albo i to, czyliż nie było budujące i piękne, co nam był mawiał o potrzebie przyzwoitości, obyczajności, oszczędności, przyjaźni, braterstwa, rzetelności.

— Jeżeli co, bywały słowa jego, to umiarkowanie pomiędzy sobą i uskromienie namiętności mają zachować młodzieńca. Dopieroż, Boże uchowaj swarów i kłótni, złych i onych szpetnych słów, i jakiegokolwiek bądź zelżywości i spotwarzania drugiego. Takie bowiem unoszenie się wykazuje złe wychowanie domowe, a po części złe serce, bo też nie ma większej lichości, nawet między ostatnim stakiem gburstwa, jak gdy się takiemi obelgami i przewiskami częstują. Miewać też czasem będziecie, mówił, z łaski rodziców albo opiekunów pieniądze; — pomnijcież, że pod żadnym pozorem, ani żadnych trunków kupować, ani w żadne gry o pieniądze wdawać wam się nie godzi. Grosz ten lepiej użytym będzie, skoro go obrócić na kupno potrzebnych książek, na wsparcie ubogich, do litości względem których przez wszelkie chrześcijańskie pobudki najskłonniejszymi być macie. Pożyczać zaś pieniądze, czyli zaciągać długi, dodał, jest zawsze źle, bo to w młodocianym wieku zwłaszcza, nie tylko jest rzecz naganna, ale wypowiada zawczasu, iż takowi długów zaciągacze zamłodu, gdy dojrzeją, pewnie wykpigroszami, marnotrawnikami, dłużnikami będą. Niechże sobie ubożsi honoru prawdziwie dzieciennego i niedorzecznego na tem nie zakładają, aby, kiedy bogatszych wydatkujących widzą, i oni też wydatkować mieli. Szpetniej i naganniej stokroć jest się zapożyczać, aniżeli nie mając na wydatki, nie wydawać wcale na potrzebne, a cóż dopiero na wcale niepotrzebne i nieużyteczne rzeczy.

— A że młodzież szkolna, mawiał nam jeszcze, przeznaczoną jest do życia towarzyskiego, dla tego więc zaraz, z młodych lat, sposobieć się ma do zabierania i skarbienia sobie prawdziwej przyjaźni, nie ze złymi, nie z gorszącymi, bo podobnych stósunków i przyjaźni jak ognia i powietrza morowego wystrzegać się należy, bo z kim kto przestaje, takim się sam staje; ale z młodzieńcami dobrymi, uczciwymi, obyczajnymi. Kto się

w szkole o przyjaźń i życzliwość drugich starać nie umie, kogo w szkole nie lubią, ten pewnie i na świecie sobie przyjaciół nie pozyska. Nie ma to znaczyć, żeby się pochlebiać i schlebiać, lub żeby błędzącego nie przestrzedz — jest to owszem prawdziwie przyjacielska posługa i chrześcijańska powinność; ale się mówi, żeby ani ze złości ani z zemsty, ani z zazdrości, przeciw drugiemu nie powstawać, aby nie szukać poniżenia i umartwienia drugiego, nie cieszyć się naganą jego i karą, nie żywić w sercu przeciw nikomu nienawiści, choćby nawet za urazę jaką, którą zawsze wspaniale należy przebaczyć. —

A jak się za wyrobnikami i służebnikami ujmował. — Ludzi służących nigdy źle traktować nie należy — mawiał — nie łajać, nie klnąć, nie fukać, ale owszem pamiętać, że to są bracia nasi, już i tak nieszczęśliwi dosyć, że nam służyć muszą, ale starać się wszelkimi sposobami o ich przywiązanie i miłość. Już to powiadał, największy znak ile w młodem, alii i w każdym sercu złego jest, kiedy kogo własni jego służebni nie kochają.

— Pamiętajcie! wołał też bywało, że nie tylko Bóg wszystko widzący, ale własne sumienie na wszystkie sprawy wasze patrzy.

— Gdziebyście nie byli, gdziebyście się nie skryli, wszędzie i zawsze Bóg widzi, i prędzej czy później wszystko złe, które popełnicie, sumienie wasze wyrzucać wam będzie. Więc nie tylko przy drugich, lecz i na osobności nic zdroźnego, nic sprośnego, nic przeciwnego wstydomu przyrodzonemu, przywoitości, obyczajności, skromności, wstydlivosti i cnotliwości czynić nie macie, ani nikogo złym jakim przykładem gorszyć, ale wszędzie i zawsze, jak choć nie chrześcijański filozof Seneka radzi, wszędzie i zawsze tak się przyzwoicie i skromnie, wstydliwie i obyczajnie zachowywać, jakbyście ciągle pod okiem rodziców i nauczycieli byli.

Na ostatek przypominał i upominał, aby młodzież nie czekając na przestrogi i kary, sama z siebie ku dobremu się miała, tym, którzy nad nią zleconą pieczę mają, łagodnością i grzecznością powodować się dała, a do martwiących siebie nie przy muszała sposobów, które nie mniejsze przełożonym jako i jej samej zwykły sprawiać przykrości, *et peccare oderint virtutis amore, non formidine poenae*; aby często te dla której zrodzoną jest, na pamięć sobie przywodziła ziemię, a jej

nadziei, osobie powziętej odpowiadając, dobrowolnie do wszelkich nauk i umiejętności, do miłych i pięknych obyczajów, i do godnego swych przeznaczeń sposobila się życia; aby przytem umacniała się w miłości tej wiary świętej, za którą jej przodkowie krew przelewali, w miłości Boga, bliźnich i wszystkich cnotach chrześcijańskich, a o które kto nie dba, albo jest z nich ogołoconym, ten ani sobie samemu, ani pospolitej rzeczy przydatnym być nie może. Religia, sumienie, honor, oto jedyne szlachetne ku dobremu pobudki, mówił nam, któremi, jeżeli się tu rządzić zechcecie, żadnej nie doświadczycie przykrości, i tem mniej tęsknić za domem będziecie, im lepiej przekonacie się o tem, że ludzie do społeczeńskiego przeznaczeni życia, muszą z młodu do niego się wdrażać, ale że też właśnie muszą być dla tego dozorowani, pilnowani, przestrzegani, nauczani i oświeceni; inaczej wszystkoby się obróciło w dziczyznę. Te prawdy, te myśli i uwagi, dodawał, jeżeli ich chętnem i skłonem sercem słuchać będziecie, uczynią wam wdzięcznym i przyjemnym tu pobyt, a te wszystkie prawa i zwyczaje tutejsze, z których, abyście jak największy pożytek na całe życie dla siebie, familii swoich i ojczyzny waszej odnieśli, niechaj da Bóg w Trójcy jedyny. — »

— Nie sądzicie jednak, mówił, odetchnąwszy nieco ojciec stuletni, żeby Konarskiemu szły zamiary jego jak z płatka. W pierwszych nawet kilku miesiącach, jednego tylko miał ucznia, a że nim był Świdziński Wojewodzie ruski, więc Jezuici powtarzali z przekąsem: — Schwycił Pijar Rusina — Za czuprynę go trzyma! — Ale Konarski się nie zrażał, tak był pewnym, że siew dobry prędzej czy później wzejść musi; i zamiast zakład swój zwinąć, jak to byli już mu doradzili niektórzy, kazał go na sto łózek rozszerzać. — Czy ksiądz Pijar żenić się nie myśli i na raz ze stu żonkami? — pytali Jezuici. Konarski się nie gniewał, na przymówki nie zważał, i czas wkrótce okazał, że dla miejsca szczupłości trzeba było z dawnego kolegium pijarskiego przenieść zakład do nowego, i na ten cel umyślnie wystawionego i zbudowanego nad Wisłą, potem Piękno brzegiem — joli bord — czyli Zoliborzem zwanego, a który też w r. 1745 został otworzonym z wielką uroczystością w obec całego senatu i sejmu walnego, który się był wła-

śnie zbierał natenczas. Od tego czasu wszystko już szło Konarskiemu pomyślnie, i nie tylko pozyskał pozwolenie królewskie, Augusta trzeciego i papieżkie — Benedykta czternastego, ale wszystkie szkoły pijarskie reformowały się łatwo i szybko, do czego też Konarski wziął się bardzo dobrze i mądrze.

Trzeba wiedzieć, że Konarski chodził początkowo do szkół pijarskich w Piotrkowie, a potem w Podolińcu na Spiżu, gdzie zakończywszy nauki i święcenie kapłańskie przyjąwszy, naprzód tamże, a potem w Warszawie, uczył wymowy, poezyi i łaciny, w których to przedmiotach nadzwyczajnie był biegłym. Nie był on sam z siebie ubogim, a więc bez sposobu do nauk, lecz że się rodził z Tartówny, której brat był Biskupem Poznańskim, człek możny, rozumny i nauki lubiący, ten więc oceniwszy swego siostrzeńca zdolności, wysłał go własnym kosztem za granicę na nauki dalsze do Rzymu, gdzie Konarski bawił lat cztery, i przez dwa lata ostatnie wykladał z wielkim poklaskiem Historią powszechną w tamecznem kollegium Nazareńskim zgromadzenia Pijarów. Zwiedził następnie znaczniejsze miasta francuzkie i włoskie, wszędzie przypatrując się urzędzeniu i przysłuchując się wykładowi szkół i uniwersytetów — i wtedy to poznał też zbliżony sposób myślenia Stanisława Leszczyńskiego, który już jako teść króla francuzkiego, mieszkał w okolicy Paryża, jak również wielu Polaków bawiących na dworze jego. Poprzedzony dla siebie przychylną opinią rodaków i cudzoziemców, wrócił wreszcie do kraju i zaraz — korzystając z dawnych przychylności szkolnych, objechał znaczniejsze kollegia pijarskie, a mianowicie: Warszawę, Piotrków, Radom, Łowicz, Miedzyrzecz, Podoleniec, Rzeszów i t. d., wszędzie zdolną młodzież pijarską namawiając i nakłaniając, aby się zawodowi nauczycielskiemu poświęciła, i w tym celu, bez straty czasu, udawała się do seminaryum pijarskiego w Rzeszowie, gdzie on, przy pomocy światłych innych Pijarów, kształcić ich przez dwa lata na nauczycieli będzie.

— Miły Boże! zawołał w tem miejscu ojciec stuletni, dwa lata! jak to czas krótki, a jednak jaki to czas długi! okazał to po dwóch latach Konarski, kiedy nie tylko wielu bardzo młodych Pijarów przez siebie rozwiniętych na dalsze nauki do Włoch, Francyi, Anglii i Niemiec wysłał, aby ztamąd wrócili

skończonymi, doświadczonymi i wprawnymi nauczycielami; ale mnóstwem już uzdatnionych osadził prawie wszystkie głównejsze szkoły pijarskie, gdzie ci taktem, przykładem i wpływem swoim wkrótce sprawili, że i inni dawniejszego trybu nauczyciele na ich się sposób układać i w ich ślady wstępować musieli. Szła więc szybko reforma szkół pijarskich, a za niemi reforma innych szkół także, bo sami Jezuici nawet, widząc, że Konarski ogólne zyskał przyznanie, woleli się schylić niż upaść, i powoli według planu szkół pijarskich swoje urządzić zaczęli. Szlachetny Konarski ani się im urągał, ani się z tego chełpił; owszem cieszył się szczerze z takiego rzeczy obrotu, bo jego duszy pocziwej szło tylko o pożytek publiczny. Przedmioty, które podług tego nowego planu poczęły się po szkołach układać, były następujące:

1. Nauka religii i nauka moralności chrześcijańskiej, a po seminariach w dodatku: teologia, prawo kanoniczne i historia kościelna.

2. Język i literatura polska i łacińska, a po seminariach, grecka i hebrejska także.

3. Arytmetyka, algebra i geometria.

4. Historia naturalna, fizyka i chemia.

5. Geografija i historia powszechna, oraz geografija i historia polska.

6. Filozofija; przy niej: etyka i metafizyka.

7. Prawo krajowe, a mianowicie Volumina legum i inwentarz Żeglickiego.

8. Polityka, czyli zapoznanie się z rzeczami politycznemi.

9. Ktoby chciał języki nowożytne — francuzki, niemiecki nawet włoski i angielski.

10. Podobnież dla chcących: architektura cywilna i wojskowa, oraz wszelkie rysunki, muzyka, tańce, fechtynki i t. d.

Tak daleko doprowadziwszy Konarski swoje dzieło reformy szkolnej, prowadzenie go dalsze zdał na swoich pomocników, wyręczyli i zastępców, a sam cały oddał się wydawaniu dzieł pożytecznych; a według jego rozumienia do skończenia dzieła pożytecznego niezbędnych. Już dawniej wydał był Listy Przyjacielskie 1731 r. dotyczące obioru Stanisława Leszczyńskiego, potem Volumina legum 1736 r. Następnie: O błędach

wymowy i o sztuce dobrego pomysłu i wysłowienia. Dalej 1741 r. Gramatykę pijarską w zastępstwie dotychczasowego Alwara. Z kolei sięgnął najważniejszego przedmiotu i w dziele o skutecznym rad sposobie, uderzył na liberum veto i niedorzeczności sejmikowania ówczesnego. Łatwo pojąć, jakie to zwłaszcza ostatnie wystąpienie wywołać musiało wrzaski uprzedzonej i ciemnej tłuszczy, ilu sobie narobił zaciekłych nieprzyjaciół. Na niektórych zjazdach palono jego dzieła publicznie. Przeszła jednak i ta burza, jak wszystkie inne, i coraz więcej i na tej drodze zbliżało się ku niemu przekonanych i nawróconych umysłów, aż nareszcie i tej się doczekał pociechy, że ministrowie, senatorowie, posłowie, hetmani, biskupi pisali do niego listy powinszowania, uwielbiania i dziękczynienia; że skromne jego pomieszkanie stało się ogniskiem zdrowej i mądrej rady wszystkich stanów i wszystkich wieków, że go proszono, zaklinano, aby nie pozbawiał narodu swych zdolności, i ofiarowano mu biskupstwa i inne znakomite godności, których Końarski nigdy wszakże nie przyjął. Roku 1769, za panowania już Poniatowskiego, napisał jeszcze dzieło: O religii poczciwych ludzi. Natychmiast przeciwnicy okrzykli go w Rzymie, ale Końarski zamiast się tłumaczyć i spierać, wolał dzieło swoje przełożyć z polskiego na łacińskie, i samemu papieżowi Klemensowi czternastemu je przypisał, podał mu je do ocenienia. To sprawiło, że czego chciała nienawiść użyć na jego potępienie, to na większą poszło mu chwałę. Roztropny Papież ocenił użytek tego dzieła, i własnoręcznym listem zachęcał Końarskiego, aby wśród okoliczności, w jakich się Polska znajdowała owocześnie, nie zrażał się przeciwnościami, i dalej, dla dobra wiary, ludzkości i ojczyzny pracował. Na koniec, ostatniem jego dziełem była: Rozmowa ziemianina z sąsiadem, i wkrótce tegoż samego roku 1773 zakończył uczciwe, pracowite, pełne wytrwałości i poświęcenia życie, przeżywszy prawie okrągło lat 73. — Requiescat in pace! dodał z westchnieniem ojciec stuletni, a i mnie też czas udać się na spoczynek, bo już widzę i mroczyć się zaczyna. Dobra noc!

— Dobra noc! Ojciec stuletni!

— Dobra noc tatku stulatku! — dodał głośniejsz ojciec oślepy. A nie zapominaj tylko przebudzić się nam jutro.

— Tylkoż i ty mój kretku — odrzekł ojciec stuletni — nie wymknij się nam w nocy, boby mi przykro było na moje dzień dobry nie posłyszeć twego dzień dobry.

Jacy nieszczęśliwi, a jacy żartobliwi, pomyślałem sobie. Co to jednak może czyste sumienie!

— Dobra noc!

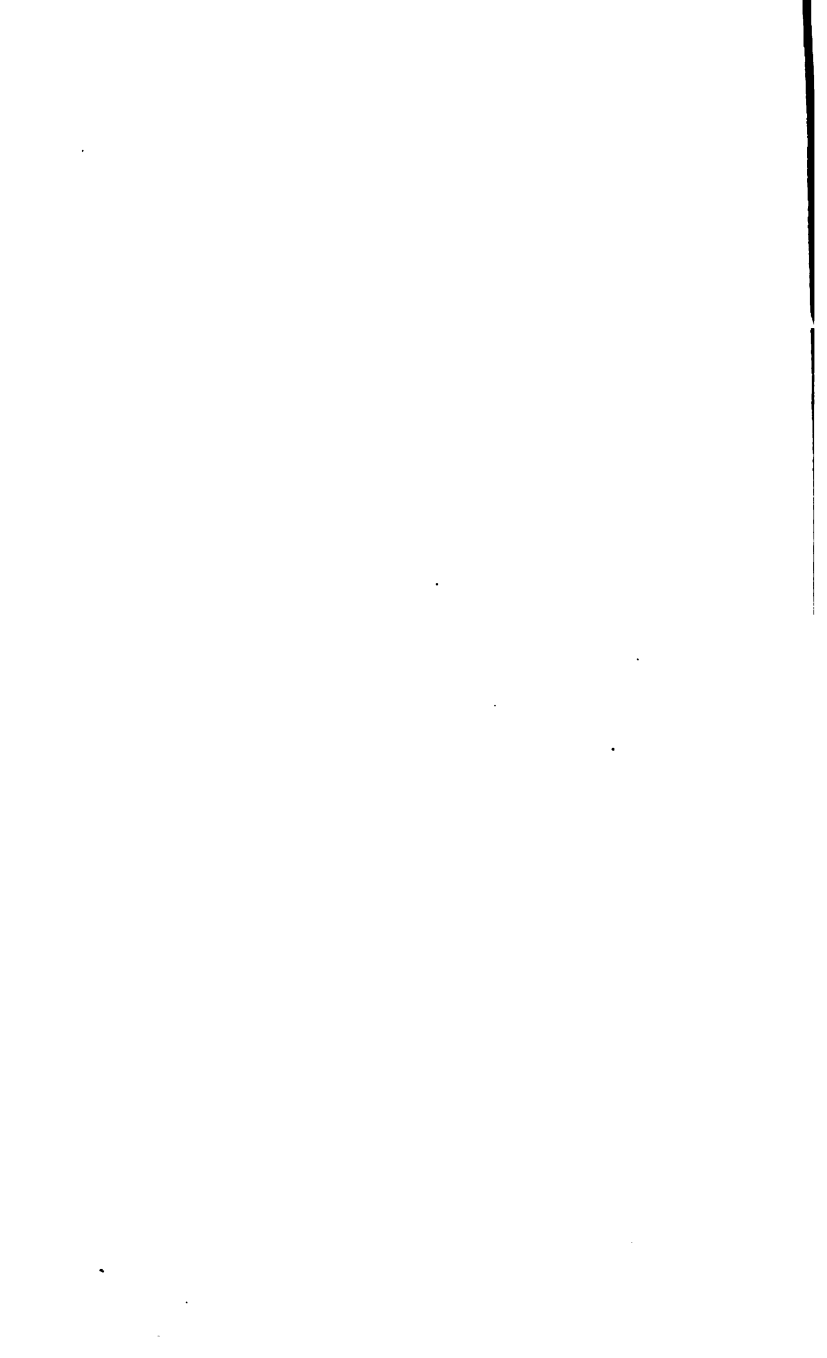
— Dobra noc!

I rozeszliśmy się wszyscy.

WIECZÓR CZWARTY.



SZKOŁY PUBLICZNE NIŻSZE.



WIECZÓR CZWARTY.

SZKOŁY PUBLICZNE NIŻSZE.

Skutki reformy Konarskiego. — Upadek Jezuitów. — Komisya Edukacyjna. — Czasy Stanisława Augusta i zdania o nich dzisiejsze. — Pierwszy krok za dom rodzicielski. — Gimnazjum Grodzieńskie we Swistoczy — Żywot księdza Hugona Koliątaja.

«Pielgrzymie, który się wybierasz
w drogę dla zwiedzenia przyszłości,
weź z sobą oczy przeszłości.»

ZDANIE PERSKIE.

«Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,
Przecież ich źródła dociec umie arcyzadki;
A na podobnej liczbie jeszcze gorzej zbywa,
Coby różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafiliby wy badać za rozsądku wodzą,
Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą.»

ADAM MICKIEWICZ.

Stanisław Konarski zrobił wiele; wyrwał umysł z uśpienia, którego rozwinięciu się zarządzone tego czasu bullą apostolskiej Stolicy zniesienie zakonu Jezuitów wielce sprzyjać musiało, bo takie jest prawo przyrody, że próżni nigdzie nie cierpi.

Jakoż po upadku zakonu jezuckiego — pisze Lelewel w swem dziele: Panowanie Stanisława Augusta, drukowanym w Warszawie — we wszystkich krajach katolickich zjawiała się

wielka w zakładach naukowych próżnia, którą nowemi urządzeniami zapełnić wypadało. Po wielu krajach fundusze jezuickie w części na potrzebę edukacji przeznaczono ; w Polsce, na sejmie r. 1775 zaraz je całkowicie na ten cel obrócono, oczywiście oprócz tej części, którą uroniła komissya rozdawnicza, albo podchwyciły ręce prywatne. Zawiązana komissya edukacyjna, rozporządzając niemi szczęśliwie, nie przestawała nad coraz doskonalszem urządzeniem szkół pracować, i usiłowała podźwignąć szkoły główne, czyli uniwersyteta Jagielloński w Krakowie i Batorowski w Wilnie, oczekując po nich światłej w naukach pomocy. Krakowski, z ciężkiego dawnych czasów przyćmienia wydobyty, nie mógł prędko do światła wieku trafić. Uniwersytet Wileński, z jezuickiego na świecki przeistoczony, zasilił się przeniesionemi z Grodna do Wilna Tyzenhauza zakładami. Nieustające starania komisji również do ulepszenia niższych szkół dążyły. Przedewszystkiem trzeba było pomyśleć o usposobieniu na przyszłość zdolnych nauczycieli. Zakładami takimi mogły się stać łatwo wydziały filozoficzne w obu uniwersytetach, trzeba je tylko było stósownie do potrzeby przekształcić. Myśl tę zbawienną podał komisji Michał Poniatowski, podonczas biskup Płocki. Wysłany w tym celu Hugo Kollataj, zajął się sprężysie olbrzymią pracą; zmienił plan nauk, przepisał jakie przedmioty, w jakim sposobie i przez kogo wykładane być miały, a tak wybranym polecił:

1. Aby zaniechawszy dawnego zwyczaju lekcyi dyktowania, obrali sobie, każdy w swoim przedmiocie najlepszego autora nowszego i czytali go uczniom wraz z uzupełnieniem czerpanem z innych dobrych autorów.

2. Aby przed rozpoczęciem wykładu, każdy nauczyciel złożył na ręce naczelnika czyli dziekana wydziału program tego, co przez cały rok czytać będzie, z rozwiniętem przedstawieniem metody, której się trzymać będzie.

3. Aby nauczyciele filozofii w wykładzie swoich przedmiotów unikali zastarzałych przesądów i siania nienawiści.

4. Aby wszyscy trzymali się sposobu analitycznego, przechodząc od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych.

5. Aby zwłaszcza wykładający matematykę, teorię do rozmaitych życia potrzeb zastósowali.

6. Aby nauczyciel loiki uczył myśleć młodzież zdrowo i rozsądnie, prowadząc ją do poznawania prawdy, a od przesądów i fałszu odwodząc.

7. Aby nauczyciel filozofii moralnej obznajmiał uczniów z obowiązkami człowieka i obywatela, wiodącego do zamiłowania sprawiedliwości i cnoty.

8. Aby nauczyciel historii naturalnej zwracał szczególnie uwagę uczniów na przedmioty, które Polska z tej gałęzi nauk zamyka.

9. Aby nauczyciel fizyki szczególnie miał na względzie użytek, stósując ją do rzemiosł, budowy machin i do oświecenia rozumu tłumaczeniem rozmaitych przyrodzenia zjawisk.

10. Aby nauczyciel wymowy odwodził młodzież od używania szczególnego postaci retorycznych, ucząc ją, że prawdziwa wymowa nie zależy na postaciach i igrasce słów, ale na myślach ważnych i na przyzwoitem tych myśli i uczuć wyłuszczeniu.

11. Aby nauczyciel poezyi podobnie zwracał uwagę uczniów na szczytność myśli i wyborne zdania poetów, nie zaś na wyrazy gołe i szumne, lub na formy zewnętrzne wiersza.

12. Ponieważ zaś młodzież taką wychodzi ze szkół jaką ją nauczyciele mieć chcą, przeto cała ich nauka zmierzać ma do powszechnego użytku społeczności.

Komisya edukacyjna przyjąwszy ten plan, przyznała wynagrodzenia dla nauczycieli usunionych; nauczycieli podanych swoją zawezwała powagą, uchwaliła dla nich pensye, jak również dla kandydatów na dalsze nauki za granicę wysłać się mających, zarządziła napisanie księgi ustaw szkolnych, i ten nowy stan rzeczy, z wielką uroczystością do obu uniwersytetów, Krakowskiego i Wileńskiego wprowadziła.

W swych naukowych staraniach — posługując się znowu słowami Lelewela — znalazła Komisya edukacyjna największą pomoc w zgromadzeniu księży Pijarów; których szkoły i konwikt, wyprowadzając dobrze usposobionych obywateli, stawały się wzorem dla wszystkich szkół niższych, tak duchownych jak świeckich. Potrzebowały te szkoły ksiąg naukowych, więc towarzystwo elementarne, którego prezesem był Ignacy Potocki, a duszę Piramowicz, zostało obowiązaniem tej potrzebie zadość uczynić. Pracą tedy wielu krajowców, a nadewszystko Pija-

rów, były książki elementarne dla szkół narodowych wygotowane. Nie zacieśniano się do sił własnych; wezwani byli do tej ważnej pracy światli cudzoziemcy: Condillac wygotował loikę, a Lhulier matematyczne dzieła. Król, miłośnik sztuk pięknych, własnym kosztem sprowadzał z zagranicy dzieła i artystów. Rzeźbiarz z Francyi Le Brun, włoscy malarze Canaletti w obrazach widoków, Bacciarelli w obrazach historycznych, ozdabiali z innemi swem dłutem i pędzlem Zamek i Łazienki. Szedł z nimi na wyścigi talent malarski krajowca Smuglewicza. Opera i balety podnieciły gust do widowisk scenicznych. Talent Wojciecha Bogusławskiego rozwinął scenę narodową i ukształcił artystów krajowych. Komika okazała niepospolite w narodowych pisarzach zdolności, i poczęła własnych teatrowi dostarczać płodów. Król się cieszył tym widocznym sztuk i nauk postępem. Szukać go trzeba było w teatrze, w malarni lub na egzaminach szkolnych. Wielkim nakładem gromadził bibliotekę, antyki, sztychy, obrazy; otaczał się ludźmi nauki, rozdawał w nauce zasłużonym medale, i kiedy mógł, hojnie wynagradzał. Otwarte co czwartek stoły sprowadzały na poufne rozmowy uczonych. Król obecny podzielał krótkochwile i dowcip wesół był przez licznych ożywiony poetów. Za dworem szedł naród. Pomnożyła się w mieszkańcach chęć pisania, w czem równie świetnie występowali jeszcze ludzie nauki jezuickiej jak i nauki pijarskiej. Naruszewicz, Wyrwicz, Poczobut, Piramowicz, Pilchowski, Nagurczewski, byli z zakonu jezuickiego. Wincenty i Kajetan Skrzetuscy, Jodłowski, Kopczyński, Teodor Ostrowski, Waga, Dmóchowski i wielu innych, byli ze zgromadzenia pijarskiego.

Wreszcie, różnego stanu liczba niemała pisarzy, przez tłumaczenia i pisma oryginalne rozpowszechniała użyteczne wiadomości i wpływała na wyrobienie i usposobienie umysłów. Lubo nie brakło w naukach przyrodzonych i w matematyce bardzo użytecznych pisarzy, w osobach: Hubego, Kluka, Zaborowskiego, Łęskiego, Poczobutta, Śniadeckich, potem Czecha i innych, wszelako był to przedmiot w piśmiennictwie owoczesnem mniej ważnym. Piękne i polityczne piśmiennictwo było większą potrzebą, dla tego też wielu krajowych pisarzy jemu się oddawało, tworząc liczne i obszerne w tym rodzaju dzieła. Mno-

żyło się też ulotnych i czasowych pism nie mało. Dziennik handlowy z gazetami odpowiadały swym celom, a Pamiętnik i Monitor były dla belletrystów do popisywania się polem. Nawet niesmak języka narodowego, od wieków zagnieżdżony, zupełnie był wygnany. Kopczyńskiego i Nagurczewskiego gramatyczne zagłębianie się w swym języku, uczyło go oceniać. W liczbie wielkiej pisarzy i mówców, zdawna poprawiona i wytrawna proza ostatecznej nabyła ogłady. Na sejmach, płynna, jasna, prosta, męzka i pełna mocy wymowa wyjawiała upowszechnioną języka uprawę i podniesione uczucia. Łatwość pisania i mówienia upowszechniała się wszędzie. Ten sam język, co zdaniem wielu do poezji nie był zdolnym, objawił się w licznych talentach, które się ćwicząc na rozmaitych, wprawdzie najwięcej obcych, starożytnych albo francuzkich wzorach, piękne wydawał płody. Lubo twardy, ale poważny i wzniosły w poezji Naruszewicz, w satyrach, opisach i odach ze starożytnymi certował. Krasicki, lżejszym i żartobliwym wierszem, między swemi pierwszeństwo łatwo otrzymał. Zasłynęli na tem polu Węgierski i Niemcewicz, Zabłocki w komedyi, Trembecki w opisowym wierszu, kiedy Karpiński i Książnin w swych lirycznych pieniach rozlewali słodycz i rodową prostotę do każdego przemawiającą serca. Nie brakło też pracowników na dziejowem i politycznem polu. Badania Łójka i Naruszewicza w dawnych dziejach, różnych innych pisarzy a mianowicie Potockich, Kołłątaja, Zamojskiego Andrzeja, Staszica i wielu innych, w rozpoznawaniu prawa i stanu krajowego codziennie okazywały, że umysł wszedł na drogę ruchu i szybko po niej kroczył; że wszystko się posuwało, rozwijało, dojrzewało, kształciło i tworzyło — ale czy w duchu narodowej potrzeby?—

— Nie! odpowiada stanowczo a otwarcie potomność. Ojcowie nasi kochali nas serdecznie, namiętynie, ale nieroztropnie, nieumiętynie. Myśmy potrzebowali zupełnego przerodzenia się, wyniszczenia złego z korzeniem; ojcowie nasi wchodzili z nim w układy; powstając na zewnętrzne formy, złe zostawiali wewnętrzne. Konarski, największy i najśmielszy reformator swojego czasu, nie rozumiał, nie wiedział, że zakładając szkołę dostępną samym tylko synom bogaczy, zaprowadzał arystokrację mienia, według wyobrażeń zachodu, kiedy dotąd, w pośród

siebie przynajmniej, szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie. Kollątaj, sam Kollątaj nawet nie dostrzegł, iż światło polityki i filozofii obcej tak wielce myśl olśniło, że nieraz mniej właściwą krajowym rzeczom nadawało barwę. Potomność wolna od owoczesnych uprzedzeń, przesądów, nienawiści, zachcianek i nawyknień, potomność oglądająca przeszłość już, jako mędrzec perski powiada, oczyma przyszłości, nie bluźni przeciw przyszłości, nie zrywa z nią bynajmniej, ale też się nie dziwi, że pod wpływem tak pojmovanych reform, nic innego narodzić się nie mogło nad nowe obczyzny naśladownictwo. Według M. Mochnackiego: — Mężowie onego czasu są to wielcy reformatorowie, wielcy nauczyciele, zaszczepcy wielkich pojęć; ale także każdy to przyzna, że mężowie ci rzecz całę nową z kąd inąd wprowadzili do kraju. Jako ogrodnicy niebaczni, w pień spróchniały starego drzewa z bujnej gdzieindziej posadzonej krzewiny, latorośl wszczepiają, tak podobnie i oni, stosując ku naglącej potrzebie czasu pocziwe chęci i starania swoje, z obcej ziemi, z pod obcego nieba, rozszerzali oni w Polsce wyobrażenia i pojęcia, nakształt postronnej monety nieznanym stemplem nacechowanej. Ta moneta szybkim krążyła obiegim. Z obcym zozumem, z obcemi wyobrażeniami, wciskały się obce uczucia i zwyczaje. Nic prawie dawnego nie ostało się. Zmieniono stroje i szaty. Po większej części wzmogliśmy się cudzą iścizną. Wszystko było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia nie wspierał się przeszłemi wieki i nie był umocowany na historycznej posadzie. Literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnie wyciągnioną, która myślą przeszłości nie była. Odbijała się czyjaś postać, ale omylna, ale nie nasza. Polak myślący przyszedł do uznania samego siebie, ale nie w swoim jestestwie. Naród nie miał wyciągnionych na widok swoich wyobrażeń. Krótko mówiąc: przyszliliśmy w tym względzie do cudzej refleksyi, do refleksyi francuzkiego narodu, który także podówczas nie miał własnej oryginalnej literatury, ale naśladowaną i nieumiejętnie naśladowaną, kształconą w nieumiejętnej szkole, oderwaną od historycznej przeszłości, za wpływem niezliczonych przywidzeń i przesądów. Cudzy dar z trzeciej przyjmowaliśmy ręki. —

Wyborny obraz tych czasów, już temu lat dwadzieścia i trzy skreślił S. Goszczyński, w jednym z najznakomitszych swych rozbiorów krytycznych, a który jako mało znany lub wcale nieznan, godzien jest przywiedzenia obecnie. — Nie jednemu z nas, mówi on, i nie raz bez wątpienia, wpadał w oczy młokos, wychowaniec szkół zakonnych, a mianowicie szkół takich, jakimi dawniej były, gdzie zamknięcie w celi klasztornej odbierało wszelką sposobność obeznania się z rzeczywistym światem, gdzie jednostronne przeciwprzyrodne wychowanie zdrowy przytłumiało rozsądek; gdzie długi moralny post zaostrzał popęd do pierwszych lepszych rozrywek światowych. Takich tedy szkół wychowaniec wpadał nam nieraz w oczy, kiedy się na świat wyrwał i wstępował na salon towarzystwa wyższem zwanego. Cóż mu się tu przedewszystkiem podoba? Co najprędzej do jego skrzywionego umysłu przylegnie? Świecący pozór, wymuskana powierzchowność, pochlebiająca zmysłom filozofia, ozdobna gadatliwość, udane czucie; a wszystko do pewnego stopnia, podług pewnych przyjętych prawideł; a wszystko pomieszane z nałogiem szkolnej pedanteryi. W młodzieńcu tym macie obraz naszego narodu, kiedy wyrwawszy się ze szkół jezuickich, stanął przed obliczem ówczesnej francuzkiej literatury. Jego umysł, to jest nasza oświata francuzko-łacińsko-pseudo-klasyczna. Kilkadziesiąt lat Polak małpował, przygnięciony na samowolności narodowego umysłu poprzedniem wychowaniem; trzpiotał się i rozumował z Wolterem, deklamował z Kornelem i Krebillonem, płakał łzami Rasyna, pędzlem Delila podnosił ziemniaki do ideału, wzbijał się indyczem natchnieniem z Chrzcicielem, Russem, Lebrunem, nucił na słomianych Marona dudkach rozkosze pasterskiego życia, wśród niepogód polskiej strefy, wśród bolesnej gędzy polskich włościan, i niższy od każdego z tych wzorów, tworzył w nieskończoność naśladowce naśladowców, a coraz gorsze. Bóg wie, coby się dalej było stało, gdyby nie potężny geniusz Narodu. Przerażający stan! W całym tym ogromie tylko Krakowiaki i Górale Bogusławskiego — Krakowiaki i Górale! Nie przywiązuemy do nich małego znaczenia. Była to daleka wprawdzie, ale pierwsza przepowiednia polskiej literatury, pierwsze zadrzenie płodu w matki wnętrznościach poruszającego się, pierwszy znak życia istoty mającej

przyjść na świat po kilkudziesięciu latach. Spotkał go wprawdzie los skowronka, który przed wszystkimi ptakami letniej doby wita pierwszą brylkę ziemi wyglądającą z pod tających śniegów i prorokuje odrodzenie ziemi; a chociaż potem zagłuszony nie jedną jeszcze półzimową burzą, musi ustąpić świetniejszemu z głosu lub z pierza braciom; mimo to jednak zostanie zawsze pierwszym prorokiem lata. Lubo nieprzyjazne okoliczności zacierają przez czas długi pamięć {zjawienia się tej sztuki; lubo obecnie zgasła ona przy świetniejszych płodach tylu poetów nowych, z tem wszystkim bezstronny sędzia od niej musi zaczynać łańcuch prawdziwej poezji polskiej, w niej dostrzeże: że Naród uznał się w samodzielnem wewnętrznem życiu i kształci nie pod samym tylko zagranicznym wpływem. I znowu trzydzieści lat zboczenia, trzydzieści lat nic między pierwszem a drugim objawieniem się literatury narodowej, między operą Bogusławskiego a Wiesławem Brodzińskiego. Powiedziałbyś, że to zamarcie naszego umysłu, tak nic nie widzimy w tej epoce napiętnowanego wybitnym duchem rodzinnym; a to był jednak stan przejścia z gąsienicy do motyla; był to w wysłowieniu malowniczym: stan poczwarny, gdzie pod bezkształtną powłoką pracowały rozliczne żywioły na to przeobrażenie, w którym naszą następną literaturę spostrzegamy. Wprawdzie barwa francuzczyzny brała jeszcze górę i wszystko powlekała, ale nie zdołała przeszkodzić nurtowaniu innych literatur. Przekłady Ossyana, przekłady niemieckich współczesnych tworców ukazują zawiązujące się stosunki z literaturą nowoczesną. Krasicki w Podstolim i Doświadczyńskim rzuca pomysły do narodowych historycznych powieści. Zabłocki w niektórych komedjach marzy o narodowych charakterach. Książnin w Puławskich bawidełkach ośmiela się nie samych tylko królów na scenę wyprowadzić. Niemcewicz, przy całej konwencyjonalnej deklamacji i trubadurskim duchu dum swoich napomyka, że Polacy mogą mieć polskie śpiewy. Woronicz, ożywiony wzniosłem biblijnem natchnieniem, i pomimo ustawicznych zboczeń do Olympu greckiego, nie mający może w całej owocniejszej Europie równego sobie poety, Woronicz jedynie godny narodu wyobraziciel we wszystkich jego owocniejszych kolejach, zawiązuje dzisiejszą duchową poezję, a przez duch i język pism swoich wydając się

mężem wielkiego powołania, jest niejako już tętmem, z którego rozum przenikliwy łatwo poznaje budzące się życie w narodowych umysłach.

Tymczasem, jakośmy już wyżej powiedzieli, francuzczyzna przemagała, trzymała samowładne berło nad opinią i zasypiała na swoim tronie. Mnogie okoliczności zbiegły się do dania jej przyzwolenia na to pierwszeństwo; szczęście tylko, że nie miały podstawy jak zewnątrz narodu, a przeto, wzniesione igraszką czasu, runęły też z czasem, całą swoją budowę pociągając do upadku. Ubolewam prawdziwie, że przez wzgląd na przeznaczenie tego pisma, nie mogę rozwinąć przed oczami czytelników wszystkich szczegółów tego ciekawego, pociesznego i razem nauczającego obrazu owych dni zarozumiałej dumy i niedołęztwa ze strony naśladowców francuzkich, a potężniej, lubo cichej roboty ze strony nowego piśmiennictwa. Ówczesne moźnowładztwo pisarskie dosięgło szczytu, jakiego dosiędz mogło. W gładkich sentymentalnych wierszach przeszło nawet samych Francuzów. Feliński Barbarą Radziwiłłówną wprowadził w kontuszu polskim spazmujących kochanków Rasyna. Wężyk, sam nie wie co porobił z pełną dramatyczności przygodą Głińskiego, aby tak obciętą i przekręconą umieścić w potrójnych ramach obok francuzkich swych wzorów. Kropiński zfałszował historyczne zdarzenie, nawet na niekorzyść narodu dla dogodzenia wyssanemu z Laharpa pojęciu teatralnego efektu. Osiński, z nauczycielskiego trójnoga brzmieniem pustego garczka odurzył cały piękny świat warszawski. Koźmian ziemiaństwem swoim gotował się okazać Polakom, o ile do niezrównanego Delila wierszem polskim zbliżyć się można. Morawski Franciszek bąjał odami lub bajeczkami szermował. Marcinkowski pisał poema: Rzeki Polskie; a nie przez omyłkę, ani przez nieznamość ówczesnej literatury, zamieszczam go pomiędzy dygnitarzami klasycyzmu polskiego; czytałem ich wszystkich od deski do deski, czytałem również i Marcinkowskiego, nie był on ani nudniejszy ani chropowatszy w wierszu, ani niedbalszy na przepisy konwencyonalne jak inni jego bracia w Apollinie, a którzy przecież niesprawiedliwie dali mu pomiędzy sobą rolę pajaca Parnassu; dopełnił on wszystkich warunków rolę poety ówczesnego; dziś już nie żyje; my jesteśmy

względem niego potomnością, powinniśmy więc nagrodzić niesprawiedliwość społecznych i przyznać mu właściwe miejsce. Na takiej to herkulesowej drodze, wśród takich dzieł dokonanych lub dokonać się mających, wśród powszechnych oklasków, już to za gotówkę, już to na kredyt przyszłej sławy, mogliż proszę ci panowie zważać na usiłowanie jakiegoś tam motłochu? — Ani nawet spojrzeć nie raczyli na jego prace, a choćby i raczyli, to prawdę powiedziawszy, nie zdolni byli skutku ich przewidzieć. Jeden Brzeziński w początkach swego literackiego zawodu, kłuł ich nieco w oczy; ale że gładko pisał, że bardzo skromnie przebywał swoją drogę, z nim więc skończyli na kilku żarcikach, dali mu pokój i tryumfowali znowu. Spokój drogo opłacony, bo utratą wszystkich wawrzynów. —

Właśnie były to czasy, w których zdało się ojcu memu, iż nadszedł też czas dla mnie, bym postawił pierwszy krok za dom, czyli z domu przeszedł do szkoły. Matka moja, jak wszystkie onego czasu matki polskie, z daleka i ostrożnie podsuwała ojcu uwagi: może jeszcze zawcześnie, że deszcz pada, a ja ledwo się z febry wyciągnąłem i ten swego serca argument popierała kalendarzem stuletnim, który w tej porze roku na rok przyszły zapowiadał stałą pogodę; ale ojciec raz postanowił i nie było rady. Pierwszego tedy września w dzień św. Idziego, jak gdyby umyślnie na przypomnienie młodzieży, że w ten dzień idzie do szkoły, puściliśmy się w podróż. Podróż ta nie wiele się różniła od wielu terażniejszych, rozumie się nie koleję żelazną odbywanych, bo kiedy na kolei żelaznej są tylko trzy a najwięcej cztery klasy, tedy nasze pociągi do szkoły dzieliły się na dziesięć klas może. Jednych bowiem wieziono landarą albo karetą, drugich koczem lub kolasą, trzecich półkoczykiem czyli bryczką krytą na resorach, czwartych budą bez resorów; piątych bryczką odkrytą z dyszlów, szóstych kałamaszką w hołbkach, siódmych wozem po prostu; a byli i tacy, którzy swoje dzieci odwozili piechotą. Myśmy jechali pociągiem czwartej klasy czyli budą zaprzęzoną w cztery konie, dwa przed, dwa dla dróg wązkich, a w chomonty krakowskie (słaba strona mojego ojca) i tak wszystko dalej po dwoje, bo na koźle siedziało dwoje ludzi przodem do koni, furman i lokaj; potem ja i brat tyłem do koni, potem ojciec z matką przodem do koni i nareszcie za

budą na tłumoku jeszcze dwoje: Maciek od butów i Kaśka od kawy, znowu tyłem do koni; a tak z końmi sześć szeregów po dwoje, czyli żywych istot dwanaście, a nawet źle obliczam, bo było ich czternaście, nawet szesnaście, gdyż po bokach biegło dwoje źrebiąt z dzwoneczkami na szyjach, a przodem przed końmi, pudel i brytan, pierwszy dla zabawy, a drugi dla postrachu na wilka, o którego tam bardzo trudno nie było, a może dla liczniejszej i huczniejszej eskorty.

Czas jest powiedzieć, że wieziony tak byłem do gimnazjum grodzieńskiego we Świsłoczy, gdzie przed niewielu laty założone zostały przez Wincentego Tyszkiewicza Wielkiego Referendarza Litewskiego, szkoły świeckie, a dokąd właśnie dla tego z około o mil dwadzieścia i więcej zwożono na nauki młodzież; bo do szkół księżyich, których nie mało było pozostało jeszcze, ten już tylko wioził syna, kto dla kosztów odległej podróży do szkół świeckich posłać go nie mógł. Ruszyliśmy z domu o szóstej rano, po lekkim wszyscy śniadaniu, to jest rodzice moi po kawie, ja z bratem moim po ciepłym piwku z serem i śmietaną, a czeladka po krupniku z skwarkami. Woźnica przeżegnał konie, przeżegnaliśmy się wszyscy, i konie kroczyć poczęły naprzód stępo, potem wolnym klusem, następnie coraz żywszym; cisza była pomiędzy nami, aż gdyśmy wieś przebywszy wyciągnęli na czyste pole, matka moja zaintonowała godzinki, którym głosowali wszyscy: z bryczki, kozła i z tłumoka, i już tak hymn za hymnem śpiewaliśmy:

Zawitaj Pani świata!
 Zawitaj Panno mądra!
 Witaj arko przymierza!
 Witaj świątyni Boga!
 Witaj miasto ucieczki!
 Witaj zegarze, w którym
 Witaj matko szlachetna!

aż po czterech godzinach tych witań i zawitań, zawitaliśmy na popas, naprzód pierwszy, potem drugi, a na noc do Świsłoczy.

Pomnę, jakbyto było wczoraj, całą tę moją podróż. Matka, jeśli nie śpiewała, była milcząca, wzdychająca nawet; ojciec ponuro zamysłony; ja nie byłem także jakoś wesoły, kiedy brat mój, zwykle żywszy i weselszy odemnie był na wszelkie wypo-

wiedzenie smutny — czy przeczuwał biedak, że go tam straszne jakieś spotkać miało nieszczęście! Wrażenie jakie na mnie Świsłocz sprawiła, było silne; bo i jakże nie miało być takim, kiedy znacznie później po mnie do niej przybywający J. I. Kraszewski, z urokiem właściwego swego talentu, tak je oddał jak gdyby je z ust moich i z pod serca mojego wydarł; a co acz znajome z jego O brazów z życia i podróży, że co raz dobre, to i sto razy dobre, niech mi wolno będzie raz jeszcze powtórzyć.

— Przebywszy, słowa są J. I. Kraszewskiego, pełną tajemnic, europejskiej sławy, żubrami i łowami głośną Białowieżką puszcę, ujrzysz na równinie małe miasteczko, wieżę kościołka bielejącymi ścianami pałacu i bram swych poważnych malujące się z przyjemnością. Z jednej strony jego stare drzewa ogrodu pałacowego, z drugiej drobne domki mieszczan. Wjeżdżasz ulicą, która się poczyna od kościołka Aniołów Stróżów. Piękna myśl była u bram miasteczka napełnionego młodzieżą, wystawić na wejściu Aniołom Stróżom, tak młodości potrzebnym, poświęconą kaplicę! Od niej aż do rynku, wciąż drewniane niskie ciągną się domki mieszczan, zamieszkałe przez studentów. Na szerokiej ulicy rozlegają się śmiechy wesole; tam grają w piłki, tam z książkami w ręku swawolą chłopięta, dalej starsi próbują sił swoich na skrzypcach, gitarach i fletach. Wszędzie gwar i życie, wesole życie młodości, pełne ruchu. Na barjerach, przed oknami domów, posiadali jedni, drudzy powychylali się z okien, trzeci idą w zapasy z sobą, inni na wyprzódki biegają. Ulica ta nie ma poзору miasta; sklepu w niej, karczmy, szynku nie ujrzysz; spokojnie domki stoją w rząd jak studenci i roją się samemi studentami. Po za domkami ogródki, przed niemi ławki pod cieniami starszych i młodszych drzew, na których korze kilka już pokoleń imiona swoje zapisało. Po prawej ręce od wjazdu brzeskiego może cię zastanowią wędrowcze cztery starsze od sąsiadów swych cieniste kasztany przed wystawą, jak inne, drewnianego domku. Tuśmy mieszkali, tuśmy się uczyli, tuśmy marzyli o bożym świecie, na który wychylić się tak nam pilno było. Podszedłszy nieco dalej, skromny zobaczysz kościółek, przed tobą już rynek; w koło niego karczmy drewniane, pod wołem, jednoroźcem, łabędziem, orłem, wroty

czarnemi na gości wyczekują. Na prawo, w głębi murowane kramy, puste rok cały, ożywione w czasie rocznego, na dwa do trzech tygodni, 15gò sierpnia w dzień w Niebowzięcia Matki Boskiej otwierającego się jarmarku. Na lewo, na placu obszernym, wybitym nogami studentów rozległe gmachy szkolne. Dalej, ulicą drzew cienistych idzie się ku pałacowi, zwierzyńcowi, ogrodowi pałacowemu. Wszystko to dziś ruiny bez duszy i bez życia; ruiny, jakich w naszych prowincjach w jednodniowej podróży naliczysz kilka. Drzewa dziczeją, zarastają ścieżki, wałą się budowle, zapływają mułem i zielem zakrywają się stawy. W pałacu głucha cichość, w salach wisi bielizna na sznurach do złożonych niegdyś gzymsów przybitych. Smutno patrzeć! I człowiek mimowolnie się pyta: czy wszędzie tak świeżych ruin pełno, czy u nas tylko? Jeszcze mi ojciec opowiadał o napływie gości, o wesołych zabawach jarmarkowych za czasów Referendarza, a teraz tak już pusto? Po ulicach wytkniętych dla panów, smutni przechadzają się słudzy i królują na zwaliskach, na zdziczałym ogrodzie, w pół spustoszonego zwierzyńcu, którego daniela po jednym zdychają, a nikt na nie nie patrzy, nikt o nie nie dba. Jeszcze lat kilka, a wspomnienia obrócą się w podania, i pałac przejdzie w gruzy, ogród w las i zarośla.

— Spokojne życie Świsłoczy, gdzie trzeba było koniecznie zająć się nauką, choćby dla tego, że czem innem nie było — i mnie i wielu innych zmusiło zapewne do oddania się namiętnego książkom i pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle, skoro nie ma nic, coby oderwać mogło, coby nęciło jakimś powabem, rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek do życia zajęcia, któreby nadmiar sił naszych wyczerpywało. Dla tego miasteczka takie jak Świsłocz, podobniejsze do wsi jak do miasta, ustronne, spokojne — najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się trzeba koniecznie, lub z nudu umrzeć — i młodzi też się uczą. W większych miastach umysł się zapala widokiem działającego świata, życia; tu wszyscy otaczający oddychają nauką, przypomina ją tylko wszystko a nie odrywa od niej. To pewna, że ja więcej nauczył się w czasie krótkiego pobytu we Świsłoszczy, niż lat przeszłych po innych szkołach. Zaraz w początkach musiałem języka rossyja-

skiego uczyć się skwapliwie, aby mi nie był przeszkodą do wyższej klasy. Następnie wziąłem się szczerze do greckiego i łacińskiego. Nigdy was nie zapomnę, paradoksy cyceronowe, na których sił moich próbowałem. I tych nocy bezsennych spędzonych nad tłumaczeniem w togi ubranych frazesów Tulljuszowych. I tej mianowicie nocy ostatniej, nocy majowej, którąśmy heroicznie przesiedzieli z przyjacielem z książką w ręku oba, choć oczy nam się kleiły, a po ukończeniu biegliśmy kąpać się w rzece! A! nigdy cyceronowe paradoksy tak zimnemi się nie wydawały, jak woda rzeczki przed wschodem słońca, z której dzwoniąc zębami, wyskoczyliśmy wracając do zimnej kąpieli w łacinie. A nie myślcie, że to tłumaczenie nad którym noce spędzaliśmy, było zadaniem szkolnem, choć nie samiśmy je sobie zadali.

— Pomniszże ty to jeszcze mój przyjacielu?

— Ja wszystko pamiętam; jednej chwili nie straciłem z tej przeszłości, którą miło mi dziś jeszcze wspomnieć. Trzebaby też być niewdzięcznym, żeby takich rzeczy nie pamiętać. —

A wyż, czy pamiętacie z J. I. Kraszewskim te wasze czasy we Świsłoczy spędzone — wy: Suziny, Cieczotowie, Kułakowscy, Suchodolscy, Czechowscy, Ciepłińscy, Jahołkowscy, Obniscy, Ciechanowscy; — wy: Heltmanowie, Ejsmontowie, Szretterowie, Hołuwkowie, Siehaniowie, Dzierżakowie, Haliburtonowie, Glazerowie, Jundziłłowie, Ordowie, Karęgowie, Kollupajłowie, Kollątajowie, Orzeszkowie, Wysłuchowie; — wy: Zubelewicze, Ilakowicze, Andrzejkowicze, Zienkowicze; — wy: Ponigkwiccy, Buchowiccy, Wysoccy, Małachowscy, Sułkowscy, Bogórscy, Strawińscy, Radowiccy, Krzywiccy, Ostromęccy, Olędzki, Miłakowscy, Jelscy, Dąbrowscy, Wygnanowscy, Żyźniewscy — wy w nauce najpierwsi, a w przyjaźni najszczersi synowie kapłaństwa unickiego, wy: Hołubowicze, Kowalewscy, Koźmińscy, Kraskowscy, Koczalscy, Bułharowscy, wy, nakoniec od Mekki i Medyny, zacni i dzielni potomkowie, z którymi tak żywe, ale zawsze teologiczne prowadziliśmy dysputy, wy: Adzikiewiczze, Talkowscy, Bajraczewscy, Baranowscy, Buczaccy — czy wy pamiętacie to wszystko? — Ja to pamiętam, lubo wszystkiego wypowiedzieć nie zdołam. Spróbuję jednak wypowiedzieć co da się.

Świsłocz leży w okolicy ustronnej, daleko od gościńców wielkich: lecz że na brzegu puszczy Białowieskiej, a w samym środku gubernii Grodzieńskiej, zatem mnóstwo młodzieży ścigało się do niej na nauki od Grodna, Białegostoku, Brześcia, Słonima, Wołkowyska, Prużan, Kobrynia, Bielska, Sokółki a nawet z Lidy, Nowogródka i z dalej jeszcze. Plan tego miasta całkiem prosty. W środku rynek, czyli wielki czworobok otoczony kramami i karczmami żydowskiemi, z którego wybiega pięć ulic szerokich, a każda w linii prostej. Najdłuższa z ulic jest Brzeska, ciągnąca się na południe, na zachód ulica Warszawska, na północ Grodzińska przez żydów zamieszkała, na wschód Słonimska i Mściśławska. Kościołów za moich czasów było trzy: katolicki parafialny i razem gimnazjalny, unicki i Aniołów Stróżów prawie zawsze zamknięty; nadto na cmentarzach czyli mogiłkach była kaplica pogrzebowa, a w dzielnicy żydowskiej bóżnica czyli szkoła żydowska. Kiedy Świsłocz założoną została nie wiem, ale to wiem, że w początkach wieku bieżącego były już tam szkoły świeckie z klas sześciu, dobrze obsadzone i wielce uczęszczane. Wincenty Tyszkiewicz główny ich założyciel nie tylko nie szczędził żadnych kosztów do uposażenia ich we wszystko co do nauki potrzebne, jak naprzykład w klasy wygodne, w znakomitą bibliotekę, w gabinety fizyczny, chemiczny i mineralny, ale myślał i to ze szczególnem upodobaniem o uprzyjemnieniu pozaszkolnego życia młodzieży. Był tam więc teatrzyk wcale porządny, był ogród do przechadzek obszerny i utrzymywany starannie, z dziką promenadą, zwierzyńcem, kanałami, wyspami, łódkami i łabędziami; był drugi, zwany publicznym z huśtawkami, konikami, masztami, kręgielnią i ałtanami; a o milę drogi, oprócz licznych do koła gaików i obszernych też lasów, była posiadłość Symfonia albo Symfony, dokąd młodzież najczęściej na majówki ciągnęła, a w niej wszystko co tę zabawę uprzyjemnić i urozmaicić mogło: wody, wyspy, po nich różne domy i domki, meczety, kapliczki, królikarnie bażantarnie; był i labirynt szpalerowy, niewypowiedziana pociecha błądzącej po nim młodzieży, i mnóstwo innych rzeczy i wymysłów bawiących. W ogólności położenie Świsłoczy bardzo jej przeznaczeniu sprzyjało. Flora okoliczna tak była bogatą, że wszystkie rośliny wykazem krajowych bota-

ników objęte a nawet im nieznane gromadziła młodzież do swych zielnych herbarzów. Ta troskliwość o uprzyjemnienie szkolnej młodzieży życia, rozbudzała ją także jako przykład godzien naśladowania w szkolnej zwierzchności. Jacek Krusiński, dyrektor gimnazjum świsłockiego i członek Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, mazur z rodu i z mowy, acz ponury i surowy z pozoru, sam urządzał zabawy skoro pora ich była. Ale najzabieglivszymi w tym względzie byli: Jan Wolski, profesor fizyki i nauk przyrodzonych i Wojciech Puszkarczewicz, profesor wymowy i literatury polskiej; to też odbierali za to ciągłe dowody miłości i szacunku młodzieży, a zwłaszcza z końcem roku przy ubieraniu pożegnalnem katedr. Była to uroczystość równie poważna jak rzewliwa. Uczniowie, za nim rozjechali się na wakacje, w dniu ostatnich lekcji, przystrajali katedry profesorskie i całą klasę w kwiaty, wieńce, kobierce, obrazy i zwierciadła. Im który z profesorów był kochany więcej, tym piękniej miał przystrojoną katedrę. Uczniowie przy tej okoliczności miewali mowy dziękczynne, a profesorowie odpowiadali na nie w uczących i serdecznych wyrazach, i zdarzało się, że obie strony z rozrzewnieniem płakały. Miło mi przyznać: że dobór nauczycieli gimnazjum świsłockiego, mianowicie w pierwszych latach jego istnienia był, pod każdym względem wyborny. Oprócz pomienionych już wyżej: Krusińskiego, Wolskiego i Puszkarczewicza, mężów światłych i zacnych, kapelan gimnazjalny ks. Ignacy Borowski, później przeniesiony do Wilna, zachwycał młodzież w kościele swemi piękniemi i zawsze z pamięci kazaniami; w szkole rozwijał szczerze tajemnice prawd chrześcijańskich a pozaszkolą i kościołem, przyczyniał się także nie mało swym charakterem łagodnym i wesołym do uprzyjemniania zabaw i rozrywek, oraz pożycia miejscowego i okolicznego obywatelstwa. Wyśmienitymi również ludźmi i nauczycielami byli: Maksymilian Jakubowicz, znakomity gramatyk, zawołany grek i łacinnik, a przytem autor chrześcijańskiej filozofii życia. Ignacy Szydłowski, poeta, i następnie w Wilnie jeden z najgłówniejszych członków stowarzyszenia literacko-historycznego Szubrawców, którego organem było pismo: Wiadomości brukowe, pełne zalet pod pewnemi względami. Antoni Chromiński, autor ważnych rozpraw peda-

gogicznych, lecz nakoniec warjatem zmarły w Warszawie. Antoni Suchodolski dobry matematyk. Kazimierz Osmólski historyk i filozof. Plansor, oficer wojsk francuzkich, ale doskonale znający język polski i autor wcale dobrej gramatyki polsko-francuzkiej, i Piotrowski, wyborny nauczyciel muzyki; oba potem znani w Krzemieńcu. Nareszcie Chrucki, nieposzlakowanej czystości i Skulski, odpuść mu Panie! A w późniejszych czasach Walicki, tak mile wspomniany przez J. I. Kraszewskiego, i Antoni Zyszkiewicz tak zasłużenie uczczony w Gazecie Warszawskiej z roku 1816. To też natłok cisnącej się młodzieży do Świsłoczy tak bywał wielki, że do dzisiaj sprawy sobie zdać nie mogę, gdzie się to wszystko, bo czasem do tysiąca blisko, tego wprawdzie w większej części drobnego, ale jednak ludu Bożego, we Świsłoczy mieściło.

Z rozkoszą maluje mi się w pamięci, przed oczami duszy; a proszę mi przebaczyć posługiwanie się obcemi wyrażeniami — co mówię obcemi? wszakże to wyrażenie nasze — nie mogę zamilczeć, powiadam o egzaminach publicznych we Świsłoczy, 29 Czerwca w dzień śś. Apostołów Piotra i Pawła, odbywanych, bo to było święto nad święta, uroczystość nad uroczystości, nie tylko uczniów, nie tylko nauczycieli, nie tylko całe miasto i okolicę przyległą, ale całe Polesie poruszająca, gdyż i to dodać trzeba że Świsłocz była tem co Krzemieniec dla Podolai Ukrainy, Wilno dla Litwy, a dla Mazowsza Warszawa — rozumie się w znaczeniu i pojęciu szkolnem. Na dwa i trzy dni owóz, przed dniem śś. Apostołów Piotra i Pawła, wszystkiemi onemi pociągami, o których już była mowa, ciągnęli do Świsłoczy ojcowie i matki, dziadusiowie i babcie, stryjowie, wujowie, ciotki, bracia, siostry, przyjaciele, przyjaciółki, oraz moc nieprzeliczona służby męskiej i żeńskiej, wyższej i niższej; — tamci, aby się nacieszyć publicznym popisem dzieci, wnucząt i kuzynków, zobaczyć ich, i — kiedy się pora zdarza pokazać się także; — służba zaś, aby obsłużyć zgromadzone państwo, i paniczów na wakacye zapakować. Ten popis była to tylko parada; bo rzeczywiste egzamina odbywały się przez kilka dni wprzód. Od wachodu słońca, kręciła się służba dnia tego, kręciły się i panny, kawalerowie i studenci, bo każdy dnia tego jak na bal lub do ślubu strojnijnie miał wystąpić. O godzinie dziesiątej zagrzmiały

wszystkie dzwony i naraz ze wszystkich ulic sypią się grupy uczniów i grupy gości płci obojej, jak kłaby posuwające się różnobarwnych kwiatów. W mgnieniu oka cały kościół zapełnił się elegancją jakiejby pozazdrościć mogła każda świata stolica; i oto wyszedł z celebrą ksiądz kanonik proboszcz parafialny, huczna muzyka z uczniów pod wodzą swego dzielnego mistrza; wystąpił z prześlicznym kazaniem ks. kapelan gimnazjalny, a gdy nareszcie chórem wszyscy uczniowie i z nimi wszystko co żyło, odśpiewali z towarzyszeniem organu: Przybądź Duchu Stworzycielu! i było już dobrze z południa, tedy wszystko znowu wysypało się z kościoła i pociągnęło ulicami, aby zasiąść po domkach, ogródkach i altankach do wspólnego rodziców i gości ze studentami-objadu. Tamżeto dopiero było wesołości i pogadania tłumnego przez całe dwie godziny; gdyż o trzeciej z południa ozwały się znów wszystkie dzwony, zapraszając na nieszpory solenne; a które skoro się zakończyły i ks. proboszcz z ceremoniałem stósownym wyniósł święte komunikanty do kaplicy nad zakrystyą, wnet, jakby na skinienie czarodziejkiej laski, cały kościół w salę popisu się zmieniał. Część za kratkami, przed ołtarzem wielkim, twarzą ku publiczności obróceni, zajmowali uczniowie, klasami po kolei do popisu występujący, a reszta kościoła zapełniała publiczność płci obojej wszelkiego wieku i godności, rozsadowiwszy się po wszystkich ławkach i krzesłach, umyślnie na ten cel w porządku ustanowionych. Dyrektor gimnazjalny zajął wyższe miejsce, z lewej strony przy kratkach za stolikiem zielonem suknem przykrytym o sutych i szerokich frędzlach złotych, a na którym leżała masa druków pod tytułem: *Treść nauk*, coby było najmniejsze, bo uczniowie to bez druku wiedzieli, ale na końcu których była drukowana, powiadam drukowana! lista uczniów celujących z klas wszystkich, a lista do ostatniej chwili czyli do chwili rozdania tych druków w ręce publiczności, w najściślejszej tajemnicy utrzymywana. Drugie, wzniesione również miejsce, po prawej stronie krutek przy uczniach, zajął kurator, inaczej zwany dozorcą honorowym szkoły, toż za zielonym stolikiem, a na którym leżały do rozdania większe jeszcze skarby, bo patenta, i powiadam: patenta drukowane na rozum i obywatelstwo, bo poświadczające, jako wydrukowany na wręczonym sobie paten-

cie przeszedł istotnie klas sześć gimnazjalnych, i ma prawojechać do Uniwersytetu czyli zostać Akademikiem, lub też na sejmiki, i tam już jako obywatel głosować jak wszyscy, którzy go w tem poprzedzili obywatele, czyli wybierać marszałków, podkomorzonych, krajczych, sędziów, podsędków, i sam także być wybranym — byle, rozumie się miał sobie wydzielone przez ojca, czy wreszcie mniejsza przez kogo, posiadłość na własność, siedm dymów pańszczyznianych, czyli siedm chałup dymiących, czyli jaśniej jeszcze, siedm chłopów żonatych, pańszczyznę odrabiających, a bez których on patent na obywatelstwo i rozum żadnego pod tym względem nie miał waloru. Popis publiczny otwierał się zawsze zastosowaną do okoliczności przemową ze strony dyrektora, po której uczniowie koleją klas rozpoczynając od najniższej aż do najwyższej, egzaminowani byli z przedmiotów publiczność zając mogących; a więc z geografii, historii, literatury, nadewszystko deklamacyi w rozmaitych językach, a przytem z nauk przyrodzonych fizyki i chemii, co mógłbym nazwać fajerwerkiem egzaminowym, bo było tam huku, puku i stuku co nie miara, z wielkiem upodobaniem publiczności, czyli sztuk fizyczno-chemicznych, z elektrycznością, czyli światłem ciepłikiem i srebrem piorunującym. Gdy się egzamina tak zakończyły, któryś z profesorów grzmotliwszej piersi odczytał listę celujących i promocyowanych uczniów. O! cóżto była za radość synków, ojców, i matek, dziadusiów i babusiek, stryjów, sióstr i ciotek, wywołaniem uszczęśliwionych; a co za utrapienie, płacz i zgrzytanie zębów zawiedzionych w nadziei. Ile to podonczas błogi lub straszny było bicia serc i serduszek z radości, lub westchnień i łez z żalu, że się rok boży zmarnowało! Ledwie się wzruszenie ztąd zakończyło, aż oto kurator, opiekun czyli dozorca honorowy, doręczając począł, na wywołanie dyrektora patenta rozumu i obywatelstwa, i każdemu na zakład i dowód uprawnienia podawał swoją i ścisnął jego rękę, co się zawsze z najszczerszem a poważnem i rzewnem nauczycieli, uczniów i wszystkich obecnych odbywało uczuciem. Wtem wysunął się naprzód jeden z pasowanych nowo obywateli, i w mowie pełnej najszlachetniejszych wyrażień, a czasem i wierszem, jakto pomnę było raz ze strony Rajnolda Suchodolskiego, dziękował profesorom i dyrektorom za naukę i opiekę i wszystkie

dobrodziejstwa. Odpowiedział zaraz na to dyrektor w mowie rzewnej i nauczającej o powinnościach obywatelskich, a co skoro się zakończyło, już za zwyczaj o mroku, zagrzmiała z chóru kościelnego muzyka, ozwały się organy i wszystkie dzwony, puszkarz na wiwat wypalił, zajaśniały po wszystkich ołtarzach ognie, gdy ks. kapelan albo proboszcz znosząc z górnej kaplicy do kościoła i wielkiego ołtarza swoje komunikanty, aby je na właściwe im miejsce wrócić, zaintonował uroczyste: Przed tak wielkim Sakramentem! naraz sala popisu zmieniała się znowu w dom Boży i wszystko znów co żyło przypadło na kolana i wtóruje kapłanowi chórem i sercem, a który skoro tę pieśń świętą z ludem wiernym odśpiewał, wnet głosem z całej piersi zabrzmiał na cały kościół: Te Deum laudamus! jako dziękczynienie za rok szkolny szczęśliwie zakończony, i wszystko hurmem przy odgłosie wesołego marsza muzyki z chóru, przy huku moździerzy i okrzykach młodzieży: Deo gratia! Już wakacya! pod rękę, ręka w rękę, ściskając się, całując, ciesząc, skacząc, trzpiocząc się i hukając, szło, biegło i leciało na posiłek do domów, bo wszystkim się jeść a bardziej się jeszcze pić chciało od radości i skwaru.

Ale nie długo pozostawiała gości swoich w rozproszeniu po domach uprzejma troskliwość zwierzchności szkolnej, bo oto wystrzał moździerzowy zapraszał matki i babki, ciotki i siostry do teatru, na widowisko przez uczniów przedstawiane, na Władysława pod Warną, Żółkiewskiego pod Cecorą, Obóz pod Mińskiem, albo na Powrót Posła, rozumie się z niektórymi właściwymi zmianami. Wszystkie role, a więc i kobiet, podejmowali uczniowie, i częstokroć z najżywszym publiczności zadowoleniem i istotnym talentem. Z teatru udawało się wszystko do przybocznej sali tańcowej, inaczej reductową zwanej. Dopieroż to gdy zagrzmiała muzyka, ochoce rozpoczęły się płaśy, aż do dnia białego. Na tak obmyśloną i zarządzoną uroczystość, nic dziwnego, że z całej okolicy, o mil kilkanaście i kilkadziesiąt, zjeżdżało się płci obojej obywatelstwo. Córki zachęcały do niej swe matki, a za córkami ciągnęła męzka młodzież. Był to miły i piękny zwyczaj; szkoda tylko, że miłe a piękne oczka czasem serca studenckie przestrzeliwały, i tym sposobem pozbawiały je swobody i spokojności, tak nau-

kom potrzebnych. Dzień następny schodził na pakunku i obrachunkach z gospodarzami i gospodyniami, z rzeźnikami, piekarzami, mleczarkami, owocarkami, obwarzaniarkami, a najbardziej z Mordchelem i Hrynkowskim, dwóma na całą Świsłocz personami z pokolenia izraelskiego najznakomitszemi, u których za gotówkę, coby nic nie znaczyło, lecz za kwitkiem, na kredyt, dostawała młodzież wszystkiego, zaczynając od papieru, ołówków, pierników, rodzenek, makagigów, aż do prochu, ołowiu i niestety! likierów, miodu, piwa, wina, nawet pieniędzy, za procentem oczywiście, w obec którego jak mrówki w obec słonia, stałyby zapewne kupki kapitałowe. Gniewali się ojcowie, martwiły się matki, płakali zgromieni za płochość marnotrawni synowie, mieli też za swoje posłuchać co przekupnie, ale jednak zapłacić trzeba było; poczem wszystko już wysuwało się z miasta, i toczyło po wszystkich traktach, krzycząc, wrzeszcząc, grając, śpiewając, strzelając, ba, jeśli ojców nie było, paląc fajki nawet.

Od tej chwili przez całe sześć tygodni następnych Świsłocz była głucha i pusta, aż do 15 sierpnia, z Wniebowzięciem Matki Boskiej, zamieniała się znowu w zgiełkliwą, hałaśliwą i tłumną, ale na inny sposób, bo wtedy rozpoczynał się jarmark na który przybywali kupcy z wyrobami całego świata. Z początkiem Września zaczynali się zjeżdżać uczniowie, dawni i nowi, a że pierwsze dwa tygodnie były przeznaczone do wpisu, bawili się przez cały ten czas jarmarkiem i teatrem, na którym tą razą już nie oni, lecz prawdziwi aktorowie kocujący, warszawscy, wileńscy, albo wszędobylscy występowali. Otwarcie szkół, podobnie jak ich zamknięcie odbywało się uroczyście, tylko że po mszy św. zamiast *Te Deum laudamus*, śpiewano *Veni Creator*, i że dyrektor gimnazjum zamiast pożegnania, prawił uczniom o obowiązkach, jakie ich w ciągu rozpoczynającego się roku szkolnego czekają, poczem czytał i każdemu z uczniów doręczał drukowane przepisy, z czasów komisji edukacyjnej, a które w głównych punktach tak się treściły:

1. Jako każdy z młodzi w tym zamiarze do szkoły przychodzić winien, żeby oświecenia rozumu i dobrych obyczajów, na czem zależy nauka, ku dalszemu kraju swojego i swojemu dobru nabył, tak ze szczerzej swej chęci i woli, a nie z przymusu i do-

zoru przykładać się ma do wszelkich powinności, jeśli prawdziwy i trwały pożytek ze szkoły wynieść żąda. Często zatem sam z sobą rozmyślać będzie, jak miła jest rzecz coraz więcej umieć, czego się nie dowiedziało dowiedzieć, rodzicom, krewnym, nauczycielom i przyjaciółom pociechę, spółrównnikom przez dobry przykład zachęcenie, sobie chwałę, pożytek i szczęście skarbić, i do przyszłych usług obywatelskich się sposobić; — a zaś przeciwnie, jak żałośna i niesumienna rzecz jest, starań i kosztów publicznych i rodzicielskich, trudów i starań pracujących około jego nauki zawód czynić, czas najzdadniejszy do nabycia wszelkiego dobra marnie tracić, siebie na pośmiech i pogardę, a najczęściej na nędzę i niedostatek w dalszym biegu życia wystawiać. Te myśli ożywiać ochotę jego wszelką w ćwiczeniach pracę osładzać i szlachetny cel nauki osładzać mu będą. Powinien na siebie poglądać jako na młodego obywatela, który się sposobi i do tego dąży, aby się stał obywatelem dojrzałym.

2. Każdy uczeń przychodzący do szkoły, wiedzieć i pamiętać to winien, że się od niego należy najzupełniejsza zwierzchności szkolnej uległość i jej wszelkim rozporządzeniom; a jeżeli kiedy od niższej władzy uczul się za pokrzywdzonego, tedy obżalowanie swoje do władzy wyższej zaniesie, zawsze jednak z tą wiedzą i pamięcią, że skargi bezzasadne, i tylko z krnąbrności lub zarozumiałości wytaczane, surowo zkarconemi być muszą.

3. Wszyscy uczniowie, przyzwoitą każdemu miejscu przystojność zachowują; mianowicie w kościele i szkole — milczenie i skromność; a zaś wszędzie, ku starszym uszanowanie, rówieśnikom przyjacielską do wzajemnych posług i pomocy gotowość, ku wszystkim ludzkość.

4. Mając w dalszych do spełnienia powinności obywatelskie, pomnieć mają uczniowie, że im nie podolają bez miłości i szacunku swych przyszłych spółobywateli — a zjedną ją sobie, kiedy ani w słowach, ani w poruszeniach, ani w uczynkach żadnej ku drugim wzdary nie okażą, kiedy będą wyrozumiali, usłużni, pobożający, przebaczący, kochający; — jednym słowem: braterscy.

5. Powinni być też przekonani, iż do zdrowia wielce po-

maga i do podjęcia męskich powinności jest koniecznie potrzebnem wczesne zahartowanie się do trudów, niewygód, prywacy, czyli braków i niedostatków — a więc wczesnie nabiorą wstręt ku miękkości, ospalstwu, koło siebie pieszczołliwości, niewieściej lęklivosti, a jednak i ku gburstwu i nieochędnostwu, które i zdrowiu szkodzą i w obcowaniu z ludźmi miłemi być nie mogą.

6. Ucząc się wyznaczonych zadań, albo czytając książki, gdy czego nie rozumieją, poproszą o objaśnienie swoją zwierzchność, czyli wczesnie przyuczać się mają do zastanawiania się nad każdą rzeczą, by nic na pamięć nie mówili, ale owszem mówili tylko to, co wprzód rozumem dobrze pojęli i objęli.

7. W emulacyi, czyli współubieganiu się nakoniec o pierwszeństwo lub miejsce w szkole, nie okażą nic takiego uczniowie, coby zazdrość lub nienawiść we współuczniach wzniecać mogło; pomnąc: że to współubieganie się nie przeto dozwolonym i zarządzonym jest, żeby się chęłpić, szurzyć i osobiście wynosić, ale żeby niem jak najwięcej krajowi pożytecznych obywateli usposobić.

Zwyczajny dzień nasz szkolny tak się rozdzielał:

O godzinie piątej rano dzwonek szkolny, a był to dzwonek, czy tak umyślnie dla Świsłoczy odlany, czy Świsłocz tak zbudowaną dla niego, iż wszędzie był słyszany, wywołał nas z łózek, i istotnie wszystko na głos jego wstawało. O szóstej, albo mała co później śniadanie z rzadkiej kaszy czyli krupniku, słoniną albo masłem okraszonego, lub też z kruszanki czyli zacierki, polewki kartoflanej, grochowej, czasami piwnej; — o kawie, czekoladzie albo herbacie nie tylko mowy wtenczas, ale myśli nie było.

Lekcye, czyli nauki, wykładane były dwie godziny rano i dwie godziny po południu. Na znak o trzy kwadransy na siódmą znowu dzwonkiem dany, uczniowie znajdować się powinni byli w kościele ze swojemi dozorcami czyli domowymi dyrektorami. Po mszy reszta czasu do ósmej łożoną była na przedsłuchiwanie czyli zdawanie sprawy z lekcyi zadanych, tak zwanym lekurjorom i audytorom, na to w niższych klasach postanowionym. Od ósmej do dziesiątej rano profesorowie zwy-

czajni lekcy wykładali, a po południu od drugiej do czwartej. Po tych, nauki języków obcych następowały; — w dnie rekreacyjne wszakże, to jest we Wtorek i we Czwartek, rano tylko godziny dawane były, a w Niedzielę po mszy godzina religii.

W każdej klasie nauczyciele trzymali się wykładu od Komisji edukacyjnej przepisanego. Rozpoczynając więc każdą naukę i w każdej jej części, starali się przedstawiać uczniom jasno, na co ona przydać się im w dalszem życiu może; w wykładzie trzymali się tego prawidła, aby nie wykładali rzeczy ogólnych przed szczególnymi, trudniejszych przed łatwiejszemi, złożonych przed pojedynczemi i prostemi, oderwanych myślą przed podpadającemi pod zmysły; — i ogólnie, każdy nauczyciel starał się, aby uczniowie jego więcej na rozum i pojęcie jak na pamięć uczyli się, a zaś w zadawaniu ćwiczeń piśmiennych miał baczność, aby przedmioty do tych ćwiczeń były rozsądne, do pojęcia uczniów i przyszłego ich przeznaczenia stósowne; — czasem też nie wyznaczając przedmiotu, zostawiał go osobistemu wyborowi każdego ucznia. Przedmiot zadany lub wybrany musiał być traktowany poważnie — dozwolone jednak były niewinne żarty, jeżeli je przyzwoity dowcip oznaczał. Raz, pamiętam, profesor wymowy i poezyi polecił nam opisać: Przyjemność po dżdżu czy deszczu, więc jeden z uczniów takie złożył wypracowanie:

Niech pan profesor tego z złej nie widzi strony,
 Że chcąc właśnie opisać piękne deszczu strony,
 Wyszedłem był przed deszczem w okoliczne strony;
 Lecz wróciwszy do domu zmokły na wsze strony
 Z obwisłemi od deszczu lutni mojej strony,
 Nie zdołałem odszukać pięknej deszczu strony,
 I napisać choć prozą o nim jednej strony —

I pamiętam, że profesor nie tylko się nie pogniewał za ten jednorymowy siedmio-wiersz, ale go pozwolił najchętniej do księgi wzorowych wypracowań zaciągnąć.

Do pięknych i bardzo pożytecznych onego czasu zwyczajów należały sessye profesorskie, oraz dozorców czyli dyrektorów domowych pod przewodnictwem dyrektora czyli rektora albo

rektora albo prefekta szkoły w każdą pierwszą niedzielę miesiąca w godzinach poobiednich odbywane. Sessye profesorskie były tajemnicą dla uczniów, gdy na sessye dozorców czyli dyrektorów domowych, wolno było uczęszczać uczniom klas wyższych, a na których dyrektor albo prefekt szkoły czytał przepisy dla nauczycieli domowych ułożone i po kolei każdy ich artykuł potrzebnymi uwagami objaśnił i rozwijał. Przepisy te, układu Hugona Kollątaja, członka Komisyi edukacyjnej, Wizytatora i Rektora Akademii Krakowskiej, naprzód Referendarza Litewskiego a potem Podkanclerzego Koronnego, acz temu już lat 50 kreślone, godne są, aby dziś jeszcze w rękę wszystkich nauczycieli prywatnych być mogły, i dla tego nie waham się przywieść ich tutaj, w głównej przynajmniej treści:

— Wątpić nie można, mówi Hugo Kollątaj, że przy publicznej edukacyi wiele bardzo zależy na dobrych i pilnych nauczycielach domowych, albowiem oni w dwóch najcenniejszych rzeczach, to jest w edukacyi moralnej i w instrukcyi, lubo nie najpierwszymi i najgłówniejszymi, to jednakże najbliższymi są młodzieży przewodnikami. Żeby więc doglądając naprzód spraw obyczajów i nałogów dzieciennych; powtóre: kierując i oświecając pojętność dziecienną, temu dwojakiemu obowiązkowi czynili zadość, byli ku pomocy tak rodziców jak i nauczycieli szkolnych, trzeba koniecznie aby tę powinność pełnić umieli, i dla tego prosimy ich, aby te przepisy, które tu się ogólnie tylko położą, jak najczęściej w swojej pamięci odświeżali, a rozumem, uczciwością i przywiązaniem ku dzieciom, ku ich pożytkowi w sobie je rozwijali i dopełniali.

1. Przedewszystkiem niechaj wiedzą dobrzy i sumienni nauczyciele, że we wszystkiem przykład ich własny będzie dla ucznia najmocniejszą pobudką równie do dobrego jako i do złego postępowania. Co będzie widzieć uczeń w swoim nauczycielu, w to się łatwo wprawi, to u siebie szacować, lekceważyć lub za złe poczytywać będzie. W młodszych bowiem latach wszystkie prawie uczynki człowieka, nie tak prawie z własnej woli i obrania, jako ze ślepego naśladowania pochodzą. Będzie tedy nauczyciel przykładem swym pociągać ucznia do ochędóstwa koło siebie, do wstrzemięźliwości w jedzeniu i picciu, do uwagi i roztropności w postępkach, cierpliwości w przeciwno-

ściach, do pilności w naukach, miłości w pracy, rzetelności w słowach i obietnicach, do grzeczności względem równych, uszanowania względem starszych, łagodności względem niższych, do wdzięczności ku rodzicom i dobrodziejom, do sprawiedliwości względem wszystkich, do litości i miłosierdzia względem zostających w niedostatku albo jakiegokolwiek potrzebie, do oddania czci i chwały należytej Bogu.

2. Każde dziecko tak sędzi jak słyszy; zaczem wszystkie rozmowy i rozprawy nauczyciela z dziećmi, oraz w obec dziecięcia z innymi, powinny być rozważne, rozsądne, uczciwe, obyczajne, z prawdą zgodne, i dalekie od wszelkiej płochości lub obrzydliwego pochlebstwa. W takowych więc rozmowach będzie nauczyciel przestrzegał tego nadewszystko, aby dziecko nie nabywało krzywych opinii, fałszywych zdań o rzeczach, przesądów szkodliwych albo śmiesznych; aby nic nie słyszało przeciwnego cnotcie a pochlebnego występкови, lub też słysząc co podobnego, aby zaraz od tegoż nauczyciela usłyszało zganienie podobnych zdań i czynów, łącząc tę naganą z wpływem na rozum i z wyłuszczeniem prawdy. Może nauczyciel w tym celu często rozmawiać z uczniem swoim podczas wolnych godzin od nauk, podczas zabaw i podczas stołu. Przedmiot rozmów jego tyczyć się powinien najbliższych spraw dziecięcia i tych rzeczy, do poznania których w każdej szkole będzie obowiązany. Niech zawsze wolno będzie uczniowi uwagi czynić, zapytania rzucać, wątpliwości swoje przekładać. Przez takie łagodne i poufne rozmowy wprawi się powoli uczeń mówić, myśli swoje jasno wykladać, pojętność i uwagę natężyć, rzeczy wszystkie i powieści pod własny sąd i roztrząśnienie brać, do siebie i spraw swoich stosować. Nauczyciel zaś będzie miał sposobność chęci i skłonności swojeo ucznia poznać, najstósowniej i najlepiej rozsądkiem jego ku poznaniu prawdy kierować, wprawiając go tym sposobem do myślenia, mówienia i rozwijania sił umysłowych. Nie będzie więc milczącym i nieśmiałym przy innych, nie wyrwie się ze zdaniem bez loiki i sensu, ani będzie papugą, coś tylko umiejac na pamięć.

3. Każdy nauczyciel powinien być najbaczniejszym względem nałogów dziecięcia, broniąc go od zaciągnięcia złych a prowadząc do dobrych. Zaraz w początku trzeba złemu zabiegać; bo

gdy się złe zamoże i urośnie, ciężko je łamać, ciężiej wykorze-
nić jeszcze. Te zaś nałogi odnoszą się do namiętności przesa-
dnych, do spraw i sposobów postępowania z sobą samym i z in-
nymi ludźmi. Wszystko w człowieku stać się może nałogiem,
nałóg zaś drugą naturą; trzeba więc mieć pilne i ustawiczne na
to oko. Jest wprawdzie dana człowiekowi sposobność do wszyst-
kiego, ale jednak od tego cała rzecz zależy, jak w tej sposobno-
ści swej człowiek będzie zaprawiany i do czego przy tem wpra-
wianiu kierowany.

4. Cokolwiek dziecię uczyni dobrego, niech zaraz od nau-
czyciela sprawiedliwą odbiera pochwałę, niech nawet przed in-
nymi za to zaleconem będzie. Tym bowiem sposobem zaszcze-
pia się w sercu uczucie osobistej godności, ta szlachetna i przy-
zwoita pobudka, która się opierając na poważaniu siebie, nie
pozwala mu się opuszczać, nie tylko przez wzgląd na siebie sa-
mego, lecz oraz i na innych. Z tej to uwagi, żeby tego ucznia
nie osłabić ani przytłumić, powinien się wystrzegać nauczyciel
upokarzającej nagany dziecięcia w przytomności drugich. Przed
tymi tylko niech wyraźnie opowiada, co w nim za godne na-
gany w rozsądku swoim uzna, do których wiedzieć o tem na-
leży; przed innymi zaś powinien ochraniać upokorzenia wycho-
wańca swego, błędy jego tłumaczyć lub pokrywać. A jeśliby
wychowanec dopuścił się mową lub uczynkiem co nagannego
w obecności drugich, natenczas dosyć będzie roztropnemu nau-
czycielowi pokazać miną i twarzą samą, iż mu się to nie podoba,
zostawiając sobie prywatne błędu wywiedzenie i zapomnienie.

5. Usuwać także nauczyciel będzie wszystkie sposobności
prowadzące do złego, i tą myślą powodowany, baczne oko za-
chowa, z jakimi uczeń jego rówieśnikami przestawać i łączyć
się ma przyjaźnią i zażyłością; — z kim bowiem kto przestaje,
takim się sam staje — zwłaszcza, że młodzież w złem i w do-
brem wzajem się naśladuje. Tu się należy przestroga, naprzód
rodzicom, a potem nauczycielom, aby z jak największą odwagą
i przezornością dobierali dzieciom swoim i wychowañcom słu-
żących; — od tych bowiem najprędzej uczą się młodzi złych
zdań, spraw i nałogów, jeżeli ci złymi są; — ich pochlebstwa,
poufałości, namowy i podłości, najszkodliwszą i niczem niewy-
leczoną bywać zwykły chorobą i trucizną. Nigdy więc nauczy-

ciel nie ma pozostawiać sam na sam z sobą dzieci, a jeśliby koniecznie oddalić się musiał, niech zostawi kogoś zaufanego do dozoru nad niemi, obmyśliwszy wprzód i wyznaczwszy im jaką przyzwoitą naukową robotę, którąby się podczas nieobecności jego zaprzątnęli i takową mu przedstawili za powrotem jego.

6. Chcąc nauczyciele, jak powinni, znaleźć sobie u dzieci należną powagę, miłość i uległość, inaczej jej sobie nie zdobędą, jak to wyżej się napomknęło, tylko gdy wszystkie ich kroki i sposoby obchodzenia się z dziećmi będą pełne łagodności, roztropności, grzeczności i przywiązania. A zatem unikać winni fukania, popędliwości, złości i zemsty; używania słów grubiańskich, obelżywych przezwisk, przekleństw, katowania, morderstwa; — niechaj wiedzą: że temi nieludzkimi sposobami nie tylko nic dobrego nie zrobią, ale że do użycia onych nie mają najmniejszego prawa i wolności udzielonej sobie. Powaga u dzieci rośnie najbardziej z miłości, sprawiedliwości i dobrego przykładu. Zdobędą posłuszeństwo nauczyciele, gdy roztropnie i umiejętnie rozkazywać będą; gdy w obchodzeniu się z dziećmi dobrych postanowień, porządków i przepisów raz zarządzonych, bez słusznej i koniecznej a naglącej przyczyny nigdy nie odstąpią. Ta ich stałość odbierze dzieciom nadzieję wyłomywania się z pod przepisów, chwytania się środków wykrętnych, kuszenia się nawet o wymożenie odmian. Słowem wówiąc, jeżeli nauczyciel pełnić będzie dohrowolnie a dobrze przepisy i powinności swoje, już tem samem podwładnych swych nauczy, iż każdy z nich powinności i przepisy swoje wypełniać czyli prawa słuchać winien.

7. Obejmując urząd, niech zatem zaraz stara się nauczyciel poznać z gruntu uczniów swoich, ich charakter, temperament, zdatność, cnoty i przywary; a osobliwie zaraz od początku niech się na nich zapatruje jak na własne dzieci, okazując im ojcowskie serce we wszystkich z niemi swych sprawach. Jakoż, od rodziców dzieci oddalone, jego opiece oddane, nie mając innego przewodnika, doradcy przyjaciela, są to istotnie jako sieroty. To jedno nie powinnoż ująć nauczyciela? A pamiętając także o ludzkości i grzeczności, będzie nauczyciel często prowadził dzieci w odwiedziny do krewnych, przyjaciół i rówieśników, oraz do chorych i do biednych, ucząc wszędzie miłości i litości,

potrzeby i obowiązku ratowania i pocieszenia strapionych. Na takie zaś i tym podobne odwiedziny winny być obracane czasy wolne od nauk. Nigdy zabawa dziecinna nie powinna być marnowana na bezużytecznem próżniactwie, ale zawsze zajęta jakimś przystojnem rozerwaniem, mającem na celu jakąś praktyczną a pożyteczną stronę.

8. Zdarzy się nakoniec, że uczniowie się zwadzą; niechże wtedy nauczyciel cierpliwie wytoczonej sprawy wysłucha, i wytrzymawszy przez niejaki czas strony zwadne w odosobnieniu, póki się umysły w swej żywości nie uspokoją, zda się naprzód na ich ugodę dobrowolną i sprawy rozsądzenie; — tam zaś gdzie tego potrzeba będzie, przedstawi swoje widzenie, sąd i wyrok, po prostu, jasno, sprawiedliwie, bez obruszenia lub sprzyjania jednej lub drugiej stronie; w czem jako i w innych najmniejszych nawet rzeczach, niech będzie zawsze dalekim od przenoszenia jednej osoby nad drugą, od przyjmowania pochlebstw i wszelkich innych niecnosci tego rodzaju ze strony uczniów, z przyczyny lub narowu do przychlebiania się skłonnych, pomnąc, że to jest jedna z przywar, która jeśliby w młodem sercu zagnieździć się dała, na nicby się nie zdały wszystkie około rozumu i naki zachody i starania.

Przepisawszy Komisyja edukacyjna takie postępowanie w głównych rzutach dla nauczycieli, pouczała ich dalej, jak pod względem karności obchodzić się mieli. Rząd poważny i stały poruczonych do nauki i wychowania dzieci, jestto, powiada, w samej rzeczy karność; ale karność nie jest karaniem a tym bardziej zwyczajem karania. Nic nie ma w wychowaniu a tym bardziej w zawiadowaniu dziećmi trudniejszego, jako dobrze sobie postępować w karaniu ich przestępstw. Zaiste, nie należy zbyt czułym pobłażaniem psuć dzieci. Są występki, jakoto: uporczywego umyślnego, dobrowolnego kłamania, zaciętego lenistwa, które bez kary uchościć nie powinny. Ale nieroztropność, surowość, a dopieroż gwałtowność i zbytek w karaniu, sprowadza bardzo złe skutki i częstokroć na całe życie młodzieńca okropne wywiera skutki. Trzeba umieć za co, jak i kiedy karać.

1. Za najpierwsze, za najcięższe, za najświętsze więc każdy nauczyciel i każdy przełożony winien mieć prawo, aby zupełnie w karaniu słuszność zachował; aby kary w podobnych

przekroczeniach, wszystkie okoliczności rozważywszy, jednemu darowane, a drugiemu wymierzane nie były; aby spółuczniowie i sam ukarany widział, że ukaranie jego ani z nienawiści, ani z zemsty, ani z porywczosci i przywidzenia nie poszło, ale że tego czysta się domagała sprawiedliwość.

2. Powinien nauczyciel pokazać i w rzeczy i w słowach, że niechętnie i tylko przymuszony do ukarania przystępuje; że wprzód użył wszystkich innych sposobów do poprawy; niech ubolewa nad winnym i karze podpadającym; niech mówi, że się spodziewa iż poznawszy przewinienie swoje i sprawiedliwość kary, weźmie się żywo do poprawy, wyrówna najlepszym, a wszyscy o karze, o przewinieniu i o zawstydzeniu jego zapomną. Dla tego też nigdy nauczyciel, ani nikt inny nie powinien karać, kiedy jest w uniesieniu i gniewie, bo nie mógłby przy karaniu pożytecznie napomnieć; dziecięby rozumiało, że nie z pobudki słuszności i jego poprawy, ale z gniewliwości i zapalczywości je karzą; a więc karzącego nie miałoby za ojca poprawiającego, lecz za wroga pastwiącego się nad nim. Ani wtenczas karać winnego należy, kiedy dopiero co przewinił i nie miał czasu sam z sobą pomiarkować się, że źle zrobił; niech ma dosyć pory do poznania swej winy, niech go powolność przełożonego zmiękczy; tym sposobem łatwiej się w złem spostrzeże, cierpliwiej zniesie karę, skruczę i chęć poprawy w sobie poczuje i obudzi.

3. Kary winny być zastosowane do przestępstwa. Najwięcej nauczyciel roztropności okazać ma w rozeznaniu, które przestępstwa zasługują na karę, a które są tylko błędem, omyłką, z nierozmysłu lub żywości. Człowiek popędliwy, gburowaty i ciemny, wszystkie dziecinne igraszki, żywość, płochosć i roztrzepanie bierze za winy i ostro sądzi i karze. Jestto wielki błąd i uczniom wielce szkodliwy. Uczniowie wiedząc, że nie zgrzeszyli, że nic złego nie zrobili umyślnie, a jednak ich karzą, zaczynają się oswajać z karą, i choć kiedy potem słusznie ukarani zostaną, sami sobie pochlebiają, że i w tem byli niewinni, i że ze zwyczaju tylko i ze złości ich ukarano. Taki nauczyciel nie godzien jest być nim, i choćby był najbiegłęjszy i najuczciwszy, oddalić go koniecznie należy. A niech Pan Bóg broni, żeby nauczyciel był natury dzikiej i okrutnej, aby mieć miał w chło-

ście, mordowaniu i udręczeniu upodobanie; taki nie tylko nauczycielem być, ale żyć w społeczeństwie ludzkim nie godzien.

4. Najpospoliej używane być winny kary zawstydzające; nie takie jednak, żeby wstyd przez nie uczniowie tracili. Usunięcie od zabaw, odjęcie prawa wyjścia na przechadzkę albo wycieczkę, zdawna dla wesołej rozrywki układaną, jest karą skuteczniejszą od wszelkich kar zwierzęcych, godność człowieka poniżających. Ale nigdy nie trzeba karać ubogiemi szatami, bo przeto zaszczeniałyby się błąd: że strojniesze szaty i bogatsze lepszych i niewinnych znaczą, że ubożsi godni są pogardy, gdy tymczasem człowieka nic nie szpeci, tylko występki i niecnota.

5. Nakoniec, gdy uczeń zostanie ukarany, niech ani rodzice, ani przyjaciele, ani domowi nie psują go — albo pieszcząc, albo mówiąc, żeby nie zważał na karę; ale póki się nie poprawi, póki mu nauczyciel nie przebaczy, niechaj go i drudzy napominają, niechaj mówią, że brzydko jest i wstyd być leniwym, niedbałym, kłamcą, porywczym, kłótnikiem i niech go zachęcają do rychłej i skutecznej poprawy.

Dowodem podobnej troskliwości były zachęcenia, pochwały i nagrody.

Nagrody są niezawodnie jednym z potężnych środków w wychowaniu młodzieży. Młodzież w ogólności ma mniejsze albo większe uczucie i życzenie chwały, i biada młodzieńcowi, który nie ma go wcale; bo byłby obojętnym na wszelkie dobrodziejstwa, niezdolnym do oddania z kolei usług, bo odkrywałby w sobie usposobienia przeciwspołeczne, on zaród do sokowstwa i samolubstwa, oną pychę, która wszystko do siebie odnosi i nic mu oprócz siebie widzieć i kochać nie dozwala. Uczucie potrzeby szacunku i poważania, dbałość o dobre imię i zdanie w opinii publicznej, jest cnotą, którą Opatrzność przeto w sercach naszych zasiała, abyśmy jedni drugim obcymi i obojętnymi nie byli. Ona to rozbudza życzenia i pochopy szlachetne; ona wywołuje i zatrzymuje zamiłowanie wielkości, ona daje natchnienie, tworzy wielkie dzieła i wielkich ludzi. Jest więc rzeczą konieczną utrzymać w młodzieży to usposobienie przyrodzone, ożywiać i podniecać je nawet; ale też właśnie dla tego, że to są środki potężne, trzeba je używać oględnie i roztropnie, trzeba baczyć i czuwać, aby cnota jedna z najwznie-

ślejszych i najpiękniejszych złym kierunkiem i stósowaniem nie przerodziła się w hańbiącą i poniżającą człowieczeństwo żądzę chępliwości i znaczenia błyskotnego.

Rousseau powiedział: — kawałkiem cukru wskórasz wszystko z dziecięciem. — Właśnie dla tego nieby szkodliwszego nie było, jak tym środkiem prowadzić dzieci do zamiłowania dobrego; boby to ich raczej na lakomców i smakosów, aniżeli na wstrzeмиęźliwych i na swoim przestających ludzi kierowało. Podobnież ma się rzecz z świecącemi i błyskotnemi nagrodami, które bardzo łatwo płochość i próżność w młodzieży rozbudzić mogą. To też Komisya edukacyjna biorąc pod rozwagę jedną i drugą stronę nagród: — Rozeznany i cnotliwy nauczyciel, powiada, nieczęsto będzie znajdować się w potrzebie napominania, a dopieroż karania; zawsze z żalem przyjdzie mu się chwytać środków kary; ale mając w sercu swoim uczucia ku swym uczniom ojcowskie, używać będzie sposobów łagodnych i uczciwych, zawsze pamiętając o tem, iż lepiej jest zapobiegać złemu, niż złe poprawiać, lepiej wpajać miłość cnoty i uczciwości, jak wykorzeniać występki i karać winy i błędy.

Mówże często nauczycielu uczniom swoim o ich obowiązkach, ale bez nudnej rozwlekłości; nie oziębłe ale z gorącością ducha, z wewnętrznem uczuciem potrzeby i pożytku oświecenia rozumu, ukształcenia serca, zamiłowania dobrego, pięknego i wielkiego. Gdy się dowiesz, przeczytasz, lub usłyszysz jaką sprawę chwalebłą, wystawiaj ją młodzieży sposobem pięknym, przenikającym serce, wzbudzającym choć naśladowania. Przeciwnym zaś sposobem, wyrażaj złe, brzydkie, krzywdzące siebie i szkodliwe bliżnim postęпки. Niech toż czynią od siebie uczniowie, opisując albo opowiadając cnotliwe czyny.

2. Kiedy z uczniów twoich który zadość uczyni swojej powinności, gdy pilnie postępuje w nauce, dopełni sprawy uczciwej, usłuży bliżniemu, poratuje go w potrzebie i niemocy, okaże roztropność i sprawiedliwość, nie dopuści się kłamstwa w okoliczności przykrej dla siebie — pochwal go jawnie, przedstaw drugim za przykład bez poniżania innych, opowiedz to rodzicom lub opiekunom, powinszuj im takiego syna albo wychowauca, i sam mu pokazuj ztąd zadowolenie twoje.

3. Takie sprawowanie się, takie uczynki dobre winny od-

bierać nagrodę. Wszakże, naprzód tak powinienes przysposobić duszę i serce uczniów twoich, żeby mieli sobie za najpiękniejszą nagrodę świadectwo sumienia; żeby to słodko i u siebie z rozkoszą rozważali, iż dobrą sprawę przed Bogiem, Sędzią Najwyższym uczynili, że powinności swojej dopełnili, że wesoło pójdą na spoczynek, myśląc, że nie mają sobie samym nic do wyrzucenia, ani się za co w duszy swojej sromać. Potem, żeby sobie wielce ważyli uczciwość, że dla niej a nie dla bojaźni kary złego się chronią a dobrze czynią; żeby uważali za wielkie dobro i szczęście, iż u ludzi rozumnych i poczciwych będą mieli chwałę, że oni kochać ich będą.

4. Przez cały bieg czasu szkolnego zapisuj dobre sprawy uczniów, a gdy na popis zaproszeni zgromadzą się goście, niech imiona tych uczniów odczytane i rozdane nie będą kosztowne ale pożyteczne nagrody; — nigdy więc z szat bogatszych i wymyślniejszych, bo to w myśli dziecinnej rodziłoby się zdanie, iż je cnota za sobą ciągnie, ani z pieniędzy, żeby się chciwość nie wzmogła, ani z jakichś stałych zewnętrznych oznak, któreby mogły przyprowadzić dzieci do mniemania, że raz jako dobre napiętnowane, mogą się już obejść bez dobrych w przyszłości uczynków.

5. Nakoniec zawsze pamiętać ma na to najwięcej nauczyciel, aby ścisłą w pochwałach i nagrodach sprawiedliwość zachował, żeby wszyscy widzieli, że w tem nie uwadzi się ani życzliwością ku jednym, ani niechęcią ku drugim, ani cudzą namową, ani zyskiem lub jakimiś względami, aby nie można sobie zarzucić, iż niesłusznie sobie w tem postąpił, czyli jednego nad drugiego przeniósł niezasłużenie.

Łatwo wnieść, że przy takich uwagach i przepisach często w pamięci odświeżanych, nauczyciele szkół świsłockich, musieli się odróżniać od nauczycieli szkół innych, te uwagi i przepisy zaniedbujących a częstokroć wcale ich nieznających, i że za nauczycielami szli uczniowie także. Już to w ogólności uczniowie szkół świeckich wszędzie wyżej stali od uczniów szkół klasztor-nych, i tę różnicę z pierwszego zaraz wejrzenia dostrzedz można było — bo kiedy uczeń szkół klasztor-nych był ponury, nieśmiały, uniżony, milczący, skryty, a zaś zewnątrz zaniedbany — tedy uczeń świsłocki był swobodny, śmiały, żywy, wesoły,

mówny, otwarty, około siebie, ochędożny, czysty, porządny, nawet trochę elegant i fanfaron. Tę różnicę wywoływało samo ich położenie towarzyskie. Uczeń szkół klasztornych nie widywał jak księży, nie bywał jak u księży, słyszał ich tylko; był więc księdzem przed czasem; — kiedy uczeń szkół świeckich widywał towarzystwa różne, bywał po towarzystwach u swych nauczycieli pożenionych i po innych obywatelskich domach, gdzie bywały zabawy i tańce, pogadanki, wieczorki, goście płci obojej; widywał świat, bywał w świecie, oswajał się z nim, stósował się do niego; jednym słowem będąc uczniem, był już w części obywatelem świata.

Duch ten, raz wprowadzony do szkół, ożywał je stale. Rzeczy można, że o przekonanie i utrzymanie jego nauczyciele ubiegali się z uczniami. Oprócz Księgi wzorowych wypracowań, przez nauczyciela wymowy i poezji w każdej klasie, zaczynając od trzeciej rok rocznie utrzymywanej, a po roku dla wiecznej pamiątki do biblioteki składanej, mieli nadto pomiędzy sobą uczniowie dwie księgi, z których jedna Księgą prac a druga Księgą dziejów się zwała. Do pierwszej wpisywali uczniowie swe wypracowania dowolne zdaniem współtowarzyszów za najlepsze uznane. Były więc tam wiersze i proza, bajki i prawdy, rozprawy literackie i naukowe, ba, nawet prace obszerniejszego kroju, powieści, komedye, trajedye, dramata, poemata; kiedy druga była przeznaczoną wyłącznie do zapisywania wypadków ważniejszych szkolnych i pozaszkolnych, nauczycieli, uczniów i obywatelstwa miejscowego i okolicznego dotyczących. Co się z temi księgami stało, trudno wiedzieć i wypowiedzieć. Jedną z tych drugich, nie wiem jakim sposobem, daleko zapewne od innych zabłąkaną, przed kilką spotkałem laty, i jak gdyby wiedziony przecuciem, że to kiedyś przydać się może, wypisałem z niej takie słowa:

— Działo się we Świsłoczy, dnia 8 Września 1814 r.

— Wczoraj Świsłocz, a raczej dwór świsłocki, czyli rezydencya JW. Wincentego Tyszkiewicza, Referendarza W. Litewskiego a szkół świsłockich szczególniejszego opiekuna i dobrodzieja, ożywiony był niezwyczajnie, bo w nim przyjmowano gościnnie dwóch braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich, sławnych profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, na które to przyjęcie zje-

chało się mnóstwo z stron bliższych i dalszych różnego obywatelstwa. Wiedzeni ciekawością oglądania tak dostojnych uczonych i tyle obywatelstwa, my niżej podpisani poszliśmy do ogrodu spacerowego, który jest zarazem i ogrodem pałacowym, myśląc, że krążąc koło pałacu upatrzymy sposobną chwilę i stanie się chęciom naszym zadosyć.

— Długośmy kołowali napróżno; ogród był pusty jakby o północy, a od pałacu dolatywało nas tylko szczękanie i brzękanie zastawy obiadowej, oraz przeróżne zapachy sosów, bigosowe, korzeni i pieczeni.

— Nareszcie służba obiadowa, naprzód dwóch z niej, potem trzech, czterech i więcej w liberyi i z serwetami przez rękę, pokazała się przeddrzwiami z sali jadalnej na ogród dającemi, a poszeptawszy coś z sobą, rozpoczęła ruch ku altanie wprzód i wstecz, z tacami, filiżankami, fajkami, cygarami, ruch, który w mechanice mógłby się nazwać ruchem nieustającym — *perpetuum mobile* — gdyby go nie wstrzymało nagle wysypanie się gości, po skończonym obiedzie, co nam przypomniało widok roju pszczół, a to tem bardziej, kiedy po chwili postrzeżliśmy po środku jakby matkę pszczolną w krześle czyli karle na kółkach, ogromną i otyłą postać JW. Referendarza W. Litewskiego, i kiedy to wszystko zawsze jakby rój pszczolny, sunąc się poczęło ku altanie na przygotowaną w niej kawę.

W nawiasie dodać należy, że Wincenty Tyszkiewicz, Referendarz W. Litewski, znany był podonczas w całej Litwie i Koronie z tak nadzwyczajnej tuszy, że mu podgardle na pół piersi spadało, a przytem z niesłychanego apetytu, bo zjadał na śniadanie kapłona, gęś lub indora, z dodatkiem dwóch kop kołdunów, co mu jednak nie przeszkadzało jeść obiad i wóczyerze z podwójnym, często z potrójnym apetytem; — a co szczególniejsza jeszcze, że to nie wpływało wcale na osłabienie w nim ducha, bo zawsze aż do śmierci był niezachwianym orędownikiem nauk i najserdeczniejszym opiekunem uczącej się młodzieży.

— Umyślnie od altany zśliśmy na przeciw temu posuwającemu się rojowi — więc skoro nas Referendarz spostrzegł:

— A to pewno Ichmość z szkolnej młodzieży — zawoła.

— Tak jest — odrzekliśmy w dwa głosy naraz.

— A jak godność Ichmościów? —

— Marcin z Cieplina i Rajnold z Suchodola. —

— Znam! Znam ojców obu Ichmościów. Zacni obywatele i szczyć się ich przyjaźnią. Szkoda że dziś ich tutaj nie ma. Ale Ichmość synowie może raczą Ichmość ojców mi zastąpić. Jeżeli łaska, to proszę razem z nami.

— Rzecz jasna, żeśmy z wdzięcznością przyjęli zaprosiny i poszliśmy do altany, która w mgnieniu oka zapełniła się gośćmi.

— Wtoczony do altany JW. Referendarz, zajął miejsce po środku we framudze od przeciągu powietrza zabezpieczonej, i natychmiast dwóch hajduków wniosło bryłę lodu w wanience i dla ochłody wsunęło ją pod krzesło JW. Referendarza; obok którego zasiadł z jednej strony Jan Śniadecki, z drugiej brat jego Jędrzej, dalej inni goście po bokach i do koła siedzący i stojący, jak kto chciał, a my, jako wiekiem najmłodszy, przy drzwiach więc akurat na przeciw, z kąd przeto wszystkiemu przypatrzeć się i przysłuchać mogliśmy doskonale.

— Służba rozpoczęła obnosić kawę, fajki i cygara, a kiedy każdy miał już wszystko co chciał, w ustach i w rękę:

— Niechże teraz szanowny pan Profesor — ozwie się JW. Referendarz — przypomni sobie obiednie przyrzeczenie, i łaskawie powiedzieć nam raczy jakto było z tym przedwczesnym zgonem Jmci księdza Hugona Kołłątaja? —

— Nie mam jeszcze szczegółów śmierci jego — rzeknie pan Jan Śniadecki; — to wiem tylko, że umarł w Warszawie na początku r. 1812, a więc temu już z okładem dwa lata — czas, jak mi się zdało, aż nadto dostateczny do ostudzenia zawiści i rozchwiania uprzedzeń; alem się wielce omylił, skoro przy dzisiejszym obiedzie moje serce tak boleśnie dotkniętem zostało.

— Proszę mi przebaczyć! — ozwał się głos ze środka. — Nie chciałem ubliżyć pamięci nieboszczyka. Jednak niech mi wolno będzie oświadczyć, że wszystko com powiedział, oparłem na znanem i drukowanem dziele p. Linowskiego Aleksandra. —

— Ale kto czytał dzieło p. Linowskiego — rzecze profesor — i chce się na niem opierać, ten winien był także czytać usprawiedliwienie się jego w dziele: O tej części ziemi polskiej, którą po traktacie tyłżyckim nazwano księstwem

warszawskiem. A gdyby i odparcia tego nie było, gdyby nawet ani sam oskarżony, ani nikt go nie bronił, to po jego korespondencyi z Tadeuszem Czackim wszystkie tego rodzaju zarzuty raz na zawsze ustać były powinny. —

— Cieszę się, ozwał się głos ze środka, że je we mnie tak dostojna powaga i głęboka znajomość rzeczy rozchwieje, i dla tego z największą uwagą przyrzekam słuchać łaskawego opowiadania. —

— Snadnem mi będzie dopełnienie tej powinności, odrzekł profesor, raz, że wszystko co powiem, znam z przeświadczenia własnego, a powtóre: że szczegóły te miałem właśnie potrzebę odświeżyć w mojej pamięci, przygotowując do druku moje pisma rozmaite, obecnie drukujące się w Wilnie.

W nawiasie znowu dodać winienem, że całe opowiadanie następne jest streszczeniem pierwszego rozdziału z tomu pierwszego Pism rozmaitych Jana Śniadeckiego, od r. 1813 do 1822 w czterech tomach w Wilnie drukiem ogłoszonych. —

— Poznałem pierwszy raz Kollątaja, mówił p. Jan Śniadecki, w r. 1777, kiedy mnie wykładającego pod ten czas matematykę w Akademii, powołał imieniem Komisji edukacyjnej do wykładu w szkołach Nowodworskich czyli Władysławowskich, przy wprowadzeniu nowego porządku nauk dla całego kraju przepisanego. Wnet wyjechawszy do akademii zagranicznych, w celu lepszego usposobienia się do służby krajowej, gdym na wezwanie Komisji edukacyjnej w r. 1781 do Krakowa wrócił, znalazłem postać Akademii odmienioną, a Kollątaja w ucisku i prześladowaniu. Wyszedł on wszakże z tryumfem z tego nieszczęścia i do urzędu w Akademii powrócił. Należałem odtąd prawie do wszystkich jego edukacyjnych czynności, z urzędu sekretarza Akademii i członka rady wizytatorskiej. Zaszczycony zaufaniem i przychylnością Kollątaja, żyłem z nim przez lat kilka w poufałości, patrzałem z bliska na jego domowe i publiczne sprawy; różniąc się czasem w zdaniu, nie zawsze się zgadzając na jego rozporządzenia i układy, wiele z nim rozprawiałem ustnie i pisemnie. To mi dało sposobność pilnego uważania, a nawet zgłębiania jego charakteru i skłonności, które nie były takie jak mu ludzie niechętni lub zawistni przypisują. Wszystko co o nim powiem, powiem z najsumienniejszego i osobistego

przeświadczenia, nic nie powiem, czego nie byłem współczynnikiem albo widzem lub świadkiem. Obdarzony najpiękniejszemi przymiotami przyrodzenia i wychowania, był Kołłątaj dziwnem twardego losu igrzyskiem. Wszystkie drogi jego życia publicznego zawałone były przeciwnościami, które go wystawiały na ciągłe prześladowanie i niszczyły owoce jego usiłowań. Obronca swobód ludzkich, wysłużył sobie dziewięćletnie więzienie austriackie, niczem, nigdy i nigdzie przeciw Austrii nie zawiniwszy. Reformator i wskrzesiciel Akademii Krakowskiej patrzył na jej upadek i zgubę wszystkich swoich prac i dobrodziejstw dla niej. Dostojność ministra opłacił tułactwem, niewolą i nędzą. Długa i ciężka choroba skurczyła udatną postawę jego ciała. Błysnęła mu nareszcie nadzieja znośniejszej doli, ale to był ostatni umizg zwodniczej pociechy, który przeciął ośnowę jego życia i cierpienia. Rzechy można, że ludzie źli i zawistni, że przygody polityczne, że same żywioły przyrodzenia zniósłoby się na udręczenie jednego człowieka! Ażaliż zagrzebanemu w ziemi nie należy się pokój choćby dla pamięci, że w edukacji publicznej był tak wielce ziomkom swym pożyteczny!

— Ksiądz Hugo Kołłątaj, teologii i obojga praw doktor, w Akademii Krakowskiej wizytator, rektor i pierwszy emeryt, naprzód referendarz litewski, potem podkanclerzy koronny, orderów polskich Orła Białego i świętego Stanisława kawaler, Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk członek, urodził się w województwie Sandomierskiem, we wsi Niecisławicach 1750 r. 1go Kwietnia (z kąd Hugonem nazwany) z rodziny szlacheckiej, pochodzenie swoje od wygnańców czyli exulantów smoleńskich wywodzącej. Pierwsze nauk początki pobierał w Pińczowie, a zaś wyższe w Akademii Krakowskiej, następnie w Rzymie, gdzie oprócz teologii poświęcał się z zapałem pięknym sztukom i umiejętnościom. Wrócił do Polski, gdy właśnie zawiązaną została Komisya edukacyjna, do składu której, dla swych rzetelnych i znakomych zdolności, zaraz powołany został ze szczególnym przeznaczeniem do wydziału ksiąg elementarnych, i tam dzielnie zaczął pracować nad podźwignieniem z upadku Akademii Krakowskiej. W 1777 r. przyjął poselstwo od Komisji do Akademii dla zaprowadzenia nowego planu

nauk, obowiązku tego z największym zaszczytem dla siebie, a pożytkiem publicznym, w krótkim czasie dopełnił. Reforma składu Akademii daleko więcej przedstawiała trudności; nikt jej podjąć się nie chciał, podjął się jej Koliątaj, i to swoje poświęcenie dla dobra powszechnego drogo potem opłacił. Z wielkim mozolem wypracował nowy plan dla rządu szkolnego, wybrał i zanominował zdolnych nauczycieli, przepisał im sposób wykładu i postępowania, przejrzał i uporządkował fundusze Akademii, z dawien dawna w wielkim będące zaniedbaniu, potem zajął się szczegółowym systematem narodowego wychowania, mianowicie tę zaprowadzając zasadę, aby wszystkie odtąd nauki, zamiast po łacinie, w krajowym języku wykładane były, a posady nauczycielskie samym powierzane krajowcom. Po przyjęciu jednomyślnością wszystkich tych reform, nowy porządek do Akademii Krakowskiej z wielką uroczystością 1780 r. wprowadzonym został, a 1782 r. Koliątaj powołany na rektora Uniwersytetu. Potwierdziła Komisyja ten wybór, a Koliątaj ujęty powszechnem zaufaniem zgromadzenia, silniej jeszcze zajął się jego i nauk pomyślnością. Jako urzędnik Komisyi i razem naczelnik Akademii, podwoił swoje usiłowania do postawienia jej na tym stopniu znaczenia i wziętości, na jakim stać powinno pierwsze uczące i kierujące oświeceniem publicznem ciało. Zajęcie się Akademią nie przeszkadzało mu do zajęcia się równocześnie urządzeniem niższych szkół krajowych. Wysłani przez niego wizytatorowie rozpoznali i uprzedzili w swych sprawozdaniach stan i potrzeby oświecenia publicznego na prowincjach. Nie było dnia prawie bez posiedzenia z tego powodu; usposobienia zdatnych i przykładnych nauczycieli było rzeczą najgwałtowniejszą, więc natychmiast seminaryum kandydatów przerobiono na stósowniejszy i pożyteczniejszy zakład. Młódź zakonu bazylijskiego z najodleglejszych okolic ściągano na nauki do Krakowa, a wkrótce z łona tej młodzi wyszło mnóstwo bardzo wykształconych nauczycieli, którzy w jednym duchu ze szkołami akadeckimi pracując, oświecenie i wychowanie publiczne na Wołyniu, Podolu i Ukrainie znacznie podnieśli i całemu zgromadzeniu krajowemu z tak ważnej posługi wielkie zjednali zalety i poszanowanie. Zaprowadzenie i utrzymanie jednostajnego porządku w szkołach wyma-

gało przejrzenia i zreorganizowania statutu dla stanu nauczycielskiego. Ważna i mozolna ta praca zabrała Kołłątajowi wiele drogiego czasu i wywołała liczne i drażliwe a jednakże nieuniknione spory jego z Akademią, które tylko właściwa jemu wytrwałość i sprężystość przełamać i pokonać mogła. Jego coroczne przebywanie w Warszawie narażało go na znaczne wydatki, ale było dla pożytku publicznego niezmiernie potrzebne, bo wiele ważnych i ułożonych w Krakowie projektów czekało na poparcie i przyznanie władz krajowych w Warszawie. W liczbie tych było urządzenie szkoły lekarskiej i chirurgicznej, obmyślenie potrzebnego wspomóżenia i rozszerzenie jej pożytków na usługę ludzkości po całym kraju, a przezorne i troskliwe Kołłątaja starania, zręczne i umiejętne rzeczy przedstawienie, zjednały tej robocie zupełną pomyślność. Zwiedzenie mineralogiczne Województw Krakowskiego i Sandomierskiego; odkrycie obfitych kopalni węgla kamiennego, po wyniszczeniu lasów podgórskich tak dziś przydatnych Krakowowi i jego okolicom, zebranie i urządzenie zamożnego gabinetu mineralogicznego z produktów krajowych; ogłoszenie mnóstwa dzieł w narodowym języku, oświeceniu narodowemu tak potrzebnych i użytecznych, są to w kilku latach podjęte i dokonane usługi, którym pierwszy ruch i popęd nadał Kołłątaj przez umiejętne wyszukanie ludzi, przez zachęcenie ich do trudności i pracy, przez korzystanie z ich postrzeżeń i myśli, rady, wiadomości, światła i doświadczenia — co jest szacownym i rzadkim urzędnika publicznego doświadczeniem. Pokazał się zaraz najpiękniejszy tych wszystkich usiłowań owoc, skoro się zajął i szerzył w młodzieży polskiej do nauk coraz większy zapał, i gdy w całym narodzie obudziło się szczere zamiłowanie do nauk przez czas długi najzupełniejszym odłogiem i w pogardzie leżących. Niemordowany ten człowiek nie przestał na tem jeszcze. Archiwum Akademii Krakowskiej, dawniej po różnych ręk i miejscach rozrzucone, zgromadził w jedno miejsce, a oddzieliwszy przywileje, prawa i nadania Uniwersytetu, zaczął je porządkiem chronologicznym drukować. We wstępie do tego dzieła zamysłał opisać Dzieje nauk w Polsce i Zasług Akademii Krakowskiej od jej założenia przez Kazimierza Wielkiego aż do czasów współczesnych. Ktokolwiek zna nasze dzieje grun-

townie, ten nie może zaprzeczyć tego fenomenu, że nauki kwitnące przez długie wieki w Polsce, zaczęły się psuć i upadać po wprowadzeniu do niej Jezuitów i że znowu po zniesieniu tego zakonu podnosić się i dźwigać zaczęły. Lubo doświadczenie czterech wieków dowodzi, że zgromadzenie zakonne samemu sobie zostawione nie było zdolne przez się ani wzrostu nauk utrzymać, ani oświecenia powszechnego zaszczerpić, są to wszelako ciekawe do zgłębienia przyczyny, dla czego zakon jezuitski przez ogromną fortunę, w którą go opatrzyła pobożność narodowa, przez troskliwe zaciąganie pilnie dobieranej i celującej do swych nowicyatów krajowej młodzieży; przez wpływ potężny, który Jezuita zapewnili sobie u dworu i u najpierszych w narodzie dostojności przez stosunki i związki zagraniczne, dokąd wysyłali swoich wybrańców, a przez nich i przez dzieła cudzoziemskie wiedzieli o stanie nauk i umiejętności w państwach obcych — zgoła, dla czego Jezuita dzierząc najdzielniejsze środki i pomoce, nie potrafili przynajmniej uratować od zupełnego upadku nauk i oświecenia w kraju, dla czego znakomici nauką i zdolnościami z ich towarzystwa ludzie, świetniej się odznaczali, pożyteczniej oświeceni i chwale narodowej służyli, będąc wypuszczeni na życie swobodne, jak stojąc pod rygorem i prawami swego zakonu. Wszystkie te ważne i ciekawe zagadnienia miał nam Kollataj w swoim dziele objaśnić i rozwiązać. Nieszczęście, że Opatrzność nie dozwoliła mu tak ważnego przedsięwzięcia dokonać.

— Nieszczęście! wielkie nieszczęście! — powtórzyło w głos całe zgromadzenie.

— Co się przewlecze to nie uciecze! — ozwał się JW. Referendarz Litewski, a gdy wzruszenie i szmer nieco przycichł, tedy p. Jan Śniadecki tak prowadził swe na chwilę zawieszono opowiadanie.

Wkrótce intryga wyprowadziła na jaśnie swoje skryte dotąd knowania. Szukano dziury na całym, i po długim szukaniu znaleziono ją wreszcie; naprzód w samowolnem, jak twierdzono sprzedaniu jakiejś wioski na potrzeby Akademi, którą na ten pożytek sama Akademia sprzedaćby mogła od siebie; a powtóre, w wyrobieniu sobie wprost od rządu komendy na plebanję jakąś, kiedy Akademia chętnieby ją sama przyznała, bo nad nią,

jako sama twierdziła, nikt silniej nie czuł zasług jego i ofiar dla niej położonych i nikt lepiej nie wiedział i nie widział, jak przez kilka lat wizytatorskiego urzędu, bił się Kollątaj z niedostatkiem przystojnego życia, zaciągał osobiste długi dla publicznego użytku, i rujnował własną rodzinę, byle w najważniejszej sprawie, jaką jest oświecenie narodowe, usłużyć swojej ojczyźnie.

Korzystała z tego intryga i Kollątaj pozbawiony rektorstwa, z pola naukowego, na którym z taką gorliwością i pożytkiem pracował, przeszedł na pole polityczne, aby na niem równie jak na tamtem swojej czynności i zdolności złożyć dowody. Wyniesiony do godności Referendarza Litewskiego, a następnie Podkanclerzego Koronnego, sprawował te urzędy z zadziwiającą najzaciętszych przeciwko niemu nieprzyjaciół sumiennością i sprężystością i był jednym z najgłówniejszych myślicieli i twórców ustawy 1791 r. — Zmuszony opuścić kraj, udał się do Saksonii, zkąd wróciwszy w r. 1794 miał sobie powierzonym naczelnictwo wydziału skarbowego i dyplomatycznego, a były to czasy największej zaciętości nieprzyjaciół jego i najzawziętszych krzyków, obelg i potwarzy przeciwko niemu. Po roku 1794 udał się Kollątaj do Galicji, gdzie przytrzymany od Austryaków i osadzony w więzieniu w Ołomuńcu, w którym aż do roku 1803 trzymany, nabawił się okropnych bólów stawowych, które go już aż do końca życia dręczyły i zgon mu przedwczesny przyspieszyły. Należy to do osobliwszych przypadków żywota Kollątaja, że przez dziewięć lat więził go rząd austriacki, którego on ani w pismach, ani w czynnościach swoich niczem nie obraził, przeciw któremu nigdy i nigdzie nie występował, a zaś wrócił mu wolność rząd rosyjski. z którym Kollątaj w długiej, ciągłej i zaciętej był walce. Szlachetny ten czyn i godny wspaniałomyślności Cesarza Aleksandra I., umiał aż do śmierci oceniać Kollątaj — a że austriacki rząd raz skonfiskowanego mu majątku powrócić mu nie chciał, więc znalazł się dla niego przytułek na Wołyniu, o milę od Krzemieńca, gdzie aż do roku 1807 w towarzystwie nieodstępnych już jego towarzyszy choroby i ubóstwa przesiedział. Nie zdołam opowiedzieć bolesnego wrażenia, jakiegom doznał, gdym tego męża w r. 1806 bawiąc w Krzemieńcu odwiedził. Powierzył mi on wtenczas do prze-

czytania gruby stos rękopismów swoich o początkach narodów, które wypracował w więzieniu austriackim. Było to pięć obszernych rozpraw; 1. o źródłach początkowej historii narodów; 2. o potopie ziemi; 3. o resztach uratowanego po potopie ludu, o ich osadzie i o ich rządzie teokratycznym, a oraz o przyczynach zdziczałości ludzi; 4. dowody astronomiczne wielkiej starożytności narodów; 5. o początkach narodów sławiańskich, gdzie historią Amazonek oczyszczoną z allegoryi i imaginacyi poetycznej, wykłada z wielkim dowcipem, ciągnąc panowanie ludu sławiańskiego przez tysiąc pięćset lat aż do czasu Ninusa. Jest w tych pismach dowód głębokiej i rozległej nauki, popartej świadectwem najstarożytniejszych greckich i rzymskich pisarzy, rozwiniętej z wielką zdolnością, wyłożonej porządnie i w sposób do czytania przyjemny. Takimi to owocami nauki swej i rozwagi kołł swe cierpienia Kołłątaj i łagodził swej doli srogość. Gdy wojna 1807 r. zbliżała się do granic kraju naszego, przeznaczył mu rząd Moskwę na mieszkanie, i pensją dzienną do życia; zkąd po traktacie tyłżyckim przeniósł się do Księstwa Warszawskiego; ale się już do żadnych robót politycznych nie mieszał i o żadne urządowanie nie starał, cały oddany będąc pisaniu pożytecznemu — aż nakoniec wycieńczony chorobą i złamany przeciwnościami, zmarł w Warszawie 28 Lutego 1812 roku.

Zstąpiły z Kołłątajem do grobu te jego nieocenione owoce nauk i talentu; te zawiązane w jego głowie z powszechnem upragnieniem oczekiwane pisma, któremi miał zawilość historii narodowej rozjaśnić, błędy pisarzy cudzoziemskich sprostować, ziomkom zaś zbawienne rady udzielić, literaturę ojczystą zasilić i zaszczycić, sprawiedliwie nareszcie zaskarbioną sławę pisarza wybornego rozszerzyć i ustalić. Jego 4ty tom listów do Stanisława Małachowskiego będzie po wszystkie czasy dowodem i wzorem w mowie naszej prawodawczego języka, a przemowa do deputacyi sejmowej nie przestanie być nigdy godną najpiękniejszych i najwznioślejszych samego Demostenesa ustępów. Mamże mówić o uwagach nad sukcesją tronu w Polsce (1790) nad Księstwem Warszawskiem (1808), o porządku fizyczno-moralnym czyli nauce o należytościach i powinnościach człowieka (1810) lub o ustanowieniu i upadku ustawy (1791).

W ogóle we wszystkich dziełach Kołłątaja język dzielny i czysty; żadnem przekręcaniem wyrazów nie dręczony, ani znieważany niezgrabnem nowych kleczeniem; tak wszędzie rodowity i szczeropolski, styl poważny, płynny i wdzięczny, czerpiący ozdobę swoją ze zdań i myśli jasno, loicznie i porządnie wywiezionych. Bywa czasem Kołłątaj w stylu swoim rozwlekły, bo przywykł nie sam pisać ale dyktować; — owoż w sposobie tym pisania myśl swobodniejsza snadniej się rozlewa, wyobrażenia buja dowolniej, kiedy pod własnem piórem myśl też bardziej na wodzy jest trzymaną, zkąd jest więcej skupiona, baczniejsza, zwięźlejsza i treściwsza. Ta jednak niekiedy spotykana rozwlekłość nie jest w nim bynajmniej owem strojnem ubóstwem, którem pisarz w myśli nie zamożny bawi ucho, a rozum brzękiem słów próżnych usypia. Kołłątaj prawie zawsze zatrudnia umysł, choć go czasem trzyma w rozleglejszej przestrzeni. Prace jego, jako dobrego w języku narodowym pisarza, tem są droższe dla narodowego oświecenia, że zamożni w tyle pięknych płodów poetycznych, niewielu liczymy dobrych prozą pisarzy. Sztuka ta nie mogła się podnieść, dopóki gruntowniejsze pojęcie nauki nie skierowała Polaków od czczych marzeń i bawidełek do poważnych zatrudnień rozumu. Ta przeprawa nie mogła atoli uniknąć niebezpieczeństw od głów radzie Platona nieposłusznych, który każe długo naprzód myśleć i milczeć, nim się zacznie mówić i pisać. Nie przetrawiwszy nauki, nie wyrobiwszy jej długiem myśleniem na postać rodowitą, nie przyswoiwszy jej swojemu językowi, piszemy nie z głowy ale z książki, a że zwykle z książki obcej, więc piszemy źle i niewłaściwie. Niedostatek pracy albo zdatność piszącego, nieznamość albo zaniedbanie mowy ojczystej wzięto za ubóstwo języka — ztąd potwory niepotrzebnych słów, wprowadzenie sposobów mówienia i toków cudzoziemskich, któremi niebaczni tłumacze zanieczyścili i skazili język, pracując raczej ku ociemnieniu niż ku oświeceniu młodzi krajowej. Niedługo prawda trwał ten umysłowy paroksyzm, ależ właśnie należy to do chwały Kołłątaja, że wyrwał z niego narodowy język. Obstawać za nim, jestto obstawać za miłym dziedzictwem ojców, i za najdzielniejszą oświecenia podporą. Okazało się z doświadczenia, że język polski w swym rodowitym kroju nie da się prze-

wyższyc żadnemu innemu w przekładzie i przedstawieniu najgłębszych i najsubtelniejszych myśli. Kto chce go doskonalić nie potrzebuje go z toru właściwego sprowadzać, ani w barwy obce stroić. Uczeni i pisarze nie powinni o tem zapominać, że do utworzenia szczęśliwego wyrazu ledwo nie tyle potrzeba talentu, ile go potrzebuje stworzenie myśli nowej; że więc lepiej jest czasem obcy wyraz zatrzymać, aż się uda szczęśliwszej głowie z myśli dobrze pojętej wydobyć wyraz własny a trafny. Zgorszę może kogo, gdy powiem, że cokolwiekby z myśli ludzkiej nie dało się w narodowym języku wyrazić, to i językowi i oświeceniu krajowemu jest niepotrzebne.

— Był Kollątaj wzrostu nadobnego ale nieprzerosłego, twarzy białej okrągłej, czoła wysokiego, nosa równego, oczu i włosów ciemnych, postaci z wejrzenia ponurej, ale przystojnej i szykownej; w mowie łagodny, poważny, płynnie i przyjemnie się tłumaczący, umysłu zawsze przytomnego i rzadko się miewającego, charakteru żywego, śmiałego, bardziej skrytego jak otwartego. W mocnych poruszeniach umiał się miarkować i posiadać. Tkliwy na cierpienie ludzi nie miał w sobie ani zawziętości ani zemsty. W przywiązaniu giętki aż do słabości, w przyjaźni nadto łatwy, stateczny, ale nieszczęśliwy. Sam obyczajów prostych i czystych, zawsze i wszędzie baczny na przystojność, był na słabości ludzkie wyrozumiały, dla swych sług i domowników przychylny i słodki. W wydatkach domowych hojny, lubiący życie wystawne i wygodne, ale umiejący spokojnie znosić niedostatek. W zamysłach i przedsięwzięciach śmiały aż do zuchwałości, stały i wytrwały aż do uporu, żadne przeszkody i zawady nie zdawały mu się niepodobne do pokonania, bo w swej żywej głowie znajdował naraz rozliczne środki do uniknienia ich albo zwyciężenia — i dla tego, gdy raz plan ułożył i wykonywać go zaczął, wszystkie trudności były tylko popisem dla jego głowy, ale nie osłabieniem przedsięwzięcia. Przy bystrem pojęciu, przy łatwości dziwnej w mówieniu i pisaniu, miał pracowitość wielką i niezmordowaną, a w przeciwnościach cierpliwość i wytrwałość stoiczną. Naukę i wszelki talent w drugich kochał, uwielbiał i poważał. W tem czego się nie uczył i czego nie rozumiał dobrze, nie knuł zdań i urojeń, ale pilnie badał tych, których biegłości ufał, a schwytywszy zasadowe po-

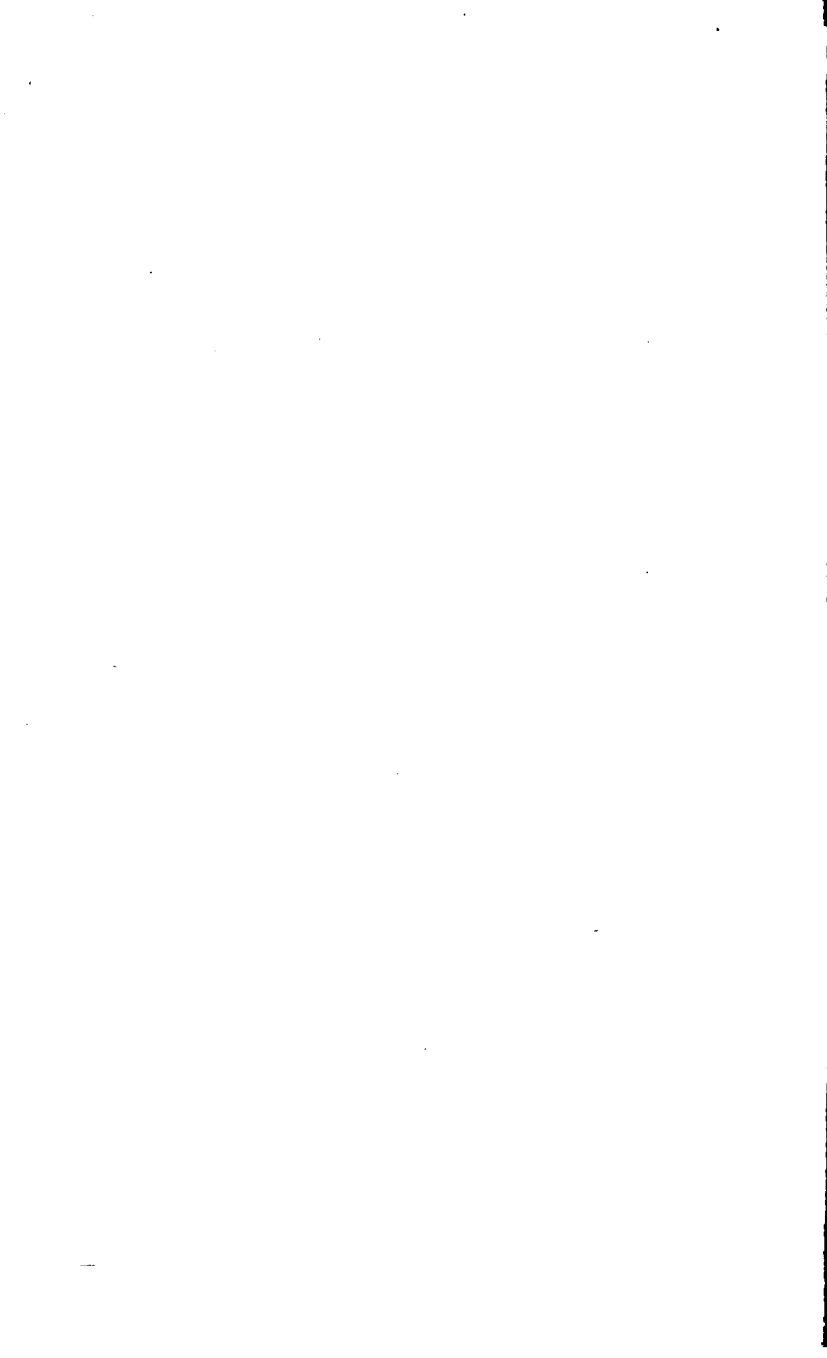
jęcia i myśl, umiał je dobrze w swej głowie rozwinąć, przez co stworzył sobie czysty i ogólny pogląd na nauki i trafny o nich rozsądek. Lubił się radzić, przyjaciółom swoim rzeczy świadomym pisma swoje czytać, za nim je w świat puścił. Każdą poprawę trafiającą do jego przekonania chętnie przyjmował i do niej się stósował. W prawie kościelnem, w dziejach powszechnych i krajowych miał wiadomości rozległe i gruntowne. Piękne sztuki, mianowicie budownictwo i malarstwo, lubił aż do zapału, to też wiele artystów wspomagał i popierał. Posiadał znaczny i szacowny zbiór obrazów, który w zaburzeniach krajowych utracił. Wybudował z gruntu nie wielki ale bardzo gruntowny z kamienia ciosowego kościół w Krzyżanowicach, z kolumnami porządku doryckiego, a w nim były trzy pięknej prostoty ołtarze z obrazami wielkimi: Stworzenia, Odkupienia i uwielbienia człowieka, w których się pędzel Smuglewicza najstaranniej popisał. Dla miłości budownictwa często narzekał, iż nie posiada dostatków, aby mógł wspaniałemi budowlami kraj zdobić, wygodę, porządek i gust dobry szczeplić.

— Mąż przymiotów i mocy takiej mógł zaiste szczęśliwie przywodzić i okryć się chwałą na spokojnem polu nauki i rozmyślania; ale wystąpiwszy na scenę, gdzie wszystkie wysilenia rozumu i serca rozbijały się o przeciwne żywioły, musiał się spotkać z wyrokiem twardego przeznaczenia, skazującego go na pastwę zemsty i zawziętości. Opinia światowa jest jak owa bajeczna u poetów Circe, która swoich zwolenników potępia i wynosi, według tego jak im co się nie uda, albo dopną swego. Kto się puszcza na morze takich niebezpieczeństw, oddaje się [tej nieuchronnej wypadków kolei. Nie jest moją rzeczą ani zamiarem śledzić Kollątaja czynności i wystawiać go w tym burzliwym i ślizkim zawodzie. Kiedy w głębszej wypadków odległości umilkną namiętności, skonają uprzedzenia, utracą wiarę kłamstwa; kiedy naród rozmyślając nad srogiemi dla siebie ciosami, poznawać zacznie przyjaciół, nie w tych co mu zchlebiali, co taili lub głaskali jego narowy, ale w tych co mu śmiało i szczerze wytykali jego błędy i przewinienia, wtenczas świadomsze rzeczy usta dojrzałym i surowym rozsądkiem oddając wypadki i zawody, winy i zasługi, szkody i korzyści, naznaczą Kollątajowi właściwe miejsce i ocenią jego rzetelną wartość. —

Skończył p. Jan Śniadecki i powstał ze swego miejsca, i wnet szmer wielki podniósł się w zgromadzeniu, jak zwyczajnie po żywym i rzewnym wzruszeniu. Referendarz W. Litewski chwycił dłoń mówcy i czule ją uściskał; i naraz wysunęła się postać z tłumu, on znany «głos od środka» i stanąwszy przed mówcą: — Mistrzu! rzecze, nawróciłeś niewiernego Tomasza! — A z łez, które pod powieką się lśniły, widzieć było, iż nawrócenie szczere i czyste.

— Co słyszeli spisali i do tej książki wpisali.

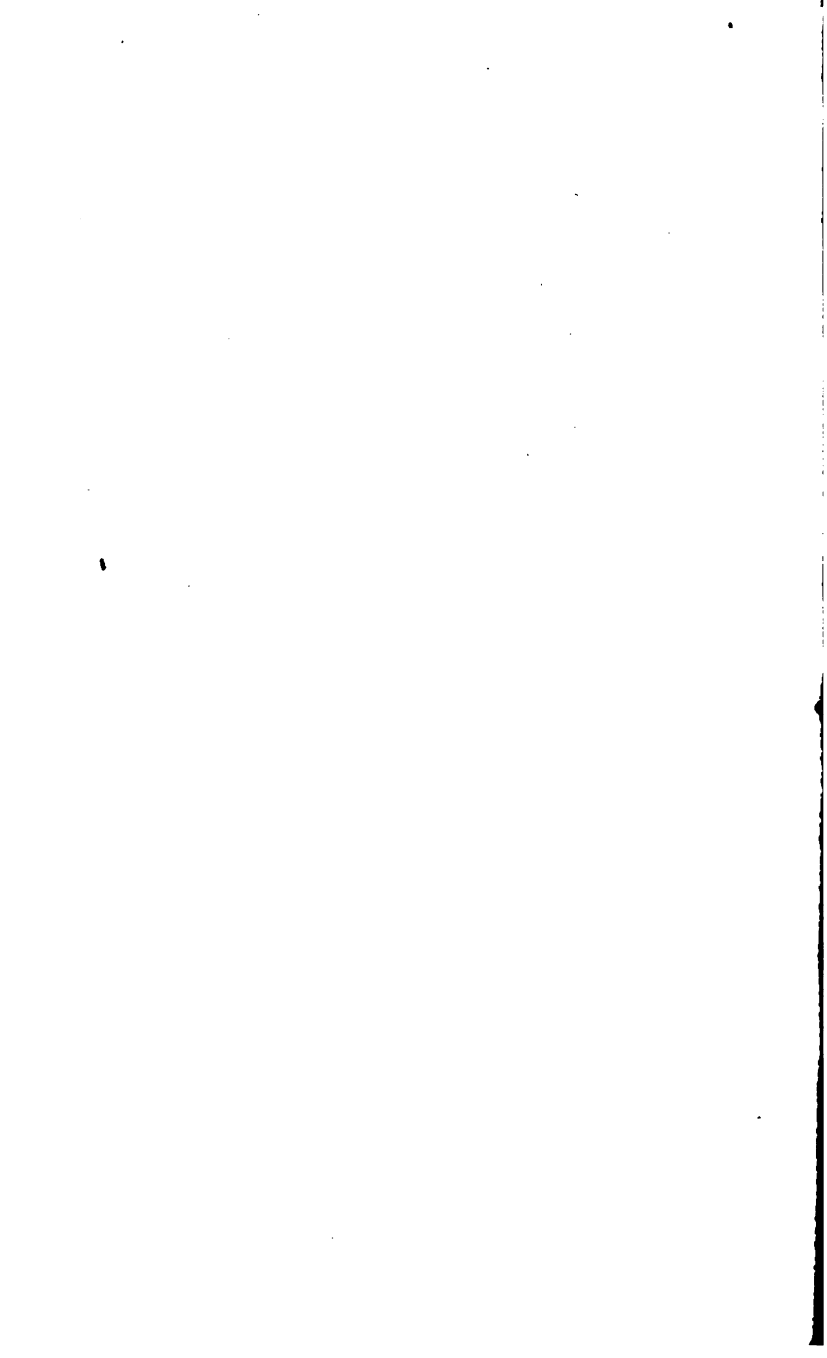
»MARCIN z CIEPLINA
i
RAJNOLD z SUCHODOLA.»



WIECZÓR PIĄTY.

SZKOŁY PUBLICZNE WYŻSZE.

CZĘŚĆ I.



WIECZÓR PIĄTY.

SZKOŁY PUBLICZNE WYŻSZE.

CZĘŚĆ I.

Czem są pokolenia w obec narodów? — Wychowanie publiczne w Polsce w pierwszej ćwiartce wieku 19^{go}. — Wyjazd z domu rodzicielskiego do Uniwersytetu Warszawskiego i przejazd przez granicę. — Szlachcic Hołoha. — Lublin i pamiątki Lubelskie.

«Bądźcie zdrowi jeszcze raz,
Raz ostatni, — chwilka, dwie,
A nie ujrzę więcej was,
I wy nie ujrzyście mnie.»

MAURYCY GOŚLAWSKI.

«Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy,
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić,
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladyłych twarzy, ku słońcu odwrócić,
I ścigać okiem — światła, obrazy i cienie,
Jak lśniące rozprysniętych mozajek kamienie.»

JULIUSZ SŁOWACKI.

Jeżeliby kto okiem rozwagi ścisłej, rzetelnej i że tak wyrazić się można, okiem rozwagi na seryo, oglądał cztery, trzy, a chociażby dwa tylko pokolenia następne, ten zauważał pewnie, że każde z tych pokoleń miało swoje znamię oddzielne, czyli swój typ właściwy a który, jeżeli nie był pochwycony w swym czasie, tedy wraz z swem pokoleniem w przeszłość zapadał i przepadał.

Gdzież jest dziś zaiste ów typ lechowy, bolesławski wojujący,

podbijający, co bił słupy na wschód i zachód? Gdzie on typ piastowy kazimierzoski-lemieszowski, rządny i budujący, co stanowił prawa wiślickie i drewnianą Polskę w murowaną przemieniał? Gdzie ten wiecznie z mieczem ale też z krzyżem w dłoni — jagielloński i Zygmunowski — chrzczący, oświecający, łączący, a zarazem dziarski, mężny i dzielny? Gdzie on zagórski i zamorski co acz obcy, miał jednakże w potrzebie głowę, i ramię do rady i obrony jeżeli nie królewskie: Batorych to obywatelskie: Tarnowskich, Sieniawskich, Żółkiewskich, Zamojskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich; co brak w górze umiał zastępywać nabytkiem z doła? Gdzie ten wreszcie hulaszczy, marnotrawny, podjazdowy i zajezdny? albo ten już upadły, nędzny, biedny, ubogi; zaściankowy i chodackowy co jednakże o głodzie i chłodzie, nago i boso szukał swoich progów po progach cudzych, służył hogom cudzym dla swoich bogów a i ten jeszcze późniejszy i ten już nasz ostatni? —

Niknąż typy za typami w mgłę wieków; lecz dla tego właśnie że nikną i że zniknąć mogą na zawsze, trzeba nam je chwycić, rysować, przechowywać, bo nikną też wozy za wozami na stepie ukraińskim a co by się stało z czumakiem gdyby mu zabrakło na stepie czumaka, co by mu umiał odpowiedzieć na pytanie: «a którądy droga do Krymu?» —

Otóż czem jest czumak dla czumaka na stepie ukraińskim, tem są wzajem dla siebie pokolenia w dziejach narodów. Pacholę w domu codziennym pod strażą ojca i opieką matki rosnące; student w szkole na młodzieńca dorastający, to dwie pierwsze chwile żywota ścisłe z całym jego dalszym ciągiem związane. Ale oto pacholę przeszło już w sferę wyższą, urosło na młodzieńca; student ze szkoły ma postąpić do Akademii, — ma być akademikiem. A wart znajomości ten Akademik jakkolwiek on był i jakkolwiek się nazywał: warszawski, wileński, krakowski, lwowski, wrocławski, królewiecki, albo jeszcze inaczej, a każdy z nich miał typ swój osobliwy i własny. Jako zaś malarz nie odda wiernie swego przedmiotu, jeżeli widzieć i malować będzie tylko jego zewnętrzną, powłokę, skorupę, pochwę a jego wnętrza jego myśli, czucia, duszy i ducha widzieć i malować nie będzie, tak podobnie i pisarz, jeżeli ma być wiernym malarzem typu, który sobie obrał za przedmiot do opisu,

musi go poznać zewnątrz i wewnątrz być z nim wszędzie i wszystko co on widzi z nim widzieć i jak on widzieć, — i otoż przyczyna dla czego chcąc poznać akademika z onych czasów, trzeba nam iść z nim, trop w trop po całej drodze jego od chwili gdy ze studenta na akademika przechodząc: *Gustavus obiit, — et natus est Conradus.*

Wychowanie publiczne w Polsce było w początkach wieku XIX bardzo rozmaite, a to według tego jak która część Polski była pod panowaniem rosyjskiem, austryackiem lub pruskiem, albo używała jeszcze pewnej niepodległości. Królestwo polskie czyli tak zwana korona, miała swój Uniwersytet w Warszawie, Litwa ze Żmudzią, Wołyniem, Podolem i Ukrainą czyli kraje zabrane w Wilnie; Galicja ze Spiżem i Bukowiną we Lwowie. Wolne miasto kraków w Krakowie; Szląsk w Wrocławiu; Prussy wschodnie w Królewcu; same tylko wielkie Księstwo Poznańskie nie miało własnego Uniwersytetu, zkad przeto młodzież musiała na nauki wyższe ciągnąć do Wrocławia i do Królewca albo do Berlina i dalej jeszcze w głąb Niemiec do Hali, Hejdelbergu, Lipska, Altony lub Hamburga. Do Włoch, do Rzymu, Padwy, Florencyi jak to dawniej było w zwyczaju a nawet do Francyi, do Paryża i do Lyonu, jeżeli kto jechał jeszcze w tym celu, to już była na całą Polskę nowina nadzwyczajna. Młodzież z Litwy i ze wszystkich krajów zabranych, udawała się pospolicie do Wilna; — za Wilnem więc oczywiście i moje serce tęskniło, bo tam znalazłbym się od razu w gronie licznych dawniejszych i późniejszych współuczniów i sąsiadów, ale mój ojciec inaczej rozporządził i przeznaczył dla mnie Warszawę. Stało to się za radą rodzeństwa mojej matki, która sama będąc z korony, miała w niej swoich krewnych a których wpływy, stosunki, i opieka nademną miały być rękojmią mojej przyszłości. Tak więc los zaraz o samym brzasku rozwijającego się świata mojego stawał mi jakby przekorem, bo kiedy wszystkie życzenia moje były za Wilnem, los pchał mnie do Warszawy, i kiedy wszystkie moje upodobania były od dzieciństwa do roli i gospodarstwa wiejskiego, los mnie rzucał w otchłań świata wielkiego do stolicy, do miasta największego i na całą Polskę najhuczniejszego, i wieśniaka z przyrodzonych skłonności na obywatela świata kierował. Dla wielu innych mogłoby to być

największem szczęściem i najpożądańszą pociechą ale ja com się nie spodziewał znaleźć w Warszawie ani jednego serca przyjaźnie bijącego, ani jednej twarzy znajomej, wybierałem się do niej z niechęcią i odrazą, z bolem i łzami nawet. Dostrzegł to mój ojciec, więc pewnego poranku przywoławszy mię do siebie, w te słowa się odezwał:

Wiem, mój synu, że wolałbyś Wilno aniżeli Warszawę; ale Wilno dostarczyłoby ci tylko trochę więcej na razie przyjemności, wgronie spółtowarzyszów szkoły i domu, kiedy Warszawa zapewnia ci chleb na życie całe, do śmierci. Wiem, że lubisz wioskę i gospodarstwo, ale gospodarstwo to kłopotarstwo a wioskę aby gospodarzyć na niej wprzód mieć potrzeba; ja je nie mam dla ciebie, bo ta na której się kłopotczę zaledwo na utrzymanie nasze i na wychowanie nas, dzieci naszych wystarcza. Dzieci na wszystko patrzą ale nie wszystko widzą a przynajmniej nie wszystko widzą prawdziwie; dla nich pieniądz większy, srebrny a cóż dopiero złoty w ręku ojca lub matki od czasu do czasu połyskujący to skarb niezliczony i nieprzebrany; dla nich kilka lub kilkanaście chałub pańszczyźnianych, to dostatek, bogactwo, to królestwo boże na ziemi, bo dzieci nie wiedzą jeszcze, że ten srebrnik czy złotnik ciężką pracą rąk ludzkich i ziemi wygrzebany nie na same tylko przeznaczonej łakocie, bo dzieci nie dowiedziały się jeszcze, że te kilka chałup tam po za dworem gnijących, gniją w błocie z krwi potu i łez ludzkich. Dowiedźże się synu od dnia dzisiejszego, że twój ojciec nie tylko nie jest bogaczem ale jutro do szczytu zruinowanym być może. Pamiętasz ów nieszczęsny ogień co w godzinę zniszczył wszystkie pobudynki dworskie a które oto podnieść ojcu twemu tak trudno; jeszczeż jedno podobne dopuszczenie boże a już twój ojciec z popiołów nie podniesie się pewnie. Nauka zatem mój synu, oto wioska najlepsza i rola najplodniejsza! a jeżeli cię na naukę za radą krewnych i pod ich opieką wysyłam, to dla tego właśnie że czego może jutro ja względem ciebie dopełnić bym nie zdołał, to oni mnie w tem wyręczą. Bądźże raczej wdzięcznej i dobrej myśli; niech się odtąd nie widzą zasmuconym i zapłakanym; staraj się owszem osłodzić nam i sobie chwile rozdziału, zwłaszcza że ja cię odwieść nie mogę, — odwiezie cię matka; bądź że jej w drodze pomocą, wysługą

pociechą; bądź wesół, niech lży twoje tą razą wcale nie przydatne i twojemu wiekowi już nie bardzo właściwe oczy matki nie rażą i serca jej nie ranią. Onaby płakała z tobą pospołu a już czas aby wreszcie odpoczęła po płaczu.—»

To rzekłszy powstał z miejsca mój ojciec, postąpił ku mnie, pocałował w głowę i wyszedł. Co się zemną działo w tej chwili nie zdołałbym wypowiedzieć ani opisać; stałem jak przykuty do ziemi z wzrokiem wlepionym w miejsce na którem siedział mój ojciec; zdało mi się, że ciągle słyszę głos jego, wtem weszła matka; rzuciłem się w jej objęcia, i niestety! raz jeszcze poszła w las ojca nauka, bo zalałem się łzami; lecz po chwili wstrząsnąłem się cały, jak żebym tem wstrząśnięciem się nagłem chciał z łez raz na zawsze się otrząść i otarłszy z nich oczy, uspokoiłem się wewnątrznie z mocnem postanowieniem, by przynajmniej z tego powodu były to lży ostatnie.

Jakim balsamem jest głos ojca dla syna w dobrej chwili z serca ojcowskiego do serca synowskiego płynący, przekonałem się wtenczas po raz pierwszy, lecz tą razą na zawsze. Jak gdyby laską czarodziejską dotknięty poczułem się cały przerodzony i przeniesiony; lżej mi było w sercu, w głowie, w całym mojem jestestwie. Z ponurego i stroskanego naraz stałem się rzeźwy i spokojny, ze smutnego wesóły i stałem się takim z przyjemnością i szczerze. Szczęśliwa była ztąd matka, zadowolonym ojciec, ucieszone całe rodzeństwo a że za dni kilka mieliśmy ruszyć w drogę, więc to z ojcem to z matką objeżdżałem z pożegnaniem sąsiedztwa; wszędzie z temi przyjmowany wykrzyknikami: «Ślicznie, pięknie, pięknie, — pozna świat wielki, wejdzie w świat wielki, a świat wielki to szkoła wielka; byle zechciał, będzie wielkim człowiekiem! — Tak mówili ojcowie i poważne matrony a zaś płocze dziewczęta myślały lub szeptały sobie na ucho: «będzie warszawiakiem!!!» a co w obec owoczesnego areopagu płci pięknej było zaleceniem nad zalecenia w świat zalotny mającego kiedyś wstąpić młodzieńca.

Tożto dopiero były rozrzewnienia, gdy nadszedł dzień odjazdu. Matka, chociaż mię odwoziła, zanosila się od płaczu i zanosily się także od płaczu wszystkie kobiety obecne, nawet mężczyźni; aż mój ojciec zniecierpliwiony choć po równi roztkliwiony z innymi pewnie: — Dosyć tego!

zawołał, ja was odprowadzę parę mil. — Siadać! — Wsiedliśmy. — Ruszaj! i potoczyliśmy się szybko; wszyscy zadumani, milczący; tylko koła warczały, parskały konie, trzaskał z bata woźnica; aż gdy ostatni zagon rodzinny i przy nim usypany ostatni kopiec rodzinny mignął przed oczami mojemu «czy też wróce tu kiedy!! zawołałem pomimowolnie. O Boże! czy też wróci tu kiedy? — zawołała matka; i znowu nastąpiła cisza, tylko koła warczały, parskały konie, trzaskał z bata woźnica i toczyliśmy się szybko, szybciej jeszcze coraz dalej a dalej — oh! nie myślałem wtenczas, że jadę tak daleko. —

Czuję to i pojmuję, że dla ludzi czasów dzisiejszych, że dla terażniejszego pokolenia naszego te one staroczesne tkliwości dziwnymi, nawet śmiesznymi i nienaturalnymi wydawać się mogą, lecz że za onych naszych czasów ani dziwnymi ani śmiesznymi ani sztucznymi nie były, wypowie to za mnie lepiej kto inny, — ja idę dalej.

Przez błota, bagna, brody, groble, piaski, kamienie i puszcze jechaliśmy drogami najgorszymi i często bez dróg prawie ku granicy do Brześcia Litewskiego. Przejazd z Brześcia do Terepola przez granicę i za granicę był dla mnie niewidzianą, ledwie dotąd zasłyszaną nowością. Inne znaki, godła barwy; inny lud, inna mowa, inne stroje, zwyczaje, obyczaje, zdało mi się inne czystsze, lżejsze, świeższe powietrze, inna cała ziemia i całe niebo i nie było to przywidzenie ani złudzenie zmysłów. Droga bita po której jak po toku po raz pierwszy jak wyszedł z rąk stwórcy swojego toczył się z zadziwieniem ręczo nasz powóz, konie rzezko kroczące i jak gdyby parszające z radości że w błocie ani w piasku po kolana nie brodzą, jasne białe czerwone słupy i poręcze przydrożne, łąki i lasy zieleniejsze i lepiej utrzymane, pola lepiej uprawne, dwory okazalsze, wsie porządniejsze, karczmy i zajazdy schludniejsze, miasta i miasteczka murowane i brukowane, kościoły wspanialsze, wieże wynioslejsze, lud wreszcie w ogólności żywszy, śmielszy, weselszy, swobodniejszy, śpiewający, skaczący — wszystko to razem i na raz przez oczy wpadające do duszy musiało oczywiście rozbudzać mniej odpowiednie do zewnętrzności uczucia, wzruszenia i marzenia.

Według skazówki przepisanej przez ojca nie jechaliśmy

głównym gościncem wprost do Warszawy ale uboczami na Lublin i Lubelskie.

Lublin położony w lekko już górzystej i licznymi łąkami i gajami umajonej okolicy, mile przedstawia się oku. Poważne przytem wieże kościelne, poczerńiałe od starości mury a nadewszystko obudzone tym ich widokiem a przywiązane o nich wspomnienia wprawiają podróżnego w ponure zapewne, ale poważne zadumanie. Zauważałem, że woźnica nasz, także że konie nawet niezwykłemu zdawały się podledz wrażeniu, bo woźnica w brew swemu zwyczajowi był milczący, z bata nie trzaskał i na konie nie hukał, które też z swojej strony im bardzie zbliżaliśmy się ku miastu, tem one wolniej kroczyły.

Było to nad wieczorem, słońce jak gdyby samo utrudzone swym dziennym skwarem zsuwało się powoli po za mury i wieże grodu i okrywając je krwawem światłem, tem więcej im dodawało uroku. Milczeliśmy i dumaliśmy wszyscy z wzrokiem wlepionym w widok coraz bliżej a jednak coraz ciemniej rozwijający się przed nami, nie zważając prawie na spotykających i wymijających nas pieszych i jezdnych wędrowców, gdy w tem naraz wyrwał nas z zadumania jakiś wąsaty jegomość, lat około sześćdziesiąt w seledynowej z czarnym barankiem czworo-grańce, w seledynowej z czarnymi pętlcami i sznurami kapocie, w seledynowych w palone buty spodniach, z lewym rękawem od kapoty zarzuconym na wylot, bo miał lewą rękę odciętą, kiedy prawą u której wisiała na rzemyku trzcina pękata, ujął się zrębu powozu i jak z procy takie słowa zaczął sypać nam na uszy:

«Szczęść Boże! Niech będzie pochwalony! Oj z dalekaż Państwo, z daleka! Widzę to po uprzęży! Może z Litwy, może z Wołynia, oh Boże z Ukrainy może! Zwę się Marcin Hołota, lecz nie jestem hołota! Bóg i Lublin w tem światkiem! Szlachcic z dziada pradziada. A bywało się różnie, na wozie i pod wozem! Lewa ręka została mocium panie, pod Maciejowicami, ale serce jest w piersi. Państwo zdrożone pewnie potrzebuje noclegu! mogę im go nastreczyć, a wygodny, chędogi i niedrogi, a szlacheczki, polski i katolicki! Jeżeli wiara i wola jakem szlachcic Hołota, nie dam państwa w ręce tej żydowskiej hołoty! Czy przysiąść na koźle!

— Proszę bardzo! rzekła moja matka.

— Niech Pan siada, dodał woźnica usuwając i robiąc miejsca na koźle; boć co prawda to zawsze lepiej u swego jak u żyda:

— Święcie święcie zawsze człeku lepiej i Bogu milej! przytwierdził pan Hołota, drapiąc się na koziół, a na który skoro się dostał, podniósł trzcinę do góry i dziarsko nią wywinąwszy w powietrzu: A teraz pospieszajmy panie powoźny, rzekł, bo mroczyć się zaczyna a jużto do uczciwej gospody jak do domu własnego, zawsze lepiej wcześniej niż później. A muszę też moje państwo uprzedzić, że w tem mojem po gościńcach natręctwie nie mam nic na widoku osobistego. Gdyby kto się prosił, naprosił i rozprosił, nie przyjąłbym jak dotąd nie przyjąłem od nikogo i nigdy złamanego szeląga. Dosyć mam nagrody w sumieniu, kiedy mi się uda ocalić jaką duszę chrześcijańską przed tem zdzierstwem żydowskiem. Oj! lubią mię za to lubią żydziska; ale nie tej ich nienawiści pewnie do zbawienia duszy potrzeba; kto żydem, ten z djablem, kto naprzeciw żydowi z tym Bóg! Pracuję na kawałek chleba uczciwie i jest też mała pensyjka za ten prózny rękaw z pod Maciejowic, więc póki zdrowie i nogi, biegnę na gościniec jeden drugi lub czwarty; szczęśliwy aż szalony z radości, jeśli braciom szlachcie usłużę a żydostwu wydrę ofiarę. Ale otóż rogatka! przystań, panie powoźny! tak chce prawo! Nic nie ma panowie rogatnicy! To podrózne państwo z daleka i w przejeździe tylko! Nic nie ma do spłaty, jakem szlachcie Hołota! Teraz naprzód, panie powoźny, prosto, samym środkiem przez te brudy żydowskie! A proszę rzucić okiem tylko na lewo i na prawo! Karczma przy karczmie a jedna plugawsza i brudniejsza od drugiej, a w każdej z nich obdartoby moje państwo z nitki ostatniej i za co, za główkę zgniłej cebuli lub ząbek czosnku smrodnego. Zmykaj co tchu z tego piekła, panie powoźny! Tak, tak, dobrze, ostro prosto! Otóż i krakowskie przedmieście i nie prawdaż że już zaraz inaczej! Teraz w lewo, w bramę, w tę bramę prościuteńko! Tpruu! Stać. Tylko skoczę bramę otworzyć!

I skoczył równosieńko na obie nogi jak wyrostek dwudziestoletni i wesoło świsnął pałką w powietrzu a po nad głowę i po nad czworogrądką seledynową mignął rękaw seledynowy, rzekłbyś chorągiewka wierna proporcowi swojemu.

Ledwie pan Hołota zniknął w furtce przy bramie, gdy wnet jakby z pod ziemi oskoczyło nas dookoła żydostwo różnego wieku i płci wrzeszcząc przeraźliwie ze wszystkich stron:

A nie trzeba sukna dla panicza na surdut, trykociku na majtki, piki na kamizelkę, kołnierzyków, chustek, halsztuchów wszystko zaraz darmo przynieście!!!! —

Trzeba weby dla jejmość pani, płótna, perkalu, muslinu tiulu, materyi, atłasu, aksamitu; wszystko przednie za bezcen!!!

— Trzeba wstążek, tasiemków, nici, jedwabiu, szpilek, igłów, nożyczków!!!

— Trzeba cukru, herbaty, kawy, korzeniów, migdałów, ródzenków, figów, daktyłów!!!

— Jaśnie pani każe przynieść migdałki, pomady, perfumów, wódki kolońskiej, szyldkretowe grzebienie!!!

W tem brama się rozwarła a w niej roztworzu błysła seledynowa i równocześnie rozległ się głos grzmotliwy.

A tuś mi już żydowska hołota! precz hołoto! jest tu szlachcic Hołota! i jak gwiźnie pałą w sam środek tłuszczy aż moja matka z przerażenia krzyknęła i rękami oba oczy zakryła.

Szczęściem tłum się rozsunał jak przecięty na poły i dalejże w nogi w lewo i w prawo, tylko żydziak jeden na czas nie uspieszwszy zemknąć, smyk pod powóz a straszliwe cięcie pana Hołoty zamiast w żydziaka padło na kurę, którą żydziak z pod powozu wypłoszył a którą zaraz pan Hołota pozywając w swą rękę i rzucając w roztwartą bramę w dziedziniec: hej! Marynku! krzyknie, dorznąc mi ją w żywo! Państwo jedzie z daleka i posilić się zechce! Jest kura na pieczyście, a powinna być krucha tylko dorznąć mi ją tam zaraz! a teraz prosto w bramę miły panie powoźny prosto, prosto, stać! Tpru! W imię ojca i syna i odetchnął szeroko i przeciągle jak zwyczajnie po wzruszeniu i zmordowaniu wielkiem; a potem otwierając drzwiczki powozu: Oto jest rzecz, pan gospodarz — rzetelny i sumienny gospodarz a oto jego małżonka rzeska i wysłużna gosposia. Niechże teraz państwo raczy na górę; tędy tutaj za mną, temi schodami powoli ostróżnie, jeden stopień trochę niepewny, otóż jesteśmy numer trzeci, a trzy liczba zawsze błogosławiona? Bóg jest w trójcy świętej jedyny! Chrystus pan dnia trzeciego

zmartwychstał! Omne trinum perfectum! Biegnę rzeczy poznosić.

Teraz to dopiero poczęło się znoszenie pak, paczek, paczuszek; torb, torebek, torbeczek; garnków, garnuszków, garnuszczków i rądelków tygułków, imbryczków; skrzynek, kantyn, waliz, tłumoków, że istotnie chociaż się to na każdym prawie popasie i na każdym noclegu powstarzało, raz jeszcze osłupiałem nie tak z zadziwienia: po co tyle rupieci w świat z sobą ciągnąć, aniżeli jako i gdzie to wszystko w jednym powozie pomieścić się mogło.

Co do naszej gospody istotnie zaraz na wstępnem przekonaliśmy się, że nie były z wiatru słowa pana Hołoty. Gospodarstwo rozmówne i uprzejme, czeladź wysłużna i zwinna, izby obszerne i chędogie, sprzęty porządne i wygodne, woda świeża i czysta, piwo dobrze, rosoł wyborny, kura doskonale upieczona a nadewszystko krucha.

Strudzono matka moja wcześniej udała się na spoczynek, ja ciekawością wiedziony wyszedłem na ulicę i tuż przy drzwiach dostrzegłem siedzącego pana Hołotę.

— A to pan jeszcze nie śpi?

— Nie! odpowiedziałem i na sen wcale mi się nie zbiera; wolałbym przejść się trochę po mieście, szkoda tylko, że ciemno.

— Szkoda, szkoda że ciemno, tak pan mówisz a ja mówię, wcale nieszkoda; i to owszem dobrze że moda latarek nie przywędrowała jeszcze do naszego poczciwego Lublina. Oj! wie pan Bóg co robi, i żeby w nocy potrzeba było światła, toby pewnie, toby pewnie w nocy kazał słońcu jak wednie świecić. Ja nawet myślę, że ten księżyc, i te tam gwiazdy to tylko iskrzą na dowód opatrności i miłosierdzia bożego, aby jeźli podróżny jaki w drodze się zapóźni, lub pijak się zabłąka, mógł przecię wrócić do domu. Lepiejże stokroć lepiej byłoby, żeby człowiek szedł za wolą Boga a z nocy dnia nie robił. Łakomstwo ludzkie to hydra mociumpanie, nienasycona, dajno człeku dzień w nocy a zobaczymy czy te biedne pańszczyźniaki nie będą po całych nocach musiały pracować, jak dziś po całych dniach pracują. A i te panie drogi złodziejstwa, rabunki, rozboje i zabójstwa nocne po drogach czyby praktykować się mogły, gdyby człowiek

żył po woli Boga i spał w nocy zamiast jak on Marek po piekle tłuc się gdzieś tam po drogach. Miły Boże! bywało się na wielkim świecie i po wielkich miastach. Oj! tamże to rozpu-
sty i zgorzenia nocnego. W dzień śpią, bo przy świetle słonecznem trudniej by im było broić bezwstydnie a bezkarnie; ależ za to kiedy noc padnie, a płaszczem swych ciemności przy-
kryje ich ciemności, też to tam Sodoma i Gomora. Wszakże jeżeli memu Panu na sen zebrać się nie chce, możemy przejść się trochę; nie żeby co zobaczyć, broń Boże! bo i ciemno i po dniu lepszy czas będzie, ale żeby po skwarze dziennym użyć wieczornego chłodu. Żeby tylko pan Bóg chciał dać jutro pogodę, bo jakoś słońce zachodziło dziś krwawo.

I poszliśmy ulicą w miasto, ja choć po ciemku ciekawym wzrokiem szukałem dookoła, kiedy pan Hołota nócił sobie półgłosem:

«Słońce zaszło dziś krwawo,
Pewnież jutro bój będzie,
A więc w lewo i w prawo
Wódz nasz czuwa sam wszędzie. —»

Stara piosnka, lecz piękna. Czy pan zna tę piosenkę? Skomponował ją pan Julijan Ursyn, co był adjutantem przy panu Tadeuszu a skomponował ją w samą wiliję bitwy pod Maciejowicami. Słońce tedy tego wieczora zachodziło krwawo jak dzisiaj, i też nazajutrz krwawa była rozprawa. Kochany nasz naczelnik istnie cudem tylko został przy życiu. Zdaje mi się, że widzę go dziś jeszcze leżącego na ziemi i przytłoczonego zakłutym pod nim koniem; krew z ran jego lała się strumieniami, cierpiał srodze; ale to mociumpanie nie prawda, ażeby z bolu miał tam wyrzec jakie słowa rozpaczne.

Ale otóż i nasz plac stary. Czy widzi pan tę kolumnę, het w cieniu? A te wieże na niebie? A ten kościół naprzeciw? A te stare tam murowiska? — pamiątkiż to pamiątki! jutro, po dniu da Bóg pogodę, a zdrowie, wszystko pokażę i opowiem; teraz wracajmy do gospody; biedna jejmość może się tam troszczy o synka, a myśli: gdzie go też poprowadził Hołota? Nic w tem! Szlachcic Hołota prędzej by sobie dał drugą rękę uciąć jak żeby na zgorzenie jakie wyciągnął kiedy młodzieńca.

Jednak jeszcze widzieć świeci się u jejmości. Dobranoc! szczęśliwej nocy! żeby tylko dał Bóg jutro pogodę! — I podarł się p. Hołota na wyższe piętro nucąc sobie półgłosem:

«Słońce zaszło dziś krwawo! —»

Nie były płonne obawy p. Hołoty; około północy zerwał się wiatr z deszczem ulewnym; ale nad ranem wypogodziło się znowu słońce, rzeźwo świeciło a p. Hołota zetknąwszy się ze mną na schodach:

— Bóg łaskaw rzeze, wiatr jakby naumyślnie z kurzu dachy i mury omiółł, deszcz ulice i przecieki wypłukał, cały Lublin czyściutenki, jakby się na wesele lub wielkanoc wystroił; a okolice, a ogrody a gaje, łąki, zboża, drzewa, krzewy, kwiaty i trawki aż się śmieją z radości. Jeżeli ochota to pójdziemy obejrzeć Lublin a jest panie co widzieć.

Wszakże dnia tego z powodu nieuniknionych odwiedzin nie podobną była wszelka inna wycieczka; lecz nazajutrz zaraz od rana, poszedłem do p. Hołoty, żeby mu gotowość moją oświadczyć.

P. Hołota mieszkał pod samym strychem, nie jak to przez porównanie mawiać się zwykło ale istotnie z jaskółkami pod dachem, bo na zewnątrz okna jego izdebki widać było przynajmniej jaki tuzin popiętrzonych gniazdek jaskółczych. Samo okno zewnątrz i wewnątrz umajone było prząciami się i płaczącami się wzajem bluszczami, powojami, groszkami, nasturcyami, oraz mnóstwem mniejszych i większych doniczek i wazoników z różnem kwieciami; z różami, mirtami, rozmarynami, rezedami, a przytem okolone przynajmniej dziesiątkiem mniejszych i większych klatek z różnem ptastwem wesołem, skaczącem, szczebioczącem, śpiewającym: ze szczyglami, sikorkami, ziemkami, przepiórkami; że na widok tyła ptasząt i kwieciami raczejbyś wziął tę izdebkę za mieszkanie jakiej młodej szesnastoletniej dziewczyny aniżeli starego sześćdziesięcioletniego wojaka. Wnętrze izby również było miłe, wesołe i nad wszelkie wypowiedzenie czyste. Podłoga często śnać myta, potrząśnięta była świeżą jedlinką, której woń żywiczna dodawała świeżości i rzeźwości powietrzu. Na prost drzwi stała komodka biała

czerwonym dywanikiem przykryta a na niej w biało czerwonych dzbaneczkach znowu bukiety z świeżych i wonnych kwiatów, z pośród których widać było wizerunek Zbawiciela rozpiętego na krzyżu a zaś nad nim na ścianie w ramach złożonych cyfrę T. K. pięknie z włosów uwitą.

— Cyfra to, rzekł p. Hołota, widząc żem w nią wzrok mój jakoś wlepił, naszego naczelnika, pana Tadeusza Kościuszki, a cyfra z własnych jego włosów, własną moją ręką uciętych i własną moją ręką uwita. Opowiem jak to było; bo co prawda to nie grzech, a co nie grzech, to nie wstyd. Jużto od młodości była to moja słaba żyłka ciąć mociumpanie czupryny. Pan naczelnik lubił długie włosy, które sobie z chłopska na tył głowy zarzucał; lecz że jednak żadnego nadużycia nie lubił, bo co nadto to niezdrowo, powiadał; więc pewnego razu: — a niema tu kogo, zawołał, coby mi czuprynę chciał podciąć? — bo i to trzeba wiedzieć, że był z niego człowiek tak dziwnie skromny i przestający na małym, że nawet kucharza a cóż dopiero perukarza przy swoim sztabie nie miał. On ci prawda potrzebował kucharzy, ale nie tych co przy ogniu kuchennym pieką kapłony, lecz przy ogniu bojowym wrogów. Że tą razą jednakże chciał sobie podciąć czupryny, więc przyboczne wojski które już były nieraz tej przysługi z mojej strony doznały: — a jest tu, jest perukarz, zawołali z różnych stron, doskonały perukarz! Gdzie Hołota? Szukać Hołoty! Niech tu przyjdzie szlachcic Hołota! A ja też na to jak na lato, zaraz czwałem na obie nogi, i już tną, mociumpanie Naczelnikowi czuprynę jak sam kazał i jak pan Bóg przykazał; a tak chwacko i gracko żem jednego włoska nie uronił na ziemię, tylko je sobie wszystkie do kieszeni pakowałem. Dopieroż to było potem prośb i modleń: a daj mi! a dajże! i też nie jednemu i nie jednej się dało, ale przecież tyle sobie zostało żem z nich oto cyfrę tę uwił.

Tak było wprost odedrzwi; a zaś na prawo, naprzeciwno okna umajonego, popod ścianą niedzwiedzią skórą obitą, stało łóżko dębowe również skórą niedzwiedzią przykryte a przy którym na ziemi leżała także rozciągnięta skóra niedzwiedzia mniejszego nieco wymiaru.

Te trzy skóry, poczał znów p. Hołota, to też miłe sercu pałiatki; było to dnia 10 Października, roku pańskiego 1791.

akurat na trzy lata przed tą bitwą Maciejowicką; bo trzy jak powiadam to już moja liczba szczęśliwa lub fatalna ale zawsze feralna. Miałem ci jeszcze wtenczas obie ręce na swoim miejscu bo dzisiaj, mocium panie, jużbym się tak nie spisał.

Książę Józef, świeć panie nad jego duszą, właśnie był zjechał do puszczy Białowieskiej z licznym poczem panów myśliwych a w której ja podonczas byłem jednym z strażników. Zjechał zaś był dla polowania na żubry które bić miano na królewskie podarki dla jakichś tam gabinetów naturalnych: szwedzkich, duńskich, saskich, bawarskich i już niepomnę jakich. — «Mości strażny Hołota, rzekł do mnie pan nadstrażny, trzymać będziesz pocztę przy Księciu jegomości! Czyż w koło i uszy do góry! Waść rozumie co to ma znaczyć! a owoż ledwo nas rozwiedziono po stanowiskach, i pryżę swoją poczęły; aż tu mocium panie w miejscu żubra sadzi niedźwiedzisko w prost na księcia Józefa a za nim tuż w te tropy niedzwiedzica i niedzwiedziątko. Książę Józef trzask w tę kupę z dwururki ale chybił. Mnie się lepiej z mojej pojedynki udało, hom strzał cały włożył jegomości po pod samą lewą łopatkę. Ryknęło niedzwiedzisko na całą puszcę, ale się powaliło o ziemię. — Widząc to niedzwiedzica obces, mocium panie na księcia i już na tylne łapy się zrywa. Nie było czasu do nabicia ni do namysłu, więc wprost na nią z kordelasem z za pasa i jak dźgnę moją jejmość w sam środek piersi aż z okropnym rykiem przewaliła się także. Zagłupiałe niedzwiedziątko przycupło na dwóch łapkach, jakby do pacierza za ojczulka i matulę; a więc czasu nie tracąc, łap panicza lewą ręką za gardło a zaś prawą kordelasem pod serce, aż się także z duchem swym rozstał. Snaćże podobało się Bogu, aby wszystko troje jak je tutaj pan widzisz, razem mi ku wygodzie i ozdobie na stare lata służyło. —

Piękne były wszystkie trzy futra ale jużto najpiękniejsze na ścianie któremu pewnie jeszcze dodawały okrasy w pięknym porządku porozwieszane na niem bronie i przybory wojenne i myśliwskie.

I to także miłe sercu pamiątki, mówił znowu ciągnąc dalej swe opowiadanie Hołota. Ta tu pojedynka i ten kordelas to te właśnie sprawce śmierci tych tu trójga rozciągniętych niebożąt, — a zaś ta na prawo dwururka to ta sama, z której książę Józef

dnia onego spudłował a którą mi dając w podarunku: — «Weź ją Waśc rzeczce, na pamiątkę waścinego dzisiejszego opiekuństwa nademną; w rękę waści dowodniejszą ona będzie jak w mojem, a proszę też przyjąć w dodatku te sto czontych na złą dobę albo chorobę!» Wdzięczneż i hojne było to panisko; szkoda wielka, że tak wcześnie a niewdzięcznie zmarniało.

Teraz warto rzucić okiem na tę szabelkę, w tej tu pochwie paszczurczej. Dar to także rąk godnych mego chlewodawcy i naczelnika w puszczy białowiezkiej a dar dla mnie tem droższy, że dany w chwili, kiedym się na wojaczkę z wiedzą jego wybierał. Kto wie z kim bywała, i jakich tam cudów kiedyś dokazywała, lecz to pewna że nie dzisiejsza; może była z królem Janem pod Wiedniem, bo rok na niej właśnie o rok wcześniej — 1682. A jakie wizerunki piękne, jak dobrze pomyślane i wykonane! Z jednej strony nasz Zbawiciel na krzyżu i podpis Pro Deo! a z drugiej godła narodowe i podpis Pro Patria! A pewnie też i później pola nie zalegała, bo są na niej szcerby i rdzawe plamy wyraźnie nie z wilgoci na ścianie, a i ze mną z łaski Boga wędrowała także trochę po świecie.

Prawda miły panie że czas ucieka; leczbym sobie humor na cały dzień zeszkaradził, żebym jeszcze tej parki krótkostrzałów nie sprezentował: Historia ich taka. Mieszkał pod samą puszcza na kawałku dzierzawnym tak się zwący: Marek sierota, zawołany myśliwy i mój wielki przyjaciel. To też jeżeli sierota nie u Hołoty, to Hołota u sieroty na polowaniu. Ludzie powiadali żeśmy byli sobie podobni jak dwaj bracia rodzeni, — i być może żeśmy byli bracia rodzeni, — boć to pewna przynajmniej że ani on po ojcu nie powinien zwać się Sierotą ani ja też nie byłem i nie jestem Hołotą. Oba urodzeni na Ukrainie i o rok może wiekiem pomiędzy sobą różni; tyle tylko o rodzicach wiedzieliśmy naszych, że oboje padli pastwą rzezi humańskiej. On podonczas mógł mieć pół roku ja półtora najwięcej; jego uniósł z rzezi humańskiej jakiś miłosierny pasiecznik, i przez cały ten czas ciężki przechowywał w ulu, w pasiece przewzawszy go niewiem dla czego Markiem a Sierotą z sieroctwa po rodzicach; mnie zaś śmierci wydarła jakaś młynarka litośna a iż mię była dla zakrycia żem był dziecko szlacheckie obnażyła ze wszystkich sukienek i gołuteńskiego do domu swego przyniosła, więc mię

zaraz dzieci jej przewały: Hołotę! a młynarka wołała na mnie: Marcinku! na pamiątkę męża swego Marcina, po którym była owdowiałą od roku. To jest wszystko co sierota o swoich a Hołota o swoich powiedzieć mogli rodzicach; wszakże bardzo być może, iż serca nasze więcej o tem wiedziały i więcej powiadały sobie, bo istotnie zaraz od pierwszego spotkania się naszego uczuliśmy taki pociąg wzajemny że już odtąd kochaliśmy się jak dwaj bracia rodzeni; ba i lepiej czasem jak dwaj bracia rodzeni. Na wieść że się nasi gromadzą a było to w roku 1794 oba razem wyciągnęliśmy z puszczy; razem tedy 4^o kwietnia i 6^o Czerwca, i 10^o Października, który już niestety był dla niego sieroty na tej ziemi ostatnim a dla mnie ostatnim ze wszystkich dni moich na tym świecie wesołych i szczęśliwych. Jak ta parka tych krótkostrzałów ta jedyna po najlepszym przyjacielu i bodaj bracie moim, pamiątka, z rąk kozaczych do moich rąk się dostała, długoby to powiadać, dość że za nią dałem połowę tych stu czontych z daru Księcia Józefa, i wcale nie żałuję tego, bo jabym ich nie odstąpił nikomu za skarby świata całego. A też nie są trzeba powiedzieć i bez własnej wartości. Prawdziwe angielskie, londyńskie i do tego Segalasowskie; świadczy o tem dowodnie ten o to na nich drylowany srebrem napis:

«C'est bon! c'est bon!
Véritable Segalas London!
Fecit Bartosz Borówka
In Balabanówka.»

Ale ja się tu nad skarbami memi rozwodzę, a czas leci.

— Jeszcze chwilę jeżeli łaska, rzekłem. A toż srebro serce i te w okoł niego nieśmiertelniki?

— Oho! widzisz, widzisz młodego, rzekł p. Hołota z wyraźnem zadowoleniem z tej mojej ciekawości. Dobrze! dobrze! znać masz serce kiedy cię uderzyło serce. I to także sercu droga pamiątka bo w wnętrzu serca tego (i to mówiąc otworzył serce) złożony jest wianeczek niezapominajek własną jej ręką uszczknionych, jej rękami uwitych, jej włosami przeplecionych i łzami jej zroszonych; a który mi wraz z sercem, co tam było dla mnie w jej piersi oddała na rozstaniu. Umarła z żalu nieboga na wieść, zem zginął w boju. Wieść była fałszywa, lecz jej

miłość prawdziwa! To też pozostałem jej wierny i wszystko widzącemu Bogu wiadomo, że to była moja miłość pierwsza i ostatnia! I westchnął p. Hołota głęboko i łez kilka spłynęło po licu jego, z których jedna spadła na wianuszek na serca rozwarte a które też p. Hołota przymykając skwapliwie wraz z łzą swoją na zwykłym miejscu obok krótkostrzałów zawiesił.

A teraz już dosyć tej gawędy na prawdę. Czas bieży, czas ucieka! Śmierć goni wieczność czeka. I dalejże trzcinę do ręki, czworogranek na głowę i zesłiśmy szybko po schodach na ulicę.

Jest to rzeczą powszechnie znajomą i przyznaną, że przy świetle przyćmionem w cieniach mroku i nocy oglądane przedmioty wydają się większe, wznioślejsze, ogromniejsze, bo czego w nich jest za mało albo wcale w nich nie ma, to nasza wyobraźnia sama sobie dotwarza albo tworzy.

— Lublin, rzekłem, wydał mi się większy po nocy.

— O, był ci on jeszcze większy, — odrzekł p. Hołota za tej swojej nocy co ją zowią przeszłością; musiał nawet wtenczas być bardzo wielki kiedy taki akt wielki jakim było połączenie dwóch narodów: Polski i Litwy mógł w nim się odbyć; i musiały te dwa narody być wiekie, kiedy się na tak wielki czyn zdobyć a wspólnie a zgodnie przeprowadzić go mogły. Inne narody acz jednego plemienia szarpią się, krają, ćwiertują, drą, rwą i rozrywają; a tutaj dwa narody całkiem sobie pochodzeniem, wiarą nową, zwyczajami i obyczajami przeciwne zlewają się w jeden naród jednolity i jednomyślny węzłem wolności, równości i braterstwa związany. Niemcy dumne Niemcy co się mają za mędrszych od nas, odpuść ten grzech mi Panie, do dzisiaj podzieleni na jakieś tam, Halty, Anhalty; Burgi, Limburgi; Lichtensztajny i Szajny; a co wszystko do kupy zbite nie warte naszego jednego szlacheckiego zaścianka. A u nas? u nas? mościu panie już blisko temu lat 500, boć to było po raz pierwszy 1386 roku kiedy się Litwin poganin co się zwał Jagiełło, żenił z Polką a chrześcianką Jadwigą, nastaje połączenie dwóch oddzielnych i zawistnych długo narodów a które potem powtórzone i dopełnione r. 1569 na sejmie walnym w Lublinie przedstawia widowisko które wszystkie owoczesne podziwiałły narody, lecz którego żaden z nich ani podjąć ani pojąć niezdolny.

Właśnie oto jesteśmy na tym to wiekopomnym placu, który przetoż zwie się dotąd: litewskim. W miejscu gdzie ta czarna od starości omszana ogrzybiała i porysowana stoi kolumna, na pamiątkę tego wielkiego aktu, owocześnie wybudowana, wznosił się tron wspaniały a na nim pod otwartem niebem w obec Boga i ludzi siedział w polskiej i litewskiej koronie król Zygmunt August Jagiellończyk a obok niego w rzędy za rządami po lewicy i po prawicy przy nim, za nim, i przed nim siedzieli na ławicach stany obu narodów; kanclerzowie, marszałkowie, hetmanowie, wojewody, kasztelanowie, biskupi; a poza nimi do koła na całym placu i po wszystkich przyległych i najodleglejszych ulicach nieprzeliczone tłumy wszelkiego narodu i płci, rodu, wyznania, i znaczenia. Król Zygmunt ogłosił z tronu połączenie dwojga narodów i natychmiast rozpoczęły się salwy, bicie strzelby, dział, kotłów, dzwonów, brzmienie muzyk, i tak wielkie okrzyki powszechną radością uniesionego ludu, że król Zygmunt od radości i rozrzewnienia zapłakał i płakały też od radości i rozrzewnienia wszystkie stany obu połączonych narodów.

Teraz dopiero poczęły się powinszowania i hołdy rozmaitych posłów, od papieża, cesarzów, królów i książąt zagranicznych. Naprzód tedy szedł środkiem placu do stóp króla Polski i Litwy Hozyusz kardynał i Wincenty Porticus legat papieski; za nimi posłowie od cesarza niemieckiego Maxymiliana i od Jana Króla Szwedzkiego; dalej: posłowie holenderscy, duńscy, francuzcy, hiszpańscy, weneccy, moskiewscy i od sułtana tureckiego; potem od książąt podległych i hołdownych, ruskich, pruskich, szlązkich, pomorskich, siedmiogrodzkich, mołdawskich, tatarskich a wszyscy z czołem aż do ziemi schylonem i na klęczkach.

Gdy się to wszystko jak należy, spaniale, okazale, najspokojniej i najprzyzwoiciej skończyło, powstał król Zygmunt z tronu i wśród nieustającego bicia strzelby, dział, kotłów, dzwonów, brzmienia muzyk i okrzyków radośnych szedł uroczyście do świątyni pańskiej, do kościoła i za nim starszyzna obu połączonych uarodów, świecka, duchowna, wojenna, oraz posłowie zagranicznych dworów na dziękczynne Bogu: Te Deum; a zaś z tamtąd na ratusz, na ten oto tu ratusz dziś staromiejskim

zwany dla otwarcia sądów królewskich, które pod przewodnictwem Króla cały rok odtąd odbywać się miały.

Wieczorem przy kagańcach i pochodniach rzeszystych był stół królewski otwarty, i prawdziwie królewski i otwarty bo z obecnością króla i pod niebem otwartem na tym tu samym placu dla wszystkich gości zagranicznych i swoich. Hec, skoków, komedyów, baletów, fajerwerków i żadnych tym podobnych figlów nie było; bo Polacy onego czasu goniąc tylko na ostre, nie byli nauczyli się jeszcze ani tych turniejów niemieckich ani walki hyków od Hiszpańczyków, ani bojek kogucich od Anglików, ani walców i kasperlad od Prusaków i Austryaków ani komedyi i jasełek od Francuzów i Włochów, ani kart i pijatyk od Sasów, tylko król Polski i Litwy wszech wobec i każdego z osobna prosił do Kryszyna do puszczy białowieżkiej na walne polowanie: na żubry, łosie, niedźwiedzie, wilki, dziki, rysie, sarny, jelenie, bobry, wydry, czaple, dropie, głuszczki, cietrzewie, a które to polowanie kosztem królewskim hojnie i uprzejmie podejmowane trwało cztery tygodnie.

Przystojna to i zaiste godna rycerskiego ludu była zabawa. Lubili ją też Polacy i Litwini a posiadając kraj zamożny w różną polną i leśną, ziemną i wodną, pieszą i lotną zwierzynę, z zapalem i upodobaniem oddawali się łowom. Dzisiaj różne są o tem zdania. Właśnie pomnę niespełna przed miesiącem, wszczeła się przy gościnnym stole naszego gospodarza rozprawa o polowaniu:

— A to tylko zdrowia ruina! rzekł jeden.

— A ja wręcz twierdzę przeciwnie, boć tu wszakże żywem na to jestem świadectwem, że jużby dawno polowało w grobie po moim trupie robactwo, żeby nie nasz poczciwy doktor Czekański gwałtem był nie wyciągnął z łóżka na polowanie.

— To ruina kieszeni wołał inny.

— Ba i bardzo; a p. Bułharyn z Zalesia przykupił sobie do Zalesia dwie wioski: Zwierzęciny i Skóręciny, za zwierzynę dostawianą przez lat parę do Warszawy i skóry do Kijowa.

— To strata czasu i obraza przykazania Bożego: nie zabijaj! wykrzyknie jeszcze inny.

— Więc pan chciałbyś w nas wmówić, że p. Kartowicz darmo czasu nie tracił, gdy jednego wieczora strwoił w karty

cały pojcowski przez pół wieku uczciwie i mozolnie gromadzony majątek a zaś znowu pan Burda to ten miałby żyć według przykazania bożego, przeto że nie drapieżne i żarłoczne wilki i niedzwiedzie po lasach, ale spokojnych i niewinnych braci w pojedynkach zabijał.

— Ależ ta no konto łowów wysuszana manierka?

— Manierka nie antałek, mości panie Beczkowski, mniej wysuszył manierek pan Niedźwieski lat pięćdziesiąt polując, aniżeli acandobrodziej w jednym roku antałków chrapiąc sobie przy kominku z p. Baryłą.

— Ależ żona z nudów zamierająca, gdy mąż goni po lesie?

— Lepiej stokroć pani Zwierzynieckiej, choć jej mąż po całych dniach goni zwierza po lesie a przy żonie noce przepędza, aniżeli twojej panie Domownicki co kwękarz w domu cały dzień, a po nocach uganiaasz za cudzemi żonkami.

— Ależ dzieci?

— Ależ kuny a kaczki a jędory a gęsi? dodaj panie kokosznicki dla dopełnienia sensu, otóż dzieci, póki ich w domu, to rzecz matki czuwać nad niemi; w szkole to rzecz znowu panów dyrektorów i kalafaktorów; a zaś ojciec dość mieć będzie za swoje kiedy dzieci poczną dorastać, a on po za domem czuwać będzie musiał nad niemi, aby z nosami powrócili do domu.

— Było jeszcze zdań innych za i przeciw niemało i nie wiem jakby długo owa zwada trwała, żeby pan Lukasz Gołębiowski, mąż świadomością rzeczy podobnych wielce znamienity a w przejeździe do Karpat dla poznania zwyczajów tamecznego ludu przypadkowo obecny, nie przechylił szali zwycięstwa taką prawie przemową.

— Przeciw łowom słyszę niektóre głosy, a godziź się zapominać panowie, że na łowach to właśnie uczyli się przodkowie nasi znosić znogi, trudy, słoty, głody, i chłody gdzieindziej tak im potrzebne; przeciw łowom, słyszę głosy, powiadam, a namże to synom ojców nie wiedzieć, że ojcowie nasi godząc pociskiem w rozjuszonego żubra, dzika, wilka, niedźwiedzia, w chyżego jelenia, w rączą sańkę, skorego zająca, a choćby też w letną nawet ptaszynę, wprawiali się do polowania z wrogami, których tylu i tak różnych mieli na karku. Otóż pozwolicie sobie przypomnieć panowie, że królowie nasi, co to nie przeto tylko mieli

głowy na karku, żeby na nich korony nosić, lecz ażeby we wszystkim wszędzie i zawsze być głową i wzorem swych narodów, tak dalece smakowali w łowiectwie, że chcąc się tymi przykładami zastawiać, to każdego z nich niemal przyszyłoby tu wymienić. Jeden z pierwszych Bolesław Chrobry komuż wzdry nie wiadomo miał aż nadto polowania z Czechami, Szlązakami, Pomorcami, Niemcami, Rusinami, przeciw którym liczne wojska utrzymywać, podejmować, i do boju osobiście prowadzić musiał, a przecież na dworze swoim takie mnóstwo i to z różnych narodów trzymał myśliwych, ptaszników i łowców, że mu sam najpierwszy i najzawołanszy na całe Niemcy myśliwy Otton cesarz niemiecki gdy był zjechał na koronację Bolesława do Gniezna, tak pięknej i tak licznej drużyny myśliwej Chrobremu pozazdrościł. Bolesław śmiały również lubił myśliwstwo; kraj opuszczając jeszcze się łowami zabawiał, i nawet według niektórych kronikarzy nie w kuchni ale na polowaniu śmierć znalazł. Niemniej od poprzedników oddawał się łowiectwu Bolesław Krzywousty; od samego niemal dzieciństwa godził z oszczepem na żubry, dziki i niedzwiedzie i na łowach to przyłowili go Pomorzanie, gdy u samego ujścia Odry, w puszczech Uzedomskich polował i którym się właśnie tylko fortelem sztuki łowieckiej wywinał. Mieczysław stary był gnuśny, więc gdzie mu tam było myśleć o polowaniu; a jednakże czy to z chciwości czy istotnie z zamiłowania łowów, bo miał także licznych na swym dworze myśliwych, sokolników i bowrownicznych, postanowił prawo łeśne a tak surowe, że kto mu zabił niedzwiedzia a choćby też zająca karany był od sześciu do sta grzywien, co na one czasy było karą o ruinę mogącą przyprowadzić niejednego pana i księcia. Wstydliwego Bolesława oskarżano, iż był nad miarę miłośnikiem myśliwstwa; jego przejazdki w tym celu odbywane po kraju, powiada Długosz, skarby i poddanych wycieńczyły. Władysław Łokietek był małego wzrostu ale serce miał wielkie, to też równie z wrogami na placu bojów jak z dzikimi zwierzętami po borach potykał się śmiało i dzielnie. Syn jego Kazimierz W. na łowach goniąc za zwierzem w lasach niepołonickich nad górną Wisłą, wywinał nogę a jednakże do starości tak smakował w rozrywkach polowania, że ażeby nie zapędzać się daleko od stolicy która jego obecności potrzebowała,

miał pod samym Krakowem obszerny zwierzyniec a którego nazwa do dziś się przechowała. A cóż to dopiero musiało być za upodobanie do łowów w onym litewskim, Jagiellonów rodzie? Giedymin na górze Świętoroga własną ręką kładł u stóp swoich najogromniejsze tury. Władysław tak namiętnie lubił polowanie, że dla tego właśnie radziej mieszkał w Litwie niż w Polsce; na grobowcu jego nawet ptaki i psy są wyobrażone, kiedy innym królom lwy zwykle dodawano. Nie mniejszym miłośnikiem polowania był Witold; w Święto-Zofijskim skarbcu w Nowogrodzie wielkim jest dotąd srebrna płyta ogromna, na której podają Metropolicie ubiory a na której wyabrażoną jest u góry pogoń litewska, na środku wizerunek Witolda rzucającego pocisk za jeleniem, tuż obok psy pokurcie, a w tyle drużyna łowiecka i charty uganiające zająca. Oba ci bracia Jagiełłowie, swobodniejsze, zwłaszcza zimowe chwile przepędzali na myśliwskiej ochocie, dalekie za łowami odbywali podróże, wymagali i wyzyskiwali od mistrzów krzyżackich i od książąt mazowieckich wolności polowania na podległych im ziemiach; ubitą zwierzynę tym których uczcić chcieli rozsyłali w podarkach, soloną zaś oraz wędzoną opatrywali swe zamki. Srogi Zygmunt W. książę litewski tak lubił dzikie zwierzęta, że trzymał niedzwiedzię, która stale przy łożu jego leżała. Kazimierz Jagiełłończyk nie jedną polowaniu poświęcał chwilę, podobnież Zygmunt stary i brat jego książę kardynał Fryderyk. O Zygmunta Augusta namiętności do łowów to już komu mówić potrzeba; przykrzyło się panom i dworzanom, którzy być przy nim musieli, to jego ciągle uganiecie za niedzwiedziem po puszczech. Nie odmawiał też sobie tej uciechy dzielny Stefan Batory. Władysław Waza nie lubił gonić za zwierzem czworonożnym, woląc polowanie dwunożne, a nad wszelkie rodzaje przenosił polowanie sokołami na czaple; jedna z czapel tym sposobem przez króla tego schwyconych wypuszczona 18 maja 1647 z datą na obrączce na szyi schwytaną została w 30 lat potem 19 lipca 1677 r. przez króla Sobieskiego, jak poświadczy zapisek własną jego ręką skreślony w kalendarzu który oglądałem w Krzemieńcu u p. Tadeusza Czackiego. Oddawali się także polowaniu oba Augustowie Sascy udając się w tym celu do Lowicza lub do Kozienic; August III z królową i książę-

tami tudzież z wielkim dworzan i panów orszakiem polował nawet w puszczy białowieskiej gdzie na tę pamiątkę stoi do dziś dnia pomnik kamienny a na nim wyrte w dwóch językach w polskim i niemieckim napisy wskazujące: jacy byli z królem i królową książęta, panowie, urzędnicy, dworzanie, wiele zabito żubrów, żubczyc, łosi, łosie i innych wielkich zwierząt.

Za przykładem królów szli możniejsi polscy panowie a za tymi szlachta i cały stan rycerski i świecki, nawet duchowny. Paweł z Przemankowa biskup krakowski za czasów Leszka czarnego, tak namiętym był miłośnikiem łowów, że według podania Bielskiego, gdy mszę odprawiał, psy około niego leżały i z ptakami stał przed nim myśliwy. Ostatni potomek sławnej Tęczyńskich familii zginął na polowaniu od dzika. W późniejszych czasach słynęli polowaniami Radziwiłłowie na Litwie, Morawscy w Wielkopolsce, Krasiccy w Galicyi, Steccy na Wołyniu, Buchowieccy na Polesiu; teraz coraz mniej tego; a rzecz dziwna, że choć coraz to mniej myśliwych, coraz mniej też zwierzyny; istotnież jak gdyby p. Bóg myślał a mówił sobie: po co mi w Polsce zwierzyna, kiedy już myśliwych wniej nie ma! —

Ale czas już żebyśmy memu panu coś innego pokazał. Idźmyż tedy tam na rynek za Zygmuntem Augustem, który skoro z polowania powrócił, udał się natychmiast tą oto właśnie ulicą którą niej teraz idziemy na trybunał, do tego oto gmachu a w którym po dziś dzień jeszcze jak gdyby z przeznaczenia bożego Sądy trybunalskie się odbywają. Szanowny to, poważny, pełen pamiątek a nawet piękny jak samo się widzi, zabytek naszej przeszłości. Poprzednio województwa wołyńskie, kijowskie i braclawskie miały swój trybunał w Łucku, który sądził według statutu litewskiego i w języku ruskim. Składał się zaś on z pięciu deputatów od województwa wołyńskiego, czterech od kijowskiego i czterech od braclawskiego. Z następstwem czasów naprzód województwa wołyńskie i braclawskie zapragnęły wspólnego sądu z koroną a za niemi zaraz następnego roku 1590 nakłoniło się i Kijowskie. Od tego więc czasu już nie do Łucka lecz do Lublina razem z koroną Ruś na trybunał zjeżdżała. Jeżeli się nie zebrało sześciu deputatów ruskich, wtedy przybie-rano polskich. W Piotrkowie więc od poniedziałku po Św. Marcinie aż do kwietnej Niedzieli sądziły się województwa

wielko-polskie: poznańskie, kaliskie, sieradzkie z ziemią wielicką, łęczyckie, brzeskokujawskie, inowrocławskie, ziemia dobrzyńska, mazowieckie, płockie i rawskie; a od poniedziałku przewodniego ten sam trybunał zasiadał dla Małopolski w Lublinie, i sądził sprawy z województw: krakowskiego, Sandomierskiego, ruskiego, którego Lwów był stolicą, podolskiego, lubelskiego, bełskiego, podlaskiego oraz wołyńskiego, braclawskiego i kijowskiego. Litwa ze Żmudzią miały swój trybunał oddzielny w Wilnie, który też się zbierał corocznie. Sędziowie trybunałscy zwali się deputatami a obierano ich na sejmikach deputackich po miastach sejmikowych, corocznie w poniedziałek po Narodzeniu Najświętszej Panny, z mniejszego województwa po jednym, z większego po dwóch; ponieważ zaś duchowieństwo z majątności swoich odpowiadało w sądach szlacheckich, przeto trybunał miał sześciu deputatów od duchowieństwa a ci zasiadali z sześciu deputatami świeckimi jako osobny wydział. Trybunał poczytywany był w ustawach oraz i w przekonaniu szlachty za najświętszy przybytek sprawiedliwości. Ranienie na Trybunale stawało się zbrodnią gardłową. Sądy odbywały się publicznie i jawnie, w czasie głosowania tylko strony światkowie i wszyscy obecni obowiązani byli wychodzić na ustęp. Głosowanie jednak owoczesne wygląda nam dzisiaj jakoś dziwacznie, przepisywało bowiem prawo: że gdyby okazała się różność lub równość głosów, czyli po terażniejszemu gdyby nie było jednozgodności, natenczas miało się głosować raz drugi; a jeźliby i w ten sposób nie zniknęła równość lub różność, wtedy konkluzya zostawała przy tej stronie, która więcej za sobą miała prawnych dowodów. Do trybunałów szły apelacye od wieców od ziemstwa, od grodu, od pokomorzeżego, od sądów komisarzkich, i zgola od wszelkich sądów po województwach, w których toczyły się sprawy szlacheckie a przynajmniej przeciw szlachcicowi; a przytem sam od siebie trybunał obowiązany był rozpoznawać sprawy: o pokrzywdzenie własności narodowej, o nadużycie władzy w urzędzie, o tak zwane dziś zbrodnie polityczne, o zabiciu szlachcica przez szlachcica, spory między miastami a szlachtą, nakoniec wszystko niemal w instancyi najwyższej. Mieli więc do roboty sędziowie i miał dosyć do roboty król polski, który sądom tym przezydować był obowiązany.

Nie darmo się też skarżył Henryk Walezy, iż miał zostać królem a właściwie został tylko sędzią polskim!

Tak się skarżył mocium panie Henryk Walezy francuz, ale ja szlachcie polski: Hołota, azacz nie z pociechą a dumą zawołać mogę do narodów świata całego: « Wyście wielkie, świetne i mądre narody a pokażcie mi u was przykład, żeby król przewodniczył sądom przez roki całe i jak prosty zwyczajny sędzia sądził sprawy prywatne? Sądził zaś król polski one sprawy, czy to się nazywał Zygmunt August czy Stefan Batory czy który z ich zastępców, po ówczesnemu: marszałkami zwanych, w tej tu sali sądowej, do której właśnie wchodzimy. Sala trochę ciemna; lecz być może iż ją budowniczy tak naumyślnie zbudował, aby sędziowie nie widzieli stron spornych, które ażeby sędziów na swoją stronę przeciągnąć, mogłyby im świecić w oczy workami; a zaś wolał postawić na stole krzyż kamienny z wizerunkiem zbawiciela który prosto patrzył sędziom w oczy, a nad którym był napis wielkimi złotymi literami: *Justicias vestras judicabo!* Potem, Chrystus pan, co wprzód na trybunał był patrzył, odwrócił się tyłem do trybunału a przyczyną tej zmiany jeżeli można wierzyć panu Czesznikowi Parnawskiemu, który to mi powiadał, był wypadek następujący:

« Była wdowa szczupłego miana (relata jak powiada mi vefev o) uciśniona procedurą przez jakiegoś magnata. Sprawa wdowy była czysta jak bursztyn ale magnat zobowiązawszy sobie członków Trybunału zyskał dekret w brew prawu i sumieniu. Gdy dekret ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: « żeby mię sądzili diabli, sprawiedliwszy byłby dekret! — » A że sumienie kłuło nieco deputatów, więc na roki wdowy nie poznano, i wszyscy udali jakby nie słyszeli z czem się odezwała; i że to było pod koniec sesyi, porozjeżdżali się więc marszałek i deputaci tak duchowni jako i świeccy, została się tylko kancelarja i pisarze trybunalscy. Cisza była w Lublinie i w sali trybunalskiej, aż tu zajężdża przed trybunał mnóstwo karet; wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokitach, z rogami na głowach i z ogonami, które się z pod sukien dobywały; i zaczynają iść po wschodach a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden marszałka a inni

deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancelarya, że to byli diabli i w wielkim strachu przy swoim stole siedząc, czekali co z tego będzie. W tem diabeł co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę owej wdowy. Przystąpiło do krutek dwóch djabłów jurystów, jeden pro, drugi contra stawał, a oba z dziwnym dowcipem i z wielką owoczesnych praw znajomością. Po krótkim wstępie diabeł marszałek przywołał pisarza wojewódstwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia); ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu sięść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz wpółumarły ze strachu, i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a P. Jezus na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwsi niż trybunał, przenajświętszą krewią jego okupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił, i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tem objawienie jeden świętobliwy bazylijan lubelski), aż naród się pozbędzie sprzedajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijactwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali, a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu, i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sessyi trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony, bo rozumie się, że nikt z kancelaryi ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie były wzbronione; kto chciał mógł go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.»

Drugi równie dziwny wypadek, który tu się później przydarzył i rzecz dziwna również z powodu sprawy wdowiej, a który też mam za prawdę z ust tegoż p. Czesznika był znowu taki:

«P. Kurdwanowski co to rej wodził w portji hetmana Braniczkiego, wielkim był pieniaczem; i ani w Żytomierzu ani w Młodzimierzu gdzie miał wielkie dobra nie było kodeneyi bez kilkunastu jego wpisów toż samo i w trybunale. Plenipotenci hetmana spraw też jego atentowali, plecy zatem miał silne, biały szlachcicowi który z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał co to się zgodzić i pieniał się do upadłego. Owoż, była niejaka wdowa posiadaczka małej wioszczyny w środku dóbr Kurdwanowskiego, którą bardzo życzył on sobie nabyć, i kilkakrotnie oto zgłaszał się do wdowy; ale wdowa nie chciała pozbyć

swej wioski, lubo jej wartość ponoś nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Rozgniewany p. Kurdwanowski tym jak go nazywał uporem wdowy, ułożył sobie procederem to wydrzeć, czego pieniędzmi nabyć nie mógł. Miał on sobie zobowiązanym pewnego wychrztę, który liznąwszy jurysteryi, był do wszystkich brudnych interessów sposobny; jakoż podobnemi na obywatela się wykierował; podobnemiż miał już pod Berdyczewem wioseczkę, a prawie żadnego z podobnych nie opuścił, byle coś mu kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego sprzymierzeńca p. Kurdwanowski, mianuje go swoim plenipotentem i układa z nim następną machinację. Dziad wdowy był od antecessów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioseczkę która go teraz tak mocno tentowała; a donacya, kontrakt rezygnacyjny i kwit de pretio były na to w aktach żytomierskich złożone. Przekupują tedy plenipotentą wdowy; aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobył i im oddał; a które wydobywszy jadą natychmiast do Żytomierza, i tam za tysiąc czerwonych złotych od tamecznego pisarza ziemskiego wyrabiają, iż ten wydzierza z akt oblat tychże dokumentów. Tak zatarłszy ślad wszelki nabycia wioski, zapożywa pan Kurdwanowski poczciwą wdowę o nieprawe posiadanie, sine nullo dato et accepto, jego majątku. Napastowana wdowa ufna w świętość swojej sprawy a nie mniej w światło i przyjaźń swojego plenipotentą, czeka wyroku, który ma jej spokojność powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportację dokumentów. Wychrzta jako plenipotent przysięga, bo jednakże p. Kurwanowskiego ruszyło sumienie i nie był na sprawie. Plenipotent wdowy zaprzysiągł także komportację dokumentów będących w jego ręku, a z których zniszczył te właśnie, które stanowiły cały interes jego pryncypalki. A tak sąd ziemski żytomierski, do którego p. Kurdwanowskiemu forytował tameczny pisarz ziemski, — a który może nakoniec i wytłumaczył sobie że postępował sumiennie, boć wszakże sądzi się z dokumentów nie z własnej wiadomości, — przysądził p. Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacją od lat kilkudziesiąt. Strońska wdowa, zagrożona z trojgiem swych dziełek pozbawieniem jednego kawałka chleba, apelowała do trybunału lubelskiego a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemstwa żytomierskiego. Ale w Koronie dwa dekreta Trybunalskie confor-

miter zapadłe, stanowiły dopiero komoikcyę. Właśnie był w Lublinie pan Czesznik, który mi to powiadał kiedy ta sprawa na stół przychodziła. Spieszył na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim; miał przytem wielu deputatów za sobą, i miał czem ich nabywać a sumienie swoje już był zwycięzył.

«Jadąc do Lublina gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie ale tak wyraźnie jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej i widzi tu marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznanome. Marszałek ogłasza, iż sądzić się będzie rejestr faktowy i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi plenipotentą wdowy. Jakież było zadziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie sprawy plenipotentą wdowy ze wszystkimi okolicznościami jego zaprzędajności na zgubę pryncypałki! Po wysłuchaniu tej sprawy, Marszałek w kilku słowach ogłasza dekret skazujący na śmierć plenipotentą wdowy; a po przeczytaniu onego każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę ziemskiego pisarza żytomierskiego. Słyszy p. Kurdwanowski choć we śnie lecz silnie przerażony jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam pan Kurdwanowski wręczył; jak powydzierał i pofałszował akta i t. d., i t. d. a Marszałek, równej krótkości dekret jak poprzedzający, ogłosił, pisarza ziemskiego również na śmierć skazując. Słyszy pan Kurdwanowski, że z kolei czyta rejent dwa następne wpisy: urodzonego Kurdwanowskiego i jego plenipotentą. Marszałek oba wpisy połączy i każe wprowadzić sprawę. Tu słyszy Kurdwanowski instygatora tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak że aż mrowie po nim przechodziło, że trybunał skazawszy na śmierć plenipotentą wdowy i pisarza ziemskiego, nie może mniejszej kary naznaczyć plenipotentowi Kurdwanowskiego, co był główną sprężyną całej tej zbrodniczej machinacyi a cóż dopiero samemu Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi jako istny szatan tych wszystkich łapigroszów skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku; on co sam będąc ze starożytnego szlacheckiego rodu powinienby własnym przykładem innych do cnoty i do szlachetności zagrzewać, nie zaś wiązać się z wychrztami i

ludźmi bez sumienia, aby biedną wdowę prawdziwą jak on szlacheciankę i troje sierot jej zgubić. «Jakaż byłaby sprawiedliwość najjaśniejszego Trybunału, wołał kończąc rzecz instygator, gdyby takowa czynność płazem poszła Kurdwanowskiemu i gdyby ten co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary?! —» Po skończonym indukcje nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziawszy nie było co replikować, marszałek odezwał się temy słowy: «Odkładam sessyę do Wielkiej-Nocy!» — i silnie stuknął laską aż się pan Kurdwanowski przebudził. Zmęczony tak dziwnym snem przygotował się do dalszej drogi z odrazą i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu; ale jak zaczął w umyśle jego djabeł przeciw panu Bogu patronować i wmawiać mu: że sen mara; że o tem myślał więc się to i przyśniło; że raz sprawę zaczawszy ambicja każe ją skończyć; że kto przekupuje ten przecież za łeb nie bierze; że więc ci co sprzedali sumienie, niech sami myślą o sobie, o on w czemże tak bardzo wykroczył, on, który nawet okazał sumienie dość delikatne, albowiem nie sam ale umocowany jego zaprzysiągł komportacyę dokumentów; że nakoniec kiedyś jak przyjdą czasy potemu, to on może znaleźć sposobność i wdowę wynagrodzić, że ot jakoś przyjechał do Lublina uspokojony a przyjechawszy zaczął chodzić koło swojej sprawy i popierać ją na sucho i na mokro; aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami gdy plenipotent procesowanej wdowy wiozł pana pisarza żytomirskiego na jakąś kondescensyę, most się pod nimi zawalił i p. plenipotent wdowy wyciągnięto z pod mostu bez duszy, a zaś pan pisarz ziemski w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał. Dopieroż pan Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę i nie tylko zakwitował wdowę ze wszelkich pretensyi do jej majątku lecz z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody jakie z jego przyczyny poniosła, i klęcząc przed nią w obliczu wielu obecnych prosił aby mu odpuściła, opowiadał publicznie sen, który mu bóg łaskawy zesłał, a który poczęści już się ziścił. To mu wielce poprawiło sławę, bo przyznanie się publiczne do winy, skrucza prawdziwa i zadośćuczynienie, są to rzeczy, które ludzi i Boga ujmują; a trzeba też przyznać, że i pan Kurdwa-

nowski zmienił odtąd prowadzenie się swoje, wszelkiego pie-
niactwa zaprzestał, i wiódł życie prawdziwie chrześcijańskie.
Słowa we śnie słyszane: «odkładam sesję do Wielkiej nocy!»
utkwiły mu tak w głowie, iż mu się zdawało że w czasie Wielkiej-
nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku więc przez cały wielki
post gotował się na śmierć ściśle się obliczając ze swem sumie-
niem i w istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych, a śmierć
jego była podobno do zazdrości, bo się do niej lat przeszło
trzydzieści gotował.

O! mój boże! mój miły boże! jakże dziwne gusta sług twoich!
zawołał po chwili pan Hołota ręką uderzając się w czoło. Tyle
razy tu byłem, tyle godzin tutaj spędziłem sam na sam i z dru-
gimi a ilekroć tu wejść tylekroć wyjść ztąd jakoś nie mogę,
istnieć jak gdyby coś ciągnęło a trzymało człeka za poły.
Trzymaj! trzymaj! dalibóg trzymaj! a przecież pamiętać trzeba,
żem nie dla siebie tu przyszedł.

— Proszę na mnie nie zważać, rzekłem, ja się wcale z wy-
ściem nie kwapię. Dobrze mi tu i miłe mi opowiadania pana
Hołoty.

— Gracko! Chwacko! Dobrze powiedziane i grzecznie od-
powiedziane ale ja nie dzisiejszy. I ja byłem też kiedyś młody,
więc wiem co to młoda natura. Varietas dilectat! Bij a
nie nudź! Czas drogi! A czas droższy młodemu niż staremu,
bo stary wiele już widział, a zaś młody wszystko ma do widze-
nia! a też i po drodze może sobie pogawędzić stary, gdy zechce.
Więdz chodźmy! —

I wyszliśmy, a po drodze tak prawił pan Hołota:

Już to wszyscy kronikarze na to się zgadzają, że Lublin na-
leży do najstarszych a liczył się niegdyś do najrozleglej-
szych i najludniejszych miast polskich; ale ja myślę, że on jest
starszym jeszcze i że był niegdyś ludniejszym i rozle-
głym anizeli to kronikarzom się zdaje. Do dziś dnia daleko
po za miastem, i to na różne strony, są ślady bruków wyraźne;
a były to pewnie bruki po mieście, w ulicach miejskich; boć
pewnie za onych czasów bruków po przedmieściach a cóż do-
piero dróg w polu brukowanych nie było. A i to trzeba zauwa-
żyć także, iż dopóty tego przekłętego prochu nie wymyślono, to
miasta nie budowały się na szerokość, lecz w górę, stawiając

piętra na piętrzech, a to aby miasto w najściślejszym zakreślone obrębie, tem łatwiej mniejszym poczem zbrojnych bronić się przy napadzie mogło. Cóżkolwiek bądź, to pewna, że nasz Lublin ma już lata metuzalowe, bo w zapisach parafialnego kościoła św. Mikołaja, tam, na przedmieściu: Czwartek, wystawionym przez Mieczysława 1^{go} 956 roku, na pamiątkę zaprowadzenia w Polsce wiary chrześcijańskiej, czytać można że w Lublinie lubiła przesiadywać Julia żona Leszka 3^{go} a co jeżeli było, to być mogło około 810 roku, więc temu przeszło lat tysiąc.

Ten kościół farny na Czwartku, to już pewnie patriarchy naszych wszystkich kościołów lubelskich; ale są też i inne wcale poważnej i sędziwej starości; a wszystkie nie bez myśli i bez celu stawione. Gdzie indziej na pamiątkę wielkich wydarzeń stawiają bramy, łuki, kolumny, które krocie i miliony kosztują, ale z których ani Bogu chwały ani ludziom pożytku; u nas stawiano kościoły i klasztory, nieraz kosztowne bardzo, ale które, jak te nasze lubelskie są tego oczewistym dowodem, miłe były Bogu i ludziom pożyteczne.

Kościół św. Michała naprzykład, dziś tymczasowa katedra, był założony przez Leszka czarnego 1282 roku na pamiątkę pokonania pod Lublinem Jadźwingów.

1; Kościół św. Ducha stanął z darów obywatelskich 1342 roku na pamiątkę rozkrzewienia wiary katolickiej na Rusi.

Kościół i klasztor Dominikanów zbudował Kazimierz Wielki na tę pamiątkę i na pamiątkę przyłączenia Rusi ze Lwowem do Korony 1350 roku. Jest to tenże gmach święty, w którym odbywały się potem przygotowawcze narady względem połączenia Litwy i Polski.

Kościół św. Trójcy, przy zamku, zbudował Władysław Jagiełło na pamiątkę swego przybycia do Polski 1386 roku w trój-sob czyli z dwoma braćmi Witoldem i Skiergiełłą dla przyjęcia wiary chrześcijańskiej, zaślubienia Jadwigi i połączenia się z Polską.

Kościół i klasztor Bregidek budował tenże Jagiełło na pamiątkę pokonania Krzyżaków 1410 roku pod Grunwaldem i Tannebergiem.

Kościół i klasztor Bernardynów stanął 1489 roku ze składek dobrowolnych na pamiątkę sławnego zwycięstwa odniesionego przez Jana Alberta syna królewskiego pod Kopstrzyniem nad Tatarami.

Kościół Jezuitów dzisiaj pojezuicki a na katedrę w następstwie przeznaczony zbudował Biskup Maciejowski 1582 r. wraz z gmachem obok na szkoły publiczne przeznaczonym.

Kościół Bazyljanów stanął za Zygmunta III na pamiątkę unii dwóch kościołów rzymskiego i greckiego 1593 roku w Brześciu litewskim dokonanej.

Kościół i klasztor Bernardynek za czasów tegoż Zygmunta III. zbudował 1618 roku swoim kosztem Siennicki cześnik lubelski, w celu urządzenia tam szkoły dla osieroconych córek po ojcach w boju poległych.

Kościół i klasztor Augustynów kosztem miasta Lublina był zbudowany za Władysława IV na pamiątkę pokoju zawartego z Moskwą 1634 roku a z przeznaczeniem na przytułek rycerzy bojami i znojami ztarganych.

Kościół i klasztor Karmelitek, dzisiejszy szpital siostr miłosierdzia, fundował Michał Danielowicz podskarby koronny, na pamiątkę onej sławnej konfederacji Tyszowieckiej z 1656 roku.

A zaś kościół i klasztor karmelitów, dzisiaj i szpital braci miłosierdzia wybudował Jan Mniszek w części z własnych funduszów a w części z pozostałych po Jerzym Mniszku i córce jego Marynie — carycy, na pamiątkę ich praktyk.

Podobnie rzecz się miała z początkiem i przeznaczeniem innych kościołów i klasztorów lubelskich jak na przykład: Misjonarzy Pijarów, Wizytek, św. Krzyża i wielu jeszcze innych, z których część pewną obrócono na składy, szpichlerze, magazyny, koszary, lazarety, a niektóre wcale już nie istnieją.

Nawet cerkiew dysunicka z 1630 roku i kościół protestancki i Bożnica żydowska stoją pewnie na dowód a świadectwo onej tolerancji religijnej, którą się Polska przez tak długie wieki a tak słusznie szczyliła.

Piękność, piękne wszystko pomniki i pamiątki, a to w nich najpiękniejsze, że w pięknej myśli wzniesione. Mogło się zdarzyć, że z następstwem wieków przy zmianie rzeczy i ludzi, myśl

pierwiastkowa mogła być czasem skrzywiona, że zakłady które miały być przybytkiem cnoty, nagrodą poświęcenia i zasług, wypoczynkiem po trudach i zawodach w myśli uczciwej przedsięwziętych, mogły pójść z czasem na wygodę darmożjadów i pasibrzuchów, ale to już nie było ani założycieli ani przeznaczenia ich winą. Myśl była czysta i święta, twórcom swoim zaszczytna, ludzkości pożyteczna, panu Bogu smaczną, kiedy tyle dotąd z tych budowli od zniszczenia zachował; bo co do innych gmachów światowych zaczynając od onego obronnego a wspaniałego zamku królewskiego, o który się tyle bojów toczyło, aż do onych pysznych a bez liku pałaców panów polskich: Firlejów, Herburtów, Tarłów, Sobieskich, Lubomirskich, Jabłonowskich, Radziwiłłów, Sanguszków, Sapiechów, Potockich, Szeptyckich, Ratyńskich, Morskich, Miączyńskich, Zamojskich, Czartoryskich, Poniatowskich i mnóstwo jeszcze innych, próżnoby dzisiaj szukał kto ich po dniu z latarką, a nawet się pytał o ich nazwiska.

Był więc kiedyś Lublin i piękny i świetny i wielki i rozległy i ludny. Dziś już nie to co było ale i tak jeszcze nasz Lublin nie Pacanów. Jest dość gmachów okazałych i wiele porządnych; place obszerne, ulice szerokie, nawet przedmieścia, równie bliższe jak odleglejsze dodają przyjemności Lublinowi, opasując go dookoła, i łącząc tym sposobem przyjemności miejskie z wiejskimi.

— Więc też poczciwi Lublinianie kiedy zima, to już oni u miodziarza albo winiarza, bo niedarmo mówi przysłowie, że kiedy zima, to jegomość robić w domu co nie ma! A zaś poczciwe Lublinianki również posłuszne staropolskiej powieści: że kiedy nie ma w domu jegomości, nudzi się samej jejomości! dalejże do kumoszek: na kawkę z sucharkami albo z piwkiem grzanki i o mężach pogadanki! — Tak u nas bywa w zimie ale za to w lecie to już wszystko gromadnie wysuwa się na przedmieścia i aż na wioski, na śmietanę, raki, kurczęta, sałatę, jagódki, — z wyjątkiem rozumie się niektórych panów Domownikich, oraz panów Boczkowskich, którzy równie w lecie jak w zimie wolą sobie w domu suszyć barylkę jak gdzieś tam gonić po wsi za zdrojową

wodą, lub bawić się w pamiątki po ruinach Firlejów w Dobrowicach albo Tarłów w Czechówce.

Wewnętrznie rozdziela się Lublin na dwie połowy tak od siebie różne, że lubo wszystkie niemal miasta polskie dzielą się tak niestety! żadne z nich jednak nie dorówna w tem Lublinowi. Jest ludność około 15000, za dawnych zaś czasów było jej do 50,000 a w tej jedna połowa ludzi, a druga połowa żydów. Jest domów do 800, z tych 400 murowanych a 400 drewnianych. Jest część sucha, czysta, porządna, brukowana, piękna, wspañiała, okazała i jest część druga błotna, brudna, niechlujna w śmieciu i gnoju zagrzebana i zatopiona; jednym słowem: jest Lublin polski i jest Lublin żydowski! I to mówiąc pan Hołota, podniósł pałkę do góry i pogroził nią silnie tam w tę stronę, kędy leży dzielnica żydowska.

Proszę wybaczyć, rzekłem, ale zdaje mi się, że pan Hołota bez bardzo ważnych powodów nie mógł w sercu swoim rozbudzić tego oburzenia i tej nienawiści przeciwko żydom, których jednak jak wszystkich innych ludzi pan Bóg stworzył braćmi naszymi.

Tak jest prawda! Istna prawda! Są powody i bardzo ważne powody — nie do nienawiści broń Boże! bo dla Hołoty nie ma na ziemi bożej stworzenia, któreby nienawdził Hołota, lecz do oburzenia na które zasługuje u nas żydostwo. Bóg stworzył ich na obraz i podobieństwo ludzkie! I czemuż więc nie żyją jak ludzie ale jak bydłeta i gorzej jak bydłeta. Bóg stworzył ich braćmi naszymi. I cóż to jest z ich strony braterstwo kiedy zdradą, podstępem, wykrętem, oszustwem i szachrajstwem obdzierają z ostatniej nitki, ostatniej okruszyny chleba, i to kogo? nas Polaków? którzy kiedy ich ze świata całego przepłaszano i wyganiano, po całym świecie smażono i palono, myśmy ich na naszą ziemię przyjęli i dali im u nas przytułek i gościnność ale prawo jakiego nigdzie nie mieli, bo prawo używania wszystkiego bez pełnienia obowiązku żadnego. Pójdźże! pójdź teraz dobrodzieju! Pokażęć to żydowskie braterstwo, chociaż początkowo wcale tego w myśli mojej nie było, bo jużto w moim zwyczaju zawsze pokazywać co mile i co godne widzenia; ale teraz po takim zagadnięciu to już proszę za mną; ale też proszę za przykładem moim wcześniej sobie nos zatkać, bo nie szkoda zdrowia, ba życie nawet, kiedy warto je stracić,

ale stracić zdrowie lub życie byle tylko je stracić, to występne marnotrawstwo daru bożego. Tędy, na prost toć niby jeszcze półbiedy, ale proszę tędy na lewo, albo tędy na prawo! Wszystko jedno. Wolno wybierać, przez te oto przecieki bez ścieków i odcieków. Ha! Brum! Nieprawdaż, że zapachy! Dobrześ zrobił, mój miły panie, żeś nos sobie schwycił w dwa palce ale oczami proszę patrzeć dobrze, żeby w oczach na zawsze pozostało, co się tutaj widziało. Piękneż kopy i kopce, wzgórci i pagórki, wyspy i półwyspy! A sadzawki, a stawy, a jeziora, a morza! A wszystko z śmieci brudów gnojów i gnojówek od wieków tu gnijących. Moroweż to powietrze i morowa zaraza, którą, żebyż to siebie tylko, ale nas wszystkich, ale cały Lublin, całą okolicę, ale całą Polskę, zarażają, trują i zabijają. I jażbym miał im wdzięcznym być za to? Ja się przeciw temu ich niechlujstwu nie burzyć! Przez Bóg żywy tej ofiary sam Bóg, dopoki żyw Hołota, od Hołoty żądać nie będzie. Jać złego żydom nie życzę ale niechże oni raz przecie się spostrzegą a nam złego nie broją. Toć ilekroć, gdzie i kiedy mogę, tylekroć jedno kładę zawsze im w uszy: Myśmy was na ziemię naszą przyjęli, dając wam z naszej litości schronienie i gościnność, a wy, niedosyć że nie orząc ni siejąc ani żnąc ani młóćąc, wszystkie plony ziemi naszej do waszych skrzyń zagarniacie, ale jeszcze waszem niechlujstwem powietrze nam zarażając, siebie i nas trujecie. Chłop głodny, nagi, bosy, ba! szlachcic nawet gnije albo marznie w zimnej i zgnilej chałupie, lecz po chłopskiej i szlacheckiej kieszeni wiatr z łaski waszej wieje, kiedy wasze kieszenie pełne srebra i złota, pereł i klejnotów naszych. Kupy skarbów naszych przed wami i pod wami, z których nam żadnego pożytku ni Bogu żadnej pociechy a dookoła was kupy śmiecia brudów i gnojów, topiele z odchodów i gnojówek: Idźcież sobie skądście przyszli. Idźcie ze wszystkimi skarby waszymi; my ich wam nie wydrzemy choć nasze, jeszcze wam czosnku i cebuli damy na drogę; lecz dopokąd tutaj z nami jesteście, to pomnijcie że to nie my na waszej lecz wy na naszej ziemi siedzicie, i kiedy już nas obdzieracie z wszystkiego, to przynajmniej nie trujcie nam powietrza. Jać tak zawsze im prawię, luboć tylko darmo drę sobie gębę. Lecz jeżeli kto kiedy cudu tego dokaże, że ich w ludzi prze-

mieni, to wtenczas, ale wtenczas dopiero, pokaże mu Hołota, czy w braciach braci uzna. Tymczasem nim to nastąpi, uciekajmy z tąd. Nie chcę dłużej truć zdrowia ani sobie ani komu. Hyc!

I skoczył pan Hołota przez przeciek jeden drugi i piąty, i cesał żywo ku miastu, ku polskiemu miastu, ani się oglądając za siebie; tylko od czasu do czasu ścisnął palkę w swej pięści i jakby się otrząsał, bo trzęsła się na głowie czworogranka seledynowa i zrywał się u kontusza rękaw seledynowy.

Wyciągałem młode nogi za staremi jak mogłem, ale gdzie zaś, pan Hołota zawsze o kilka kroków był naprzód; aż gdy poczuł bruk pod nogami, stanął w miejscu jak wryty, schwycił czapkę pod pachę, otarł czoło z potu rękawem, odetchnął pełno, szeroko, a potem:

— A że przecież żyw wyszedłem z tej przeklętej topieli, zawołał. A toż to Sodoma i Gomora! Prostoż! prosto teraz — do domu. Czas odetchnąć i posilić się trochę. Otóż jesteśmy! Proszę naprzód!

— Proszę wstąpić, rzekłem, a wszedłszy począłem przeproszać za uwagi i czas stracony.

— Czas stracony! co słyszę! A niechże pan Bóg mię broni, zawołał pan Hołota. Ja czasu dobrze użyłem; a jeżeli o uwagi idzie, to przebaczyć trzeba staremu.

— Ale gdzie zaś, przerwałem, to ja raczej powinienem przeprosić.

— Cóż to było? Czy może jaka płochosć młodzieńca! odezwała się moja matka.

— Jako żywo! Nic zgoła odrzekł wnet pan Hołota. Wszystko owszem szło dobrze; tylko pod koniec godny synalek, śnać romansowy z natury, wdał się trochę w romanse i dalejże w koperczaki do żydów i bronić mi żydostwa. Ale też miał za swoje bo się nawąchał i nałykał pięknych rzeczy do woli, a iżeśmy oba tam byli, więc skoro łaska napiję się chętnie wódeczki. A wyborna! Zaraz widać że nie żydowska; domowa i żytniówka. Więc też żadnej przegryzki. A teraz, to już leć gospodarstwo moje obejrzyć; ziółka a szczebiotki

napoić i nakarmić. Padam do nóg! Całuję rączki! A jeźliby potrzeba było, to proszę na mnie zawołać. Jestem zawsze gotów do posług.

I wyszedł pan Hołota, i podarł się po schodach na poddasze, nucąc sobie półgłosem:

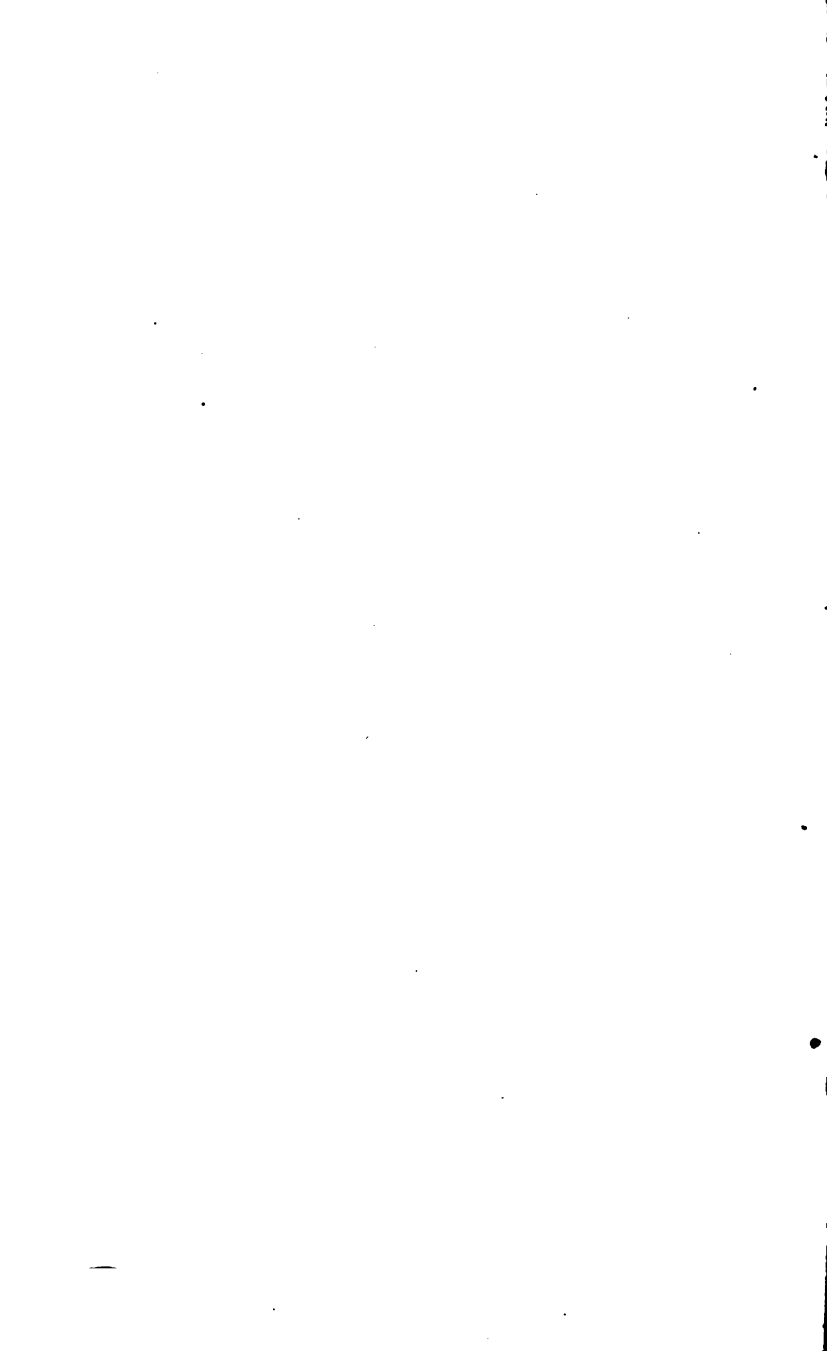
«Wszystkie nasze dzienne sprawy przyjm li-
tośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali, niech Cię nawet sen
nasz chwali.»



WIECZÓR SZOSTY.

SZKOŁY PUBLICZNE WYŻSZE.

CZĘŚĆ II.



WIECZÓR SZÓSTY.

SZKOŁY PUBLICZNE WYŻSZE.

CZĘŚĆ II.

Jak to było po drodze z Lublina do Warszawy? — Ulany i Procesya Częstochowska. — Kurów i Olesin. — Puławy i Włostowice. — Żywot Księdza Grzegorza Piramowicza. — Wesele Mazowieckie. — Wjazd do Warszawy.

«Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie — niegdyś całe życie.»

ADAM MICKIEWICZ.

«O! gdybym śpiewem mógł czucie w granity
Wrączyć i łzami roztworzyć krew ludzi;
Śpiew mój jak obłok ciągnąc przez błękity,
Światby przeleciał zimny, nieużyty,
Łzyby paliły!»

STEFAN GARCZYŃSKI.

Nazajutrz zaraz od rana w dalszą drogę mieliśmy się już puścić; że zaś droga szła na Puławy, więc i krewni i przyjaciele ułożyli sobie spólną znami do Puław wycieczkę. Osobliwa to rzecz, jednakże ta ochoczość w Polakach do zabaw i rozrywek gromadnych. Byle tylko pomysł kto rzucił a wnet wszyscy gotowi i jest już kulik, wyprawa, odwiedziny, polowanie, grzyby,

przechadzka lub przejazdka, tem miłsza i weselsza, im było nie-spodziana.

Gdy przyszło do pożegnań, matka moja chciała koniecznie wynagrodzić sługi p. Hołoty.

Nic w tem rzekł p. Hołota. Nałóg jest drugą naturą, i też dałem nie na wiatr bo sobie samemu słowo, już temu lat dwudziestka. Więc ja ani nałogu ani słowa zmienić nie mogę. Zresztą po co mi pieniądz? Bóg zapłać za chęć dobrą! Lecz jeżeli trzeba koniecznie przyjąć co na pamiątkę, to już przyjmę jedną z tych flaszeczek domowej tabaczki. Jać jej nie zażywam ale ją zażywa mój pocziwy chlebowodawca gospodarz; a że znalazł ją wysmienitą, więc kiedy jej zażyje i kichnie a ja zaś mu powiem: Na zdrowie! to oba sobie Jejmość dobrodziejkę przypomnim. A zaś co do synka godnego, to dość będzie dla mnie nagrody, jeżeli co tu widział lub słyszał utkwic sobie zechce w pamięci, a jak kiedy się zdarzy, to też drugim opowie lub opíše.

Około godziny dziesiątej w towarzystwie przeszło dwudziestu osób płci obojej, młodszych i starszych a wszystkich jednakowo wesołych, ruszyliśmy przez Markuszów, własność sławnych niegdyś Firlejów, do Kurowa własność także w dziejach sławnego Ignacego Potockiego, Marszałka Wielkiego Litewskiego, a probostwa jego przyjaciela od serca i myśli, Księdza Grzegorza Piramowicza.

— A to dokąd? pani Bojarska!

— A to dokąd? pani Szpinalska.

— A to dokąd? panny Białecka i Czaruccka!

— Ho! ho! I stary też Ostrowski i Kostrzewski i sam nawet p. Kasper, z żonkami i z dziećmi w świat gdzieś ciągną gięsięgo.

— A do Puław! do Puław! odkrzyknęło towarzystwo wozowe na te wykrzykniki z okien i z ulic.

— Szczęść Boże! A wesołej zabawy!

I też jechało się wesoło. Wesołe było całe towarzystwo podróżne, wesołe niebo i ziemia, bo na niebie ani jednej chmurki nie było, a na ziemi ani kurzu ni błočka, słowem mówiąc: jechało się wesoło.

Wtem na raz gdyśmy właśnie najręcej, bo jakoś z górki

jechali, odezwały się naprzód głosy męskie: Kurów! Popas! Bigos! —

A potem wnet głosy niewieście: Ułany! Białe ułany! — I istotnie rozwijał się Kurów przed nami i równocześnie postrześliśmy ciągnący ku Kurowu oddział ułanów a do uszu naszych doleciała komenda.

— Baczność! Rotami od prawego! Stępo! Marsz!

I usuwały się ułany na prawo, robiąc w lewo na pół drogi nam miejsce, gdy w tem jakiś trzpiot z któregoś wozu naszego a jużto pewnie trzpiot rodzaju żeńskiego nuż się wyrwie z piosnką:

«Ułany! Ułany malowane dzieci,
A którać dziewczyna z wami nie polecil!»

Ułany oczywiście oczy do wozów, to mię nie zadziwiło ale to już były dla mnie cuda nad cuda: My z Polesia, tamci z Lublina, oni do Kurowa a wszystko znajomi, przyjaciele i bracia.

— A jak zdrowie kapitanie Bogucki!

— A jak zdrowie poruczniku Czechowski:

— Ho, ho! Ho, ho! I porucznik Kalina i Jarzyna i Białecki i Czarnecki, a toż jakby ich zmówił sami znajomi, przyjaciele i bracia.

— Niechaj żyją ułany!

— Niech żyją obywatele.

— Płec piękna niechaj żyje.

A płec piękna na dowód że żyje, dalejże nucić znów z wozów:

«Moja mamó, był tu żołnierz, miał z granatem
biały kołnierz,
Na guziku dwójka była, ach, jakżebym go lu-
biła,
Bógby dał! Bógby dał! żeby żołnierz kochać
chciał! —»

Hej! Ułany! zawołał p. Kapitan Bogucki. Wszak ułany to wdzięczne dzieci! Odpląćcie piosnkę piosenką! A wartko, żartko, hej! po ułańsku! Pierwszy pluton zaczynaj.

I zaczął pierwszy pluton, hej, po ułańsku:

«Nie ma pana nad ułana, a nad Polkę, nie ma
żony,
Bo Poleczki turkaweczki, reszta wszystko
wrony! —»

A potem pluton drugi starą piosnkę ułańską, ale po swojemu już przerobioną:

«Hej, tam na błoniu, ułan na koniu,
Stuku, puku w okieneczko, wstań, wyjdź, pa-
nieneczko,
Wody koniu daj! —»

Zaledwo drugi pluton skończył a już trzeci zaczął:

«Tam na błoniu błyszczą kwiecie, a tu ułan na
wedecie,
Tu dziewczyna, jak malina, niesie koszyk róż.
Stój, poczekaj, luba duszko, dokąd drobną
zbierasz nóżką?
Z tam tej chatki rwałam kwiatki, i powracam
już. —»

Nie ustąpił czwarty pluton żadnemu a więc także z swej strony.

«Piękna Basiu, śliczna Basiu, rączek twych
nie łam,
Bo o Stasiu, lubym Stasiu, dobrą wieść ci
dam.
Poszli nasi do Szkałmierza sprzedać co Bóg
dał,
I słyszeli od żołnierza że Staś wrócić miał. —»

Już do śpiewu da capo pierwszy pluton się gotował, bo gardła stojąc chrząkał, kiedy z lewej strony z pod lasu zaleciał śpiew inny poważny uroczysty i wysunęła się z lasu różno-barwna gromada wieśniaków i wieśniaczek wracających z odpustu z Częstochowy.

— Stać! Ułany! zawołał p. kapitan Bogucki. Lud z Panem Bogiem naprzód!

— A kiedy lud pobożny z chorągwią z krzyżem i z Matką Boską na czele wysuwał się już z bocznej drożyny na gościniec główny;

— Baczość zakomenderował p. kapitan Bogucki.

— Prezentuj broń!

A potem wszyscy razem, lud, obywatele, ułani i dziewczęta na wozach, konno, i pieszo ciągneliśmy do miasta wszyscy razem śpiewając:

«Kto się w opiekę poda panu swemu. —»

Już to podobno całemu światu wiadomo, że ułani do projektów jedyni, więc też zaledwo stanęliśmy w Kurowie, i panowie po miętówce i kalmusówce do bigosu się wzięli:

— A czyż to panie nie odwiedzą ogrodu w Olesinie? rzekł któryś z poruczników. Ogród piękny, angielski; już to pewnie w całej Polsce drugiego podobnego ogrodu nie ma.

— Mamo, ja nigdy jeszcze o Olesinie nie było, rzekła panna Białecka.

— I ja nie, dorzuciła panna Czarnecka. A taki piękny ogród!

— A to trzeba, trzeba pójść do ogrodu, zawołały chórem ułany. I dalejże podawać ten kapelusz pani Szpinalskiej, ten szal pani Bojarskiej, ten mantylkę pani Kostrzewskiej, ten sałopkę, ten parasolkę, że ot jakoś tą razą w pięć minut niepełna, już ułany z mammami i z coruniami ciągną sobie w parach, przez miasto do ogrodu olesieńskiego.

— A toż to z was pokusa, rzecze pani Szpinalska, i jakoby chciała rączkę z pod ramienia pana porucznika wysunąć, ale pan porucznik przytrzymał, i jakoś biedna rączka jeszcze się głębiej pod ramię pana porucznika wsunęła.

— Żebym była malarzem, rzecze pani Bojarska, tobym zaraz djabła po ułańsku odmalowała. A pfe, pfe, pfe! Dajno pokój figlarzu! A to żeby mąż widział. I zapłoniła się pani Bojarska trzy razy.

Wtem weszliśmy do ogrodu Olesieńskiego. Piękny ogród nie ma co mówić. Zieloności wiele drzew, krzewów i kwiatów

mnóstwo, a co najmiłsza i najlepsza, pełno cienia i chłodu, klombów, altanek, kanapek; istotnież jakby djabły lub ulany zakładały ten ogród. Toż ulany chciały gwałtem wprost do ogrodu, lecz odźwierny czyli raczej murgrabia pałacowy, jak się zaczął napierać, a prosić, a przechwalać, że prześliczne rzeczy pokaże więc wstąpiliśmy do pałacu. Wszakże zaraz się pokazało że p. murgrabia nie miał wcale z czem się napierać. Nie było pomiędzy osobliwościami ani laski marszałkowskiej Ignacego Potockiego, którą pukał do porządku wzywając, kiedy 1791 r. przewodniczył sejmowi; ani pióra którym pisał i podpisywał ustawę do spółki z p. Hugonem; ani rękopisów księdza Grzegorza, które wieczorami panu Ignacemu czytywał; ani onej spisanej między nimi umowy, że który pierwszy z nich umrze, ten się temu, jeżeli to w mocy jego będzie w jakiś niewinny i przyjemny sposób pokaże — tylko p. murgrabia jak bąk jaki ciągle nam brzęczał w uszy:

— Oto biczyk Olesia, jedyna z lat dziecinnych p. Koniuszego pamiątka.

— Oto trąbka po Arturku, co to tyle potem okazał sprytu łowczego.

— Oto nożyk i widelec po Guciu, sławnym z sztuki kucharskiej. To świstawka po Morysiu! To pajac po Adasiu! To naczynko po Natalinie! To — —

Dosyć, dosyć będzie dla nas na dzisiaj tych osobliwości, panie murgrabio, schowaj resztę na jutro i dla innych, zawołał któryś ze zniecierpliwionych poruczników, a za fatygę racz przyjąć z łaski swojej — — i zaraz mu wsadził w łapę coś tak ciężkiego że p. murgrabia dziękując aż do samej ziemi się schylał.

To nie p. Hołola, pomyślałem sobie i to nie lubelskie pamiątki. Odbiję ja to sobie w Puławach.

— Do ogrodu! do ogrodu! wołali porucznicy teraz i zeszliliśmy skacząc po schodach prost do altany w cieniu drzew rozłożystych, a do której ledwośmy weszli, wnet zabrzmiała ukryta w przybocznym klombie muzyka, a tak hucznego i skoczego mazura, że jakoś naprzód jedna nóżka pani Bojarskiej a potem za nią druga; a potem obie nożki pani Szpi-

nalskiej, zrazu zwolna, potem coraz to żywiej i już tniem sobie wszyscy mazura, że się aż pewnie patrząc na to z nieba weselili anieli. Tańczył zaś p. Jarzyna z panią Bojarską, p. Kalina z panią Szpinalską, p. Białecki z panną Czarnecką, p. Czarnecki z panną Białecką; mnie się jakoś pani Kasprowa dostała, a że było wtenczas w stanie poważnym, więc ułani powiadali żartując: że jednakże Akademik najmędrzy, bo naraz z dwiema tańcuje.

Żebyż się to na tem skończyło. Ale gdzie zaś? Wtedy to przekonałem się naocznie: co mogą sztuki ułańskie. Bo za ledwo muzyka ucichła i dziewczęta zaczęły sobie chusteczkami czoła z trudu, a chłopcy nosy z kurzu wycierać, a przytem dla odpoczynku przechadzać się dokoło, aż tu wnoszą ułany na tacach: ciasta, cukry, pomarańcze, limonady, orszady, lody dla ochłody, i tuż obok dla rozgrzania lodów maderki i likierki, że aż słońce takimi łakociami i przysmaczkami znęcone spuściło się ku ziemi i na piękne ku zachodowi się miało.

Kiedy tak nie traci darmo czasu towarzystwo żeńskie w ogrodzie, tymczasem p. kapitan Bogucki zawsze dbały o utrzymanie ułańskiego honoru, podejmował jak najgościnniej towarzystwo męskie, przy pomocy czcigodnego księdza proboszcza i szanownego burmistrza miejscowego, u którego p. Kapitan stał był kwaterą a którzy w trójcy takiej łącząc zespolenie władzy wojskowej cywilnej i duchownej, stanowili: omne trinum perfectum ówczesnego Kurowa. Bawiły się więc dobrze panny, panie i młodzież w ogrodzie olesińskim, i bawili się dobrze mężowie ojcowie i starzyzna w domu p. Burmistrza i wszystkim czas tak mile i tak szybko upływał, że kiedy jednakże pierwsza płeć piękna zachodzącem słońcem spłoszona powracała do miasta:

— A to już panie z powrotem! zawołał p. Ostrowski.

— Myślałem że to dalej ten ogród Olesiński! dorzucił p. Kostrzewski.

— Ani mi przez głowę przeszło, żeby już tak późno być miało! rzekł p. Kaspar, po raz pierwszy od rana patrząc na swój zegarek.

Późno i nie późno! odpowiedziały na to figlarne zawsze

ułany. Niepóźno na Kurów czyli nocleg w Kurowie; późno na Puławę czyli dalszą drogę do Puław.

— Ale przecież tu nie będziemy nocować, rzekła pani Bojarska, to już lepiej powracać do Lublina.

Co lepiej! Dla czego lepiej? zawołał p. Bojarski. Ja z mej gęby pieca ciepłego i zimnego nie zrobię. Powiedziałem w Lublinie że jadę do Puław, więc nie wrócę do Lublina jak z Puław.

— Ale dzisiaj, mężuleczku, już za późno do Puław.

— To pojedziemy jutro.

— Lecz tymczasem gdzie będziemy nocować?

— Mnie już na noc zaprosił p. Burmistrz, a Acani nocuj sobie u pani Burmistrzowej.

— Ależ mężuleczku zapominasz że p. Burmistrz kawaler.

— Dajże pokój i nie sprzeczasz się z mężem, szepnie pani Szpinalska. Jużcié Bóg miłosierny! Znajdą się i w Kurowie ludzie gościnni, co przecież biednym kobietom nie odmówią noclegu.

I stanęło po ogólnej naradzie, że ponieważ dzisiaj do Puław już zapóźno, a wracać do Lublina nie można, więc wszyscy zanocują w Kurowie czyli panowie mężowie i ojcowie przez noc całą pić będą u Burmistrza a zaś panie i panny całą noc będą z ułanami tańcować.

— Zgoda! zgoda! Ślicznie, prześlicznie, wołano ze stron wszystkich.

— Dawaj wina!

— Tnij mazura!

— Wiwat hura! Wiwat mazura.

I nie były to wołania na puszczy, bo wnet polało się wino i potoczył się mazur, i tak się to już lało i toczyło aż do dnia białego nazajutrz.

A nazajutrz! A nazajutrz znowu trzeba było poczekać i przeczekać aż się wszystko przespało i wyspało, wypoczęło i odpoczęło, wytrzeźwiło i znowu podchmieliło; aż za ledwo znowu nad wieczorem przypomniał ktoś sobie i podobno ksiądz proboszcz, który że nazajutrz przypadała niedziela, miał z kazaniem jechać do Puław, żeśmy także miele jechać do Puław.

— A to prawda, zawołał pan Bojarski, uderzając się w czoło.

— Ależ dzisiaj mężuleczku już późno, rzeczce pani Bojarska.

— Co późno! Dla kogo późno. Dla mnie nigdy zapóźno. Jadę! jadę! I dalejże wołać z całego gardła: Bartek! Bartek zaprzęgaj!

— Ależ panie Bojarski! pocznie czule pan kapitan Bogucki.

— Oho! Słowo się rzekło, panie kapitanie. Ja być muszę w Puławach. Ja nie wrócę do Lublina z Kurowa! A to pięknie byłoby! Bartek! Bartek zaprzęgaj! Gdzie moja czapka i laska? —

— Ależ łaskawy dobrodzieju Bojarski! rzeczce znowu pan Burmistrz biorąc z'przyjaźnią i z uszanowaniem pana Bojarskiego za obie ręce: Czy się godzi tak miłe towarzystwo rozrywać!

Oho! Nie skusisz p. Burmistrzu. A iżbyście wszyscy wiedzieli iż mię nie odwiedziecie, więc wam klnę się jak oto ten palec na palcu, tak jak pana Boga i żonkę moją kocham, jadę dzisiaj do Puław. Bartek! Bartek! Zajeżdżaj!

Po takim zakłęciu się już nie było sposobu na p. Bojarskiego, lecz że upor jednego nie zobowiązywał innych, więc znowu po ogólnej naradzie stanęło, że to już najlepiej będzie jeżeli młodzież z kobietami pod opieką księdza proboszcza i pana Bojarskiego pojedzie sobie do Puław, a zaś starszyzna oraz matka moja z paniami Ostrowską, Kostrzewską i z innymi matronami któreby to wołały, pozostaną w Kurowie a jak tamci z Puław powrócą to już wtenczas na prawdę jedni z p. Bojarskim pojedą do Lublina a drudzy do Warszawy lub gdzie sobie kto zechce.

I znowu zawołano: Zgoda! zgoda! Ślicznie prześlicznie! I wnet starszyzna do kielichów a zas młodzież raz jeszcze wykręciwszy się strzemiennego dalej do powozów i bryczek i tak po księżycu wieczorem ruszyliśmy pod noc taborem, że właśnie wjeżdżaliśmy do Puław, kiedy kury na świt piąć zaczynały.

Puławy! Piękne śliczne sławne widokami Puławy! A my do

nich przybywszy po ciemku. Żal mi było tej straty; bo lubo mało jeszcze podróżowałem był po świecie to już wiedziałem że widoki należy oglądać z przodu i stopniowo przybliżając się do nich a nie zaś już na miejscu, ani się oddalając czyli w tył się zwracając; że więc chociaż po dniu oglądać i opuszczać mogę Puławy, już tej sobie nie wynadgrodzę straty.

Nazajutrz po mszy rannej ruszyliśmy razem wszyscy przed pałac. Ogromna i wspaniała budowa, bijące przed nią wytryski, rozstawione posągi, odwieczne drzewa dały nam od razu wyobrażenie cudów które tam wewnątrz mieliśmy podziwiać. —

Przed bramą zawsze dla wszystkich gości otwartą a nad którą był napis *Ducite sollicitae hic jucunda oblivia vitae!* weszliśmy do ogrodu, i natychmiast zbliżył się ku nam poważnie w czarnym fraku i w czarnych spodniach ale w białej kamizelce i w białej chustce, rumianny, dobrej tuszy jego — mość, który trzymając kapelusz w rękę i kłaniając się nisko i ciągle, oświadczył że z wyższego rozkazu będzie nam służył za przewodnika i tłumaczydła, i tak też zaraz począł.

Na tej tam wyniosłości jak ta z drzew odwiecznych kończy się aleja widzą państwo Świątynię Sybilli. Jednato z najpóźniejszych osobliwości puławskich a jednakże wewnątrz jej mieści się przeszło dziesięć wieków całych. Co do początku ogólnego Puław, różne są podania i wieści, lecz to pewna, że przy końcu wieku XVI były w posiadaniu rodziny Tęczyńskich, potem przeszły na własność Lubomirskich, potem Sieniawskich a spalone ze szczętem przez Szwedów tak że po stosie gruzów i popiołów wskazywano tylko ich miejsce, przeszły 1750 r. przez zaślubienie się Zofii Sieniawskiej, ostatniej swego rodu z Aleksandrem Czartoryskim, w posiadanie rodziny Czartoryskich, i ich to staraniem jak ów Feniks z swoich popiołów wzniosły się znowu Puławy które dzisiaj z najpierwszemi rezydencjami królewskimi rywalizować mogą. Trzeba bo też przyznać że okolica jedna z najpiękniejszych na jakie zdobyć się może przyroda nie była niewdzięczną rolą. Najwspanialsza i największa z rzek pol-

skich, liczne strumienia do niej spieszące, odwieczne drzewa, gaje, góry, skały, grotty, wąwozy, doliny, dziwnie przyjemnym sposobem dopomagały sztuce, gustowi i kosztom do stworzenia tych cudów.

Przeszedłszy długą i szeroką ulicę z drzew wyniosłych stanęliśmy u podnóża świątyni na wzór Sybilli tyburtyńskiej w Tywoli, w cieniu drzew i krzewów na wzgórzu zbudowanej, i zaraz z ponad drzwi wchodowych uderzył nas napis: *Przeszłość Przyszłości!* tłumaczący od razu i wyraźnie jej przeznaczenie. Świątynia ta składa się z dwóch części: dolnej i górnej, z których dolna służąca niby tylko za podstawę górnej przedstawia obraz najzupełniejszej prostoty i skromności, a zaś górna otoczona kolumnami doryckiego porządku zadziwia najwyszukańszymi przepychem z wykwintnością — obie zaś przepelnione były mnóstwem pamiątek narodowych, zaczynając od najdawniejszych aż do czasów ostatnich. Tam więc były po ścianach lub przy ścianach w najpiękniejszym rozwieszono lub ustawiono porządku różne proporce oraz chorągwie narodowe lub też w bojach zdobyte królewskie berła, hetmańskie buławy, marszałkowskie laski, biskupie pastorały, tarcze, zbroje, strzały, sajdaki, palne strzelby różnej wielkości i rozmaitego rodzaju, a zaś w szafach albo na szafach posągi i popiersia marmurowe i alabastrowe oraz nieprzeliczone i nieocenione kosztowności ze srebra złota pereł, kamieni kryształów, porcelany, jako pamiątki po różnych płci obojej narodowych znakomitości. Do najdroższych i najosobliwszych należały: koście Bolesława W^{śo} w urnie białego marmuru pochowane; — Popiersie Bolesława wstydlwego z jednej sztuki koralu odrobione; — Pałasz Władysława Łokietka którym gromił licznych swych nieprzyjaciół — Stół Kazimierza W^{śo} na którym pisał i podpisał Statut Wiślicki; — Chorągiew szyta ręką królowej Jadwigi pod której znakiem Władysław Jagiełło zbił na głowę Krzyżaków; — Łańcuch tejeż Jadwigi przez długie czasy największa ozdoba i najpierwsza oznaka rektorów Akademii Jagiellońskiej Krakowskiej; — Dwa miecze nadzwyczajnej wielkości, przesłane w żarcie przez Mistrza Krzyżackiego Władysławowi Jagielle w wilię bitwy pod Grunwaldem, a któremi ten naprawdę pobił Mistrza

nazajutrz; — Zbroje, miecze, hełmy i łańcuchy po różnych Jagiellończykach, po Zygmuncie Starym, po Zygmuncie Auguste, po Albercie, Aleksandrze i innych; Pałasz Stefana Batorego przesłany mu w darze przez Papieża Grzegorza 13^{go}; — Liczne łupy, zdobyte przez Jana Zamojskiego na Austryakach, i przez Jana Sobieskiego na Turkach; — Pałasz i zbroja hetmana Tarnowskiego; — Popioły Kopernika; — Czaszka Jana Kochanowskiego, i czaszka hetmana Żółkiewskiego wykupiona od Turków przez żonę jego za niesłychaną na one czasy sumę 200,000 dukatów; — Lewa ręka hetmana Czarnieckiego i hetmańska jego buława, oraz kielich kryształowy pysznego rżnięcia z wyrażeniem jego zwycięstwa nad Szwedami pod Kopenhagą, dany mu przez króla Duńskiego na pamiątkę wdzięczności; — tarcza herbowa i pierścień hetmana Chodkiewicza, i nieprzeliczone mnóstwo różnych innych pamiątek z czasów późniejszych, saskich, Leszczyńskiego, Poniatowskiego, konfederacyi legionów i wojsk napoleońskich.

W niewielkiej odległości od świątyni Sybylli była druga świątynia od stylu swej budowy: Domkiem Gockim zwana, a przeznaczona na przybytek osobliwości obcych, takich wszakże wyłącznie które swoim widokiem przywodziły do pamięci udział polski w sprawach innych narodowości. Były tam więc kule z pól amerykańskich i tym podobne pamiątki z Egiptu, z St. Domingo z Hiszpanii, Włoch, Niemiec, z Wyspy Elby i z wyspy St. Heleny, słowem z całego świata starego i nowego. To też nad drzwiami wchodowymi do tej świątyni położony był napis: *Sunt lacrymae rerum et mentem mortalia*, a zaś wewnątrz na prost drzwi: *Oby te łzy zmieniły się w pociechę*.

Z kolei przeszliśmy do pałacu a przebiegając one liczne a ogromne, długie, szerokie, wysokie, od złota, szkła, kryształów, zwiercadeł, malowideł, marmurów i alabastrów połyskujące sale: Co też to za harda, dumna i rogata dusza, pomyslałem sobie, musi być w tym zaściankowym i chodaczkowym szlachcicu, kiedy chodząc po tych pysznych komnatach a jednak: Szlachcić na zagrodzie równy wojewodzie, rzeknie w duchu sobie.

Z biblioteki, którą przebiegliśmy szybko lecz nie bez zadziwienia na widok tylu tysięcy ksiąg, tomów, książek, rękopisów i życia, i ze skarbcu stołowego, w którym znowu widok tylu widelców, łyżek, nożów, waz, półmisek, salaterek, talerzy, filiżanek, lichtarzy, szklanek, pucharów, kielichów, kieliszków, i butelek, a wszystko srebrnych lub złotych, kryształowych lub porcelanowych, z cyframi, herbami, rzeźbieniami i malowaniami kosztownymi — tylu serwet, obrusów że mógłbyś niemi przykryć całe pola kilku tęgich zaścianków, do reszty w osłupienie nas wprawił, zeszedliśmy do ogrodu, pomiędzy drzewa, krzewy, klomby, szpalery, kwiaty, trawniki, wody, strumienie, łabędzie, jelenie, sarny, słowiki; — a kiedyś znowu to wszystko i altany i labirynty i skały i jaskinie i grotty na ziemi i pod ziemią, zwiedzili, wyszliśmy tąż bramą którąśmy weszli, ale nie tak jakeśmy weszli, bo pół bramy zajął nasz poważny przewodnik i każdemu i każdej po kolei tak wymównie się kłaniał i tak zręcznie rękę podstawił że nikt wymówić się nie zdołał i dalejże każdy i każda do woreczków i do kieszonek a ja znów pomyślałem sobie: I to także nie pan Hołota.

Po tak długiej po woskowanych posadzkach i po zwirowanych drogach przechadzce wszyscy uczuliśmy się zmęczeni; że jednakże ksiądz proboszcz był już po kazaniu i po niesporach, a pan Bojarski słowa: że był w Puławach mógł już z czystym sumieniem do Lublina powracać, więc się posiliwszy na prędcę znowu pod noc wieczorem ruszyliśmy z całym taborem z powrotem do Kurowa.

Przypadek zdarzył, że kiedyśmy jak kto mógł a raczej jak kto sobie życzył a był zręczniejszy i szczęśliwszy rozsadowiali się po wozach, ja zostałem bez miejsca i już prawie myślałem że trzeba będzie na piechotę się ofiarować, bom po to tylko jak postrzelony wprzód i w tył od wozu do wozu gonił, żebym się przekonał że wszystkie były zajęte, gdy wtem z wozu już ostatniego odezwał się głos litościwy:

— A to widzę, Akademik na koszu! Siadajże z nami! A spiesz się, bo jakoś transport wymyka się eskortcie!

Nie dałem mówić sobie dwa razy i jednym susem byłem już na wozie naprzeciw księdza proboszcza i pana Bojarskiego.

Noc była piękna jasna i pogodna, księżyc w pełni srebrnym swym blaskiem uroczco oświecał okolicę. Cisza panowała dookoła, tylko od przodu słychać było warczenie kół pędem lecących, a po bokach hukanie nocnych pasterzy, derkanie chruścieli po łąkach, wabienie się przepiórek i kuropatw, śpiewy słowików w zaroślach po nad Wisłą i gdzieś tam w dali krakanie dwóch ze sobą rozmawiających stawów.

— Śliczna noc! rzekł pan Bojarski. Pomnę ach, pomnę, taka noc była jak dzisiaj kiedym już na zawsze pierwszej mojej żonie miłość przysięgał — i było też to w Sierpniu. A którego Sierpnia dzisiaj mamy?

— Osiemnastego.

— 18^{go}! Czy to być może!

— 18^{go}! I przytem Ś^{go} Anastazego.

— Ś^{go} Anastazego! A to dziwne zdarzenie! O głowoż ty głowo jakże twemu rozumowi daleko do przecucia serca. Oj wiem już teraz co mię tak ciągnęło wczoraj do Puław. A to właśnie, księże proboszczu dzisiaj rocznica jak we Włostowicach pod Puławami, na opowiedzi wyznałem się księdzu Piramowiczowi, że mię ojciec chce gwałtem wy kierować na księdza a ja zaś na zabój kocham się w mojej Basi, i już jej na pana Boga się zakląłem a iż jej nie opuszczę do śmierci. — «Lepiejże dotrzymać słowa Basi i Bogu» rzekł mi na to ksiądz Piramowicz «i być dobrym mężem aniżeli zostać krzywoprzysięzcą i być kiepskim księdzem.» I nieprawdaż księże proboszczu, że ksiądz Piramowicz dobrze mi radził, szkoda tylko że go Bóg tak wczesnie powołał do chwały swojej, bo tego onby pewnie mi nie poradził, żebym po dwudziestu latach najszczęśliwszego z pocziwą żoną pożycia żenił się potem z drugą.

— Dobrze radził, odrzekł ksiądz proboszcz, bo już to nikomu on źle nie radził, choć nie zawsze jedno radził każdemu. Mnie naprzykład całkiem radził przeciwnie, i rzecz dziwna że to dzisiaj także temu rocznica, a więc nam obu może dnia jednego radził. I jać także byłem kiedyś młody i wolny ale panna wolała bogatego i mnie dała odprawę. Zawiedziony w miłości niewieściej, obrażony w miłości własnej że to przytem głośne było po okolicy, odchodziłem od zmysłów i bez

wiedzy co robię opuściłem dom rodzicielski, puszczając się w świat bez myśli i bez celu aż przechodząc przez Puławy i Włostowice wstąpiłem też do kościoła, i nie wiem jak to się stało, lecz to wiem że tej myśli wchodząc nie miałem, że znalazłem się przy spowiedniej kratce i całe me cierpienie wypowiedziałem spowiednikowi. Słuchał on mię przychylnie i cierpliwie i wiele pytań zadawał, a na które gdym mu w skrusze a w szczerości odpowiadając wszystko już wypowiedział z pod serca: — «Daj pokój» rzekł «tym lamentom miłośnym, moja duszo stroskana; podziękuj raczej Bogu że cię od tej wybawił niedoli. Chcesz kochać? Kochaj Boga i bliźnich. Wielka to miłość i za wszystkie miłości na wszystkie czasy wystarczy. Więc jeżeli już zbyt pilno w świat dalej, to bądź u mnie jutro na probostwie w Kurowie, bo ja tutaj gościna tylko jestem.» Zrobiłem jak polecił ksiądz Piramowicz, bo był nim mój spowiednik, i nazajutrz byłem na probostwie w Kurowie, i temu to przypadkowi winienem, że przywdział suknię duchowną, i że dziś jestem na probostwie w Kurowie.

— Dziwne, dziwne zrządzienia, zawołał pan Bojarski. Poczciwy ksiądz Piramowicz. I że też nie zdarzyło się dotąd słyszeć szczegółów o świętobliwym a ludziom i ojczyźnie tak wielce pożytecznym żywocie jego. Ksiądz proboszcz musi przecież je wiedzieć.

— Wiem trochę lecz nie tyle ile radbym i warto, bo był to człowiek nadzwyczajnie skąpy w słowach o sobie.

— Ależ bo ja nic a nic nie wiem; więc jeżeli łaska to posłucham ciekawie a nie zawadzi że i Akademik coś dobrego się dowie.

— Dobrze! Chętnie powiem co mi wiadome, odrzekł zaraz ksiądz proboszcz i na chwilę się zamyśliwszy podniósł oczy do góry, jakby tam w górze szukał wątku swych myśli, i tak potem prawie nam począł:

— Ksiądz GRZEGORZ PIRAMOWICZ urodził się w Lwowie 1735 r. z rodziców stanu kupieckiego. W szkołach jezuickich za onego czasu bardzo w Polsce kwitnących, rozwinęły się pomyślnie przyrodzone jego zdolności. Rodzice sami kupcy chcieli wykierować syna na kupca ale młodemu Grzegorzowi

się zdało że najlepiej przed Bogiem kupczyć będzie, jeżeli Ludzkości życie swoje poświęci, a stan kapłański zdawał mu się ku celowi takiemu najwłaściwszą służbą.

— Skąd ci w głowę wzięło Grzegorzowi to Dominum Vobiscum! rzekł mu razu jednego ojciec. Tobie się pewnie zdaje, że życie księże to spokojność i rozkosz. Ksiądz mszę świętą odprawi myślisz sobie, i już potem wolny jak ptaszek. Otóż grubo się mylisz, bo jeźliby ksiądz chciał swój obowiązek święcie podejmować i wykonywać, to nie byłoby pod słońcem obowiązku uciążliwszego. Człek się rodzi, po księdza. Człek się żeni, po księdza. Człek duszę Bogu już oddał, trzeba pochować, po księdza. Ciężko sercu, mąż z żoną się powaśnił, więc na zgodę do księdza. Sąsiad zadarł z sąsiadem, więc na sprawę do księdza. Gdzieś odpust w okolicy lub pogrzeb, ksiądz ze mszą, z kazaniem, albo z mową na okolicę. Chłop chałupę albo stodołę zbudował, baba prosię albo kołacz upiekła, trzebaż księdza do poświęcenia. I tak dalej bez końca w dzień i w nocy bez wytchnienia i bez wypoczynku: ksiądz księdzem, ksiądz sędzią, ksiądz radcą, ksiądz powiernikiem, ksiądz doktorem ciała i duszy.

To też właśnie dla tego ojciec rzekł młody Piramowicz, że to służba najcięższa pewnie też jest ona Bogu najmiłsza i gdybym znał inną cięższą jeszcze a ludzkości pożyteczniejszą, wnet bym się nią zgodził.

Jakoż wkrótce wszedł do zakonu Jezuitów we Lwowie, a odbywszy święcenie kapłańskie został tamże nauczycielem naprzód w klassach niższych a potem w klassach wyższych: retoryki i poezji.

Niewiela potrzeba było czasu, żeby gruntowna jego nauka, przenikliwy a wesoły dowcip w rozmowach, przyjemna i uprzejma grzeczność w pożyciu a przytem nieposzlakowana obyczajność zjednały mu przyjaźń i szacunek powszechny, tak że go sobie na wszystkie strony wrywano, a on wszędzie szedł chętnie, i gdzie grają, i piją, i śpiewają, i skaczą, i gawędzą, i polują, a wszędzie szedł dla tego, ażeby tam być wzorem wstrzemięźliwości, przyzwoitości, obyczajności, a przytem drugich od zbytków i od złego mądrymi a miłymi słowami i radami odwodzić.

Gdyby tę tylko do spełnienia w społeczeństwie zadał być sobie Piramowicz powinność, jakby życie jego pełnem być mogło niepospolitej zasługi, ale daleko sięgający umysł i mocno czujące serce jego nie przestawały na tem.

Właśnie około tego czasu ważyły się losy jego ojczyzny bijącej się z myślami jak wyjść z tego stanu rozprzężenia i niedołęztwa, w które ją opuszczenie się przez lat wiele i rozpusta Sasów wtrąciły. Różne były zdania. Piramowicz wręcz twierdził, że jedyną dźwignią do utrzymania narodu jest ludu jego oświata. «Nie będzie dobrze u góry» mówił jednego razu do króla «dopóki na dole nie będzie dobrze. Co po piętrze pięknie wybudowanem, gdy na słabej stoi podstawie. Prędzej czy później piętro runąć musi, i rumowiskami swemi dół przywali jeszcze; a z pod których zanim ten się zdoła wygrzebać, wiele wody w Wiśle upłynąć może.»

Tą zajęty myślą począł szukać sposobów ku jej wykonaniu. Plan miał w głowie gotowy ale brakło materiałów. Dziwnaż rzecz że jak tylu innych ludzi na świecie tak i on przypadkowi czyli mówiąc może właściwiej rządzeniu opatrności winien myśli swoich poparcia.

Zdarzyło się, że około tego czasu trzech braci Potockich puszczalo się na zwiedzenie krajów zagranicznych, a na których przewodnika i opiekuna w podróży ojciec ich upatrzył i umówił księdza Piramowicza. Takt w postępowaniu sprawił, że ci wszyscy trzej bracia nie tylko ani nadzorczej i rządzącej władzy swego przełożonego nie czuli, ani też on trudności dozorowania i rządzenia, lecz że dwóch z nich po kilkoletniej podróży po Francyi i Włoszech przyjęli za poradą jego święcenie kapłańskie i jeden z nich — Kajetan, był później kanonikiem Gnieźnieńskim i Krakowskim, a zaś drugi — Paweł, doktor obojga prawa, proboszczem na Podolu w Buczacu.

Zaledwo w Rzymie poznali Piramowicza towarzysze jego zakonni, wnet go sobie wybrali za mistrza i profesora teologii moralnej. Pływały więc chwile Piramowicza w Rzymie rozdzielone między starania o własną i o drugich naukę, lecz ani wiadomości, któremi tam wzbogacał swój umysł, ani

sława którą zdobył swe imię, ani nadzieje, jakie sobie zakładał na swych dwóch wyświęconych już wychowawcach, nie były tyle po jego myśli ile zawiązanie ścisłej i serdecznej przyjaźni z bawiącym w Rzymie podówczas Ignacym Potockim, a która odtąd wywarła wpływ przeważny na całe życie jego i której sobie nawzajem oba dochowali do śmierci.

Za powrotem do kraju wrócił także Piramowicz do swych poprzednich zatrudnień, i był we Lwowie nauczycielem filozofii, a przytem kaznodzieją przy tamecznej arcykatedrze. W krótkce jednak oderwał się od tak chwalebnej i pożytecznej pracy, ulegając głosowi ludzkości i przyjaźni a może i popędowi ulubionej swej myśli wyszukiwania ludzi i środków, gdy Adam Rzewuski, opat węgrowski, dotknięty chorobą i niemocą uprosił go na swego towarzysza i opiekuna w podróży do kąpiel zagranicznych. Wszakże ta podróż nie uratowała od śmierci Rzewuskiego, a długa i ustawiczna o zdrowie jego troskliwość nadwątlila Piramowicza. Oddawszy ostatnią usługę zmarłemu przyjacielowi, powrócił strapiony, znużony i zmęczony 1772 r. do ziemi rodzinnej właśnie w chwili gdy znoszono po całej Polsce zakon Jeuzitów.

Tak więc od razu znalazł się Piramowicz bez strzechy, bez zatrudnienia i sposobu do życia, zwłaszcza że równocześnie majątek jego rodziców wielkiego doznał uszczerbku. Szczęściem ze stratą wszystkiego co był sobie zeskarbił pracą, została mu przyjaźń zdobyta sercem, a na odgłos której zmienił się znowu los jego. Wezwany a raczej najczulej zaproszony ze Lwowa do Warszawy, do domu Ignacego Potockiego, nie sądził, aby mu wolno było pędzić beczynnym życie, które tak gorąco chciał całkiem dla ludzkości poświęcić. Przyjął więc ofiarowane sobie probostwo w Kurowie, gdzie nie tylko był najprzykładniejszym pasterzem, ale najgorliwszym i niespracowanym nauczycielem, opiekunem i dobroczyńcą powierzonej sobie owczarni. Nie tylko wchodził w potrzeby i z pomocą przychodził, ale idąc albo jadąc z chaty do chaty, usty własnymi gospodarza gospodynię i' dźwiatwę ich nauczał jak na przyszłość od nieodostatku się ustrzedz, jak do domu porządek i ochędóstwo wprowadzić, pole sprawić, lasek za-

sadzić, jak w chorobie sobie i dohytkowi radzić; — a kiedy wrócił do domu, tedy w nocy jak we dnie, drzwi jego zawsze stały otworem dla wszystkich szukających rady albo pomocy. Szły więc pod sąd jego nie tylko te domowe niesnaski, których serce najlepszym jest sędzią; lecz i te spory i waśnie, które chciwość i interes obudza, a które chociaż polubownie tylko rozsądził, wyrok jednak przezeń wydany był zawsze bez sarkania przyjęty i święcie szanowany i dochowany. Miały w nim przytem opiekuna wdowy i dzieci osierocone, a ubodzy chorzy i kalecy w domach przytułku i szpitalach przez niego założonych urządzonych i utrzymywanych, znajdowały gotowe opatrzenie i wyżywienie. Szczególniej wspaniały i uderzający przykład czynności i litości rozwinął ksiądz Piramowicz gdy przeszło połowa miasteczka którego był pasterzem okropnym ogniem spłonęła i mnóstwo ludzi bez dachu i sposobu do życia pozostało, a on wszystkim natychmiast zapewnił przytułek i wyżywienie; zgoła, tylu starań dołożył, że w jednym niespełna roku, odrodziła się z popiołów jego owczarnia, tak że śladu klęski w niej nie pozostało; owszem wygodniejsza i piękniejsza stanęła.

Przekonany, że oświata jest najprostszą drogą do szczęścia, sam założoną przez siebie szkołkę utrzymywał, dozorował a nawet w chwilach wolniejszych sam był jej nauczycielem. To też nie trzeba było podmowy ani przymusu; rodzice posyłali chętnie dzieci do szkoły, młodzież płci obojej zbiegała się ochoczo do szkoły i uczyła się pilnie, tak jak ochoczo ludność całej okolicy schodziła się i zjeżdżała się do kościoła na nabożeństwo i słuchała pilnie wykładanego przezeń słowa bożego. Posiadał bo też ksiądz Piramowicz dar szczególniejszy wykładu i wymowy. Głos wdzięczny i donośny, wykład prosty i jasny, ruchy miłe i naturalne, prawdy bijące i właściwie zostósowane, a co jeszcze podnosiło urok i wpływ tych zalet że mówił zawsze z pamięci, i najczęściej bez żadnego przygotowania. Zajęty przedewszystkiem pożytkami moralnemi swojej owczarni, nie zaniedbywał jednakże ten dobry pasterz i zewnętrznej okazałości. Kościół jego był na całą okolicę najporządniejszy, czystość w nim wzorowa, organy doskonałe, organista do nich wyborny, śpiewy

nawet zgromadzonego ludu na głosy ułożone i wyuczone.

Za utworzeniem komisji edukacyjnej jako zarządu czuwać mającego nad wychowaniem publicznem, Piramowicz został wezwany na jej Sekretarza, a przyjąwszy ten urząd mozolny i niezmordowanej wymagający czynności, godnie odpowiedział zaufaniu w niem położonemu, i nietylko utrzymywał całą korespondencję krajową i zagraniczną, stósunki ze stowarzyszeniami i pojedynczymi uczonymi mężami, tłumaczył wolę postanowienia i rozporządzenia komisji, przestrzegał aby te wszędzie należycie rozumiane i spieszenie wykonywane były; nie tylko do wszystkich narad komisji należał, sam układał i pisał ustawy i sprawozdania doroczne, ale nadto, jako sekretarz towarzystwa do ksiąg elementarnych był jednym z najpracowitszych jego członków; w tydzień zgromadzał ich w swem pomieszkaniu, przewodniczył posiedzeniom i sam pisał dzieła elementarne godne po dziś dzień, aby były w rękę wszystkich nauczycieli i uczniów. Dzielilo się więc odtąd życie Piramowicza pomiędzy obowiązki edukacji publicznej, narodowej, ogólnej, które przez część roku zatrzymywały go w stolicy, a obowiązki pasterza i nauczyciela parafii swojej, którym część drugą roku poświęcał — tak że zwykle zimę odtąd przepędzał w Warszawie a zaś lato w Kurowie.

Od 1795 r. począł znacznie zapadać na zdrowiu, a szczególnie na wzroku, ciężką i długą osłabionym pracą; umiał atoli i w tych chorobliwych dolegliwościach zachować zwykłą sobie rzeźwość umysłu, przyjemny humor, doskonałą pamięć i zdrową w potrzebie radę. Skromny zawsze w życzeniach, nielubiący wystawy i przepychu, nie wzdychał za wyniesieniem ani tytułami i zaledwo na usilne nalegania Augusta Czartoryskiego przyjął zarząd probostwa Międzyrzeckiego, nie ażeby na nim zbijać dostatki lecz ażeby je na wzór probostwa Kurowskiego urządzić. Wszakże nie długo się już na tem nowem przeznaczeniu mozolił, bo tknięty apopleksyą 1801 r. 29. Grudnia, w 67^{ym} roku wielce ojczyźnie i ludzkości zasłużonego życia swojego przeniósł się do wieczności — uprosiwszy poprzednio swych przyjaciół, aby zwłoki jego

spoczęły obok zwłok matki w ulubionym przezeń Kurowie.

Nie zostało po Piramowiczu wiele prac drukowanych; wcieliły się one w największej części w ustawy i przepisy komisji edukacyjnej; te zaś które oddzielnie drukiem ogłoszone zostały, będą zawsze szacownym zabytkiem piśmiennictwa naszego; — do tych rzędu należą:

1. Bajki Fedra, Lwów, 1767 r. w tłumaczeniu polskiem z tekstem obok łacińskim i liczbami nad każdym wyrazem porządek gramatyczny oznaczającemi, oraz z dwoistem tłumaczeniem francuskim i z polskimi objaśnieniami wyrażen' zawiakniejszych.

2. Dykcyonarz Starożytności dla Szkół Narodowych, Warszawa 1779 r. z polecenia komisji edukacyjnej wydany, a do zrozumienia autorów starożytnych rzymskich i greckich przeznaczony.

3. Powinność Nauczyciela mianowicie w Szkołach Parafijalnych, Warszawie 1787 r. Dzieło również przez komisją edukacyjną poleczone i zatwierdzone a obejmujące nieoszacowany zbiór uwag nad sposobem dawania dzieciom nauk początkowych i zaszczepienia w młodych sercach prawideł moralności i cnoty.

4. Wymowa i Poezya dla Szkół Narodowych, Kraków 1792 r. Dzieło z polecenia także komisji edukacyjnej i przez nią zatwierdzone a będąc podobno najważniejszą i najobszerniejszą pracą autora, w którym streścił i piękną polszczyzną przedstawił zasady Arystotelesa, Cycerona, Kwintyljana, Rollena i innych mistrzów słowa.

5. Nauka Obyczajowa dla Ludu, Warszawa 1798 r. Dziełko jak wszystkie poprzednie przez komisję edukacyjną poleczone i zatwierdzone, a dla szczególnego użytku szkół wiejskich i pożytku włościan przeznaczone, i przetoż oprócz świętości i czystości zasad odznaczające się wykładem bardziej do serca aniżeli do rozumu przemawiającym.

6. Mowy czyli Sprawozdania z czynności Towarzystwa Elementarnego w latach 1779, 1781, 1782, i 1783 r. na dorocznych posiedzeniach towarzystwa tego miewane, a z których powziąć można dokładne wyobra-

żenie o zabiegach onego czasu w celu publicznej oświaty przedsiębranych i o skutkach z tego źródła płynących.

7. Przemowa do Wojska pod Gołębkiem, przy poświęceniu narodowych sztandarów 1791 r. miana i tegoż roku drukowana w Warszawie; i nakoniec:

8. Przestrogi dla czytających gazety, dzienniki, podróże i. t. d. przeznaczone zarazem ku obronie niektórych uczonych włoskich, o których z przekąsem pisał w swym Pamiętniku historyczno-politycznym wydawca jego Świtkowski.

To jest wszystko co o ile mi wiadomo z pism polskich Piramowicza drukiem ogłoszone było. Przedsięwziął on był jeszcze jedną pracę, któraby może w pożytku wszystkie przewyższyła poprzednie, bo miała na celu podźwignienie moralne i fizyczne ludu naszego, i której przetoż dał za tytuł: Książka pożyteczna dla Ludu, ale której rękopis acz złożony na ręce Stanisława Potockiego Prezesa Senatu i Komisji Oświecenia, a przez tego Towarzystwu Warszawskiemu Przyjaciół Nauk, nigdy z druku nie wyszedł.

W zakończeniu dodać winienem, że za młodych lat próbował Piramowicz sił swoich w języku łacińskim, i to równie wierszem jak prozą, z których wiersz jeden pod napisem Carmen nuptiale ofiarowany w imieniu kolegium Jezuickiego w Krzemieńcu Janowi Chodkiewiczowi Staroście Żmudzkiemu, a ułożony na pamiątkę zaślubin jego z Ludwiką Rzewuską Wojewodzianką krakowską był drukowany wraz z tłumaczeniem polskim 1766 r. w Podhorcach w Galicyi, majątności Rzewuskich, gdzie ciż mieli swą prywatną drukarnię; — i że nadto w znacznej bardzo części należał Piramowicz do układu Statutu Szkolnego, który na zawsze pozostanie chlubnym i zaszczytnym pomnikiem tych, którzy go układali i w publiczne życie wprowadzili.

Z tego co acz pobieżnie i popiesznie tylko mogłem sobie o życiu Księdza Piramowicza przypomnieć, widać jednakże jak głęboko myślącym i daleko w przyszłość wybiegającym musiał być mąż, który tak gruntownie pojmował swoich czasów potrzebę. Dziś go jeszcze, podobnie jak to było za życia jego, jedni nie rozumieją, drudzy rozumieć nie chcą, ale

przyjdzie czas, w którym według zasługi pojęty zajmie należne sobie miejsce obok najpierwszych i największych dobroczyńców Ludzkości. —

Właśnie tych słów był domawiał ksiądz Proboszcz, gdy mocniejszy turkot kół przypominał nam, że wjeżdżamy na bruk Kurowski; a że już ku północy się miało więc najczulej podziękowawszy księdzu proboszczu za jego opowiadanie, zaraz wszyscy udaliśmy się na spoczynek, a nazajutrz już na prawdę pożegnaliśmy towarzystwo nasze, my przez Puławy w dalszą puszczając się drogę, a zas pan Bojarski i reszta towarzystwa z powrotem do Lublina.

We dnie tą razą zbliżając się do Puław, wynagrodziłem sobie poprzednie odwiedziny nocne, i istotnie nasycić się nie mogłem pięknymi widokami, ich rozkosznego położenia nad Wisłą. Wpadłem raz jeszcze do ogrodu, pobiegłem do Sybilli i do Domku Gockiego, pod ziemię, do grot, i wśród skały, między drzewa, krzawy, kwiaty i wody — i wszędzie jak wprzód z drugimi, tak podobnie samotny wszystko znowu znalazłem piękne, lekkie, przyjemne, i wszędzie odpowiedniego doznałem wzruszenia; byłem żywy, rzeźwy, wesoły a jednak wzdychający niby za czemś tęskniący, coś i o czemś marzący, jednym słowem byłem innym w Puławach jak w Lublinie. A że podonczas właśnie na wojnę klasycyzmu z romantycyzmem zanosilo się było, więc ja sobie myślałem, że w Lublinie byłem klasykiem, a w Puławach Romantykiem jestem — a że już się ściemniało i głucha cisza osiadała do koła, więc wracając wzdłuż mrużącego strumyka pomrukiwałem sobie:

«Cicho wszędzie! Głucho wszędzie! Co to będzie?
Co to będzie?»

Przeprawa statkiem nazajutrz na lewy brzeg Wisły nastęczyła mi przyjemność nie tylko oglądania Puław z innej strony, od wody — lecz dała mi także wyobrażenie podróży wodnej po rzece jednej z najwspanialszych i największych rzek świata. Już potem bez zatrzymania się, jak chyba dla popasów, dążyliśmy szlakiem pocztowym przez Kozienice sławne niegdys puszczami i kniejami, przez Ryczywół tak dowcipnie

przez Krasickiego przemilczany, przez Czersk wreszcie dawną księżąt Mazowieckich stolicę, sławny później dworem i zbytkami królowej Bony, popisami rycerstwa, sejmami obywatelstwa i świetnemi zwycięstwami Czarnieckiego nad wojskami Szwedzkiemi, dziś niestety lichy zlepek kilkunastu nędznych lepianek, ciągnęliśmy mowę do Góry, inaczej Górą Kalwaryą zwanej ale w której już ani połowy nie znaleźliśmy tych kościołów i tych kapliczek z takim szumem przez Krasickiego opisanych; — wszystkie poszły na browary, gorzelnie, stajnie, obory i tym podobne przybytki i pożytki.

Jechaliśmy tak ciągle, bez przygód a powoli, jak zwyczajnie po delikatnych piaseczkach mazowieckich, gdy w tem kiedyśmy z Góry ku Piasecznu się wysuwali:

— A to czyż nie boże skaranie! zawoła nasz woźnica. To już chyba do Warszawy nie dojedziemy! A toć znowu jadą ułany!

I istotnie dostrzegliśmy zbliżających się ku nam dwóch czupurnych jeźdźców — czapki na ich głowach baranie, a krągłe i wysokie jakby bermyce, ze wstążkami kwiatami i pawiami piórkami; sukmany granatowe z czerwonymi wykładami i potrzebami, przez plecy ręczniki białe, przez biodra pasy czerwone, szarawary w prążki białe z czerwonymi w cholewy, bat w każdego rękę z trzaskawką, a którzy gdy nas mijają już mieli, nagle kłusa koniom zwalnając, i uchylając swych czapek, tak obusób spiewać poczęli:

«Koźmi dwiema i czterema,
A do szlubu ją wiedziema:
A więc prosim na wpół drogi,
Dla dziewczyny, dla niebogi.
Oj! danaż, dana dana,
Da, dziewczyna ukochana!»

Pomknął woźnica na pół drogi, a jeźdźcy ukłoniwszy się grzecznie, zatrzaszkali batami, i dalejże znowu kłusem ku miastu; a wnet po nich nadciągnął oddział liczniejszy, równie jak tamten czupurny, podobnie jak tamten przybrany, tylko jeden młodzian w samym środku jadący miał u boku z świe-

żych kwiatów bukiet ogromny z różnobarwnemi wstęgami i równocześnie zabrzmiał od nich śpiew:

«Oj! jadąż jadą, w kolasach jadą,
 W kolasach z drabek, z wielką paradą
 A sto koni jedzie w przedzie
 A sto drugie w zadzie jedzie,
 Chwałaż bądź Bogu żeśmy spotkali
 Żeśmy spotkali, kogo szukali.
 A więc prosim wszystkich z nami
 Z pocziwymi Mazurami,
 Na weselisko,
 Kołacz i piwsko.
 Oj! danaż, dana, dana,
 Da, dziewczyna ukochana!»

Zaraz za tą konną drużyną szedł wóz we cztery konie — dwa przed dwa, wóz i konie w zieloność przystrojone, na przodzie wozu grajki z basetlą i skrzypcami, a w środku panna młoda z wieńcem i wstęgami na głowie, otoczona družkami, a która na pół smutnie, na pół wesoło, tak z towarzyszeniem grajków śpiewały:

«Zakukała kukaweczka nad strugą
 Jużże naszej Marysienki nie długo,
 Potoczyła Marysienka swój wianeczek po stole,
 Już niedługoż między nami Marysienki w tem kole.
 Grajcież grajki wesołego od ucha
 Niech Marysia płaczów naszych nie słuca.
 Hejże grajku! teraz grzmij!
 Niechaj Górskie pole grzmi!
 Oj! danaż, dana, dana,
 Da, dziewczyna ukochana!»

Na następnym wozie dwukonnym siedziały rzędem niewiasty podeszłego już wieku a które przetoż pozwalając sobie więcej niż młode, nuciły pieśń żartobliwą o chmielu, której wiersze ostatnie były:

«Oj! chmielu, chmielu, chmielu warzony!
 Oj! babski pysku nie wyparzony!»

a która jednakże jak wszystkie poprzednie piosnki musiała kończyć się zwrótką:

«Oj! danaż, dana, dana,
Da, dziewczyna ukochana!»

Dalsze wozy zapełniała starszyzna mężka, która nie śpiewała, lecz coś gwarzyła poważnie, lecz za to na ostatnim wozie darły się wyrostki wrzeszcząc z całego gardła:

«Jak ja byłem u tatusia, byłem bogaty,
Miał kurteczkę kiesiuteczkę, kiepus rogaty.
Gajdaki mi się zrodziły, trzeba wykopać,
Nuże piekać, żony szukać, może się kochać.
Przeniczka mi się zrodziła, trzeba do Gdańska,
Ale komu siedzieć w domu, pilnować łańska.

Ożeniłem się więc na Mazowszu,
Wziąłem w posagu trzy ćwiercie owsu;
Trzy ćwiercie owsze, dwie beczki sieczki,
Trzeba się cieszyć z takiej dziewczeczki.

Oj! danaż, dana, dana,
Da, dziewczyna ukochana!

Przeleciało weselne grono, zniknęło i ucichło wszystko po drodze i do koła ale nie w oczach i nie w uszach moich. Zdało mi się że ciągle widzę i słyszę te mazurskie, weneckie zapusty. Jechaliśmy zawsze piaskami, więc wolno, a woźnica coraz ku nam się ogłądał, co zwyczajnie był czynił kiedy chciał coś powiedzieć.

Cóż masz nam powiedzieć, Michale! zapytałem.

Ej nie panie! Cobym ja miał powiedzieć? ja tylko sobie myślę, dla czego tu lud, panie, weselszy od naszego.

— Bo szczęśliwszy, rzekłem.

— A dla czego panie szczęśliwszy! Czy to tutaj panie ziemia lepsza od naszej! Patrzo pan jakie piaski na lewo i na prawo, pod owiesy się nie zdały; a u nas panie zagon w zagro nie pod chleb to pod placek. Byłem też w ich chałupach; biada, panie jak u nas, oj! bodaj czy nie większa, a jednak czy to stare czy młode czy dziad, baba, parobek, dziewczka czy dziecęg, wszystko panie wesołe. Albo proszę panie no ich

widzieć w gościńcu! U nas panie jak człek sobie podpije to bardziej jeszcze płacze, a oni byle trochę w czub wleli to chychoczą i skaczą i śpiewają bez końca. Musi więc być, panie, inna jakaś przyczyna onej ich wesołości.

— To dla tego może, rzekłem, że oświeceńszy.

— Prawda panie że oświeceńszy. A ktoby zaś u nas zasłyszał żeby chłop czytać umiał, a tu, panie, baby i dziewczki w kościele jakby jakie panie najpierwsze, na książkach pana Boga chwała. Aleć mnie sie wydaje, panie, że jak człek nie-szczęśliwy to i lepiej że głupi bo się na swej biedzie nie pozna; więc ja panie, to już sobie tak myślę, że to chyba inna jeszcze przyczyna. A to panie ktoby u nas dał wiarę, że kiedy u nich parobczak chce się żenić, albo dziewczka iść za mąż, więc byle to było po woli ojców a matek, tedy nie potrzebują żadnego pozwolenia innego, tylko wprost idą do kościoła po błogosławieństwo boskie aby potem poweseliwszy się trochę z rodziną a drużyną, pracowali na siebie. Albo, panie, jeżeli u nich parobek albo dziewczka ba chociażby gospodarz nie podoba sobie służby w dworze lub siedziby na gruncie byle tylko swego roku według słowa dobył uczciwie, może szukać służby innej albo gruntu innego. A pańszczyzna panie to prawie jakby na żart, to tylko jakby czynsz za siedzibę a rolę, który jeszcze jak się komu podoba może sobie odrabiać albo spłacać gotówką. A wlezie w szkodę bydłę gdy gospodarz z gospodynią na robocie za domem, to wójt, panie, sprawę sędzi i za szkodę płacę oznaczy, bez pomocy kija ni bata. I cóż, panie, dziwnego, że lud tutaj weselszy. Ja, panie, już za stary ale panu na świat dopiero, więc może pan się doczeka, że i nasz lud będzie weselszy.

I zamyślił się Michał, i zamyśliłem się ja także; a że jakoś wyciągneliśmy się z piasków, więc pojechaliśmy żywiej; co raz żywiej i coraz bliżej a bliżej ku Warszawie.

Podróżnym przybywającym z lewego brzegu Wisły nie przedstawia się Warszawa z tą okazałością wież, kościołów, murów, pałaców i nurtów wspaniałej rzeki, z jaką się rozwija przed oczami przybywających od Grochowa przez Pragę; bo za dawnych przynajmniej czasów zakrywały ją od tej strony

mnogie wiejskie i przedmiejskie ogrody, przydrożne drzewa, okoliczne budowle, tak że zwykle podróżny wtedy się spostrzegał dopiero iż jest w Warszawie, gdy z pomiędzy alei drzew przydrożnych wsunął się w ulicę między dwa mury kamienie wysokich, i tak już sunął się sobie aż do gospody się dopchał, lub aż jaki natręt, domyśliwszy się czego trzeba, nie schwycił koni za cugle i do gospody nie wciągnął a co właśnie z nami się stało.

Było to na krakowskim przedmieściu. Ciekawość wyciągnęła zaraz mię na ulicę. Właśnie słońce ku zachodowi się miało i mnóstwo ludu, a raczej pań, panienek, panów i paniczów, jak na bal postrojonych oraz różnych wojskowych szczękających, i brzęczących i błyszczących sunęło się gdzieś tłumnie a wszystko w jedną stronę.

Ej, pójdę za nimi. A więc dobrze na wszystkie strony obejrzawszy, by z powrotem trafić do domu, puściłem się w imię boże z tłumami za tłumami, naprzód prosto, potem na prawo, dalej środkiem placu przez bramę i przez pałac, aż oto znalazłem się w ogrodzie — był to Ogród Saski.

Toż to dopiero rozwinęło się mi przed oczami, na jawie, wszystko co się tylko kiedykolwiek roilo po głowie, we śnie o zaczarowanych ogrodach, zamkach, królewnach i kochankach. Byłem oczarowany w całym znaczeniu. Szedłem nie czując że idę patrzałem nie wiedząc co widzę, słyszałem głos, mowę, ale tylko szumiało mi w uszach. Byłem oczarowany, ale oczarowanie zmieniło się w zaczarowanie kiedy chodząc w tym tłumie z tym tłumem, nieznanym, nagle poczułem uderzenie mię po ramieniu wraz z wykrzyknikiem: A ty Lachu co tutaj robisz? — Wstrząsnąłem się cały jak gdyby iskra elektryczna przeleciała przezemnie, a jak wielkiem musiało być moje zdziwienie i wzruszenie kiedy, ja co nie spodziewałem się znaleźć w Warszawie jednego serca przychylnie bijącego, jednej twarzy znajomej, zaraz na samem wstępnem odpoznałem w zaczepiającym najmiłszego przyjaciela i spółtowarzysza dni dziecinnych i szkolnych, tego ani opowiadać ani opisywać nie będą, bo to są sprawy domyślności serca. Dość żeśmy się uściskali serdecznie i ramię w ramię wracaliśmy wnet do

gospody, prawie niemi, milczący, a jednakże jak gdyby ciągle
wzajem mówiący:

« Tylko o tak! bok przy boku!
Tylko o tak! krok do kroku!
Tylko razem! tylko zgodnie! — »

aż drzwi otwierając mieszkania: — Jest: Bóg i przyjaciel
zawołałem w szale radości. —

Już teraz nie boję się Warszawy.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.



Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:
BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

Tom I.

Poezye Stefana Garczyńskiego.

Tom II—V.

Pisma Juliusza Słowackiego.

4 tomy.

Tom VI.

Obrazki caryzmu J. Gordona.

Tom VII.

**Wyprawa partyzancka 1833r.
K. Borkowskiego.**

Tom VIII—XII.

Pisma Adama Mickiewicza.

5 tomów.

Tom XIII—XVIII.

Pisma Michała Czajkowskiego.

Tom I—VI.

(Zawiera: I. Wernyhora. II. Kirdźali. III. Powieści
kozackie i Gawędy. IV. Owruczanin. V. Stefan Czar-
niecki. VI. Hetman Ukrainy.)

Tom XXI.

Poezye Cypriana Norwida.

Tom XXII.

Poezye Lucyana Siemińskiego.

Tom XXIII—XXV.

Poezye Zygmunta Krasieńskiego.

3 tomy.

8°. Cena każdego tomu 1 Talar.

(Egzemplarze oprawne w płótno angielskie z tytułem
złożonym kosztują na tomie o 10 Ngr. więcej.)



